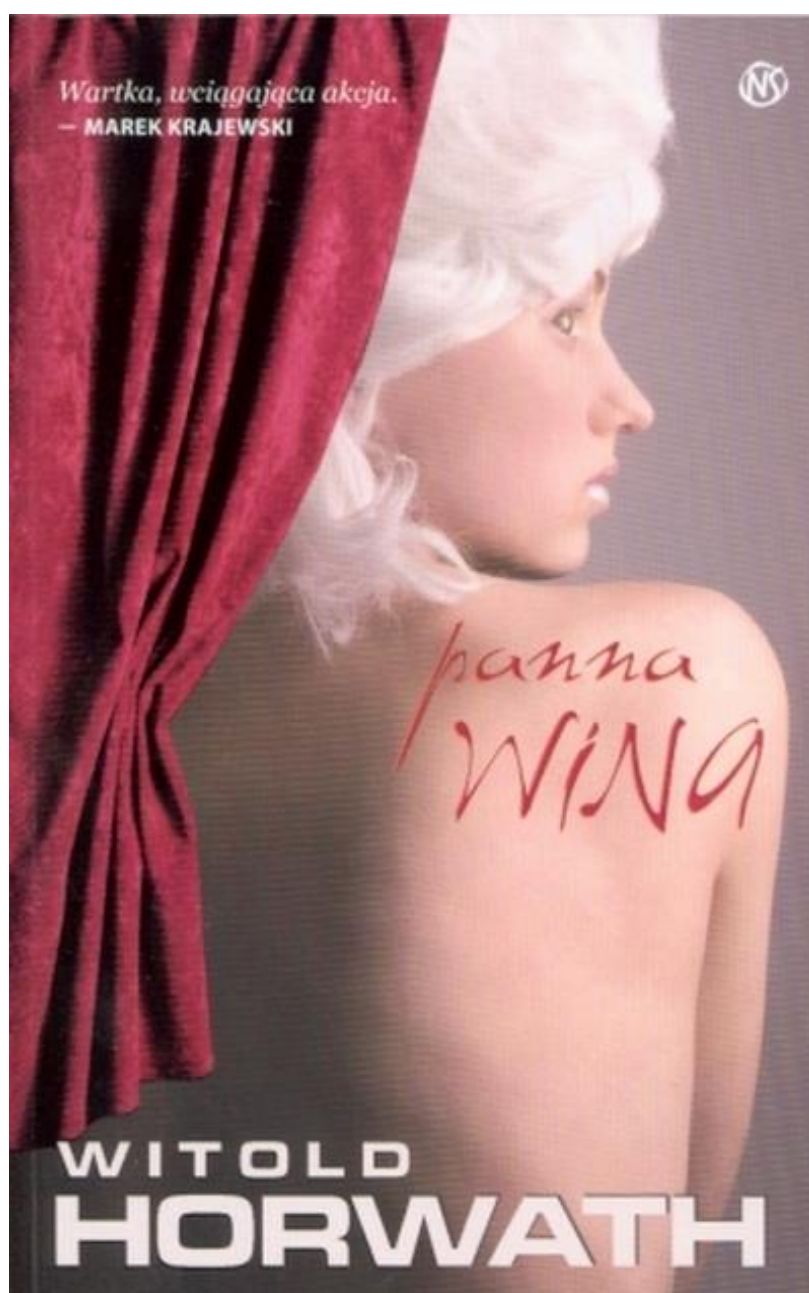




WITOLD HORWATH
PANNA WINA



Ja jestem rana

Ty jesteś ból

RAFAŁ WOJACZEK

TLR

TLR

*Winowajczyniom bez sędziów i sędziom bez winowajczyń,
którym przyszło za chlebem spełnienia emigrować do Kra-
iny Fantazji, powieść tę daję na drogę.*

Od wczoraj jestem w ciągu, pierwszy raz od dwóch lat, tak, przez dwa lata miałam spokój, a teraz znowu mnie naszło, bo to są fale, fazy, czasem kilkudniowe, a czasem przez miesiąc i dłużej potrafi trzymać, i nigdy nie wiadomo kiedy złapie, i jaki przeklęty bodziec uruchomi niekończące się pasmo rojeń, mój sen na jawie, który nagle zaczynam śnić wszędzie, w domu, w firmie, na ulicy, gdy idę jak lunatyczka, wpadając na przechodniów i oczywiście za kierownicą też, więc powinni mnie zamknąć do pierdła, lub przynajmniej dożywotnio odebrać mi prawo jazdy, zanim kogoś albo siebie zabiję, obłąd, obłąd i jeszcze raz obłąd, obłąd i kalectwo, no bo jak inaczej nazwać tę moją nadwrażliwość i bezbronność wobec pewnych słów i przedmiotów, których dźwięk i widok totalnie mnie obezwładnia, zapada w duszę i wszystkie organy od stóp do wirującego mózgu, nasącza je jak gąbki obrzydliwym śluzem, i wtedy nie dość, że łązę jak po prochach, piąte przez dziesiąte rozumiem, co do mnie mówią, to jeszcze czuję do siebie odrazę, niezła mieszanka,

co nie? ale na szczęście tak jest rzadko, zwykle mam tylko trans, niesamowity odlot na wyspę Santa Inez, gdzie moje marzenia, moje bajki nabierają cech prawdopodobieństwa, bo jestem z krwi i kości realistką, twardo stąpającą po ziemi bizneswoman, a więc i ta zboczona częśćka mej natury pragnie realizmu jak kania dżdżu, i pewnie dlatego odrzucam wszelkie udawanie, głupawy teatrzyk, w jaki bawią się pary, i konsekwentnie pozostaję singielką, to znaczy pod tym względem, gdyż w zwykłym, powszednim życiu mam partnera i uprawiam z nim seks, normalnie jak ludzie chodzimy do łóżka, póki nie wpadnę w ciąg, bo wtedy szlaban, blokada, zamykam się na siedem spustów, nie chcąc go oszukiwać i sprowadzać do roli wibratora, psycholog powiedział mi oczywiście, że powinnam z Erwinem porozmawiać, zdobyć się na odwagę, a pan na moim miejscu by się zdobył? pytam i patrzę mu prosto w okular-ki, tylko bez ścierny, OK? na co facet zmieszał się i bąknął, że to hm, wie pani, faktycznie bardzo trudne, czyli taki z niego, kurwa, Wujek Dobra Rada; nie doszło zatem do żadnej oczyszczającej rozmowy i wszystko po raz kolejny się powtarza, znów jestem w ciągu, Erwin niczego

nieświadom, spokojnie śpi sobie na mansardzie, a ja, oddzielona od niego grubym stropem naszego dziewiętnastowiecznego domu, już drugą noc klikam i klikam na czacie, może dziś dopisze mi szczęście, może znajdę Tego Kogo Szukam i nagle - ciepło, ciepło, pojawia się Kodeks44, ciepło, coraz cieplej, gorąco, przecież kodeks to już prawie jak Sędzia, trzeba mu wejść na priv.

- Hej! Spodziewam się, że jesteś kodeks kar-
ny a nie cywilny 😊

- A handlowy może być?

- 😊 Nie dokuczaj!

Miała nick „panna Wina”, więc potraktowałem ją na początku z rezerwą, bo imię pisane z dużej litery oznacza u nas osobę dominującą, a ja Dominy nie potrzebowałem.

- Liczy się „p”, a „W” tylko ratuje przed dwuznacznością - wyjaśniła, gdy wprost spytałem, kim jest. - Nie chcę, żeby mnie ktoś skojarzył z winem i uznał za pannę tego trunku 😊

Dobrze się nam klikało, więc przeszliśmy z czata na gg, i kiedy pochwaliłem się, że właśnie wydałem zbiorek opowiadań, spytała nagle,

czy mogę poświęcić jej wiele nocy, bardzo wiele, może nie aż tysiąc jeden, ale na pewno nie mniej niż sześćdziesiąt.

- W realu? - Już miałem nadzieję, że tak się napaliła na pisarza.

- Ocipiałeś? Przecież mieszkam w Szwajcarii, rzadko bywam w Polsce. OK, poświęć jedną na próbę, zobaczysz, czy to cię kręci. Tylko podaj mi email.

Próba wypadła pomyślnie.

- To co, jedziemy dalej? Ja opowiadam, a pan literat poprawia.

I zwierzyłam się panu Kodeksowi z mojego drugiego życia,

wysyłała mi w conocnych odcinkach niewyznaną dotąd nikomu historię Laury,

a on zawzięcie przez sześćdziesiąt pięć dni szlifował słowo po słowie i upiększał,

a czasem dodawałem trochę od siebie albo robiłem niewielki retusz,

na co przymykałam oko, mimo że niektóre z jego wstawek bardzo średnio mi pasowały, na przykład ta przy końcu z Marią Luizą, drobnym

kroczkiem zmierzająca w stronę lesbian duo, totalnie nie moje klimaty, ale co się będę kłócić?

jesteś tak samo jak ja popierdzielony, orzekła weredycznie w jednym z maili, więc byłoby nie fair, gdybym cię blokowała, miej sobie radochę, chociaż wirtualną, bo w realu na pewno musisz to w sobie tłamsić, oboje musimy, odpowiedziałem, ano niestety, odpisałam.

MIAŁ MIEĆ NA IMIĘ SIRIUS, JAK PSIA GWIAZDA
ALBO BETLEJEMSKA,

alpha Canis majoris, w starożytnym Egipcie otoczona czcią boską, a i przez współczesnych astrologów traktowana z szacunkiem, skoro szcudrą szafarką splendorów, honorów jako też innych bogactw tego świata nazwał ją autor archaizującego horoskopu zamieszczonego w popularnym kolorowym piśmie; niedługo potem pewien ksiądz musiał wyjaśnić młodej parafiance, co znaczy „szcudra szafarka”.

- Hm, hm - odchrząknął, trąc z namysłem podbródek - to chyba taka klucznica, taka gospodyni, co nie chomikuje wszystkiego na lepsze czasy, tylko daje każdemu, kto prosi. - I poczerwieniał, zrozumiawszy, że palnął gafę, bo dziewczyna przed tygodniem urodziła nieślubne dziecko i mogła to wziąć za przytyk. - Taka, co bez umiaru rozdaje różne rzeczy - poprawił się i po-

spiesznie zmieniając temat, spytał, czy wybrała już imię dla synka.

- No właśnie w tej sprawie do was przyszedłam, księżę Stefano - odrzekła, mnąc w palcach pisemko z horoskopem.

Był z natury człowiekiem zgodnym, toteż w najbliższą niedzielę spełnił jej prośbę, ledwie jednak odszedł od ołtarza, otworzyła mu się w głowie jakaś klapka i wątpliwości, które już wcześniej z lekka nim targały, przemieniły się w pewność, że pobłądził. „Co ja najlepszego zrobiłem? - trapił się, drepcząc nerwowo po zakrystii - Chyba do reszty zgłupiałem na starość! A co będzie, jak biskup się dowie i zapyta, skąd takie imię? Co mu powiem? Że durna dziewczuszka znalazła w gazecie? Toż mnie wyśmiej.

A wtem na dnie czarnych myśli ujrzał światło - wszak wystarczy podmienić samogłoski w pierwszej sylabie i wpisać do księgi parafialnej „Syrius”; - Proste jak drut - mruknął, odkładając pióro, po czym przeczytał na głos kilka razy i frasunek uleciał w siną dal - bo po korekcie, dzięki dobroczynnemu igrekowi, brzmiało to prawie jak Syrus^{*1}, a tak przecież w wielu językach pisze się i wymawia zacne chrześcijańskie imię, wolne od wszelkich, astrologicznych skojarzeń.

Przez chwilę czuł pokusę, by pójść dalej, drugie „i” też wyrzucić w diabły, unicestwić dziwną hybrydę i niech już w całości będzie jak należy; uznał jednak, że zbyt grubego oszustwa nie

¹ Imiona Sinus i Syrus, choć brzmią podobnie i przez to są niekiedy utożsamiane, w istocie mają zupełnie inną etymologię. Sinus jest łacińską formą greckiego *seirios*, „płonący, gorący, roziskrzony” i przede wszystkim nazwą gwiazdy w gwiazdozbiornie Wielkiego Psa, Syrus natomiast to po łacinie po prostu - Syryjczyk.

uświęci zbożny cel, w dodatku dziewczyna mogłaby mieć słuszną pretensję, no bo jakże tak? najpierw przystał na jej wybór, a teraz wszystko przeinacza? Nie, nie, trzeba być wobec niej uczciwym, więc lepiej kompromisowo, jednej drobniutkiej zmiany pewnie się nawet nie dopatrzy.

Zamknął księgę i westchnął z ulgą; wybrnął, kłopot z głowy, jako kapłan jest w porządku, a Pan Bóg już sam zdecyduje, kto ma sprawować pieczę nad tym chłopcem: święty Syrus z Genui albo Pavii, czy najjaśniejsza na firmamencie gwiazda.

URODZIŁ SIĘ 7 LIPCA 1954 W SAN PEDRO,

ściśle zaś i oficjalnie - w San Pedro del Kañon, bo apostoł nie wystarczał, musiał być jeszcze drugi człon nazwy, żeby władze Isla de las Rocas odróżniały zapyziałą górką wioskę od kilkunastu innych, także mających za patrona Świętego Piotra, odróżniały, a co więcej z grubsza orientowały się, gdzie leży, choć w sumie na cholere, skoro nigdy nie posłały tam żadnego urzędnika; leżała zaś między dwoma szczytami Monte Negro, w głębokim wąwozie, przywarta do jego zboczy dziesiątkami ubogich chat, a wszystkie na wspólną modłę były z trzcinowej plecionki obrzuconej gliną i pokryte strzechą, bo tak w tym zakątku świata z dziada pradziada, jeszcze od czasów prekolumbijskich budowano domy.

Jest synem Indianki i Manuela Aznara, jednego z nielicznych białych, jacy w połowie stulecia zapuszczali się w głąb wyspy, wędrownego handlarza naftą, zapalkami, zdjęciami pornograficznymi oraz mydłem i powidłem, który w wysłużonym Jeepie

zjankeskie- go demobilu pokonywał raz w miesiącu strome, górskie serpentyny, by przybywszy do wioski, pokonać następnie opór upatrzonego indiańskiego dziewczątka; to zaś, w porównaniu z karkołomną jazdą po skalach, nie było niczym trudnym, starczyło nacisnąć dwa magiczne niklowane guziki, otwierające szam tekturowego kuferka, a potem już tylko czekać spokojnie, aż ciemne oczy wybranki oślepi blask prawdziwie zagranicznych ciuchów i kosmetyków; za noc, w którą począł Syriusa, zapłacił dwiema lilaróż sukienkami z jakiegoś soldu na Florydzie oraz kartonem marlboro dla ojca i braci dziewczyny, a gdy kilka miesięcy później objawiły się nieplanowane skutki transakcji, Manuel Aznar hojnym gestem dołożył studolarowy banknot, i - zmienił czym prędzej rewir.

Przyjechał do San Pedro dopiero po szesnastu latach, suchy jak rachityczne drzewka na zboczach kanionu i z cerą jak zmięty papier, którą promienie górskiego słońca zdawały się na wskroś przeświećlać. W sercu Aznara dojrzał zamiar zadośćuczynienia, w jego trzewiach zaś złośliwy, nieuleczalny nowotwór.

Lecz dom Indianki nie istniał - poszedł z dymem wraz z sąsiednim, gdzie zapalił się bimber; „kwartał ledwie minął, dużo się nie spóźniłeś” - wódz wioski nie oszczędził drwiny, nim wyjawiał, że pogorzelnicy mieszkają przy klasztorze w Ciudad del Toro.

- A co z dzieckiem?

Odpowiedzią był śmiech.

- Twojemu dziecku nawet dorośli mężczyźni woleli schodzić z drogi. W bójce nikt mu nie dorównywał.

- Znaczy się, syn. Ale gdzie jest?

- A gdzie ma być? W Ciudad spojrzeli w papiery, zobaczyli, że sześć klas skończył przy parafii, no to wzięli do szkoły wojskowej na kontynent. Pytaj o Syriusa, dziwne imię, nieprawdaż?

Sil miał już Aznar tyle co nic, a i czasu mało, góra dwa miesiące, tak rokowali doktorzy, lecz gdy w dowództwie okręgu odmówiono mu informacji, nie poddał się, zacisnął zęby i postanowił objechać wszystkie wojskowe szkoły, wszystkie co do jednej, choć prezydent Guzman, śniąc o zaatakowaniu Panamy, pozakładał ich wtedy dziesiątki i setki od Atlantyku po Pacyfik. Dobry los podetknął moribundowi ostatni kęs szczęścia i już po tygodniu skierował do właściwej - Escuela Militar przy słynnym, powietrznodesantowym pułku Leopardos.

DO SPOTKANIA DOSZŁO W POKOJU ODWIEDZIN

POD CZUJNYM OKIEM PREZYDENTA GUZMANA,

posepnie spoglądającego z wielkiego portretu oraz drugiego faceta w mundurze, pułkownika Ramireza, komendanta szkoły, który siedząc za biurkiem zajmowanym zwykle przez dyżurnego podoficera, jak na żabę patrzył na wymizerowaną postać, wgapioną z napięciem w drzwi i nerwowo poruszającą palcami splecionymi na zapadłej piersi. A głębokie bruzdy na twarzy Aznara nagle skojarzyły się pułkownikowi z odciskami od niewidzialnego kagańca, który kostucha jak hycel zakłada delikwentom na pysk,

żeby nie kęśali. I w tej samej sekundzie, gdy to pomyślał, otwo-
rzyły się drzwi i wszedł kadet Syrius, poinformowany już, w ja-
kim celu go tu wezwano. Stał przed komendantem wyciągnięty
jak struna każdym mięśniem krzepkiego ciała i wszystkimi
szwami polowego munduru; szeroka, dolna szczęka w mocnym,
gniewnym zgryzie wysunęła się do przodu, zdając się jeszcze po-
tężniejszą, a płomień pełgający w zwężonych ciemnych oczach
świadczyły, ile wysiłku kosztuje chłopca, żeby okiełznać to
wszystko, co kłębi się pod muskularną pierś, zmusić, by wraz z
nim karnie stanęło na baczność.

Pułkownik odniósł wrażenie, że kadet w ogóle nie słucha ci-
chych, z trudem wypowiedzianych przez Azna- ra słów; i w istocie -
myśl Syriusa w tym czasie zdążyła przelecieć ponad morzem i
szczytami Sierra Blanca do kanionu i ubogiego San Pedro, w tę i
z powrotem przemierzyć całe piętnastoletnie życie, którego daw-
ca stał teraz przed nim i patrzył z takim wyczekiwaniem, jak gdy-
by syn miał w kieszeni skuteczne lekarstwo na raka.

- ... i chcę, żebyś nosił moje nazwisko - spointował Aznar, a
wtedy szczęki chłopca poruszyły się, wyrzucając indiańskie sło-
wo, obce i tajemnicze dla pułkownika, świetnie natomiast znane
adresatowi.

- Co on powiedział? - spytał Ramirez.

- Kazał mi spierdalać - odparł Aznar, zażawionymi oczami
dopowiadając, że już koniec, przepadła ostatnia rzecz, na którą
życiu liczył i teraz nie ma już nic, zero, pusta przestrzeń pomię-

dzy nim a śmiercią. I przeszyty lodowatym poczuciem bezradności osunął się na krzesło.

Lecz wtedy nad rozpaczą czterdziestolatka, co nagle stał się dzieciinniałym zewłokiem, i pogardą wyrostka, w tym samym momencie przemienionego w mężczyznę, rozległ się twardy, mocny głos pułkownika.

- Wiem, co czujesz, mój chłopcze, i wierz mi, że gdyby ten człowiek nie był śmiertelnie chory, pozwoliłbym ci go skopać jak parszywego kundla, bo zasłużył sobie na to - Ramirez wyszedł zza biurka i stanąwszy z Syriusem twarzą w twarz, położył mu dłonie na ramionach. - Pamiętaj jednak, że kiedyś na tych pagonach zabłyszczą gwiazdki, a oficer nie powinien być bękartem. Dlatego przyjmiesz jego nazwisko.

- Prędej się zastrzelę - odpowiedział wzrok kadeta.

Ale pułkownik uciął krótko:

- To rozkaz!

I natychmiast przez telefon wezwał wojskowego prawnika, który dopełnił formalności.

TRZY LATA PÓŹNIEJ WYBUCHŁA WOJNA Z PANAMĄ

i kadetów najstarszego rocznika zrzucano na wyspę Santa Inez, gdzie w brawurowej nocnej akcji zdobyli przemieniony w twierdzę XVI-wieczny zamek, wybijając załogę i biorąc do niewoli nieprzyjacielskiego generała. A szczególnie wyróżnili się dwaj: Diego Negrido i Syrius Aznar, których prezydent Guzman na-

tychmiast specjalnym rozkazem, z pominięciem długiej służbowej drogi, awansował na poruczników.

„Wiesz, że jesteśmy solą tej ziemi” - powiedział Diego gdy raz pierwszy wpuszczeni do kasyna dla oficerów opijali swój sukces. - Pamiętaj: w tym kraju najważniejsza jest armia, a za kilka lat my będziemy jej tuzami! My dwaj, najlepsi ze wszystkich Leopardos!

- My dwaj! - jak echo powtórzył pijany w trupa Syrius i padł sobie w objęcia.

A tej samej nocy prezydent Republiki wiercił się w łóżku, daremnie przywabiając sen. Za dnia chodził opromieniony sławą zwycięskiego wodza, który poświęciwszy życie prawie dwóch tysięcy żołnierzy, odebrał Panamie wysepkę Santa Inez, utraconą na jej rzecz przed dekadą, a na dokładkę kilka przygranicznych wiosek, przez co rewanż wydawał mu się pełny i srogi, hańba poprzedniej, przegranej wojny do cna zmyta; lecz po zmierzchu strach zrywał mu z głowy laur, sączył w uszy szepty spiskowców, szmer skradających się kroków a nawet terkot broni maszynowej z dziedzińców i ogrodów pałacu. Czyhali na niego zewsząd - z lewa i z prawa. Na dachu marksistowscy guerilleros, pod oknem najemnicy CIA.

Kiedy więc Syrius i Diego trwali w braterskim uścisku, prezydent Guzman telefonicznie wezwał szefa sztabu, generała Mendozę.

- Od jutra Leopardos przechodzą pod moje bezpośrednie rozkazy! - oznajmił tonem, w którym pod pancerzem władczej stanowczości jego rozmówca wyczuł coś, co skojarzyło mu się z histerią. - Będą ochraniać Pałac i dzielnicę rządową!

SYRIUS, DIEGOI ICH KOLEDZY STALI SIĘ UKOCHANĄ LEJBGWARDIĄ

Guzmana, jego oczkiem w głowie i nieledwie ojcowską dumą, w zastępstwie rodzonych synów, których dyktator nigdy nie spłodził; toteż nie wystarczyło mu, że są sprawni i groźni, musieli być jeszcze wykształceni, od A do Z doskonali, iżby zazdrościli takich dzieci i pretorianów wszyscy inni prezydenci - od Argentyny po Meksyk.

Posyła chłopaków na uniwersytet, profesorowie z niesmakiem tłoczą im do głów rozmaite mądrości, komandosi śmiertelnie znudzeni, w przerwach między wykładami ćwiczą na studentach krav magę, i tylko studentki są wniebowzięte, bo zamiast intelektualistów w okularkach i fircyków z dobrych domów, mają wreszcie do łóżka prawdziwych chłopów na schwał.

PRZYCHODZIŁY DO AKADEMIIKA NA PLAŻA DE LA VICTORIA, GDZIE ICH ZAKWATEROWANO,

całe stadka wydekoltowanych bluzek, wysoko odsłoniętych nóg, ust w jaskrawej czerwieni, rzęs ciężkich od tuszu nad oczami błyszczącymi pożądaniem i tequilą, którą wlewali w nie i w siebie przed biciem rekordów, pewnej nocy stadko liczyło aż dwanaście sztuk, tuzin studentek prawa, rozchichotanych, rozanielonych, bo kilka godzin wcześniej zdały egzamin z historii myśli ustrojowej i społecznej, Syrius, kręcąc opróżnioną flaszką, zrobił losowanie - sześć dla niego, sześć dla Negrido, więc ustawiły się na golasa w dwóch rzędkach, a oni na dwóch tapczanach czekali w mundurach, gdyż dla zabawy ich nie zdjęli, jedynie rozpięli bojówki, „na pagony nóżki, na pagony!”, wrzaskliwie dopingowały każdą, co się kładła, Negrido opadł z sił przy piątej, nie pomogły ofiarne dłonie i usta, które natychmiast zbiegły się na ratunek, „dowódca poległ, przejmujesz oddział”, powiedział do Syriusa, a do dziewczyny: „trudno, mała, przesiadka”, śmiejąc się, przeskoczyła na tapczan obok, i dalej trwał chichot, pisk, jęki spazmów, aż wreszcie została już tylko jedna, ostatnia, smukła Kreolka, cały czas w milczeniu, z miną wampa, paląca cienkie, damskie cygarетки, „proszę państwa, za chwilę porucznik Aznar ustanowi wiekopomny rekord”, Negrido wziął ją za ramię i doprowadził do kumpla, „osiem w ciągu nocy! no, dawaj, brachu, ku chwale ojczyzny!”; Syrius sięgnął dłonią i nim zwarła uda, poczuł, że jest zupełnie sucha.

- Nie chcę być dziwką! - powiedziała i w pokoju zrobiło się nagle cicho jak makiem zasiał, studentki, wyrwane z transu po-

zasłaniały się rękami, a Negrido skrzywił się w szyderczym uśmieszku.

- Nie chcę, rozumiesz? - powtórzyła, patrząc Syriusowi w oczy.

Też w oczy jej spojrział - ciemne jak noc bezksiężycowa, migdałowe, takie piękne że aż strach.

- Jest inna niż tamte - pomyślał o Eleonorze de Barriere.

I w tej jednej chwili zakochał się w niej na amen.

BYŁA CÓRKĄ ZNANEGO W PUERTO DELASAGUILAS
ADWOKATA,

Filipe de Barriere'a, legitymującego się nobliwym, francuskim rodowodem, specjalisty od obalania legalnych testamentów i tym podobnych szwindli, a także właściciela jachtu, royce'a - phantoma oraz pałacyku przy Avenida de Mexico w najbogatszej dzielnicy Puerto. Czyżby to fortuna skusiła Indianina z ubogiej wioski w górach? Nie, Syrius prawdziwie kochał Eleonorę, jej twarz i oczy jak z płócien Rafaela, sylwetkę wyższą i smuklejszą w tłumie innych dziewcząt, za którą wodził wzrokiem po alejkach kampusu i uniwersyteckich korytarzach; a także jej głos - niski, ciepły, zawsze łagodny, bo podobnym mówiła niegdyś do Syriusa jego matka.

Kochał ją tak bardzo, że sam zapisał się na wydział prawa, a nie mogąc pogodzić studiów ze służbą wojskową, postanowił odejść z armii.

- Cóż, faceci z miłości robią różne głupstwa - ocenił ten krok Negrido. - Niektórzy nawet strzelają sobie w łeb.

Tak więc w oddziale Leopardos był już tylko jeden tuz. Drugi ożenił się, zdał końcowe egzaminy i został asesorem w sądzie kryminalnym; i zamieszkał z Eleonorą Barriere-Aznar w dwupiętrowym apartamencie na Avenida de Mexico, rzut beretem od pałacyku teścia.

PLANOWALI KIEDYŚ W PRZYSZŁOŚCI PRZEJĄĆ KANCELARIĘ BARRIERE'A,

i pewnie tak by się stało, gdyż oboje należeli do owej lepszej, a przynajmniej twardszej, odmiany Homo sapiens, która nie kieruje się mrzonkami i kapryсами chwili, lecz zmierza konsekwentnie do celu, jeśli raz go sobie wytyczy. A jako dobre i zgodne małżeństwo, wspierali się wzajemnie na tej drodze: gdy Eleonora zdawała egzaminy adwokackie, Syrius ślęczał z nią po nocach i odpytywał z kodeksów, a znalazłszy luki w napisanym przez teścia gotowcu mowy obrończej, którą miała wygłosić, załatwił wszystkie i tak mowę upiększył, że komisja biła brawo, a przewodniczący wyszedł zza stołu i gratulował; ona zaś odwdzieczyła się miesiąc później, kiedy stawał do egzaminu sędziowskiego, w poprzedzającą noc przyrzekając mu, że jeśli zda i zostanie sędzią,

natychmiast pójdą w kąć pastylki antykoncepcyjne; wiedziała bowiem, jak bardzo Syrius pragnie dziecka i tym go dopingowała.

Lecz nawet ci najwytrwalsi i w dwustu procentach konsekwentni, co to nie spoczną, póki po A nie powiedzą B, bezradni są, gdy jakaś siła z zewnątrz niespodziewanie rozsypie im alfabet. A to właśnie przytrafiło się Eleonorze i Syriusowi, a siłą ową była historia maleńkiej Republiki, okrutna nieodrodna córka historii powszechnej.

W lutym 1985 prezydent Guzman unieważnił przegrane przez siebie wybory. Kraj zawrzał, a zwłaszcza Puerto de las Aguilas, gdzie natychmiast rozegrał się spektakl jakże klasyczny w tym rejonie świata: po jednej stronie barykady młodzież i robotnicy, po drugiej policja i armia. Lecz, na nieszczęście Guzmana, armia niecała; jego ukochani Leopardos zbuntowali się i odmówili tłumienia zamieszek. Może gdyby przed laty nie uparł się przemocą nurzać ich głów w uniwersyteckiej wiedzy, nie doszłoby do zdrady i tajnych, nocnych rokowań w Villa Valentia z prezydentem elektem, Francesco Alvaro, młodym profesorem filozofii, po których, wróciwszy świtem do stolicy, Leopardos aresztowali Guzmana.

Część z nich pewnie ze szczerego serca pragnęła końca dyktatury, inni, jak Negrido, sądzili, że nowy prezydent będzie w ich rękach zakładnikiem i marionetką; zawiedli się jedni i drudzy.

- Hundert Professoren und das Vaterland ist verloren^{*2} - mruknął Syrius, przeczytawszy w gazecie skład rządu: na piętnaście ministerstw aż dziesięć objęli akademicy koledzy prezydenta. Niemal bez reszty, tak jak on, o mocno lewicowych poglądach.

- Prawo fizyki, po prawicowej dyktaturze wahadło musi się odchylić - powiedziała Eleonora, powtarzając słowa ojca i ogromnej większości inteligentów. Syrius był odmiennego zdania. Lata pracy w sądzie kryminalnym nauczyły go podejrzliwości i czujności; gotów był iść o zakład, że za pięknymi hasłami profesorów kryje się gruby szwindel.

W Nowy Rok 1986 okazało się, że bardzo, bardzo gruby.

- Nie wierzę! Nie wierzę! - krzyczał Filipe de Barriere; przybiegł do nich w panice już o szóstej rano, chodził nerwowo po salonie, szerokim łukiem, niby jadowitą jaszczurkę, omijając telewizor, a na ekranie ściskali sobie dłonie dwaj prezydenci i kumple - Francesco Alvaro oraz Daniel Ortega, którego armia o czwartej trzydzięci przekroczyła granice Republiki; w ramach bratniej pomocy dla legalnego rządu zagrożonego przez wspierane z Waszyngtonu siły reakcji.

Eleonora szlochała, teść nie wierzył, miesiąc później oboje zapisali się do Robotniczo-Chłopskiej Partii Postępu i objęli wysokie stanowiska w resorcie sprawiedliwości.

² *Hundert Professoren...* (niem.) - „Stu profesorów i ojczyzna zgubiona”. Powiedzenie przypisywane Bismarckowi.

LECZ SYRIUSA NIE BYŁO JUŻ WTEDY NA AVENIDA
DE MEXICO,

w noc z drugiego na trzeciego stycznia pojechał za miasto, do starego kamieniołomu, na tajne spotkanie oficerów Leopardos.

- Byłeś jednym z nas, więc nadal uważamy cię za swojego - powiedział Diego Negrido, wówczas już pułkownik. I wyłożył Syriusowi plan działania:

- Ta część armii, co nie poparła okupacji i komunistycznego puczu, zostanie przerzucona na Isla de las Rocas. W twoje rodzinne strony, Indiańcu - uśmiechnął się do Syriusa i klepnął go po ramieniu. - Tam stworzymy redutę niepodległości i powołamy Tymczasowy Rząd Zgody Narodowej. Bez komuchów i ludzi reżymu Guzmána. Prezydentem zostanie... - i tu Negrido wymienił nazwisko poety, jedyne w dziejach Republiki laureata nagrody Nobla.

- Zgodził się?

- Tak. Pod warunkiem, że nie każemy mu ruszać dupy z Paryża.

Czy Syrius myślał wtedy o żonie i dziecku, które mimo politycznych zawirowań mogli przecież począć? Wszak nawet w stalinowskiej Rosji i maoistowskich Chinach kobiety zachodziły w ciążę i rodziły. Nie, on miał zupełnie inne wątpliwości.

- Ale wiesz, że byłem tylko porucznikiem i w dodatku od dziecięciu lat nie trzymałem w ręku broni.

Negrido w odpowiedzi mrugnął okiem.

- Właśnie awansowałeś na kapitana. A to proszę, twój stary kumpel - i wręczył Syriusowi glocka 34, jakiego używali Leopardos.

PRZEZ DŁUGIE MIESIĄCE TRWAŁ PAT I SCHIZOFRENIA, Republika miała dwóch prezydentów, dwa rządy i dwie armie skoncentrowane na przeciwległych brzegach - na kontynencie regularne wojsko reżimowe wspierane przez oddziały Nikaragui, na Isla de las Rocas pospolite ruszenie zbiegów politycznych, zbuntowanych oficerów i miejscowych Indian, gotowych do ostatniej kropli krwi bronić swoich wiosek. Pierwszych po cichu zaopatrywali w broń i pieniądze Rosjanie, drugich Reagan; świat z wyjątkiem Stanów, Wielkiej Brytanii oraz Izraela nie uznał Tymczasowego Rządu Zgody Narodowej, a Mitterand kazał Nobliście opuścić terytorium Francji. Przeniósł się więc do Londynu i stamtąd odbył telewizyjną debatę z Danielem Ortega; debatowali jak poeta z poetą^{*3}, lecz gdy przyszło do polityki, wódz sandinistów wszystkiego się wyparł. Fakt, ocalił bratni kraj przed faszystowskim reaganowskim puczem, ale zaraz potem wycofał swoje siły. A pogłoski o rzekomo stacjonujących w Republice stu tysiącach nikaraguańskich żołnierzy to nic innego tylko propaganda CIA.

³ Daniel Ortega, lewicowy dyktator Nikaragui i późniejszy prezydent, próbował swych sił również w poezji.

W GRUDNIU NA ISLA DE LAS ROCAS DOTARŁA ELEONORA.

- Miałaś rację, Syrius, to ja się myliłam - powiedziała, gdy adiutant, były bandyta z Santa Inez, zwany Wujem, wprowadził ją do kwatery męża. - Wierzyłam, że służę dobrej sprawie, ale komuniści zamienili ten kraj w piekło. Czy wiesz, że od września wszystko jest na kartki, nawet kawa i cukier? A sklepy puste. I do tego godzina policyjna, a w kinach tylko radzieckie filmy.

Przerwała i rzuciła mu się na szyję, bo właśnie wyszedł Wuj, zostawiając ich samych.

- Syrius, Syrius, jak ja za tobą tęskniłam... - szeptała, podciągając mu bluzę moro i całując po piersiach.

Wkrótce przyszły Święta Bożego Narodzenia, najszcześniejsze w życiu Syriusa, spędzone z kobietą, którą nagle odzyskał, gdyż z miłości do niego odważyła się zbiec z okupowanej Republiki, omijając kordony wojska i policji; z narażeniem życia przepełnęła na wyspę wynajętym kutrem rybackim, choć morze roilo się od nikaraguańskich kanonierek.

A PO ŚWIĘTACH ZACZEŁY SIĘ CIĘŻKIE WALKI,

były dwie próby inwazji, podczas drugiej Syrius dostał w głowę odłamkiem granatu i zginąłby, gdyby Wuj, mimo ostrzału nieprzyjacielskich moździerzy i ceka- emów, nie zaniósł go na rękach do polowego szpitala. Eleonora bez chwili snu dwie doby czuwała przy jego łóżku, aż wreszcie Syrius odzyskał przytom-

ność; jakby zwyczajnie się budząc, uśmiechnął się do niej i pogładził po twarzy.

- Nie martw się, maleńka. Złego diabli nie wezmą.

A ona natychmiast podzieliła się z nim radosną nowiną.

- Wiesz, że sandiniści się wycofują.

- Dostali w dupę, to co mają robić?

- To też. Ale najważniejsze, że ten nowy sowiecki przywódca, ten, no jak mu tam...

-Gorbaczow.

- ... nie chce ich już popierać. I dogadał się z Reaganem. Mówi się, że będzie konferencja pokojowa.

Ale nie było żadnej konferencji: w 24 godziny po tym, jak ostatni nikaraguański żołnierz opuścił Republikę, komunistyczny reżim runął niczym domek z kart; Francesco Alvaro, któremu Ortega odmówił azylu, zbiegł na Kubę, a do Puerto przyleciał z Londynu Noblista, by tymczasowo, do rozpisania wyborów, pełnić urząd. Po latach prawicowej i lewicowej dyktatury kraj wreszcie wychodził na prostą, panowała ogólna radość, powracających z Isla de las Rocas witały w porcie w Cordobie niezliczone tłumy, „dziękujemy, dziękujemy!” wołano do schodzących z barrek Leopardos i rzucano im kwiaty, a komentatorzy polityczni natychmiast zaczęli mówić o partii powietrzno- desantowej, która z pewnością zdobędzie większość w nowym parlamencie.

- Co wolisz: sprawy wewnętrzne czy sprawiedliwość? - spytał Negrido Syriusa dzień przed powrotem na kontynent; przechadzali się wzdłuż ufortyfikowanego urwiska, z którego przez wiele miesięcy desperackim ogniem powstrzymywali stutysięczną armię wroga, i nieco chwiejny mieli krok pan generał i pan pułkownik, bo przed godziną prezydent-Noblista obu ich awansował, jakże więc mogli tego nie uczcić? co im tam, że był akurat Wielki Piątek i post.

Syrius jednak myślał trzeźwo.

- Jeszcze moment - odrzekł przyjacielowi - jeszcze nie wszystkie sprawy są załatwione.

MÓWIĄC TO, MIAŁ NA MYŚLI SANTA INEZ,

wysepkę na skraju Golfo Dulce, między Isla de las Rocas a Panamą, na której przed czternastu laty obaj walczyli, zdobywali zamek i brali do niewoli generała. Niespełna czterdzieści kilometrów kwadratowych, piętnaście tysięcy mieszkańców, utrzymujących się głównie z rybołówstwa, turystyki oraz niewielkich złóż siarki, jedno w zasadzie miasteczko, Granada del Mar - można było w tym całym ferworze zapomnieć o takim drobiazgu. Lecz w oddziale Syriusa służyło aż trzech ludzi stamtąd: marynarz Maximo, były policjant Pablo Medina, no i Wuj, były bandzior, przed wojną trzy razy aresztowany przez Medinę. I z ich relacji Syrius wiedział, że wysepką rządzi teraz półświatek, banda kryminalistów, co z dnia na dzień ogłosili się rewolucjonistami, a

nawet ponadawali sobie ksywy w rodzaju „Lenin”, „Marks” albo „Fidel”.

- Haracze ściągają pięć razy większe niż ja w najlepszych czasach - oburzał się Wuj - a jeszcze gwałcą dziewczyny, czego swoim chłopakom surowo zabraniałem.

„Wielkanoc spędzę na Santa Inez” - zadepeszował Syrius do Eleonory, która już przed tygodniem wróciła do Puerto i z wyęsknieniem czekała na męża - „mam nadzieję, że to ostatnie Święta poza domem”, po czym zebrał ochotników i w sobotę rano w sile baonu wylądowali od zachodu, na plaży pod klifem; wedle wiedzy Wuja nieopodal, w odebranej właścicielom nadmorskiej hacjendzie, rezydował niejaki Sergio Morales, dawniej sutener, a od roku komunistyczny watażka. „Mało brakło, a bym mu kosę ożenił, honornie mówię, eł comandante, ledwie mnie odciągnęli od śmiecia”, lecz przemilczał, że poszło o pieniądze, wspólnie zrabowane w kantorze Western Union; a kiedy cała ich starszyzna wzięła stronę przeciwnika, Wuj ciężko obrażony przepłynął motorówką na Isla de las Rocas i wstąpił do powstańczej armii.

Syrius rozdzielił oddział: część pod wodzą Maxima posłał na hacjendę, sam zaś z dwudziestoma Indianami ruszył przecinającym klif wąwozem - trzeba trafu, że Morales, niczego nie przeczuwając, właśnie tam zażywał konnej przejażdżki na białym arabie.

Otoczyli go, zwlekli z siodła, rzucili twarzą do ziemi. Na swą zgubę miał przy sobie czerwoną, partyjną legitymację. Z ręcznym dopiskiem: sekretarz do spraw bezpieczeństwa.

Syrius obejrzał konia, również komuś zagrabionego i dostrzegł na bokach rany od palcata.

- Nawet dla zwierząt nie miałeś litości - rzekł do Moralesa, który zdążył już ze strachu zsikać się w bryczesy. - Nic, świat bez ciebie będzie odrobinę lepszy - i strzelił mu z glocka w potylicę.

A potem przez dwie doby te słowa były jego mantrą, niezmiennie wypowiedaną, kiedy w ten sam sposób zabijał następnych i następnych, aż w końcu stracił rachubę, ale mieszkańcy Santa Inez z ulgą i radością doliczyli się pięćdziesięciu trzech. Nie dla efektu to mówił, jak jakaś postać kreowana przez Eastwooda lub Bronsona, lecz by przekonać własne sumienie.

GDY PRZYBYŁ NA HACJENDĘ, JUŻ TAM GOSPODARZYŁ MAXIMO,

przed gankiem leżeli zastrzeleni dwaj kompani Moralesa, a między ich ciałami klęczała indiańska dziewczyna. Wieśniacy, których przywabił odgłos strzałów, stali w krąg, głośno jej złorzeczając.

- Patrzyła, jak gwałcą moją wnuczkę i śmiała się, przeklęta suka! - pomstowała stara metyska.

- Mojej żonie zerwała kolczyki! - krzyczał chłopak najwyżej dwudziestoletni i po policzkach płynęły mu łzy. - Jak hiena ogra-
biła zwłoki!

I co rusz padało z tłumu nowe oskarżenie. Syrius wiedział, że pragną, by umarła.

- Zastrzelić ją? - spytał Maximo, odbezpieczając pistolet.

Dziewczyna spojrzała na Syriusa błagalnie. Chwilę patrzyli sobie w oczy. A potem Syrius podszedł do araba, odpiął od siodła palcat i rzucił jednemu z żołnierzy.

- Rozbierzcie ją do naga i wyliczcie dwadzieścia pięć - naka-
zał.

Maximo, Wuj i jeszcze kilku błyskawicznie rozciągnęło In-
diankę na ziemi, ktoś siadł na jej nogach, ktoś inny przytrzymał
głowę i ręce, w ciszy rozległ się dźwięk rozdieranej sukienki. Sy-
rius wszedł do budynku i rozejrzał się po zdewastowanym salo-
nie. Zauważył, że nawet tapet nie oszczędzili, jak psy sikając na
ścianę. Wypalił dwa papierosy, nim ustał świst palcata i krzyk.

Lecz to nie mógł być koniec, nikt w tłumie nie chciał takiego
końca. Ani miejscowi ani żołnierze. Schodząc po stopniach gan-
ku, wyczuł duszną aurę oczekiwania.

- Wykonane - zameldował Maximo i oddał mu palcat. - To co,
teraz kulka w łeb? - spytał, spluwając przez zęby.

Syrius milczał i obojętnym wzrokiem przebiegał nagość
dziewczyny, pokreśloną szerokimi pręgami. Jej ciało przywiodło

mu na pamięć Indianki z San Pedro, które jako wyrostek wraz z innymi chłopcami podglądał kąpiące się w strumieniu. Wiedział, że gdyby nie pożar domu i wszystko co potem nastąpiło, byłby dziś mężem jednej z nich.

- Jak masz na imię? - spytał, a ona wyjęczała, że Maria Luiza.

- Mario Luizo - powiedział do niej - Nie jesteś złą dziewczyną, tylko bardzo, bardzo głupią. Wracaj do swojego pueblo, a na przyszłość nigdy nie zadawaj się z takimi mężczyznami. - Ruchem głowy wskazał dwa trupy przed gankiem.

Nie chciała wierzyć. Pomyślała że to majak, sen.

- Nie zabijecie?

A gdy potwierdził, dźwignęła się do pozycji klęczącej i okrywając się strzępami sukienki, na kolanach ruszyła ku jego nogom.

- El comandante! Będę się za pana codziennie modliła! Przyśięgam! - powtarzała ze łzami w oczach.

Chcąc ją powstrzymać, wysunął rękę z palcatem, a wtedy, zamiast do stóp wybawcy, przywarła ustami do bicia.

Rok później dostał od niej list. „Tak jak Pan mi kazał, Stronię od złych chłopów, a za mąż poszłam za Miguela, co ma szczerolote serce. Nie miałam śmiałości prosić Pana na chrzestnego, ale pierworodnemu dałam imię Syrius.”

Lecz wtenczas, podobnie jak ona, był już winnym punkcie życia; zupełnie innym, niż w tamte Święta Wielkanocne, kiedy przeczesywał ze swoim oddziałem Santa Inez, wyłapując i zabijając kolejnych bandytów, by na koniec wkroczyć do Grenada del Mar i - zwieńczyć dzieło wyzwolenia wielkim wiecem na Placu Zamkowym.

- Szefem policji będzie od dziś Pablo Medina - oznajmił, gdy tłum przestał wreszcie wiwatować. - A gubernatora sami wybierzcie, jesteście przecież okręgiem autonomicznym.

No to wybrali - Augusto Lopeza, jowialnego dyrektora gimnazjum, który cały okres komuny spędził jako więzień w Atalaya Roja, czyli zamkowej baszcie.

WIĘCEJ NIE BYŁ WSTANIE DLA NICH ZROBIĆ.
W POCZUCIU SPEŁNIONEGO OBOWIĄZKU WRÓCIŁ
NA KONTYNENT,

gdzie media już sławiły jego czyny, nazywając zbawcą Santa Inez; Eleonora ustroiła ich dwupoziomowy apartament kwiatami i natychmiast, ledwie tylko Syrius przekroczył próg, zaczęła się z nim kochać.

- Naciśniesz na Negrido - wyszeptała w antrakcie - I nie pozwolisz, żeby ci się wykręcił sianem. Musisz dostać tekę, rozumiesz, musisz!

A kiedy ponownie stali się jednym ciałem, a co za tym idzie jednym, obojnaczym kandydatem na ministra, zadzwieczył przy łóżku telefon i Eleonora wysunęła się z objęć męża, by odebrać.

- Cześć, Diego. Tak, już wrócił.

Z płonącymi oczami oddała mu słuchawkę i przytulona, policzek przy policzku, starała się nie uronić ani sylaby z rozmowy. A Negrido zaprosił Syriusa do ministerstwa spraw wewnętrznych, którym od wczoraj kierował.

- *Brown girl in the ring* - nuciła Eleonora, szczęśliwa, jakby nagle ubyło jej dziesięć lat.

Tańczyła, kręcąc ponętne biodrami, co bynajmniej nie przeszkadzało dłoniom w zawiązywaniu na szyi Syriusa czarnego, jedwabnego krawata od Christiana Diora; taki onegdaj wybrała w galerii na Avenida de Panamerica, a gdy teraz ozdobił mężowski tors, w jej oczach wydawał się wstęgą orderu za odwagę, którym, jako jednoosobowa zakochana kapituła, uhonorowała swojego rycerza.

Lecz rozmowa w ministerstwie nie dotyczyła rządowego stanowiska. Negrido miał na biurku jakieś dokumenty. Podsunął je Syriusowi.

- Wahalem się, czy ci to pokazywać, ale chyba będzie lepiej, jeśli poznasz prawdę.

Syrius przeczytał po czym wyszedł bez słowa. I nikt nie wie, gdzie był przez dwa miesiące.

A POTE M ZNÓW ODWIEDZIŁ NEGRIDO,

w jego gabinecie pięknie teraz odnowionym, podobnie jak sam minister, który mundur komandosa zastąpił garniturem od

Saint-Laurenta, a na nos włożył okulary w złotej oprawce, nadające mu wygląd nieledwie intelektualisty, a przy tym człowieka sukcesu, za jakiego w istocie miał prawo się uważać, szefując najsilniejszej partii w parlamencie i, co ważniejsze, trzymając w ręku policję oraz służby specjalne; był zatem ostry kontrast, gdy po drugiej stronie biurka usiadł człowiek przegrany, o chorobliwie błyszczących oczach i twarzy obrzękłej od wódki, bo znieczulał się nią przez sześćdziesiąt dni; i dopiero tego ranka wytrzeźwiał, ogolił się drżącą ręką, lecz mimo to kiedy wysiadł z taksówki na podjeździe ministerstwa, nie spodobał się ochronie, a że w dodatku nie miał przy sobie dokumentów, mało brakło, a zostałby potraktowany jak pijak, na szczęście jeden z oficerów go rozpoznał.

- Całe lata nie miałem nic, więc teraz po prostu wróciłem do punktu wyjścia - powiedział Syrius cichym matowym głosem, a potem podniósł wzrok na swego towarzysza broni i jedyne przyjaciela, któremu jeszcze ufał. - Ale wiem, że ty możesz mi dać coś na własność.

- Jakąś nieruchomość? - spytał Negrido, zadowolony, że nie chodzi o stanowisko, bo wszystkie już rozdzielił między kumpli.

- Nie! Chcę mieć Santa Inez. Mój skrawek ziemi, gdzie ludzie mnie kochają i szanują.

- Nie rozumiem: jak to na własność? To znaczy, chcesz zostać gubernatorem, tak? Tylko widzisz, to trochę skomplikowane, bo oni mają autonomię, więc cię nie mogę ot tak po prostu miano-

wać. - Gubernatorów formalnie mianował prezydent, lecz Negrido, jego szara eminencja, posłużył się skrótem myślowym. - No, ale po tym, co dla nich zrobiłeś, gdybyś zgłosił swoją kandydaturę... Kiedy są u nich wybory?

Lecz Syriusa to nie interesowało.

- Jestem prawnikiem, Diego. Krótco przed wojną zdałem egzamin sędziowski. A na Santa Inez potrzebują sędziego.

Nazajutrz prezydent-noblista podpisał mu nominację.

W GRANADA DEL MAR POWTÓRNIIE WITAŁY SYRIUSA
TŁUMY,

i znów, jak na tamtym pamiętnym wiecu, skandowano jego imię, a potem gubernator i szef policji z honorami wprowadzili go do gmachu sądu.

- Co ten Indianin tu robi? - pomyślał, widząc swe odbicie w wielkim lustrze powtarzającym późnorenesansowy hol; siedł między poczciwym Lopezem a zawadiackim Mediną, których wyniósł na tutejszyszczyt i chciał zostawić samych sobie, bo w stolicy czekały go własne, znacznie wyższe szczyty a przede wszystkim Eleonora; nie dałby wiary, gdyby ktoś powiedział mu wtedy, że tu wróci, lecz tak właśnie się stało - jest w Granada del Mai* na Santa Inez, lustro to potwierdza, idzie przez hol, wstępuje na marmurowe schody.

Miał trzydzieści trzy lata i oto zaczynał zupełnie nowy rozdział życia. I musiał napisać go sam.

KRÓTKO POTEW WJEGO GABINECIE NAD SALĄ
ROZPRAW ZJAWIŁ SIĘ WUJ.

Był w garniturze od Versace, a na palcach miał pierścienie z diamentami. W ten największy dwa miesiące temu kazał się całować wszystkim niedobitkom, których Syrius oszczędził albo nie zdołał schwytać; stał przed knajpą, żeby cała dzielnica mogła widzieć jak przyjmuje hołd i puchł z dumy, że jako jedyny postawił na dobrego konia, służył pod rozkazami właściwych dowódców i strzelał do właściwych wrogów, dzięki czemu nie leży teraz w piachu razem z tamtymi pięćdziesięcioma trzema, lecz - jest bossem!

- Dziwnie się porobiło, el comandante - powiedział, siadając na krześle z czasów wicekróla. Nowy sędzia zajmował podobne, a dzieliło ich równie zabytkowe biurko. - Wczoraj towarzysze broni, a dziś po dwóch stronach barykady.

- Nie da się ukryć - odrzekł Syrius, wyciągając z szuflady pierśiówkę rumu; już wcześniej ją odkrył, ale nie chciał pić sam, czekał na pierwszego gościa, trafnie odgadując, kto nim będzie, a także treść rozmowy i głównego pytania, jakie padnie; już rano rozważył na nie odpowiedź, kiedy płyną! promem i patrzył na zbliżający się zamek w Grenada del Mar, swoją przyszłą siedzibę.

- I jak to rozwiążemy? - Ton i pewne siebie spojrzenie świadczyły, że Wuj czuje się wierzycielem, przychodzącym

odebrać dług wdzięczności, zapłatę za ocalenie na polu bitwy.

A Syrius zapłaciłby uczciwie, życiem za życie, rozstrzelałby kompanów Wuja, a jemu jedynie kazał opuścić wyspę, tak by zrobił, gdyby mógł uderzyć w nich jak przed rokiem, lecz już nie miał prawa, już było po wojnie i musiał wypowiedzieć słowa, przed którymi wzdragало się serce.

Wstał i przeszedł gabinet w poszukiwaniu szklanek. Znalazł je za pluszową kotarą, w małym myśliwskim kredensie, także zapewne pamiętającym wicekróla. Zaniósł na biurko i nappełnił.

- Proponuję prosty układ, Wuju. Ja nie wnikam, co ci przywożą z Kolumbii i co z tym dalej robisz, pod warunkiem, że nie sprzedajesz miejscowym ani turystom. I punkt dwa: żadnej krwi, bo zbyt dużo już się jej polało.

Wiedział, że jest tylko sędzią okręgowym i świata nie zbawi, ani nie ocali Jankesów, zresztą oni mają CIA, FBI i miliardy dolarów w budżecie na policję, więc niech się sami bronią, a on bronić musi maleńkiej Santa Inez, wszelkimi środkami, taka jego rola i dlatego nie zamknie kartelom szlaku.

- Stoi - huknął Wuj i błyskając pierścieniami, wyciągnął do Syriusa rękę. - A morderców osobiście doprowadzę przed pana oblicze.

Syrius uścisnął prawicę Wuja. A potem wypili za stare i nowe czasy.

JEGO POGLĄDY NA WINĘ I KARĘ UKSZTAŁTOWAŁY SIĘ W DZIECIŃSTWIE,

w rodzinnym San Pedro, skąd do najbliższej instytucji reprezentującej prawo Republiki, czyli komisariatu Policji w Ciudad del Toro, było czterdzieści kilometrów z hakiem, i to przez trzy góry i dwie rwące rzeki, do sądu zaś ponad dwukrotnie dalej, bo on znajdował się dopiero na wybrzeżu, w Sacramento i chociaż na papierze podlegała mu cała Isla de las Rocas, w rzeczywistości jego jurysdykcja kończyła się wraz z nadmorską równiną u stóp pierwszych skał Sierra Blanca; za nimi funkcjonowała już tylko sprawiedliwość ludowa, czyli prawo doraźnie stanowione i egzekwowane przez wioskowe starszyzny, lub niekiedy - bardziej demokratycznie - przez całe wsie, a wtenczas wszyscy od starców po wyrostków stawali się sędziami i prokuratorami; w roli obrońcy rzadko kto występował, katem zaś chciał być każdy. Bo też i nie patyczkowano się z przestępcami: za kradzież były kije, za morderstwo i gwałt kara śmierci wykonywana starym, jeszcze azteckim sposobem, przez strącenie ze skały. Oficjalna władza, ma się rozumieć, nie była o procesie i wyroku powiadamiana, bo jak? przez kogo? skoro pierwszy telefon w Sierra Blanca zadzwieczał dopiero pod koniec XX wieku, a zresztą nawet gdyby były tam telefony, radiostacje, faksy i wszelkie najnowocześniejsze środki łączności i tak nie przerwałyby zmowy milczenia, od stuleci murem chroniącej tych ludzi przed obcymi.

Miał siedem lat, gdy pierwszy raz wystąpił w roli sędziego i wydał wyrok, choć był zbyt mały, by zrozumieć, o co oskarżają

Złego Człowieka; matka powiedziała mu, że bardzo skrzywdził Marikę, córeczkę sąsiadów, która jeszcze przedwczoraj razem z Syriusem i innymi dziećmi biegała po stokach doliny, a potem wieczorem jej dziadek, stary Matheo znalazł ją w zaroślach, nieprzytomną i zakrwawioną, i zaniósł do chaty, położonej obok domu Syriusa, więc całą noc słyszał płacz jej matki i sióstr. Naza jutrz Marikę pochowano na przełęczy pod Monte Negro, gdzie był cmentarz i kaplica, a mszę za jej duszę odprawił ksiądz Stefano, łagodny zazwyczaj i dobroduszny, lecz tego dnia jego twarz płonęła gniewem, a starcze, wyblakłe oczy patrzyły nienawistnie a zarazem jakby przelęknione i zdziwione tym, że w spokojnej, górskiej parafii, którą od pięćdziesięciu lat objeżdżał na osiołku, jakiś człowiek, zapewne jeden z wiernych, nagle zamienił się w bestię.

- Niech ten, kto dopuścił się tak potwornego czynu, zostanie szybko pojmany, byśmy mogli mu sprawiedliwie odpłacić... Ciebie prosimy...

- Wysłuchaj nas, Panie! - odpowiedziało pięćset głosów, cała bowiem wieś zebrała się wtedy na nabożeństwie.

A w tym samym czasie, w głębi doliny, Zły Człowiek pił teą-
ilę i chełpił się swoim Uczynkiem przed ojcem i braćmi, co także
byli źli, lecz nie aż tak jak on, więc kiedy usnął związali go i przy-
troczonego do muła zawieźli do wioski, przed chatę Wodza.

- Oto mój syn wyrodny! - powiedział ojciec Złego Człowieka. - Niech przekłeta będzie godzina, w której go poczałem. Daję go wam i zróbcie z nim, co chcecie.

Po czym odszedł wraz ze swymi mniej złymi synami, a Wódz zwołał wszystkich na sąd.

- Wy, dzieci, też dziś zabierzecie głos - postanowił ku ogólnemu zdziwieniu - Kochałyście Marikę, była waszą przyjaciółką, macie więc prawo do odpłaty.

I tym sposobem mianował Syriusa jednym z pięciuset sędziów; a gdy, za kolejną, zadał mu pytanie, jaką karę Zły Człowiek winien ponieść, siedmiolatek nie spojrzał, jak inne dzieciaki, w stronę dorosłych, czekając od nich podpowiedzi, lecz sam z siebie, bez sekundy wahania odparł: zabijcie go. Albowiem to właśnie wtedy po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że śmierć każdego łajdaka czyni świat odrobinę lepszym.

Zły Człowiek, chwytając się ostatniej deski ratunku, udawał szaleńca; bełkotał coś niezrozumiale a nawet warczał i szczekał, i zamilkł dopiero, kiedy opuszczono mu spodnie, a Wódz wziął do ręki maczetę; chwilę potem rozległo się prawdziwe warczenie i szczekanie, bo wiejskie kundły pogryzły się o krwawy ochłap.

A Złego Człowieka zanesiono na szczyt skały, która jak strażnica piętrzyła się nad wsią tuż za najwyższymi położonymi chatami, a w jednej z nich mieszkał Syrius, więc przez następne trzy dni starczyło mu wyjść parę kroków za płot obejścia, by zobaczyć jak Zły Człowiek kona. Skałę obsiadły sępy, a ranę w kroczu ogromna

chmara much, zalepiając ją czarno-zielonym, połyskliwym bzy-
czącym plastrem. Umierający odzyskiwał kilkakrotnie przytom-
ność i prosił o wodę, a wtedy mężczyźni i chłopcy zbierali się nad
nim, rozpinali spodnie i, śmiejąc się, sikali mu na twarz. Sam Sy-
rius ani razu tak nie zrobił, a nawet nie włączał się w pierścień
gapiów śledzących agonię; nie potępiał jednak ludzi z wioski,
czuł siedmioletnim sercem, że mają prawo do odwetu.

A po latach, gdy już wiek i uniwersytecka wiedza pozwalały
mu snuć podobne myśli, wspominając egzekucję w San Pedro,
coraz bardziej nabierał przekonania, że obiektywna i transcen-
dentna sprawiedliwość istnieje wyłącznie na Tamtym Świecie,
albo wśród kantowskich rzeczy samych w sobie, a tu na ziemi za
sprawiedliwe uznawać trzeba to, i tylko to, co tym mianem okre-
śli dana społeczność, choćby była nią gromada niepiśmiennych
Indian, to jedyna praktyczna miara, i żadnemu sędziemu, żad-
nemu prawnikowi nie wolno jej odrzucać, jeśli chce uczciwie wy-
konywać swój zawód.

- Brrr! Co za nieprzyjemny rozdziałek. I
jeszcze to zdanie na końcu, ciężkie, zupełnie
nieliterackie. Nie pisz tak więcej, proszę.
Mnie nie interesują Twoje poglądy na prawo
karne!!!

- Biję się w piersi 😞

- W nic się nie bij, do bicia to ja tu jestem przeznaczona 😊 Let's go!

Z POCZĄTKIEM 88 ROKU DO PAŁACU SPRAWIEDLIWOŚCI WPŁYNEŁA APELACJA 17-LETNIEGO WŁAMYWACZA Z SANTA INEZ,

niejakiego Manuela Ayali, którego sędzia okręgowy Syrius Aznar skazał na publiczną karę dwudziestu batów; Sąd Najwyższy w zwykłym składzie, co potem okazało się istotne, jednogłośnie uchylił wyrok jako rażąco sprzeczny z konstytucją i kodeksem karnym Republiki. Mimo to 25 lutego na placu przed więzieniem w Granada del Mar przestępca został wychłosta- ny i - roz- pętała się taka awantura, że aż zachwiała całym państwem.

14 marca prezydent złożył w Sądzie Najwyższym wniosek o odwołanie sędziego Aznara; w odpowiedzi na jego biurko trafiła petycja podpisana przez gubernatora i 12 674 mieszkańców Santa Inez, którzy w ostrych i bynajmniej nie dyplomatycznych słowach sprzeciwili się dymisji - Aznar jest dla nas bohaterem i autorytetem i jedynie on może być naszym sędzią, jeśli przyśle- cie innego, przepędzimy go z wyspy", a na koniec bez ogródek przypomnieli prezydentowi, iż na mocy traktatu z 1973 są prowincją autonomiczną, z zagwarantowanym prawem do secesji. No i zahuczało, i to nie tylko w Republice. „Ostry kryzys polityczny w wyniku kary cielesnej, to nie prima aprilis" - napisał 1 kwietnia „Washington Post". „Kraj rozpadnie się od uderzenia batem" -

wieścił „The New York Times”; „Kogo najbardziej zabolili ta chłosta?”, zastanawiał się komentator CNN.

2 kwietnia gubernator Lopez w formie ostrzeżenia polecił na dwadzieścia cztery godziny zdjąć wszystkie flagi państwowe, a do Syriusa zatelefonował minister Negrido.

- Oj, narobiłeś bigosu, brachu. No nic, tym razem cię nie wywalimy, ale na przyszłość staraj się być bardziej oględny, okej? Nie możesz postępować jak wojskowy komendant, wojna już się skończyła. A tak w ogóle to zdrowych, wesołych...

Była bowiem Wielka Sobota, o czym z przejęcia chyba obaj zapomnieli.

- Dzięki, Diego, wzajemnie. Ale to nie ja narobiłem bigosu, tylko te dupki z Pałacu Sprawiedliwości. Czy oni naprawdę nie wiedzą, że istnieje coś takiego jak lokalna tradycja i wieloletni uzus? Za prezydentury Guzmana sąd w Granada del Mar sto trzynaście razy orzekł karę chłosty, specjalnie zajrzałem niedawno do archiwum i...

- To było w czasach dyktatury, a dzisiaj...

- Co dzisiaj? Kary cielesne są w Trynidadzie, Gujanie, Belize, ostatnio przywrócono na Jamajce. Czemu, do ciężkiej kurwy, czepiacie się Santa Inez!

- Ja się nie czepiam, Syrius, ja tylko...

- Diego, posłuchaj mojej rady, bo wiem, jak z tego wybrnąć. Orzeczenie wydał Sąd Najwyższy w zwykłym składzie, prawda?

- Nie wiem, nie jestem prawnikiem.

- Ale ja jestem. Więc teraz niech zbierze się w składzie rozszerzonym i orzeknie że zgodnie z artykułem 2 traktatu z 1973, który gwarantuje Santa Inez autonomię, również w zakresie sądownictwa, nie może odnosić do wydanych tam wyroków, choćby były sprzeczne z prawem Republiki.

- Ale wiesz, Syrius, że to pozwoli ci nawet na palenie czarownic.

- Jak spalę pierwszą, będziesz się martwić. Na razie skazałem na baty gagatka, który okradł dwoje starych ludzi z dorobku życia. Wolałbyś, żebym posłał go do Carrera?

Carrera to było więzienie na Isla de las Rocas, na wąskim cyplu po jej północnej stronie, odcięte od świata morzem i masywem nadbrzeżnej czterystumetrowej skały, w której wygoleni mężczyźni w pasiakach prymitywnymi narzędziami rąbali kamień, by potem stojąc po pas w wodzie, ładować go na barki przysyłane przez firmy budowlane z Nikaragui i Meksyku; a w tym czasie bezwłose kobiety w chustkach garbiły się nad płachtami żeglarskiego płótna, pod czujnym, złym okiem strażniczek szyjąc z niego worki i więzienne bluzy. Przychodzili i odchodzili prezydenci, zmieniały się ustroje, a w Carrera nic, żadnych nowin, tylko z roku na rok pogłębiały się korytarze kamieniołomu. Nawet (a może zwłaszcza) komuniści nie odwołali żelaznego naczelnika więzienia, osławionego majora Sancheza, zwanego Bul-

dogiem Śmierci. Jego byli podopieczni mawiali, że kto przeżył Carrera, ten nie musi się już bać piekła.

Negrido porozmawiał z prezydentem, a ten z sędziami sądu najwyższego, i choć większość z nich wyznawała postępowe, liberalne poglądy, to jednak rozumiejąc rację stanu, zebrali się w rozszerzonym składzie i wydali precedensowe orzeczenie. Nie mieli wyjścia - dwie panamskie dywizje w pełnej gotowości stały już na wybrzeżu Golfo Dulce, a Noriega*⁴ gromko zapewniał, że jeśli Santa Inez ogłosi secesję, to on i jego żołnierze nie pozwolą rządowi w Puerto zdławić jej siłą.

TERAZ NADE MNĄ JEST JUŻ TYLKO BÓG - POMYŚLAŁ SYRIUS,

czytając w swym gabinecie pismo z Pałacu Sprawiedliwości; wyjrzał przez okno na Plaza del Castillo, główny plac Granada del Mar, niegdyś dziedziniec zamku wicekróla Nowej Hiszpanii. Z grubych murów i rzędu opartych o nie budynków, tworzących pierwotnie zamknięty czworobok, zachował się jedynie narożny, dwuskrzydłowy fragment - we wschodnim mieścił się właśnie sąd, w północnym komenda policji, a pośrodku, na styku rósł w niebo ognistoczerwony korpus Atalaya Roja, potężna trzydziestometrowa baszta, w której piętnaście lat temu wziął do niewoli panamskiego generała, pamięta, że biegł za nim po schodach prawie na sam szczyt, zdumiony kondycją starszego pana; a dziś

⁴ Manuel Noriega - wojskowy dyktator Panamy w latach 1983-89, obalony w wyniku zbrojnej interwencji amerykańskiej.

posyłał do baszty przestępców, by odsiadali w niej karę aresztu, lub oczekiwali na wyrok.

Potem przeniósł spojrzenie na dwie wielkie bryły, dopełniające obrazu placu: neogotycki kościół pod wezwaniem patronki wyspy oraz - wzniesiony przez Amadora Guerrero⁵, gdy Panama pierwszy raz anektowała Santa Inez - secesyjny ratusz, z preten-sjonalnymi fasadami, reliefami o tematyce marynistycznej i zegarem co godzina z jęklwym zgrzytem rodzącym dwa aligatory; to pod ich opieką, stuzębnych mosiężnych straszydeł, urzędowała Rada Prowincji - sześciu zacnych głupców na czele z dobrodusznym Lopezem, teoretycznie władnym aktem łaski uchylać wyroki, choć Syrius doskonale wiedział, że stary pierdoła nigdy się na to nie poważy.

A między sądem, kościołem, ratuszem i policją biła w skwarne niebo okazała fontanna, chłodem swym przywabiając dziesiątki i setki mieszkańców. Staruszkowie przycupnięci na do-kołnych ławkach grali w karty i warcaby, chłopcy wrzucali do wody piszczące dziewczęta, „che sera, che sera” śpiewał do wtóru gitary uliczny grajek, niewidomy, jak Jose Feliciano, jego konkurent popisował się gadającą papugą, kobieta w czarnym, męskim kapeluszu, oblegana przez czeredę dzieciaków, rozkładała kramik ze słodyczami, grupka marynarzy raczyła się piwem.

Teraz nade mną jest tylko Bóg - powtórzył Syrius w myślach.
- A oni wszyscy mi wierzą.

⁵ Amador Guerrero (1833-1909), pierwszy prezydent Panamy.

I zrozumiał, że wziął na siebie odpowiedzialność, kto wie, czy nie większą, niż podczas wojny, kiedy dowodził pułkiem. Bo nie może tych ludzi zawieść, podeptać ich zaufania, przecież na własnej skórze przekonał się, jak to boli.

- No to prowadź mnie, moja Psia Gwiazdo - mruknął z gorzkim uśmiechem.

- I super! Dzięki! Właśnie taki mnie kręci@ Twardziel po przejściach. Krzyżówka Bronsona z Bogartem.

- Cieszę się, że Ci dogodziłem. To co? Teraz o Tobie?

- Jasne. Masz jakieś preferencje? Śmiało, nie wstydz się!

- Tak. Powinnaś być wulgarna i pochodzić z nizin społecznych.

- 😊 Wulgarna to akurat jestem. A co do pochodzenia... hm, czy ja wiem? chyba lepiej bym się czuła jako niegrzeczna panienska z dobrego domu... Ale OK, pisarzu, dla pana wszystko, zstępuję na niziny. Start!

MAM NA IMIĘ LAURA,

przyszłam na świat 14 grudnia 1975 w Granada del Mar i wychowałam się na jego zachodnim przedmieściu, czyli osławionym

Podzamczu, którego mieszkańcy tak dali się wszystkim we znaki, że nazwano ich *los reptiles*⁶; za dnia spali w swoich ruderach, by nocą – w kokainowym lub alkoholowym transie - wyruszać na żer, nachodzić domostwa Bogu ducha winnych ludzi, grabić skromny dobytek, a przy okazji dawać upust nienawiści do miejscowych, od wieków tu zakorzenionych; sami bowiem byli przybłędami, potomkami wyrzutek z całej Południowej i Środkowej Ameryki, którzy u schyłku XIX stulecia uciekali na Santa Inez przed więzieniem i stryczkiem, a potem koczując na zachodnim skraju miasta w starych hiszpańskich fortach czy po prostu pod gołym niebem, płodzili z miejscowymi kurwami syfilityczne bękartki; większość umierała w niemowlęctwie lub wczesnym dzieciństwie, lecz wystarczyło, że któryś dożył czternastu lat, a już parzył się z rówieśnicą, więc mimo ogromnej śmiertelności pienili się jak robactwo, aż wreszcie koczowisko rozrosło się do rozmiarów dzielnicy - i wtedy prezydent Guzman postanowił ich wystrzelać; już podpisał stosowny rozkaz, a generał Mendoza opracował ze sztabowcami plan o kryptonimie „Wyspa” i wyznaczył jednostki, które w najbliższą niedzielę o trzeciej w nocy miały uderzyć na Podzamcze: dwa doborowe bataliony piechoty i jeden pancerny, bo wojskowi zdawali sobie sprawę, że ci ludzie nie pójdą potulnie jak barany na rzeź, a bezbronni nie są, każdy facet ma pistolet, a nierzadko kałasznikowa, lecz do jatki nie doszło, „z dowództwa armii docierają niepokojące słuchy, jeśli to prawda, uprzedzam, panie prezydencie, że Kościół surowo ten czyn potę-

⁶ *Los reptiles* (hiszp.) - gady.

pi!", grzmiał kardynał i aż kipiało mu pod biretem, podobnie jak metr obok, pod blond koczką młodej architektki; to jej dziełem, wschodzącej gwiazdy, była katedra Wszystkich Świętych w Puerto, a teraz położyła na prezydenckim biurku projekt domku socjalnego, „lepsze lokum niż dół z wapnem, zgodzi się pan?"; no to serce Guzmana zmiękło i kazał takie pobudować, śliczne, białe, z drewna i kamienia, istne cacka, do tego stopnia mu się spodobały, że uczynił ich autorkę ministrem urbanizacji oraz nałożnicą i żyli ze sobą bodaj dziesięć lat, a w tym czasie wiecznie pijani i odurzeni *reptiles* oczywiście doszczętnie domki zdewastowali.

Tak więc za mojego dzieciństwa były to już kompletne slumsy z wielkimi dziurami w dachu i wyłamanymi framugami okien, ledwie widoczne pomiędzy krzakami zarastającymi ogródki, i dosłownie kilka jako tako się trzymało, w tym nasz na ulicy Juareza, bo mój ojciec nie był *reptil*. Ani on, ani żaden z jego braci, ani też żaden z braci mojej matki.

Przechodzili do Stanów przez meksykańską granicę, ale nie przemycali koki, tylko pracowali ciężko i uczciwie a zarobione dolary posyłali swoim żonom, zatem matka kupiła sklepik przy Juareza, a moje ciotki miały magle, butiki i zakłady fryzjerskie; nasz rodzinny klan był na Podzamczu enklawą uczciwości, której te kobiety strzegły niczym świętego ognia, w czym wspomagał je duchowo ksiądz Juan, chudy i chromy starzec, wydzielający z ust taki odór, że podczas kazań czuło się w pierwszych ławkach, gdzie siadywałam z matką i ciotkami.

Ojciec kazał mnie i siostrę uczyć angielskiego, bo marzył, że kiedyś ściągnie nas do Stanów i wyda za gringos, więc chodziłyśmy na lekcje do Marii Lopez, zezowatej sąsiadki, która przez dwadzieścia lat była kurwą na Florydzie; Juanita miała zero zdolności, ja natomiast chwyciłam w mig i już jako dziesięciolatka biegle i chyba z niezłym akcentem nawijałam. Pamiętam, że czując się przyszłą żoną jankeskiego księcia z bajki (matka bowiem nie kryła przede mną tych matrymonialnych planów), wiedzona dziecięcą ciekawością spytałam preceptorki, jak po angielsku rozmawiają ze sobą pan i pani, jeśli chcą się pobrać, a wtedy ona, raczej nie przypuszczam, by dla perwersyjnej przyjemności zgorszenia dziecka, lecz po prostu dlatego, że jej mózg był już doszczętnie przeżarty alkoholem i koką, podyktowała mi do zeszytu następujący dialog.

Ona: Co tak lukasz, koleś?

On: Bo masz super nogi.

Ona: Coś w życiu trzeba mieć proste, nie?

On: Dobrze. Bystra z ciebie dziewczynka. Takie lubię.

Potem coś tam, coś tam, coś tam w tym samym stylu i na koniec ona: „Też mnie rajcujesz, czuję, że masz niezłego kindybała”. I wzięwszy z gwinta solidny łyk zaczęła mi objaśniać znaczenie tego ostatniego wyrazu, co miało być pewnie wstępem do szerszej edukacji seksualnej, lecz ja na to wzruszyłam ramionami i krótko, lekceważąco rzuciłam: *I know it*, bo już rok wcześniej starsze koleżanki mnie uświadomiły; i tylko błędnie sądziłam, że

facet wkłada wyłącznie do buzi, no bo tak z ich opowieści wynikało.

KILKA MIESIĘCY PÓŹNIEJ DO WŁADZY DOSZLI KOMUNIŚCI

i ojciec zorganizował nam przerzut przez Meksyk, więc na początku 86-tego matka, Juanita i ja znalazłyśmy się w Miami, gdzie poszłam do amerykańskiej szkoły dla imigrantów. Policja nie czepiała się nas, bo byłyśmy politycznymi uciekinierkami, a stary pierwszy raz w życiu dostał oficjalne pozwolenie na pracę, czyli już nie musiał robić na czarno, legalnie podawał drinki w meksykańskim barze i zarabiał, jak mi się wtedy zdawało, kupę forsy. Lecz raj trwał krótko, sandinistów przegnano z kraju, a nam przestał przysługiwać status azylantów. Ojciec znów zaczął się kryć przed glinami i któregoś dnia dał matce pięć tysięcy i kazał pakować manatki. Przeplakałam histerycznie pół dnia i całą noc, bo to było tak, jakbym miała wrócić z nieba do piekła. Dziś podejrzewam, że gdyby chciał, znalazłby sposób, byśmy zostały na Florydzie, tak jak została tam ciotka Elvira, ale nie chciał, bo miał w Miami inną kobietę i obecność matki była mu zwyczajnie nie na rękę.

WIĘC W LUTYM 88 ZNÓW ZNALAZŁAM SIĘ NA PODZAMCZU,

gdzie na domu sąsiadów zobaczyłam czarną szarfę przybitą do drzwi, tak bowiem na Santa Inez wyraża się żalobę, a potem idąc ulicą Juareza zauważyłam takie same szarfy na wielu innych

drzwiach; na rogu z Zamkową spotkałam Matyldę, z którą w szkole siedziałam w jednej ławce; padłyśmy sobie w ramiona, a Matylda zaprosiła mnie na drinka do knajpy Wuja i był to pierwszy w moim życiu drink, bo dotąd z alkoholu piłam tylko lemoniadowe piwo. Opowiedziałam jej o Miami, słuchała jak bajki i obie rozplakałyśmy się nad jej smutnym końcem; spytałam, co u niej, a ona rzeczowo odparła, że na razie nic, obja się, ale za dwa lata Don Carlos da jej robotę, i klęła, że musi tyle czekać, a wszystko przez nowego sędziego, który nie pozwolił zatrudniać w burdelu dziewczyn przed piętnastką, „niech go syfilis przeżre od mordy do dupy”, przekłętogo Syriusa Aznara, co jeszcze nim został sędzią, „na ostatnią Wielkanoc wpadł tu z bandą Indiańców i jak do psów strzelał do naszych, widziałaś, Laura, te kiry na drzwiach, co nie? a mojego ojca kazał bić batem, do krwi, rozumiesz? za jakieś radio, że podobno wyniósł z domu jednego profesorka, a on go przecież, kurwa, nie ukradł, tylko legalnie zabrał, bo pracował w tej nowej rewolucyjnej policji, oj, Laura, żebyś ty wiedziała, jak za komuny było super, luz, pozwalano robić śnieg i w ogóle ludzie z Podzamcza byli królami, niepotrzebnie twoja starsza uciekała, no tak - przypomniało się nagle Matyldzie - ale wy nie jesteście *reptiles*.”

Bo nie byliśmy. Już mówiłam, że tworzyliśmy na Podzamczu enklawę uczciwości, przyzwoitości, skromności i wszelkich innych cnót, które matka wlewała we mnie od dziecka jak gorzkie, ohydne lekarstwo. A po powrocie ze Stanów posłała mnie do szkoły w centrum miasta, gdzie uczyły się dzieci rybaków i in-

nych zacnych obywateli; oczywiście natychmiast się zwiedziały, skąd jestem i traktowały mnie jak trędowatą, więc z nikim z klasy się nie zaprzyjaźniłam, i z wytęsknieniem czekałam na ostatni dzwonek, by brukowaną kocimi łbami Zamkową zbiec na dół, do Matyldy, która już od południa siedziała w barze Wuja, albo Don Alexandra, piłam z nią drinka i żułyśmy liście, zupełnie jak Indianki z dżungli, bo czystą koką nie dilowano, czysta szła tylko na eksport, do Stanów przez Meksyk, tak zarządził Wuj i nie było dyskusji; po roku poczułam, że coś ze mną nie halo - pocę się, serce gubi rytm, i to trwa aż do spotkania z Matyldą, łykam tequila i ustępuje, żuję liścia i jest super, tak super, jak powinno być zawsze, w każdej sekundzie życia, i gdyby dało radę utrzymać ten błogostan non-stop, nie musiałabym nigdzie ruszać stąd tyłka i wychodzić za gringo, bo miałabym szczęście na miejscu.

Zresztą na Santa Inez zaczynało być OK, w Granada zbudowano nad morzem kompleks luksusowych hoteli zwany Long Wave, a w głębi wyspy drugi, w Bosque de los Santos, tak to się od niedawna nazywało - Gaj Świętych, a przecież za mojego dzieciństwa był to zwykły sobie palmowy las, w którym chłopaki z Podzamcza pukali panienki; a teraz zjeżdżali się tam w luksusowych furach Jankesi, Japońce i Europejczycy, a także krajowi bogacze, bo po wojnie podobno mieliśmy gospodarczy boom, tak mówili w telewizji; więc żeby przyjrzeć się z bliska wielkiemu światu, a przy okazji nie pocić i nie męczyć się z klekotem serca, coraz częściej urywałam się z lekcji, aż wreszcie w ogóle przestałam chodzić do szkoły, bo, sorry, ale na jaki chuj dziewczynie z

Podzamcza matura, skoro i tak po skończonej podstawówce byłam najbardziej wyedukowana w całej dzielnicy, co? na uniwersytet pójdę? wiadomo, że nie, bo kto by pomagał matce w sklepie?

- I co? Smakowite nizinki? Poczekaj, będą jeszcze niższe. Zaraz zakwiczysz ze szczęścia 😊

WŁAŚNIE SKOŃCZYŁAM PIĘTNAŚCIE LAT, KIEDY MATYLDA POWIEDZIAŁA MI, ŻE PODOBAM SIĘ MASSENIE,

wiedziałam, że nie jemu pierwszemu; miałam niezłe cycki, długie nogi i ładniusią buzię, więc co tylko wyszłam na ulicę, zaraz trafiali się jacyś kolesie i bajerowali. Ale z żadnym nie wsia-
dłam do samochodu ani nie poszłam do starych fortów, co by-
najmniej nie znaczy, że postanowiłam być cnotliwa, wprost prze-
ciwnie - przebywając co dzień w towarzystwie Matyldy, łą-
żąc z nią do knajpy Wuja i do dyskotek, które wtedy powstały na Zam-
kowej, chciałam tak samo jak ona na totalnym luzie traktować
seks; i to wcale nie dlatego, że swędziała mnie cipka, bo nie mam
wielkiego temperamentu, najlepszy dowód, że pierwszy orgazm
przeżyłam dopiero w wieku dwudziestu czterech lat, lecz - na
złość matce, tak jest: na złość matce, ciotkom i śmierdzącemu
księdzu Juanowi gotowa byłam oddać się całemu miastu,
wszystkim facetom z Juareza, Zamkowej i Avenida de la Repu-
blica; ale oni tak się do tego ślinili, że czułam wstręt, czego Ma-
tylda nie potrafiła zrozumieć, bo lubiła spoconych, napalonych, z
fiutem rozsadzającym dzinsy, którzy dysząc z podniecenia kazali

sobie tam gmerać, i Matyllda gmerała, a ja mówiłam: sam se zrób, przez co niejeden raz wracałam z dyskoteki z podbitym okiem, ale i tak czułam się górá.

Lecz Barnaba Bibi Massena to był zawodnik z zupełnie innej półki. Choć miał wszystkiego dwadzieścia lat, siadywał już przy stoliku z samym Wujem, a ten częstował go piwem, a podobno nawet zapraszał czasem do siebie, do domu na Avenida de las Palmeras, przed którym pełniły wartę dwa kamienne lwy, i tam Bibi wraz z grupą wybrańców wachał prawdziwy towar; jak już się z nim bzykniesz, to go poproś o dwie działki, niuchniemy sobie razem" - powiedziała Matyllda tego dnia, kiedy mi przekazała, że o dziesiątej trzydzięci wieczorem mam czekać na Massenę na końcu Juareza w pobliżu fortów, więc od dziesiątej stałam na posterunku, w dżinsowej sukience, kupionej jeszcze na Florydzie dla mojej siostry, a on nadjechał i wyłonił się z auta niczym anioł, bo wszystkie ciuchy miał białe i w dodatku tlenił sobie dredy; wielki Bibi, podający się za potomka samego Andre Masseny^{*7}, gdyż, jak wmawiał kumplom i dziewczynom, a zwłaszcza dziewczynom, jeden z wnuków marszałka miał niefart trafić do kolonii karnej w Gujanie Francuskiej, skąd uciekł na Santa Inez; bez słowa powitania, jak swoją, wziął za rękę i zaprowadził tam, gdzie bruk się urywał a ulica przechodziła w wąską porośłą krzakami ścieżkę, biegnącą pod starym walem obronnym.

⁷ Andre Massena (1758-1817) - jeden z najwybitniejszych wodzów armii Napoleona, marszałek Cesarstwa Francuskiego.

A potem gestem, jakby otwierał drzwi, by mnie w nich przepuścić, rozgarnął zarośla i weszliśmy do wnętrza fortu; było tak ciemno, że nic nie widziałam, i jedynie czułam wilgotny piwniczny zapach, w który po chwili, kiedy już uklęknęłam, wdarł się inny, mocniejszy - mdły aromat cytrynowego mydła, bo Bibi, to muszę mu przyznać, dbał o higienę i zawsze przed użyciem czyścił broń; nie kazał mi zdejmować sukienki, sam też tylko rozpiął spodnie, a ja walcząc z bólem zadawanym moim kolanom przez żwir i jakieś kolczaste rośliny, zbliżyłam twarz do cytrynowego zapachu, i w mroku, który czynił mnie całkiem ślełą, natrafiłam ustami na obłą, śliską kielbasę; wiem, gdybym była wtedy z kim innym i gdzie indziej, w ostatniej chwili cofnęłabym się jeszcze, ale nade mną stał sam Barnaba Bibi Massena, a stary fort wydawał mi się jaskinią bez wyjścia i potrzaskiem, więc rozchyliłam usta, a kielbasa w zetknięciu z nimi zesztyniała, z mięsa przeistaczając się w drewno, w twardy kij, końcówką wdzierający mi się do przelyku, aż zaczęłam się dławić.

- Jedziesz, mała, jedziesz! - rozkazał Bibi, a ja pierwszy raz usłyszałam wtedy jego głos: ochryply, świszczący, przechodzący w falset, bo od dziecka miał coś nie w porządku ze strunami.

Czułam, jak wkurwia go moja bezradność, i ze strachu do reszty się pogubiłam, to już koniec, pomyślałam, kiedy mocno, boleśnie schwycił mnie za włosy nad uszami, doigrałam się, skrećci mi kark, przecież na Podzamczu mówi się, że ma nierówno pod sufitem, lecz on tylko zaczął kiwać moją głową, w przód i w tył, w przód i w tył, jakby zmuszał do coraz szybszego potakiwania.

- Super! Super! - chrypiał rytmicznie, aż nagle głos mu się urwał, utkwiał w gardle, tak jak mnie jego kutas, który w tym momencie, zadygotał w konwulsjach i wyzionął ohydneho kleistego ducha.

Bibi śmiał się, że pluję, lecz potem, już przed fortem, kiedy wyrzygałam, niespodziewanie stał się opiekuńczy i objąwszy mnie, zaczął tłumaczyć, że z tym jest jak z fajkami, po pierwszej haftujesz, a po tygodniu już nie możesz żyć bez szluga, co nie? I zaproponował, że jutro spotkamy się tu o tej samej porze, on przyprowadzi swojego brata, Carla oraz Josego i Estebana, a ja, żeby było mi różniej, mogę przyjść z Matyldą.

- Dobrze, ale będę to robiła tylko tobie i tylko ja, a Matylda może zrzucić z krzyża twojemu bratu i kumplom, sto metrów od nas, skumałeś, Bibi Massena?

Czasem mówię coś, jakieś słowa, które dla mnie samej są niespodzianką, zupełnie, jakby w czyjejs innej głowie się ulęły, i dopiero, kiedy je wypowiem, dociera do mnie, że właśnie głośno wyraziłam i nazwałam po imieniu swe pragnienia. I tak samo było z tym, co usłyszał teraz Bibi, więc oboje staliśmy zaskoczeni, patrząc sobie w oczy, a potem jego chudą twarz wykrzywił sardoniczny grymas, a wąskie ramiona poruszyły się wzgardliwie.

I oddalił się mój anioł do swego starego passata i krzesząc resztki sil ze sfatygowanego silnika, ruszył z piskiem opon, a ja piechotą wróciłam do siebie, gdzie matka już w progu dała mi w twarz za włączenie się po nocy nie wiadomo z kim.

DWA DNI PÓŹNIEJ, KIEDY WRACAŁAM Z MATYLDĄ Z KINA,

Bibi stał przed budką z hot dogami na Avenida de la República i gwizdnął na mnie na palcach; ani się w jego stronę spojrzałam, lecz wtedy pobiegł za nami, dogonił przed barem Don Alexandra, Matyldzie kazał spadać, a mnie siłą wciągnął do środka. Siedliśmy przy stoliku w głębi, Alexandro, który był jego kuzynem natychmiast podał dwa drinki na wermucie, Bibi obracając w dłoni szklankę, powiedział, że przemyślał sprawę i - chce ze mną chodzić, i spytał, czy się zgadzam, a ja, że czemu nie, można spróbować.

Nazajutrz znów spotkaliśmy się w forcie, lecz tym razem Bibi wziął ze sobą pled, na którym odebrał mi dziewictwo, i to nie było aż tak wstrętne jak tamto pierwsze przeżycie, lecz żadne, ani plus ani minus; wracając do domu, czułam, że coś mnie z Masseną łączy, ale ta więź na pewno nie jest źródłem rozkoszy, o jakiej czytałam w romansach, bo moja siostra Juanita masowo je kupowała, więc czasem, gdy się bardzo nudziłam, brałam któryś do ręki. Natomiast ogromną radość sprawiła mi rozpacz matki, jej płacz, szloch, zwierzęce wycie, że zadaję się z bandytą; cholernie jej wtedy nienawidziłam, przekonana, że to przez nią, przez to, że nie umiała dość sprytnie pograć z ojcem, musiałyśmy opuścić Florydę; była dla mnie ofiarą losu, nieszczęsną, niechcianą przez faceta wywloką, a ja takimi kobietami pogardzałam i sama zaprojektowałam się zupełnie inaczej: chciałam być silna, przebiegła i bezwzględna u boku Bibi Masseny.

PIERWSZYMI OFIARAMI BYLI DWAJ STUDENCI,

Juan i Mario z Politechniki w Cordobie, synowie jakichś dawnych drobnych kupców, rzemieślników albo urzędasów, którzy w okresie boomu stali się bogatymi biznesmenami, więc ich synalkowie mieli odpowiednie kieszonkowe, by imprezować na dyskotekach Long Wave. Przyłąnęli z rana promem razem z BMW Juana, a raczej jego starego, a wieczorem o dwudziestej podjechali nim pod Carmazine Club, i weszli do środka, w jasnych spodniach i koszulkach, w komplecie od Hugo Bossa, odprowadzani łakomym wzrokiem Matyldy i innych kurewek z Podzamcza, których ochroniarze oczywiście nie wpuszczali, tylko ja mogłam wejść, bo nawijałam po angielsku i udawałam Amerykankę.

- Są twoi - powiedział Bibi, a Esteban i Carlos śmiali się, że nic z tego, bo to pedały.

- Się sprawdzi - uciełam i przeszłam przez ochronę. W krótkim, białym topie i dżinsowych szortach, więc wszyscy faceci od razu ostrzelali mnie spojrzeniami. Wzięłam whisky and cola i wyciągnęłam się na niskim skórzanym fotelu z dala od baru i parkietu, nogę przerzuciłam przez boczne oparcie i sączyłam drinka, poruszając leniwie stopą; wielobarwne błyski stroboskopu oświetlały mnie i eksponowały w rytm samby, a ja przegięłam szyję, odgarniając w tył włosy, które miałam wtedy do połowy pleców, naturalnie ciemne i tylko trochę jasnych pasemek zrobiła mi rano fryzjerka z hotelu Volcano; umiliłam jej pracę opowieścią o rodzinnym Dallas i szklanym stupiętrowym biurowcu, na-

leżącym do mojego starego, aż biedna laska nie wytrzymała i westchnęła: - Boże, jakbym chciała tam kiedyś pojechać - po czym przyjęła ode mnie podróżny czek, sama nie wiem, skąd Bibi takie kombinował, ale mieliśmy ich na kopy i, o dziwo, zawsze w Long Wave przechodziły, choć oczywiście były bez pokrycia.

Podłazili kolejni faceci, proponując drinka, więc z perlistym uśmiechem pokazywałam swój i dziękowałam, jakiś gringo chciał się przysiąść, lecz mu grzecznie wytłumaczyłam, że czekam na przyjaciela, bo choć dopiero debiutowałam, czułam instynktownie, że w tej robocie nie wolno się rozdrabniać i zdawać na przypadek, jeśli jest konkretny cel, a tych dwóch frajerów upatrzyliśmy sobie już o trzynastej, jak wyjeżdżali z parkingu przed hotelem.

Siedzieli teraz przy barze, pijąc piwo, a mnie nic mądrego nie przychodziło do głowy, bo gdyby był jeden, to bez problemu, wiedziałabym jak grać, ale było dwóch i weź tu rozdziel tandem, a co gorsza wcale nie miałam pewności, który jest właścicielem auta.

Okolo północy podeszłam do baru, poprosiłam o następnego drinka i mentolowe salemy; patrząc z bliska, zauważyłam, że loczki blondynka są farbowane a jego oczy z długimi zakręconymi rzęsami zupełnie dziewczęce i przestraszyłam się, że chłopaki mogli mieć rację - ten drugi, wyższy i lepiej zbudowany pewnie faktycznie go posuwa. Byłam naprawdę wolna od uprzedzeń, *We are the Champions* słuchałam setki razy, aż zjechałam kasetę, i również podobał mi się Elton John, ale żeby w robocie tacy mi

się trafiali i to na samym starcie, to już, kurwa, przesada, pomyślałam i normalnie ręka mnie świerzbiła, żeby przyjechać między te śliczne oczęta.

Na szczęście przyjrzeni mi się jak typowi faceci, a potem zagadali po hiszpańsku; z gestem, który wyrażał żal, odpowiedziałam, że nie rozumiem, więc przeszli na łamaną angielszczyznę; tyle skumałam, że blondynek ma na imię Mario, a jego koleś Juan i przyjechali tu na weekend z Cordoby, gdzie studiują w Technical Institute.

- Mój ojciec jest profesorem Technical Institute w Waszyngtonie - zawołałam radośnie, po czym nagle posmutniałam i wyznałam im, że rano pożarłam się ze starym. - Spędzaliśmy razem wakacje w górach na tej wyspie obok, jak się ona nazywa?

- Isla de las Rocas - odpowiedział Mario.

- Yes, sure, Rocas, i ja chciałam iść na zabawę Indian, a on uznał, że to niebezpieczne i mnie nie puścił, więc wsiadłam na prom w Sacramento i...

- Miał rację, Indianie są źli mężczyźni, często mordercy.

- Jesteś rasistą? - spytałam z oburzeniem.

I tak dalej, i tak dalej, głównie ja nawijałam, a oni piąte przez dziesiąte z tego jarzyli; piłam drinka, udając, że strasznie na mnie działa i nagle naszły mnie wyrzuty sumienia.

- Nie mogę mu tego robić, na pewno bardzo się o mnie martwi, a jest chory na serce...

Odwodzili mnie od powrotu, buntowali przeciw ojcu, Mario zaproponował, że jeśli nie mam kasy, zapłaci za mnie hotel.

Pokazałam mu moje czeki podróżne.

- To nie starczy - powiedział Juan.

I też chciał mi dać forszę, ale byłam upartą dziewczyną i ze łzami w oczach twardo powtórzyłam:

- I must back to daddy.

A właściwie nie ja, tylko ta druga Laura, którą tamtej nocy w sobie odkryłam, inteligentniejsza ode mnie i sprytniejsza dziesięć razy, więc niech od dziś ona rządzi, pomyślałam, ona kieruje, z ufnością jej się powierzam, amen.

Wyszliśmy z Carmazine Club o trzeciej i wsiedliśmy do czarnego BMW. Wykierowałam ich na jedną z bocznych dróg i ponaśląłam Juana, żeby jechał szybciej, bo o czwartej dziesięć mam prom na Isla de las Rocas.

- To jeszcze ponad godzina - powiedział Mario; wyraźnie nie w smak mu było rozstawać się ze mną tak bez niczego, ale nie bardzo wiedział, jak to wyrazić, i nagle, gdy mijaliśmy sykomorowy zagajnik, spytał z głupia frant, czy uprawiam wolną miłość.

A potem to już był blitzkrieg - Bibi zajechał nam drogę passatem i wyskoczył wymachując czterdziestką piątką, a za nim Carlos, Jose i Esteban, którzy wyciągnęli frajerów z wozu, rzucili na glebę i skuli kajdankami.

- Nie są pedały - powiedziałam po hiszpańsku. - Ten mniejszy właśnie chciał mnie ciupciać.

Nie przypuszczałam, że to tak Massenę wkurwi, i przez moment przełękłam się, że zastrzeli chłopaka, ale on tylko zaprowadził go na pobocze, kazał klęknąć i przelożywszy rewolwer do lewej ręki, prawą rozpiął suwak spodni.

- Ssij, pedale! - usłyszałam i zaczęłam się kretyńsko chichrać, bo wydawało mi się okropnie śmieszne, że facet dopiero co myślał, że mnie puknie, a teraz sam jak dziewczyna będzie pukany w buźkę.

- No, ssij, bo zajebię! - powtórzył Bibi; Juan leżał bezradny, skamieniały z przerażenia, a Mario się poryczał.

PO NICH BYŁ AMERYKANIN Z JASZCZURKĄ,

najbardziej odrażający fizycznie mężczyzna, jakiego spotkałam w życiu, więc odpowiadając uśmiechem na spojrzenia, posyłane mi w night-barze na dwudziestym piętrze hotelu Volcano, ciągle wahałam się, czy to warte tych kilkuset baksów; niestety, był jedynym . samotnym facetem w bungalowie, inne bungalowy zajmowały rodziny; właśnie z myślą o turystach żonatych i dzieciatych wybudowano je na skraju Long Wave, trzydzieści pięć klocków ze szkła i bambusa, a w środku luksusowe meble, telewizor jak szafa i najwyższej klasy sprzęt grający, tak powiedział Esteban, którego siostra tam sprzątała, a Bibi machnął ręką, „chuj z tym całym wyposażeniem, najważniejsze, że każdy bungalow ma garaż”; bo miał i stał w nim nie byle jaki samochód,

prywatny albo należący do firmy i wynajmowany razem z domkiem.

Od Manueli, tej sprzątaczkii, dowiedzieliśmy się, że gościu codziennie śpi do południa, bo Manuela przychodziła do bungalowu około dwunastej i zawsze zastawała go w wyrze, a to znaczyło, że baluje po nocach, więc oblazłam wszystkie hotelowe nightbary, wypatrując klienta z naroślą; nasza informatorka opisała ją zdawkowo, jako dziwny i ohydny guz, dlatego normalnie szok przeżyłam, kiedy wysiadając z windy na tarasie widokowym Volcano, przez szybę baru zobaczyłam faceta, któremu z ust zwisała jaszczurka, i dopiero jak się przyjrzałam z bliska, zorientowałam się, że to właśnie ta narośl, dziesięciocentymetrowy, bordowy kabanos uczepiony między dolną wargą a podbródkiem z czterema cienkimi odnogami, wypisz wymaluj jak łapki, i zakończony spłaszczoną kulką w kształcie gadziej główki.

Lecz to go specjalnie nie szpeciło, bo czy można jeszcze bardziej zeszpecić chudą, pomarszczoną twarz, której każdy element, na czele z przekrzywionym w bok nosem, był zdeformowany i osadzony nie tam gdzie potrzeba?... no więc nie można; od takiego ryja, nawet guz, co na nim rośnie, jest ładniejszy.

Zauważyłam, że ludzie dyskretnie odwracają od niego wzrok, a zatem stolik, który zajmował przy szybie oddzielającej taras od baru, znajdował się jakby w niewidzialnym kręgu, za parawanem odrazy; i ten parawan mnie też zasłonił, kiedy usiadłam obok, żaden facet się nie spojrzał, choć byłam w swoim służbowym mundurku - dzinsowych szortach i opalaczu ledwie okrywającym cyc-

ki; czegoś podobnego jeszcze nie doświadczyłam, więc czułam się dziwnie i nieswojo, i nagle wyobraziłam sobie horror: jakieś flu-
idy, które wydziela jego narośl, płyną do mnie między stolikami,
muskają moją twarz i po chwili wykwita mi coś podobnego, i to
niejedna, tylko dziesiątki maleńkich jaszczurek, jakby dzieci tam-
tej, od brwi do podbródka wylażą ze mnie na wierzch, przegryza-
jąc skórę i mięśnie, odruchowo przejechałam dłonią po policz-
kach, serce zaczęło mi tłuc, i chyba bym uciekła z baru, gdyby nie
ta druga, inteligentniejsza Laura, której się zawierzyłam:

- Spoko, mała, to nie jest zaraźliwe!

- Jesteś pewna?

- Miliard procent. Więc wyluzuj, OK?

-OK.

- Mądra dziewczynka. Ale co tak siedzisz jak ofiara losu? No-
gę na nogę załóż. I włoski popraw, wiesz, o jaki ruch chodzi? O
widzisz, już na ciebie luknął.

Jakie to szczęście, że ją wtedy miałam przy sobie, drugą Lau-
rę, moją opiekunkę i szefową.

Faktycznie Amerykanin obrzucił mnie taksującym spojrze-
niem i prawie od razu, pewnym tonem spytał, czego chcę się na-
pić. Nie miałam wyjścia: musiałam udawać kurwę, bo wiadomo,
że żadna zwykła laska nie dosiadłaby się do niego w barze, i on
sam w taki cud by nie uwierzył, zwłaszcza, że nie sprawiał wraże-
nia przygłupa.

Nie pasowało mi to za bardzo, barman mógł później powiedzieć o mnie ochroniarzom i przestaliby mnie wpuszczać do Volcano, a gdyby fama się rozniosła, także i do innych hoteli i barów w Long Wave, albo zaczęłyby się żądania haraczu, dwadzieścia baksów plus oral, tyle kosztował kurwę bilet wstępu, a dotąd jako nastoletnia amerykańska turystka poruszałam się tu swobodnie i wolałabym, żeby tak zostało. Ale ten gościu miał w garażu w bungalowie mercedes-benz klasy S, a właśnie na taką furę Bibi otrzymał zamówienie, więc trudno - trzeba było grać dziwkę z Panamy na gościnnych występach.

No tak, łatwo powiedzieć, grać dziwkę, a ja przecież żadnej nie znałam oprócz Matyldy, która pracowała w burdelu Carlosa, i nie musiała nikogo łapać w barze, klienci sami do niej przychodzili, a warunki były wcześniej omówione z szefem, czyli całą wiedzę, jaką wyniosłam z jej opowieści, mogłam o kant dupy potłuc. No, ale od czego ta mądrzejsza Laura? Moja suflerka.

- Muszę uważać, żeby nie doczepił się jakiś opiekun, bo na razie pracuję solo, udaję amerykańską turystkę i z nikim nie działuję kasy.

Skinął głową, że rozumie problem, a jego kaprawe oczy mówiły, że mało go obchodzi. Ale tym tekstem chyba się przed nim uwiarygodniłam.

- Dlatego wyjdę sama z baru i poczekam przed hotelem. A potem będę szła za panem dyskretnie, OK?

Znów skinął głową, a jaszczurka poruszyła się jak wahadełko.

- How much? - spytał rzeczowo.

A wtedy druga Laura schwyciła mnie za rękę, szarpnęła mocno, przełamując wstręt i - moja dłoń znalazła się przy jego twarzy.

- Sto plus druga stówa za ten wisior.

I pstryknęłam w łebek jaszczurki, która podskoczyła, uderzając w krzywy kinol. Puta madre!*⁸ Jak on się roześmiał. Do końca życia nie zapomnę tego rżenia, jakby z głębi piekła, gdzie diabły ciągną do kotła masochistę, a on ryje się z nich i wiecznej męki, bo dla niego będzie przecież wieczną rozkoszą.

I ująwszy jaszczurkę w dwa palce, nie przestając się śmiać, rzekł do niej:

- Widzisz, mała, dla tej kurwy jesteś warta stówę.

Na dole obrotowe drzwi wyrzuciły mnie wprost na

Massenę, który stał przed Volcano, paląc papierosa. W Long Wave się nie znaleźliśmy, ale musiało być w mojej twarzy coś, co go zaniepokoiło, skoro, łamiąc ustalenie, spytał dyskretnie, czy wszystko OK.

- Spoko, Bibi. Tylko jaja jak berety, potem ci opowiem.

I oddaliwszy się od Masseney, czekałam na mojego klienta, patrząc w gwiazdy, które gęsto wisiały nad hotelem i przebijały się przez blask neonu. Od dziecka lubiłam nocne niebo, a nawet czę-

⁸ *Puto madre!* (hiszp.) - kurwa mać!

sto sama w biały dzień je sobie stwarzałam, zaciskając mocno powieki, bo wtedy też widzi się migające punkty w ciemności, więc wystarczy uruchomić wyobraźnię. I zawsze bardzo, bardzo wiele myśli przychodziło mi w takich chwilach do głowy, aż wreszcie pewnej nocy czuwając bezsennie przy oknie, zrozumiałam że tam w górze jest czystość i ład, a ja się temu sprzeniewierzyłam, zdradziłam moje niebo i moje gwiazdy, stare przyjaciółki z dzieciństwa; i prosząc je o przebaczenie, płakałam aż do świtu.

Lecz to było dopiero kilka miesięcy później, te łzy i refleksja, a póki co poszłam za gościem z jaszczurką do jego bungalowu na samym końcu głównej promenady Long Wave; wszedł do środka, zgodnie z umową drzwi zostawiając otwarte, więc dyskretnie się przez nie przemknęłam. Zobaczyłam go schylonego nad barkiem, mieszającego drinki.

- Jestem, skarbie - szepnęłam, pieszcząc jego plecy.

Po czym szybkim ruchem, który przez dwa dni ćwiczyłam w domu na jaśku, wbiłam mu w kark igłę strzykawki i wcisnęłam tłoczek.

- Ty suko! - wrzasnął i odwróciwszy się ruszył na mnie jak niedźwiedź; odskoczyłam pod ścianę i już po chwili wiedziałam, że tam nie dolezie, bo to gównu faktycznie miało piorunujące działanie i z każdym krokiem, coraz bardziej ugiwały się pod nim nogi, aż wreszcie osunął się na dywan, powalony charczący grizli z rozwartą paszczą, której oddech omiótł mi palce stóp; a potem zaczął dygotać, rzucać się i nagle konwulsyjnie przekreślił się na

plecy; przeraziłam się, że Bibi źle obliczył dawkę, i całe moje życie wyświetliło mi się przed oczami, jakby już mnie prowadzono na szafot, lecz to trwało najwyżej pół minuty, pół minuty niewyobrażalnego strachu, po czym drgawki ustały, a pierś faceta zaczęła się poruszać w spokojnym sennym oddechu. Powinnam szybko zrobić swoje i spadać, lecz nagle coś w jego twarzy przykuło moją uwagę, coś czego w przyciemnionym wnętrzu baru nie spostrzegłam, taka dziwna obwódka wokół oczu i ust, jakiej nikt nie ma, żaden człowiek na świecie, więc schyliłam się, przejechałam po niej palcem, a następnie, łapiąc dłońmi fałdy skóry, zdarłam mu maskę; pod nią była zwyczajna sobie twarz, mniej więcej czterdziestoletniego mężczyzny, ani ładna ani brzydka.

- O, kurwa! - zawołałyśmy chórem ja i ta mądrzejsza Laura, bo w obliczu tego odkrycia obie równo wymiękłyśmy.

Potem wyłączyłam system alarmowy, otworzyłam okno od strony ogrodu i - opuściłam bungalow. Resztą miał się zająć Bibi.

TRZECI BYŁ ZWYKŁYM CHUJEM

koło pięćdziesiątki, takim, co kwiczy jak knur na widok laski w szortach, a im młodsza, tym kwiczy głośniej, kiedy mu powiedziałam, że mam szesnaście lat, chyba normalnie spuścił się w gacie; którymś razem złapie za cyc czternastkę i wyląduje w puszcze, gdzie już pierwszej nocy przepchają mu tłusty tyłek, czego z całego serca życzyłam panu Robertowi Santuzzo, amerykańskiemu rezydentowi w jakiejś korporacji w Puerto de las Aguilas, siedząc z nim przy stoliku na tarasie Hollywood House w Gaju

Świątecznych i jedząc kurczaka z krewetkami za dwadzieścia dolarów; po każdym kęsie z obleśnym uśmiechem pytał, czy dziewczynce smakuje, na co z pełną buzią odpowiadałam: uhm!, bo czułam, że najbardziej go rajcuje takie prosto z wiochy.

Ale miałam z nim potem cyrk! Normalnie już na parkingu chciał mnie ciupciać w tym swoim japońcu. Mówię: kurwa, facet, ludzie się patrzą, a on nic, tylko fotel rozkłada i przygniata mnie worami tłuszczu, grube łapsko szarpie mi szorty, próbuje ściągnąć; ledwie się wywinęłam i ze łzami w oczach poprosiłam, żeby pojechał gdzieś w głąb Gaju, boja się wstydzę, „nie rozumie pan? mam dopiero szesnaście lat i nie chcę mieć zszarganej opinii, a tu na Santa Inez wszyscy się znają, wystarczy, że jakaś sprzątaczką albo kelnerka zobaczy...” i pan zrozumiał, a ponadto wzruszyły go moje łzy, bo prawie każdego z tych chujów wzrusza, kiedy biedna mała płacze.

No to wykierowałam go w takie miejsce, gdzie nawet w dzień jest ciemno jak w dupie, a po zmierzchu to już w ogóle nic nie widać, więc biedak nie wiedział, od kogo dostał w czachę i tylko słyszał mój histeryczny krzyk, kiedy chłopaki pakowali go do bagażnika.

- Czego darłaś mordę? - spytał Bibi, jak już jechaliśmy do przystani promowej w Villa Azteca, przekazać samochód Panamczykom.

- Żeby udawać niewinną ofiarę napadu. To się kiedyś może przydać w sądzie.

- Myślisz, że on się nabrał na te twoje wrzaski? - burknął Esteban, który siedział z tyłu.

- Nie myślę, a wiem. Co jest dla niego bardziej honorowe: że panienka go poderwała i wystawiła, czy że on poderwał panienkę, a potem oboje zostali napadnięci?

Esteban aż gwizdnął z podziwu.

- Patrz, Bibi, jaka z niej psycholożka!

Ale Massena niechętnie mnie chwalił, więc nic nie odpowiedział, tylko cisnął gaz i patrzył na zbliżający się ciemny kontur nadbrzeżnego lasku, za którym był port. I przy pierwszych palmach zatrzymał samochód. Wysiedliłszy wszyscy troje, chłopaki otworzyli bagażnik i wydobyli śpiącego knura, głośno chrapiącego po zastrzyku.

- Kurwa, chyba dwieście kilo waży - jęknął Esteban, kiedy ciągnęli go w zarośla na wydmie, gdzie knur miał się nazajutrz obudzić - bez portfela, rolexa i oczywiście bez swojej toyoty.

- A może uśpić go na amen? - powiedział nagle Bibi.

- No, tak będzie lepiej - zgodził się Esteban. - W piasku łatwo zakopać.

- Po chuja zakopywać? Do morza wrzucimy. W razie co pomyslą, że się naćpał i utonął.

- Masz łeb, Bibi. Jasne: nie strzelać, tylko utopić.

I tak rozmawiając, chodzili nerwowym krokiem wokół tłustego ciała, jak dwa szakale wokół ścierwa. Aż przerwałam im, chwytając Massenę za ramię i z całych sił wbijając się w nie paznokciami.

- Jeśli to zrobicie, pójdę na policję i za...

Chciałam powiedzieć „zakabluję”, lecz już po pierwszej sylabie dostałam w twarz tak, że puściła mi się krew z nosa, a potem Bibi jeszcze dwa razy uderzył, usłyszałam w uszach szum i upadłam, Esteban pomógł mi wstać i zaprowadził do samochodu; kiedy oprzytomniałam, Bibi siedział już obok mnie i przekręcał klucz w stacyjce. Ruszyliśmy, zostawiając knura żywego.

- Poważnie byś mnie sprzedała? - spytał cichym, niepewnym głosem, z którego nagle wyparowała cała buta.

- Kocham cię, ale nie chcę obok ciebie wisieć - odpowiedziałam, a było to podwójne kłamstwo.

Bo nie kochałam Bibi Masseny, ale gdybym stanęła przed dylematem - wydać go, czy razem z nim iść na szafot, jako lojalna współniczka wybrałabym śmierć.

CZWARTY CHYBA BYŁ Z KARTELU

i dokładnie na takiego wyglądał w podniesionych na czoło supermodnych ciemnych okularach i w rozchełstanej kwiecistej koszuli, pod którą kiedy tańczył, poruszały się w rytm muzyki twarde mięśnie torsu. Musiał być niewiele po dwudziestce, ale w rysach miał coś z dojrzałego, doświadczonego faceta, co dodat-

kowo podkreślał krótki zarost pokrywający ogorzałe policzki i szeroką, mocną dolną szczękę; i choć budowy był masywnej, ruchy jego cechowała lekkość i zwinność, jak gwiazdę tenisa albo drapieżnego kota, i właśnie takim miękkim, kocim krokiem podszedł do mnie w Carmazine Club.

Put a madre! Jak ja z nim szalałam, solo i w duecie, i znów solo, coraz szybciej, coraz bardziej kosmicznie, od rock and rolla przez sambę do tanga, kiedy już wszystkich wymiotło i tańczyliśmy tylko my, tylko ja i Benito w parze, z oczami płonącymi, oboje prawie nadzy, bo ja w szortach i krótkim topie, a on nagle zrzucił koszulę i cisnął w tłum, który stał wkoło parkietu, wrzeszczał i bił brawo, didżej też wrzeszczał i bił brawo, a gdy zmęczeni, zawirowani, zziajani, chwiejąc się i tuląc do siebie przeszliśmy do baru, już czekały na nas dwa drinki na koszt firmy.

- Masz tu faceta? - spytał, lejąc sobie na głowę wodę mineralną; bąbelki, odbijając światła stroboskopu, jak diamenty upstrzyły kruczoczarne włosy.

- Tak - szepnęłam, z trudem jeszcze chwytając oddech i wskazującym palcem dotknęłam jego piersi.

A potem, gdy wiozł mnie jaguarem do Gaju Świętych, dosłownie umierałam z ciekawości: kto kogo? Chłopaki jego, czy on chłopaków? I nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zmasakrował Bibi Massenę, Carla i tego głupka Estebana, po czym zabrał mnie stąd do Bogoty, bo podobno był Kolumbijczykiem... Czułam, że wzbiera we mnie atawistyczne podniecenie samicy, o któ-

ra za chwilę będą walczyć samce, a ja oddam się zwycięzcy, i na prawdę, w tę gorącą, rozgwieżdżoną noc, kiedy jego jaguar ruszył spod Carma- zine Club, kibicowałam nie moim, lecz temu nowemu, zaledwie przed godziną poznanemu, za jego czarne, dzikie oczy, za mocne, piękne dłonie, które pewnie a zarazem z nonszalancją ujęły kierownicę; i za taniec mojego życia.

- Nie róbcie tego! - powiedział spokojnie, kiedy wyszli zza drzew. - Jestem od Escobara*⁹!

Chciał sięgnąć pod deskę rozdzielczą, ale nad Gajem Świętych wisiał księżyc w pełni i świecił jak latarnia, więc Bibi dostrzegł ten ruch i pierwszy strzelił. A w tej samej sekundzie doskoczył Esteban i poprawił bejsbolem w czaszkę, po czym wyciągnęli go z jaguara i rzucili w krzaki; i gdy tam upadł bezwładnie w swojej kwiecistej koszuli, skojarzył mi się nagle z motylem, zabitym, rozdeptanym motylem, który jeszcze przed chwilą wirował nad łąką parkietu, razem wirowaliśmy w godowym tańcu, ale źli, brutalni ludzie to przerwali; zaczęłam płakać, obrzucać Massenę wyzwiskami, a potem przypadłam do leżącego chłopaka i rozgarniając kłujące zarośla, przyklękłam nad nim; żył i patrzył na mnie, a ja do śmierci nie zapomnę jego oczu - zwężonych z bólu i nienawiści.

- Jesteś z siebie zadowolona? - spytał szeptem i jeszcze coś dodał, czego nie dosłyszałam.

⁹ Pablo Escobar - kolumbijski baron kokainowy, przywódca tzw. Kartelu z Medellin.

Błagałam go, żeby się trzymał, nie umierał, i wyrywałam się, gdy Bibi mnie odciągał.

- Kurwa, cała tapicerka we krwi! - kłął Esteban, siadając za kierownicą jaguara.

Krzyczałam, że chłopakowi potrzebny jest lekarz, nie możemy go tak zostawić, sama chciałam biec do najbliższego hotelu dzwonić po karetkę, ale Bibi trzymał mnie, wykręcając rękę, a jego brat zatkał mi usta; nie miałam szans, zawlekli mnie do passata, który stał ukryty w kępie sykomor, i po chwili ruszyliśmy za jaguarem w stronę portu w Villa Azteca.

A WIECZOREM WEZWAŁ WUJ

Bibi Massenę, Estebana i mnie do swojego wielkiego domu, przed którym leżały dwa kamienne lwy z szeroko rozwartymi paszczami, w intencji rzeźbiarza pewnie ryczące groźnie, a dla mnie raczej ziewające z nudów, bo sama też bym tak ziewała, gdybym musiała non-stop leżeć pod czyimiś drzwiami. Czułam ogromną ulgę, gdyż w południe nasze lokalne radio podało, że Kolumbijczyk żyje, o własnych siłach dowlókł się jakoś do szpitala, doktorzy już go zoperowali, i wszystko jest OK; lecz, żeby być pewną, bo w radio czasem mówią głupoty, poszłam sama na Portową, do mojej siostry Juanity, która była pielęgniarzką w szpitalu i właśnie miała dyżur; potwierdziła, że chłopak ma się dobrze i już ją nawet próbował podrywać, chwilę chichotała, powtarzając jego zaczepki, aż nagle spoważniała i spojrzała na mnie wylekzionymi oczami.

- Laura, ale ty nie miałaś z tym nic wspólnego?

- Nie, Juanita, jestem złą dziewczyną, ale nie aż tak...

„Zła dziewczyna” to był w mych ustach ironiczny cytat z matki, ciotek, całej rodziny oraz księdza Juana, na którego msze przestałam od dwóch lat chodzić; nienawidziłam ich, więc byłam pewna, że i oni mnie nienawidzą, i że to wojna na śmierć i życie, mojej wolności i młodości z narzucanym przez nich reżymem, o nie! mnie nigdy nie spętają, tak jak spętali Juanitę, absolwentkę liceum pielęgniarstwa w Cordobie, gdzie ucząc się, nie wyściubiła nosa z internatu; żadnych imprez, żadnych dyskotek, żadnych chłopaków, bo zabraniał tego surowy głos matki, który słyszała nawet tam, na drugim brzegu morza. A teraz wróciła na Santa Inez, za marne grosze podjęła pracę w szpitalu, i zaczęła spotykać się z felczerem o imieniu Matheo; i oczywiście nie spali ze sobą, no bo jakże tak przed ślubem? co by matka, ciotki i ksiądz Juan powiedzieli! Lecz mimo, że byłyśmy tak różne, kochałam Juanitę. I nie toczyłam z nią wojny.

- No dobra, ale odbiegłam od tematu. Rano dzwoniła moja siostra i to chyba dlatego 😊

- Miałaś opowiedzieć o wizycie u Wuja.

- Zgadza się, o wizycie u Wuja,

którego tamtego wieczoru wreszcie zobaczyłam z bliska, bo dotąd migał mi tylko za szybami lincolna, kiedy kursował między Podzamczem a Śródmieściem; Baltazar La Plata, zwany Wujem,

król wszystkich *reptiles*, a do tego, jak powszechnie się mówiło, nietykalny przyjaciel samego sędziego Aznara, był facetem około czterdziestki, niskim, krępyim o pulchnej twarzy, z wielkimi okrągłymi oczami i haczykowatym nosem, przez co, gdy siedział przed nami w fotelu, skojarzył mi się z sową. Salon, gdzie nas przyjął, był umeblowany ludwikami, a na ścianach wisiały portrety wicekrólów, też pewnie z XVII wieku. Staliśmy przed nim w szeregu, Bibi pośrodku, ja po lewej, a po prawej Esteban, który tak samo jak ja był tu po raz pierwszy i zauważyłam, że czuje się niepewnie, z lękiem popatruje na swoje buty i najchętniej by je zszuł, żeby nie uświnić dywanu. Ja też byłam onieśmielona, to znaczy, na samym początku, dopóki Wuj nie omiółł mnie spojrzeniem i nie mruknął czegoś w rodzaju: niezła jesteś; ale tak naprawdę nie patrzył ani na mnie ani na buty Estebana, tylko na Bibi Massenę.

- Co się stało, chłopcze? - spytał wreszcie jakby z troską, ale czułam, że to pozór, taka zmyłkowa przygrywka, po której zaraz wybuchnie. I nie omyliłam się.

- Miało, kurwa, nie być krwi! Miało nie być zabawy w kowboi!
- ryczał Wuj, po czym zerwał się ze swego ludwika, podszedł do Masseny i z całej siły kopnął go w jaja. Bibi wrzasnął, schwycił się za krocze i zgięty w pół osunął się na kolana.

Za chwilę klęczał obok niego Esteban, a ja zastanawiałam się, czy mnie też kopnie; lecz zamiast tego wziął mnie pod brodę i długo, przenikliwie popatrzył w oczy.

- Jesteś mądrzejsza od tych głupków, więc słuchaj i dobrze zapamiętaj: chcecie strzelać, to na prom i do Cordoby albo do Panamy! Zrozumiałaś, dziewczeczko?

- Tak, Wuju, zrozumiałam - odrzekłam tonem, jakim w dzieciństwie zwracałam się do księdza Juana i dodałam, że w pełni się z nim zgadzam, bo chociaż Kolumbijczyk pierwszy sięgnął po pistolet i tak wszystkiemu my jesteśmy winni, skoro dopuściliśmy do sytuacji, że mogły paść strzały i rzeczywiście padły, a co gorsza to się jeszcze ma szansę powtórzyć, bo nigdy nie wiadomo, czy facet nie jest uzbrojony, niby ich obmacuję, żeby sprawdzić, ale tamten na przykład trzymał pod deską rozdzielczą, a inny może trzymać w dupie, wszędzie nie zajrzę; i tym końcowym żarcikiem rozbroiłam Wuja. Sowa przestała się stroszyć.

- Wiem, że Panamczycy zadatkowali wam jeszcze jeden samochód, więc powinniście go im dostarczyć - rzekł, siadając z powrotem w fotelu, a Bibi i Esteban patrzyli po sobie, bo żaden nie śmiał pierwszy wstać z kłeczek, a zatem tylko ja z naszej trójki zachowałam przed obliczem Wuja pion. - Ale uważajcie na siebie, a szczególnie ty, Lauro. Bo policja szuka już dziewczyny biegle mówiącej po angielsku i powiesiła twój portret pamięciowy w hotelach. Medina pokazał mi go dziś rano, ale powiedziałem, że żadnej takiej nie znam.

I dodał, że faktycznie zna mnie słabo, a to błąd, który trzeba naprawić.

- Bo ty, mała, zasługujesz na prawdziwego, dorosłego mężczyznę, nie takiego gnojka jak ten...

I ze wzgardą wskazał klęczącego Massenę, a mnie w głowie nie powstało, że właśnie z ust Wujka słyszę prorocze słowa.

POTEM BYŁY DWIE OSTATNIE AKCJE, A WŁAŚCIWIE PÓŁTOREJ,

choć od Wujka dostaliśmy pozwolenie tylko na jedną, po niej musieliśmy się przenieść do Panamy, Bibi już to z Panamczykami obgadał, i teraz auta miały płynąć promem w odwrotnym kierunku, czyli od nich do nas; ale póki co chcieli jeszcze jeden wóz z Republiki, no to wypatrywaliśmy okazji, tkwiąc przed starym portem rybackim, bo do Long Wave baliśmy się już wchodzić, skoro krążyły tam moje portrety pamięciowe. Przyjeżdżali faceci w niezłych brykach przejść się po molo i popstrykać foty, ale najczęściej przywozili ze sobą laski albo żony i dzieci, więc byli poza zasięgiem, i dopiero trzeciego dnia pod wieczór, kiedy słońce poczerwieniało jak cegła więziennej baszty, sterczącej na górze zamkowej i stoczyło się do morza gdzieś za najdalszymi kutrami, które maleńkie jak łódeczki z kory wracały stąd do Panamy, trafił się wreszcie jeden samotny w błękitnym mercu kabriolecie; staliśmy przy wejściu na molo, Bibi, ja, Esteban i Carlos, to znaczy ja trochę z boku, że niby się nie znamy, a frajer podjechał bulwarem od strony Long Wave i zaparkował kilka metrów od nas, jakby się sam prosił, Bibi machnął w moim kierunku dłonią i podniósł do góry kciuk, co znaczyło: będzie dobrze, jest twój, a ja, uprzedzając gościa, pierwsza weszłam na mo-

lo i oparłam się o kamienną barierkę, twarzą do morza, niby zapatrzona w zachód słońca, lecz jedno moje oko cały czas dyskretnie zezowało i rejestrowało każdy jego ruch, od momentu gdy wysiadł z kabrioletu, wysoki, szczupły, z zakolem łysiny i lekko utykający, a właściwie nie utykający, tylko dziwnie wyrzucający przed siebie długie, patykowate nogi w białych, szerokich szortach, jak bocian albo manekin, poruszany niewidzialnymi nitkami; kilka razy przystawał i filmował VHS-em port po drugiej stronie, po czym skierował kamerę na zachód i z półobrotu, pojechał nią panoramicznie wzdłuż barierki, przez co też znalazłam się w kadrze, a wtedy odwróciłam się i udając pociesznie załapaną, uśmiechnęłam się jak sympatyczna amerykańska rastamanka z włosami zaplecionymi w dredy i w koszulce z Bobem Marleyem, to ze względu na te pieprzone portrety pamięciowe zmieniłam image; po czym zaczęliśmy gadać o urokach Granada del Mar, dowiedziałam się, że przyjechał trochę turystycznie a trochę zawodowo, bo pracował dla jakiejś gazety, która zamówiła u niego reportaż.

- Jaka gazeta?

- Pewnie nie znasz. Kanadyjska, wychodzi w Toronto.

- Kanadyjczyk? - i mój palec dźgnął jego chudą pierś, bo amerykańskie małolaty bywają bezczelne i nie wiedzą co to dystans.

- Tak - odparł, najpierw przez sekundę speszony tym gestem, a zaraz potem ośmielony do tego stopnia, że zaprosił mnie na kolację, a ja zgodziłam się pod warunkiem, że najpierw pojedziemy

do Gaju Świętych, tam mieszkają w hotelu moi starzy, u których dla porządku powinnam się zameldować na chwilę, bo od rana wybyłam i pewnie się martwią, czy żyję.

- A nie zatrzymają cię w areszcie domowym? - niby to zażartował, lecz naprawdę - zaniepokoił się. Przekłęci rodzice mogli faktycznie nie wypuścić córeczki z pokoju, a wtedy nici z dymanka.

- Co pan? Ja jestem wolna dziewczyna i oni to już dwa lata temu uszanowali. Zero zakazów - uśmiechnęłam się do mojego chudego Kanadyjczyka z triumfem wyzwolonej gówniary. To był bardzo miły, przyjemny facet. Nie macał, nie wygadywał świństw, przez całą drogę ciekawie opowiadał o amatorskich filmach, którymi się pasjonował i nakręcił ich na kopy na wszystkich kontynentach, a najwięcej w Afryce.

I tylko niepotrzebnie zaczął potem bluzgać po hiszpańsku i rzucać najgorszymi wyzwiskami, bo Bibi jest na punkcie honoru przewrażliwiony, więc spuścił mu zdrowy wpierdół, pięścią i z buta, Esteban i Carlos poprawili, a na koniec ja też dałam kilka razy po ryju, ale płaską dłonią, bo inaczej nie potrafię bić, to znaczy potrafię, tylko na ogół nie mam serca.

Później Carlos odstawił kabriolet na prom, a ja z Bi-bim i Estebanem wpadłam do pizzerii przy Alei Pacyfiku, nowej, dopiero przed miesiącem zbudowanej trasie, z dwunitkową jezdnią i latarniami zamieniającymi noc w dzień, która od śródmieścia Granada del Mar, prawie od samego zamku, biegła środkiem wyspy

na jej zachodni brzeg, oczywiście szerokim łukiem jak dzielnicę trędownych omijając Podzamcze. Jedliśmy pizza americana, popijając czerwonym, kalifornijskim winem i zastanawialiśmy się, jak to będzie w Panamie: lepiej, gorzej czy tak samo, i doszliśmy do wniosku, że wystarczy jeśli tak samo, skoro tu przez niecałe dwa tygodnie trafiliśmy na pięciu akcjach ponad dwadzieścia tysięcy baksów, z czego połowę zgarnął Bibi, a resztę podzielił tak, że ja dostałam najwięcej, aż pięć koła, ale nikt, żaden z chłopaków nie protestował, nawet jego brat, bo rozumieli, że beze mnie głównie by zrobili, więc gdybym była bezczelna, mogłabym żądać większej działki i też by mi dali, bo skąd wzięliby inną laskę, która tak nawija po angielsku, ale ja nie umiem być bezczelna wobec kumpli, a za takich ich wtedy uważałam. Esteban rył, że najlepsze jajco będzie, jak jeszcze raz ćwikniemy te same fury i one wrócą do kraju, a potem kupią je dawni właściciele, przemalowane i z przebitymi numerami, a ja, że chyba się na łby pozamieniał, bo ci frajerzy nie kupują używanych aut, tylko nówki w salonach. I gdy tak pierdoliliśmy od rzeczy, nagle pod pizzerię zajechała czarna toyota corolla, a po chwili do środka wszedł jej kierowca - chłopaczyna o wyglądzie studenta, tak jak ja w koszulce z Bobem Marleyem.

- Jest twój - szepnął Bibi odruchowo, lecz natychmiast zamilkł, jakby się przestraszył własnych słów; i wszyscy troje siedzieliśmy cicho, bijąc się z myślami, bo przecież Wuj wyraźnie pozwolił tylko na jedną brykę.

To ja podjęłam za nich decyzję.

- Dobra. W razie co biorę winę na siebie. Wujko mnie lubi. - I podeszłam do chłopaczka, który właśnie siadł przy stoliku obok i zagłębił się w karcie menu. - Przepraszam, możesz mi dać keczup? - spytałam po angielsku. Nie skumał, więc przeszłam na hiszpański, i już za chwilę gadaliśmy o Bobie Marleyu, śpiewaliśmy jakieś reggae, i w ogóle - od pierwszego wejrzenia się polubiłiśmy. Powiedział mi, że corolla nie jest jego, tylko bossa, ale czasem wolno mu pożyczyć na weekend; nieważne, pomyślałam, czyja, bo i tak będzie nasza.

Lecz tym razem zadanie przerosło moje siły. Nawet ta druga, mądrzejsza Laura nie umiała mi pomóc.

TYMCZASEM ZNALEZIONO POBITEGO I ZWIĄZANEGO KANADYJCZYKA

i o trzeciej nad ranem Pablo Medina, szef policji, osobiście go przesłuchał, a potem zatelefonował do Aznara, który kazał mu natychmiast stawić się w gabinecie w gmachu sądu; Medina ujrzał swego byłego dowódcę i towarzysza walki w zielonym szlafroku frotte i pantoflach, gabinet bowiem sąsiadował z prywatnym apartamentem.

- Wybacz, Pablo, ale to jest coś idiotycznego i absurdalnego!

Syrius znikł na chwilę za kotarą osłaniającą łukowo sklepiona wnękę, skąd wrócił z dwiema puszkami piwa; jedną rzucił Medinie.

- Klapnij sobie - wskazał mu fotel, na tyle odsunięty od biurka, że siedzący na nim nie sprawiał wrażenia petenta; zresztą Sy-

rius również nie zajął urzędowej pozycji, ale chodził po gabinecie, paląc papierosy i strzepując popiół za okno, które ostrym, pełnym złości szarpnięciem otworzył na oścież, więc powiało na nich chłodnym przedświtem.

- Coś idiotycznego i absurdalnego - powtórzył - żeby w piętnastotysięcznym okręgu, gdzie prawie wszyscy się znają, jedna i ta sama panienska dokonała w ciągu dwóch tygodni aż pięciu przestępstw, w dodatku w identyczny sposób, i nikt, nikt z ponad stu policjantów nie umiał zdobyć o niej żadnych konkretnych informacji!

Medina wysłuchawszy zdania, które aż iskrzyło od przeakcentowanych liczebników, zwiesił jedynie głowę.

- Niestety, to prawda, el comandante - rzekł tak cicho, że nawet syk otwieranej puszkę piwa zdawał się zagłuszać jego słowa. - Wiemy tylko, że ma od szesnastu do dwudziestu lat i biegle włada angielskim. Ale mówi też bardzo dobrze po hiszpańsku i jak twierdzą ci dwaj studenci, których napadnięto dwa tygodnie temu, to raczej nasza udająca Amerykankę, a nie odwrotnie.

- Sprawdzaliście w szkołach?

- Tak. I w państwowym liceum i w katolickim. Ale żadna z anglistek nie potrafiła wskazać uczennicy ani absolwentki, co by do tego stopnia opanowała język. El comandante - Medina upił łyk, obtarł z krzaczastych wąsów piankę i podniósł wzrok na Syriusa. - Ta dziewczyna nie jest z Santa Inez. Nie wierzę, żeby Wuj

pozwolił miejscowym na takie numery. To byłoby wbrew umowie.

Lecz te słowa tylko wzburzyły Syriusa; zgnieciona w potężnej dłoni puszka z głośnym plaśnięciem wylądowała w koszu na śmieci.

- Pablo! To że Wuj był z nami na Isla de las Rocas, nie znaczy, że jest naszym przyjacielem. Ani przyjacielem policji, mimo, że połowa twoich ludzi bierze od niego pensje.

- Ja nie biorę! - Medina również podniósł w tym momencie głos. - I rękę też za...

- Za kogo? - przerwał Syrius. - Za tych dupków, którzy obserwowali port w Villa Azteca? Przecież to właśnie tamtędy przerzucano wszystkie skradzione auta!

- Tak lub nie. Być może jeszcze są na wyspie.

Ale sam w to nie wierzył; wiedział, że Syrius ma rację. Policjanci wzięli kasę od Wuja albo od panamskich przemytników i przepuścili samochody.

- Przez pięć lat był tu spokój - westchnął bezradnie - a teraz zaczyna się dziać tak, jak wszędzie.

Poczuł na swoim ramieniu ciężką dłoń Syriusa.

- Nie, Pablo. Nie dopuścimy do tego. Jeśli będzie trzeba zadzwonię do Negrido i ściągnę ze stolicy nowych policjantów. A jeśli i to nie pomoże, wtedy...

Przerwał, odszedł kilka kroków i najwyraźniej nie chciał do-kończyć, ale rozmówca na to nie pozwolił.

- Co wtedy, el comandante?

- Zbiorę chłopaków z oddziału i powtórzę tamtą Wielkanoc - rzekł Syrius odwrócony do okna, więc Medina nie mógł odczytać z jego twarzy, czy to prawdziwa groźba, czy jedynie makabryczny żart.

- Miał pan rację - powiedział mimo to - Przez pięć lat świat bez nich był lepszy. Ale dorośli nowi i zajęli ich miejsce. To tak jak z rakiem, wycięty odnawia się po jakimś czasie. I trzeba znów operować.

- Ale po takiej operacji nie pozostanie mi już nic innego, jak strzelić sobie w łeb. I wtedy ktoś powie, że to bez Aznara świat jest lepszy. Może nawet ty sam tak powiesz, Pablo.

„Więc to jednak tylko jego czarny humor”, pomyślał Medina, i odczuł ulgę. Uśmiechnął się.

- Na razie mówię tak o tej przeklętej dziwce! Wyłącznie o niej.

Lecz Syrius uśmiechu nie odwzajemnił. Podeszedł do biurka, sięgnął po papierosa i długo, długo, jakby z namysłem przystawiał do niego płomień starej benzynowej zapalniczki, a Medinie przypomniało się, że el comandante dostał ją na Isla de las Rocas od wodza jednej z wiosek, którego syn wstąpił do ich oddziału.

- Że świat bez niej byłby lepszy? Skąd to wiesz, Pablo? - I nagle w oczach i głosie Syriusa pojawiła się ironia. - Przecież jak do-
tąd nie miałaś okazji jej poznać.

Medina poczuł się urażony, bo złośliwość była dla niego
czymś gorszym od reprimendy, nawet najostrzejszej.

- Ale poznam - odrzekł sucho. - I wtedy natychmiast przed-
stawię ją panu.

A W CZASIE KIEDY ONI ROZMAWIALI, BIBI DARŁ SIĘ
NA MNIE, ŻE SPIERDOLIŁAM ROBOTĘ

i mówił bratu, który właśnie wrócił z portu z kasą, żeby nie
płacił mojej działki, działkę Laury rozdzielamy równo między
siebie, kara musi być, a to wszystko działo się już u nas, na Pod-
zamczu, więc powiedziałam: „cześć, bujajcie się sami” i poszłam
w kierunku domu, a wtedy Bibi przestraszył się, że nie popłynę
jutro z nimi do Panamy, dogonił mnie i wcisnął w rękę banknoty,
lecz gdy dwanaście godzin później czekał na mnie w barze Don
Alexandra, żeby zabrać na prom, ja już byłam na promie, ale in-
nym, i dopływałam właśnie do Cordoby, skąd pociągiem pojecha-
łam do Puerto de las Aguilas, a dalej do Managui, gdzie przesia-
dłam się w autobus, a potem w drugi autobus i jeszcze jeden, aż
wreszcie po trzech dobach znalazłam się w Stanach,

I PRÓBOWAŁAM ODSZUKAĆ OJCA, ALE JAKBY SIĘ ZA-
PADŁ POD ZIEMIĘ, PRZEŻYWAŁAM PRZYGODY, Z KTÓ-
RYCH MOGŁABY POWSTAĆ OSOBNA POWIEŚĆ, I ZALICZY-
ŁAM KOLEJNĄ SZKOŁĘ ŻYCIA, NIE GORSZĄ NIŻ NA SANTA

INEZ, A PO CZTERECH MIESIĄCACH DAŁAM ZA WYGRANĄ
I WRÓCIŁAM,

a ponieważ Bibi też już wtedy wrócił z Panamy, od razu napa-
toczyliśmy się na siebie na rogu Juareza i Zamkowej, i poszliśmy
do łóżka na zapleczu baru jego

TLR

kuzyna Don Alexandro, powiedziałam: Bibi, mogę się z tobą czasem bzyknąć, ale z akcji się wypisuję, a on: nie bądź głupia, wszystko przyschło, gliny myślą, że to robili przyjezdni, czas na powtórkę. A ja: beze mnie, weź inną laskę.

NIESTETY POSŁUCHAŁ MO JEJ RADY, WZIAŁ MATYLDĘ
I JEJ MŁODSZĄ SIOSTRĘ, ANNABELLĘ I PRZEZ
TE GŁUPIE PIZDY WSZYSCY WPADLIŚMY,

bo nie było drugiej mądrzejszej i sprytniejszej Matyldy ani mądrzejszej i sprytniejszej Annabelli, które by w nich siedziały i podpowiadały, jak pogrywać, tak jak we mnie siedziała i podpowiadała mi ta druga, mądrzejsza i sprytniejsza Laura; więc totalnie dały ciała, były zdenerwowane, spięte i dwaj kolesie z Cor-doby, którym wpieprzyły się do bryczki przed night-barem w Alei Pacyfiku, od razu poczuli, że coś tu śmierdzi i że z tymi laskami trzeba uważać, tak zeznali na policji i przed sądem, a ja im wierzę, bo znam Matyldę i wiem, że nadaje się tylko do roboty w burdelu, a jej dwa lata młodsza siostrzyczka na pewno jest jeszcze głupsza i jeszcze strachliwsza; więc zanim pojechali z nimi do Gaju, zahaczyli o swój hotel i wzięli z pokoju broń, którą trzymali potem całą drogę w reklamówkach, a te cipy chyba były ślepe, że się nie zorientowały, boja bym od razu wiedziała, pod tym względem byłam bardzo czujna, normalnie detektor broni miałam w oczach i wszystkich zmysłach, więc koleś, tak jak powiedziałam Wujowi, faktycznie musiałby schować w dupie, żebym nie zauważyła.

A kiedy zaraz za zjazdem z Alei, przy pierwszych drzewkach Gaju, Matylda poprosiła, żeby się zatrzymali, bo musi się wysi-kać, a ta gówniara, jej siostra zaczęła dygotać i patrzeć się na bo-ki, goście już byli pewni o co biega, i Bibi wychodząc z krzaków ze swoją czterdziestką piątką nadział się na wycelowane glo-cki; miał tak głupią minę, że faceci normalnie zaczęli się z niego śmiać, „no, kowboju, na ziemię kolcik!”, on przez chwilę jeszcze rozważał szansę, ale uznał, że jest zerowa i spełnił rozkaz, a w ślad za coltem padły na glebę bejsbole Estebana, Carlosa i Josego, bo tej nocy również głupi Jose, prawie dwumetrowy facet z mózgiem dziecka, dał się wyciągnąć na akcję; a potem faceci zadzwonili po gliny, wtedy w 92-gim jeszcze mało kto miał komór-kę, ale oni mieli, czego Matylda i An-nabella także nie zauważy-ły, więc z komendy na Plaża del Castillo od razu wyjechały wszystkie radiowozy i z chóralnym wyciem, miotając ognisty blask kogutów, pomknęły Aleją Pacyfiku. .

I PRZEJECHAŁY OBOK DYSKOTEKI, GDZIE SIĘ BA-
WIŁAM,

anonsowane dźwiękiem syren, który zmieszał się nagle z gita-rowym duetem Slasha i Izzy Stradlina, więc *reptiles* podeszli ze swoimi pannami do okna, ja zaś, pełna złych przeczuć, wybie-głam na ulicę i stojąc przy krawężniku liczyłam, ile przelatuje, pięć, sześć, siedem, krótka przerwa i jeszcze dwa, a potem zoba-czyłam jak sznurek świateł skręca w oddali w lewo, czyli zjeżdża z Alei w Gaj Świętych i już byłam prawie pewna, że tej nocy Bibi zaliczył porażkę, dlatego nie wróciłam po dyskotecę do domu,

tylko poszłam spać do Juanity, która niedawno pobrała się ze swoim felczerem i zamieszkali razem na Rybackiej, niedaleko portu, i tam rano z radia dowiedziałam się o nieudanym napa-
dzie na dwóch biznesmenów z Cordoby i aresztowaniu spraw-
ców, oczywiście był wśród nich Barnabas Massena, jego nazwi-
sko jako jedyne wymieniono, moja siostra przeżegnała się, „Boże,
Laura, jakie to szczęście, że ty się już z tego wyplątałaś”, a mnie
łzy normalnie stanęły w oczach, tak mi się żal zrobiło kochanej,
naiwnej Juanity, ale nie wyprowadziłam jej całkiem z błędu, tyl-
ko powiedziałam, że na wszelki wypadek wyjadę na miesiąc, dwa
do Panamy, bo po co mają mnie ciągać na przesłuchania, „jasne,
lepiej zniknij teraz policji z oczu, nie warto cierpieć przez łobuza”
i wyjęła spod prześcieradeł w bieliźniarce sto dolców, żebym mia-
ła na bilet i pierwsze dni, „potem ci wyślę więcej przez Western
Union, jak wezmę wypłatę”, lecz moja podróż skończyła się w
Villa Azteca, gdzie przed wejściem do portu czatowali już tajnia-
cy, którzy od razu zauważyli mnie w tłumie zmierzającym na
prom; wyrwałam się im, dopadłam ogrodzenia przystani i prze-
skoczyłam na plażę, biegłam w kierunku klifu, słysząc za sobą
złowrogi: stój, bo strzelam, i zaraz spełnili groźbę, był huk i
świst, huk i świst, a wtedy ta druga, mądrzejsza Laura zdyszany-
m głosem szepnęła: nie warto, mała, więc już u stóp klifu poddałam
się i oparta plecami o urwisko patrzyłam, jak idą po mnie plażą,
tyralierą chyba w dziesięciu, dystans skracał się, a ja oddychałam
głęboko i odpoczywałam po biegu.

ZA PÓŁ GODZINY JUŻ MNIE PRZESŁUCHIWAŁ PABLO MEDINA

wraz z pomagierem, który na dany znak chwycił mnie za włosy i targał nimi aż ściany i meble rozpadały się na kawałki skaczące mi w nieładzie przed oczami; przez zakratowane okno słyszałam śpiew ulicznego grajka i gwar młodzieży zebranej nad fontanną, i wiedziałam, że gdybym nawet zaczęła krzyczeć i szlochać, nikt tam na dole by nie współczuł; wszak nieraz niósł się z okien komendy krzyk i szloch a ludzie na Plaža del Castillo podnosili wtedy głowę, mruzcili: dobrze, z takimi trzeba ostro, i wracali do swoich zajęć, ufni w sprawiedliwość sędziego Aznara, swego niekoronowanego króla, którego nadworny siepacz, kapitan Medina, katuje aresztantów w północnym skrzydle zamku, a potem półprzytomnych, skrwawionych odstawia do baszty, gdzie na wewnętrznych podestach, służących dawniej za stanowiska artylerii, pomontowano klatki z hartowanych, różowych prętów; i każdy z przesłuchiwanym modlił się, żeby już znaleźć się w swojej klatce, paść na prycze i mimo bólu przespać kilka godzin do następnej rundy, bo Medina, jako rasowy oprawca, dręczył również bezsennością.

Muszę być sprawiedliwa: te najgorsze rzeczy, łącznie z kopaniem prądem spotykały tylko facetów; laski najwyżej, tak jak mnie, ciągnano za kudły albo traktowano gumową pałą, częściej zresztą straszac niż naprawdę bijąc, zwykle podczas przesłuchań przez godzinę musiałam stać pochylona, dłońmi oparta o krzesło lub klęczeć z rękami na karku, czołem dotykając podłogi, a na

biurku pana władzy obok stopera leżała solidna „lola” vel „banan”, jednak razów dostawałam niewiele, w sumie jak na lekarstwo, góra pięć na całą sesję, „a nie lepiej, żebym ściągnęła spodnie?”, spytałam po którymś szczególnie mocnym, „bardziej by bolało”, uśmiechnęłam się w swoim stylu, choć z trudem powstrzymywałam łzy, tak piekł tyłek, normalnie jak polany ukropem, a przesłuchiwał mnie tego dnia pryszczaty chłopaczyna, chyba świeżo po szkole policyjnej, i zauważyłam, że nieźle go mój tekst speszył, „dobra, dobra, a potem poskarżysz się sędziemu i wylecę z roboty”, burknął z rozbijającą szczerością, co mnie, pamiętam, strasznie rozbawiło, ten smutek w jego głosie, że nie może bić na gołkę. Wiedziałam już wtedy od strażniczki i współwięźniarek, że sędzia Aznar faktycznie wprowadził dla lasek taryfę ulgową, więc gliniarze musieli się do niej stosować, i tylko głośno klęli, że taka-owaka-pierdolona nie mam fiuta, bo chętnie popieściliby go elektrodami albo zapalniczką, a największe niezadowolenie z tego powodu wyrażał kapral Pereira, daleki kuzyn mojej matki, wielki, zwalisty bamber o twarzy pooranej ospą, który miesiąc później wykonywał na mnie wyrok.

Oczywiście pierwsze pękły Matylda i Annabella, jeszcze w nocy, jak tylko je przywieziono na Plaza del Castillo, a nawet już w radiowozie łkały, przysięgając, że to tylko jedna, jedyna ich akcja, a z poprzednimi nie mają nic wspólnego i obie mnie zakapowały, choć nikt im nigdy nie mówił o mojej roli; ale domyślały się i chętnie podzieliły swoim domysłem z Medina, który je spytał, czy znam angielski, a Matylda z miejsca: jasne, kilka lat mieszka-

ła w Stanach; a zaraz po nich rozpruli się chłopcy, opowiadając z detalami o każdej jednej akcji, a mały Carlo, licząc, że szczerosc go uratuje, opowiedział nawet o akcjach w Panamie, choć Medina wcale o to nie pytał; i tylko z Josego nie wydusili ani słowa, widocznie ból zadany jego jądrom ugrzązł gdzieś w długim cielem i nie dotarł do mózgu, co nie miało już jednak znaczenia, bo i tak wiedzieli wszystko, złożyli puzzle do kupy i jedynie dla porządku zrobili jeszcze okazania, więc prowadzono mnie kilka razy do pokoju z szybą, za którą stali niewidoczni dla mnie Juan, Mario, facet z jaszczurką i inni, dziwiło mnie, że tym zagranicznym chce się ruszać dupę ze Stanów i Kanady, ale widać byli mściwi, a poza tym gubernator zwracał im koszty przelotu i dodatkowo w formie zadośćuczynienia za krzywdę fundował darmowy tygodniowy pobyt w hotelu Volcano; i tylko Kolumbijczyk wszystko olał i nie pojawił się w komendzie, ale nie zapomniał, policjant, który po przesłuchaniu odprowadzał mnie do baszty, nagle dyskretnie wcisnął mi w dłoń papierową kulkę, w celi rozwinęłam i okazało się, że to list od niego, „z twoimi kumplami inaczej załatwię sprawę, a tobie, kotku, przebaczam, odezwij się, jak wyjdiesz z Carrera, to przyjadę i znów zaszalejemy" i podał swój adres w Bogocie i numer telefonu. A następnych przesłuchań już nie było, więc mogłam w spokoju czekać na proces, w mojej celi-klatce na najniższym podeście baszty, tuż nad kuchnią, z której non-stop bił fetor ohydneho zarcia, jakim nas karmiono; za towarzyski miałam dwie kurwy, odsiadujące trzymiesięczny areszt za świadome zarażenie rzeźaczką oraz starą złodziejkę, co czekała na proces, i wszystkie skręcałyśmy się i pociły na głodzie, a do mnie

dopiero wtedy dotarło, że jestem uzależniona od koki; starsza z kurew pokazywała mi blizny po chłoście, którą jako kolaborantka otrzymała w pamiętną Wielkanoc 87 roku, i bezzębnymi ustami z satysfakcją wieściła, że będę mieć identyczne, na plecach i na dupie, bo „za takie numery, niuńka, najmarniej skaże cię na dwadzieścia pięć batów”; powtarzała to zdanie wielokrotnie, a zawsze podmiot był w nim ukryty, jakby bała się wymówić nazwisko sędziego, podobnie jak prymitywne ludy z azjatyckiej dżungli nie używają ze strachu słowa „tygrys”.

Matylda i Annabela siedziały w celi na drugim końcu pode-
stu, a chłopaki wyżej, dużo wyżej pod samym szczytem baszty,
która nie miała żadnego zadaszenia, więc nocą widziałam gwiaz-
dy, liczyłam je, marząc, że żuję liść, gwiazdy nade mną i proces
karny przede mną, niezły kant, co nie?

LEŻĘ NA TAPCZANIE, CZYTAJĄC POŻÓŁKŁE AKTA PROCESU,

który nasza miejscowa gazeta nazwała procesem bandy
czworga, to znaczy braci Massenów, Estebana i mnie, bo Josego i
dziewczyny od razu odstawiono na boczny tor, jako doraźnych,
bez znaczenia pomocników.

*Sędzia Syrius Aznar: Laura Margarita Santiliana, urodzo-
na 14 grudnia 1975 w Granada del Mar w okręgu Santa Inez,
córka Teresy i Juana, zamieszkała w Granada del Mar, dzielni-
ca Zachodnie Podzamcze przy ulicy Benito Juareza pod nume-*

rem siedemnastym oskarżona jest przez prokuraturę autonomicznego okręgu Santa Inez o uczestnictwo w zbrojnej grupie o charakterze gangu, jak również o to, że działając w niej, w nocy z 18 na 19 lutego 1992 w Granada del Mar, w klubie dyskotekowym Carmazine skłoniła przebywających tam Juana Mendeza oraz Mario Esposito do opuszczenia lokalu i udania się z wraz z nią należącym do Juana Mendeza samochodem marki BMW na zalesiony teren w zachodniej części wyspy, gdzie Barnabas Mas-sena wraz z członkami swojej grupy zorganizował na nich zasadzkę i groźbą użycia broni palnej zmusił do oddania wyżej wymienionego samochodu, gotówki oraz zegarków. W nocy z 23 na 24 lutego 1992 w Granada del Mar, poznawszy w nocnym barze hotelu Yolcano Jamesa Colinsa, amerykańskiego turystę i udając przed nim prostytutkę.... I tak dalej i tak dalej, wszystkie moje numery wymienił po kolei. Czy oskarżona zrozumiała zarzuty i czy się do nich przyznaje?

Stałam na miejscu dla świadków, otoczona dziesiątkami i setkami kobiet i mężczyzn w różnym wieku, skroń przy skroni, półdupki przy półdupku, gęsto stłoczonych na ławach dla publiczności, którzy przybyli do sądu, nawet nie dla śledzenia samego procesu, choć na skalę naszej wysepki był sensacyjny, lecz jak na mszę, jak do kościoła, by posłuchać swego pasterza, sędziego Aznara, gdyż w tej roli na głowę pobił konkurenta z naprzeciwka, proboszcza katedry pod wezwaniem świętej Inez; stałam pod obstrzałem ich spojrzeń przy małym, mahoniowym pulpicie, na którym zainstalowano mikrofon, sala bowiem, gdzie dawniej ucztował wicekról ze swoim dworem i co znamienitszy-

mi przybyszami z Madrytu, miała najmarniej czterysta metrów kwadratowych, więc bez mikrofonu nie słyhać by mnie było w dalszych rzędach; a przede mną, na podwyższeniu, stał jak ołtarz jego stół sędziowski, sędziowski stół Syriusa Aznara, on zaś trwał za nim nieporuszony, zastygły w groźnym dostojenstwie, niczym posąg z wyciosanymi w kamieniu topornymi rysami, od których biła lodowata groza, prekolumbijskie bóstwo złąknione krwawych ofiar z ludzi, i ten cały tłum już wiedział, że to właśnie ja zostanę złożona w ofierze, po to mnie przywleczono z baszty.

- Tak, Wysoki Sądzie. Zrozumiałam zarzuty i przyznaję się do nich - powiedziałam, a głośniki jak echo powtórzyły to obcym, zmienionym głosem, tak nie moim że aż się wzdrygnęłam.

SYRIUS PATRZYŁ NA OSKARŻONĄ,

porównując ją z Eleonorą, albowiem od pięciu lat porównywał z nią niemal każdą napotkaną kobietę; a Laura rzeczywiście była żoną przypominającą, nie tylko czystą kreolską urodą, bez domieszki krwi indiańskiej, co w tym kraju stanowiło rzadkość, lecz przede wszystkim wyrazem ciemnych, migdałowych oczu, które patrzyły na świat władczo i bezczelnie, i jakby zdziwione, że jeszcze niecały leży u stóp Eleonory, niecały leży u stóp Laury, a chwilami spojrzenie stawało się powłóczyście i wyzywające, gdy Eleonora chciała coś uzyskać od Syriusa, gdy Laura chciała omotać swą ofiarę; niekiedy, bardzo rzadko, pojawiał się w tych oczach również - strach, jak u Eleonory podczas ich ostatniej rozmowy, kiedy wrócił od Negrido, jak u Laury przed sądem.

TYLKO JA JEDNA PRYZNAŁAM SIĘ DO WINY,

reszta próbowała kręcić, że to nie tak, nie całkiem, niezupełnie, Aznar w milczeniu przyjmował ten bełkot z dobrodziejstwem inwentarza, a potem ogłosił przerwę do poniedziałku, to mnie zdołowało, nie wiem czemu wyobrażałam sobie, że już pierwszego dnia zapadną jakieś rozstrzygnięcia, tak bym wolała, bo najgorsze w tym wszystkim było czekanie, dodatkowo wydłużone jeszcze o sobotę i niedzielę, normalnie - tortura psychiczna.

EJ, DZIEWCZYNY, CHCECIE POPATRZYĆ? NASZ SĘDZIA JEST W TELEWIZJI,

zbiorowo mogłyśmy opuszczać cele tylko na czas spacerów, ale tłusta Pilar tak była podekscytowana, że chyba zapomniała o przepisach, dzwoniąc kluczami, turlała się wzdłuż podestu i otwierała kolejne drzwi, „chodźcie, chodźcie”, ponagłajęco machała ręką, więc podreptałyśmy wszystkie rzędkiem do jej dyżurki i stłoczyłyśmy się przed tranzystorowym telewizorem, „udziela wywiadu dla NBC, to największa amerykańska stacja”, objaśniła nam dumna i blada, zupełnie jakby to do niej przyleciała z za morza wystrzałowa dziennikarka zrobić program, który w Stanach poszedł pewnie na żywo, a teraz z parudniowym opóźnieniem pokazała go nasza telewizja, byłam wkurwiona, bo świetnie rozumiałam angielski dialog, a tłumacz nie tylko mi zagłuszał, ale jeszcze w co trzecim słowie sadył błąd, aż wreszcie nie zdzierżyłam, „na łby się, facet, pozamieniałeś? od kiedy „always” znaczy „teraz”!?” Pilar spojrzała się kwaśno, już myślałam, że mnie opierdoli, zagoni z powrotem do celi, ale nie, nic z tych rzeczy,

„poważnie taki głąb? to na co, kurwa, czekasz? do roboty!”, „jasne, niech młoda tłumaczy!”, poparł ją zgodny chór, a ja, pamiętam, wzruszyłam się jak głupia, bo wreszcie ktoś mnie w tym przeklętym pierdlu docenił, niby drobiazg, żaden wielki zaszczyt, po prostu wiedziały, że dobrze znam język, ale jeśli przez trzy tygodnie non- stop wmawiają ci na przesłuchaniach, że jesteś zere-m i gównem, to nawet i ten drobiazg wydaje się haustem świeżego powietrza w smrodzie i zaduchu, „przewodniki opisują Santa Inez jako oazę bezpieczeństwa, tu podobno nie ma narkotyków i można spokojnie zostawić otwarty samochód”; bałam się z początku, że się pogubię, nie nadażę, lecz na szczęście oboje mówili wolno, „to prawda, choć niedawno działał na wyspie gang, który obrabował kilku turystów, Bogu dzięki towarzystwo jest już pod kluczem i czeka na proces”, Matylda i Annabella aż się skuliły, „jak wymieni twoje nazwisko, staniesz się sławna na cały świat”, szepnęła mi do ucha złodziejka z mojej celi, ale miałam to w dupie, bo uwagę bez reszty skupiłam na Aznarze, stał niedbale oparty o barierkę molo, kompletnie wyluzowany, jasne spodnie, rozpięta dżinsowa bluza, twarz z lekka ocieniona jednodniowym zarostem, normalnie inny człowiek, niż na sali sądowej, pomyślałam, nie sędzia, ale gwiazda sportu, raczej tenisista niż piłkarz, bo na piłkarza miał zbyt inteligentną twarz, „wolałabym nie być w ich skórze, feruje pan drakońskie wyroki, jeden nawet wywołał spore zamieszanie polityczne”, „cóż, mam swoją wizję prawa, trochę odmienną niż liberałowie”, „nosicieli HIV wygnałby pan z wyspy?”, „oczywiście, a jeszcze przy okazji cukrzyków i filatelistów”, miny więźniarek i strażniczki dowodziły, że tylko ja jedna

zrozumiałam dowcip, „a co pan sądzi o Mercurym? zasłużył na swój los?” „lubilem go, *Bohemian Rhapsody* kojarzy mi się z moją najcudowniejszą randką, gwoli jasności: randką z kobietą”, dziennikarka zareagowała trzpiotnym uśmieszkiem, jakby ją złapał za kolano, złodziejka również to wychwyciła, „pcha mu się na kutasa, co nie?”, usłyszałam jej szept i chyba miałyśmy obie dobre wyczucie, bo zaraz zaczęła Aznarowi kadzić, porównywać go z Eliotem Nessem i innymi, których nazwiska nic mi nie mówiły, ale na pewno też musieli być sławni, przynajmniej w Stanach, „przesadzasz, kotku”, odpowiedziało jego spojrzenie, trochę drwiące, lecz zarazem ciepłe, laski lubią taką mieszankę, „panie sędzio, dzieli nas bardzo wiele, a mimo to cieszę się z naszego spotkania, jest pan doprawdy postacią intrygującą”, i gdy to przetłumaczyłam, poczułam nagle, że wyraziłam własną myśl, mnie i Aznara jeszcze więcej dzieliło, zwłaszcza ten pieprzony mebel, jego stół sędziowski, a jednak, tak samo jak dziennikarka, byłam nim zaintrygowana, w tym momencie to do mnie dotarło.

W PONIEDZIAŁEK SĘDZIA AZNAR ZAMKNAŁ SPRAWĘ
MATYLDY I ANNABELLI,

wysłuchawszy wcześniej zeznań dwóch biznesmenów z Cordoby, co powiedzieli, że od początku czuli podstęp, uśmiechnął się „cóż, na szczęście nie wszystkie kobiety potrafią dobrze oszukiwać”, i ten komentarz nagle nasunął mi się na pamięć, gdy leżałam w nocy na pryczy nie mogąc usnąć, gdyż od początku procesu męczyła mnie bezsenność i do świtu wmyślałam się w słowa, które padły na sali sądowej, a najbardziej w te z jego ust; byłam

dziwnie pewna, że nie był to żart, mający rozbawić męską część publiczności, choć zauważyłam, że lubi rzucić co pewien czas dowcipem, a kamienna, surowa twarz najpewniej jest wyłącznie maską i koniecznym dodatkiem do sędziowskiej togi, lecz tamto zdanie zwyczajnie mu się wymknęło, i do nikogo nie był skierowany cierpki, sardoniczny bon mot, do nikogo na sali, a jedynie do samego siebie, do wewnątrz, jako odpowiedź własnym myślom i wspomnieniom, gdzie mieszka taka, co potrafi dobrze oszukiwać, bardzo dobrze skoro nie przeniknął jej wzrokiem, a przecież miałam wrażenie, że jego oczy przeszywają, prześwietlają na wylot, że niczego nie da się przed nim ukryć ani w żaden sposób go zwieść, wszyscy próbowaliśmy tej sztuki, ja, Bibi, Esteban, cała paczka, lecz już w połowie zdania głos zamierał nam w gardle, bo jego spojrzenie mówiło, że nie warto, szkoda fatygi, on już zna dalszy ciąg i nie wierzy, a jednak ktoś go przechytrył, jakaś laska sprawiła, że do dziś ma uraz do kobiet, jak wyglądała? - zastanawiałam się o trzeciej nad ranem, gdy niebo nad basztą już pojaśniało, a moja mądrzejsza Laura zaczęła się ze mnie śmiać, że układałam romanse, bo nic podobnego się nie wydarzyło w życiu sędziego Aznara, aleja wtedy już umiałam jej się sprzeciwić, romanse? to wytłumacz, kochana, czemu jest sam, przecież w naszym grajdole wszyscy by już dawno o tym gadali, gdyby miał kogoś, więc znaczy się, że nie ma, czterdziestoletni, przystojny facet, chyba widziałaś, jak się do niego śliniła ta z NBC? i jeszcze z taką władzą, normalnie król na Santa Inez, a która laska nie marzy, żeby zostać królową, więc, twoim zdaniem, co? pedał? impotent? nie obraź się, druga mądrzejsza Lauro, ale teraz pie-

przysz jak potłuczona; pogoniłam ją w cholere i dalej aż do pobudki w półśnie snułam romans o sędzim Aznarze i przebiegłej, na bank bardzo pięknej, bohaterce jego wspomnień; na pewno z wyższej półki niż ja i z pięć razy wyższej niż Matylda i Annabella, którym pod koniec pierwszego dnia procesu kazał przejść na miejsce dla świadków, „no, chodźcie tu, siostrzyczki, tak, tak, obie, ty też”, więc stanęły przed nim wystraszone, a do tego brudne, z pozlepianymi włosami, dwa śmierdzące kocmołuchy, co totalnie zapuściły się w areszcie; jasne, że nie miały najlepszych warunków higienicznych, ale przecież w każdej celi był kran z zimną wodą, była miednica i kostka szarego mydła, a nawet jakaś gąbka, z czego korzystałam, szorowałam się codziennie i przynajmniej raz na trzy dni myłam włosy, które po szarym mydle całkiem nieźle wyglądały, no i prałam bieliznę, a moje kurwy śmiały się, że szykuję się na randkę; bo ja od dziecka nienawidziłam przepoconych ciuchów i brudnych majtek, pewnie dlatego, że matka zawsze w takich łażyła, więc tarłam ręcznie nad zlewem a potem wieszałam na poręczy łóżka i wszystko ładnie schło w ciepły dzień, pranie, włosy, ręczniki, bo już mówiłam, że baszta to były tylko cztery ściany bez żadnego dachu, taki odkryty kamienny garnek, wypełniony upalnym powietrzem.

- Matyldo i Annabello - powiedział sędzia Aznar, a łukowe sklepienia powtórzyły imiona, groźnym, ot- chłannym pogłosem, niby wołanie na sąd ostateczny; uśmiechnął się, bo widać miał podobne skojarzenie jak ja, po czym wyregulował mikrofon.

- Matyldo i Annabello - powtórzył i tym razem już nie było tego efektu. - Skazuję was na rok więzienia z warunkowym zawieszeniem wykonania kary na trzy lata.

Publiczność rozdziawiła gęby, bo spodziewała się o wiele surowszego wyroku, a i mnie w tym momencie spiorunowało: co jest? przecież ten facet niedawno zabił pięćdziesięciu trzech *reptiles*, sam, osobiście strzelał im w tył głowy, OK, nie posłał do Carrera, ale na pewno zaraz skaże na baty, dla każdej dwadzieścia pięć, albo dla Matyldy jeszcze więcej, bo starsza i to ona wciągnęła Annabelkę w to gówno, niemożliwe! własnym uszom nie wierzę, sen, normalnie sen, nie zostaną nawet wychłostane, widać, jeszcze się nie obudziłam i śpię w baszcie przed rozprawą a za chwilę obudzi mnie głos strażniczki, lub którejś z moich kurw, lecz na razie słyszę jego głos, matowy, spokojny głos Syriusa Aznara.

- Wracajcie, dziewczyny, do swojego burdelu, skoro nie umiecie nic innego robić, ale bądźcie przynajmniej uczciwymi prostytutkami. Choć, ty, Annabello, miałybyś jeszcze szansę skończyć szkołę, paru słów nauczyć się po angielsku, złapać robotę w Long Wave jako sprzątaczką. Kto wie, może nawet jakiś tu-

rysta by się z tobą ożenił, jakiś starszy pan, wdowiec, przecież jesteś ładniutka, pomyśl o tym.

To jednak nie był sen, naprawdę im odpuścił; kaprys złego bożka?

- A może ma słabość do młodych lasek? - szepnęła druga Laura. - Poproś Juanitę, żeby ci przyniosła sukienkę, wiesz którą...

- Pogięło cię? Myślisz, że w ogóle patrzył na nie jak na dziewczyny? Najwyżej wzbudziły w nim litość lub odrazę; tak, bożek mógł poczuć wstręt, i nie chciał niedomytych, cuchnących ofiar, plunął nimi, jak jaguar zepsutym mięsem.

Lecz gest, który po chwili wykonał, nie wyrażał obrzydzenia, nie było go w machnięciu szerokiej masywnej dłoni, kwitującym nagły pisk Annabelli, szczęśliwy, wniebogłosy pisk, gdy rzuciła się siostrze na szyję; a co było w tym geście? politowanie? ironia? wzgarda? żadne z tych słów mi nie pasowało, a wtem rozbrzmiały w myślach dwa inne, zupełnie nie z tej parafii, i były jak dwa strzały w dziesiątkę: rezygnacja, zmęczenie, zrozumiałam - to był gest zrezygnowanego, zmęczonego człowieka, co macha już na wszystko ręką.

**WE WTOREK ZEZNAWAŁ KANADYJCZYK, TEN CHUDY,
CO MU PRZYJEBALAŁAM**

za to, że nawrzucał mi od suk, jestem pewna, że od tego dnia, kiedy mnie rozpoznawał na komendzie, tyłka nie ruszył z Santa Inez i cały czas mieszkał w Volcano, robił swoje amatorskie filmy

i rozmyślał o odwecie, który weźmie na sali sądowej, bo strasznie mnie nienawidził, czułam pierwsze w życiu tchnienie czyjejs nienawiści i to od razu z najgrubszej rury, podejrzewam, że gdyby mógł, rozdeptałby mnie tymi swoimi bocianimi nogami na miążę; miałam wrażenie, że z nienawiści jeszcze schudł, i nagle przypomniał mi się film o trupie, co wylazł z grobu, żeby pomścić krzywdy doznane za życia, byłam na nim z Matyldą, siedziałyśmy w pierwszym rzędzie pustawego kina „Paradize” na Zamkowej, żarłyśmy chipsy, a ona z pełną buzią powtarzała: Kurde, jakby do mnie taki przyszedł, chyba bym się zesrała w majtki, a ty nie, Laura? Lecz we mnie ten cały zombie budził raczej wesołość niż strach, podobnie jak teraz Kanadyjczyk, kiedy z błyskiem w oku polazł na miejsce dla świadków, „tak, rozpoznałem ją podczas okazania i tu, na sali, też poznaję, po wszystkim, a zwłaszcza po wyzywającej minie i po głosie, czy Wysoki Sąd może kazać jej coś powiedzieć?”, „niech oskarżona powie coś, cokolwiek”, no to oskarżona, patrząc na chudego faceta, pyta: jak się pan czuje? czy klimat wyspy służy? sala zamiera z oburzenia, Bibi ryje, sędzia daje znak, że wystarczy już próbki głosu, a Kanadyjczyk triumfalnie obwieszcza, że o proszę, ten sam ton i ta sama bezczelność! a ja zrobiłam się taka bezczelna po wczorajszym wyroku na dziewczyny, Aznar okazał łagodność, więc już się go mniej bałam, już nie siedziałam jak mysz pod miotłą.

Po chwili ze zdziwienia normalnie opadła mi szczęka, bo okazało się, że koleś nie potrafi rozpoznać żadnego z chłopaków, łącznie z Bibim, mimo jego charakterystycznych, tlenionych dre-

dów; nie, źle mówię: nie to mnie zdziwiło, bo w ciemności i w szoku pewnie niewiele zauważył i zapamiętał, ale - że się do tego przyznawał, nie rozumiem, ja na jego miejscu twardo mówiłabym: to ci, choćbym nie pamiętała, powiedziałabym, że pamiętam, i choćby nawet mieli na twarzach maski, przysięgałabym, że nie było żadnych masek i na dwieście procent każdego poznaje, no bo jak się mścić to się mścić, co nie?, a ten palant tymczasem tarł łysinę i marniał o uczciwości, która nie pozwalała mu, a zwłaszcza po upływie tak długiego czasu itede, więc złapałam wiatr w żagle i pomyślałam, że przynajmniej z tego jednego spróbuję ich wybronić.

- Wysoki Sądzie - powiedziałam, gdy Aznar wezwał mnie na miejsce dla świadków. - Akurat w tym wypadku oskarżeni są niewinni. To znaczy wszyscy oprócz mnie, bo faktycznie, to ja tego pana zwabiłam do Gaju Świętych, ale pobił go ktoś zupełnie inny...

- To znaczy kto? - Z ciemnej, indiańskiej twarzy, spojrzały na mnie oczy rozbawione, prawie figlarne; bo oczywiście w mig przejrzał moją grę, ale przez uczciwość tamtego pierdoły był bezradny.

- Inne chłopaki. Nie znam ich. Po prostu, spotkałam taką grupkę koło portu i...

- Chce mi oskarżona wmówić, że mając do dyspozycji stare, sprawdzone komando, zdecydowała się ni stąd ni zowąd na jakichś nowicjuszy?

Bezwiednie się uśmiechnęłam, bo lubię facetów z poczuciem humoru.

- Musiałam, Wysoki Sądzie. Massena pochłał poprzedniego dnia i był nie do użytku.

A wtedy Aznar nie zdołał utrzymać powagi i pierwszy raz usłyszałam jego śmiech; dziwny był - niby szyderczy, mieszający z błotem, ale gdzieś tam na dnie pobrzmiwały cieplejsze tony.

- Ale kłamie dziewczynka, ale kłamie. Jak tygrysica broni swojego kochasia. A który jest tym szczęśliwym wybrańcem? Pewnie sam szef, zgadłem?

Milczałam, a on przestał się śmiać.

- Skoro byliście kochankami, nie musicie przeciwko sobie zeznawać, a nawet nie będę was karał za fałszywe zeznania, jeśli skłamiesz w jego obronie albo on w twojej. Więc jak? Byliście czy nie?

- Tak. Chodziłam z nim.

- Co mam zapisać, panie sędzio? - spytał szeptem staruszek protokolant, nachylając się do Aznara.

- Że oskarżona Laura Santiliana oświadcza, iż była konkubina oskarżonego Barnabasa Masseny. Massena, byłeś jej kochankiem?

Bibi podniósł się z ławy oskarżonych.

- No - powiedział, przeciągając sylaby - chyba wiadomo. Bo to raz poszła ze mną do fortów i na zaplecze u Don Alexandra? Całe Podzamcze może potwierdzić.

Wśród publiczności rozległy się chichy-śmichy, a do mnie po dwóch latach dotarło wreszcie, że Bibi jest kretynem.

SYRIUS POMYŚLAŁ W TYM MOMENCIE TO SAMO,

bo tylko kretyn potrafi tak przesrać życie: miał śliczną dziewczynę, której wszyscy *reptiles* mu zazdrościli, za rok, dwa Wuj dopuściłby go do interesu, a wtedy kosiłby grubą forszę, dla niej i dla siebie, i mogliby się bez końca bawić w Carmazine Club, a jakby fantazja przyszła, nawet w Puerto de las Aguilas w najdroższych dyskotekach, po ślubie zaś osiadłby ze śliczną dziewczyną daleko od Podzamcza, na zachodnim brzegu wyspy, gdzie inni wzbogaceni *reptiles* mają już od lat swoje ha- cjendy, i tam urodziłaby mu dzieci, najlepiej córki, Syrius uśmiechnął się w myślach, podobnie jak ich mama ładniusie, które posłaliby do renomowanych szkół na kontynent albo obstawili prywatnymi nauczycielami; lecz Barnabas Bibi Massena był głupi, niecierpliwy, chorobliwie ambitny, taki młody wilczek, co ledwie odrósł od ziemi, już chce dowodzić watahą, i przez te mrzonki, dla kilku samochodów, dla dwudziestu paru tysięcy dolarów, zaryzykował całą przyszłość, swoją i dziewczyny; i dziś oboje są skończeni, choć jeszcze sobie tego nie uświadamiają, jeszcze nie rozumieją, że przegrali wszystko, a zwłaszcza młodość, bo w Carrera każdy rok to dziesięć lat, więc wyjdą stamtąd jako wraki, przedwcześnie postarziali, bezzębni, pokręceni przez reumatyzm; wielokrotnie

prosił Negrido, żeby choć odrobinę poprawił warunki w tym więzieniu a przynajmniej zdymisjonował naczelnika Sancheza, Buldoga Śmierci, ale - nie uzyskał nic oprócz mglistych obietnic.

POTEM ZNOWU ZEZNAWAŁ KANADYJCZYK

i opowiadał jak go biliśmy w Gaju Świętych, to znaczy ja i ci nieznani chłopcy, co się ulęgli w mojej głowie, pięć razy na wszystkie świętości przysięgałam, że nie było tam ani Masseny ani jego brata ani nawet Estebana, bo upili się poprzedniej nocy i padli pokotem, „naprawdę nie rozpoznaje pan napastników?” - naciskał Syrius, a Kanadyjczyk swoje, że było ciemno, a poza tym upływ czasu, prawie pół roku, obraz się zatarł i „Wysoki Sąd rozumie, nie chciałbym pochopnie nikogo oskarżać, bo zapamiętałem tylko dziewczynę”.

- Ona też pana biła?

- Tak, trzy albo cztery razy uderzyła mnie w twarz. Trochę się uniosłem i określiłem ją być może niezbyt parlamentarnym słowem i to w niej wywołało agresję.

- Czy oskarżona uderzyła tego pana?

- Nie, Wysoki Sądzie. Natomiast on faktycznie używał okropnie wulgarnych słów. Starszy człowiek nie powinien tak się wyrażać przy młodzieży.

Chłopaki ryknęli śmiechem, a publiczność była gotowa mnie zlinczować.

- Oj, Laura, Laura - westchnął Syrius i stuknął w stół swoim sędziowskim młotkiem, a było w tym jakieś podobieństwo do wczorajszego machnięcia ręką.

- Dobrze, koniec na dziś.

SAMA NIE ROZUMIAŁAM, CZEMU GO PROWOKUJE,

działając na własną zgubę, bo przecież jedynym ratunkiem była totalna skrucha, powinnam kajać się, przeproszać Kanadyjczyka, obiecywać poprawę, a przede wszystkim płakać, płakać i jeszcze raz płakać, ludzie najpierw mówiliby: dobrze jej tak, niech ryczy, ale w końcu komuś by serce zmiękło, a potem drugiemu, trzeciemu i już poszłoby łańcuszkiem, bo współczucie jest zaraźliwe jak grypa, i przed ogłoszeniem wyroku ludzie byłiby po mojej stronie, a wiadomo, że sędziowie skazują pod publiczkę i nie lubią, kiedy sala wyje i tupie; a zresztą może i sam Aznar nabrałby się na moje łzy? więc dlaczego to robię? dlaczego gram przed nim jeszcze gorszą, niż jestem, jeszcze bardziej cyniczną - zastanawiałam się długo w noc, gdy czarna rura baszty od pierwszego podestu aż po szczytowe blanki rozbrzmiewała chrapaniem i pierdzeniem śpiących więźniów, a ja leżałam na wznak na mojej środkowej pryczy, bezsenna i zagubiona, kurwa nade mną, złodziejka pode mną, a we mnie pytanie bez odpowiedzi: czemu to robię? dlaczego tak z nim gram?

I oczywiście nie tamtej nocy, ani nie następnej, lecz w ciągu wielu, wielu innych nieprzespanych w baszcie, u Juanity, i póź-

niej, w Puerto de las Aguilas, zaczęła saczyć się myśl, że ten człowiek, Syrius Aznar, wypełnił nagle pustkę po moim ojcu, co odbierałam jak przemocą dokonaną adopcję; widzisz, jaka jestem?! naprawdę chcesz taką córkę?! - pytałam wyzywającym spojrzeniem na sali sądowej, by potem, z baszty, zza grubych stalowych krat zanosić do niego dziecięce błaganie: nie mam ojca, panie sędzio, bo oddalił mnie od siebie w Miami, kazał wracać na Santa Inez, gdy miałam trzynaście lat i już go nigdy więcej nie zobaczyłam, choć bardzo chciałam i przejechałam wzdłuż i wszerz całe Stany, szukając go nadaremno, i nie mam też Boga, bo przestałam w Niego wierzyć, kiedy przyłączyłam się do reptiles; przez ostatnie lata popełniłam wiele złych uczynków, których żałuję i przysięgam, że się poprawię, ale błagam, niech pan zmiłuje się nade mną, weźmie za rękę i poprowadzi, wywiedzie z tej matni, bo nie mam żadnego innego przewodnika, i tylko pan może nim być, panie sędzio.

W ŚRODĘ ZEZNawali DWAJ STUDENCI,

Juan i Mario, którzy opowiedzieli o wszystkim z detalami aż do momentu, kiedy Bibi zajechał im drogę, a potem w ich opowieści była luka, bo mały, słodki Mario wstydził się publiczności, podobnie jak wcześniej na komendzie Pabla Mediny, wąsatego zakapiora, a Juan widocznie uszanował wolę przyjaciela i solidarnie z nim milczał, zatem ani sędzia Aznar ani nikt inny na sali nie dowiedział się, że tamtej nocy w głowę Maria celowała nie tylko lufa colta, lecz także druga, z rozporoka Bibi Masseny wymierzona w usta, które już posłusznie otworzył, szlochał, ale

otworzył i gotów był ssać, jednak w ostatniej chwili krzyknęłam, że dość, kurwa, tego cyrku, „chcesz, żebym więcej się ciebie nie dotknęła?”, a Bibi widać nie chciał, bo zapiął spodnie i pozwolił zaryczanej kupce nieszczęścia wstać z klęczek; i teraz w sądzie Mario ani razu nie spojrzał w stronę ławy oskarżonych, ode mnie też od- wrócił wzrok, kiedy szłam na miejsce dla świadków, ' gdzie potwierdziłam, że wszystko, co opowiedział są- dowi było prawdą, wkręciłam ich obu, udając amerykańską małodatę, która urwała się spod opieki tatusia i nad ranem poprosiłam, żeby zawieźli mnie na prom na Isla de las Rocas.

- Nie wiedzieli, że najbliżej jest Aleją Pacyfiku? - spytał Aznar.

- Nie znali wyspy, Wysoki Sądzie. A poza tym nastraszyłam ich, że na głównych drogach jeżdżą patrole, dlatego lepiej przez las.

- Rozumiem, że kierowca nie był całkiem trzeźwy?

- Dokładnie.

Na sali rozległy się pojedyncze śmiechy, bo ludzi na ogół bawi, że ktoś wypił i miał problem z glinami, a ja pomyślałam w tym momencie, jakby zareagowali na prawdziwą, nieokrojoną opowieść o wypadkach tamtej nocy - też śmiechem, jak głupi motłoch, czy raczej odrazą, której odprysk ze sprawcy przeniósłby się także na ofiarę? w każdym razie Mario wołał nie ryzykować i milczał, więc nie dowiedział się pan, panie sędzio, że Laurę Santilianę stać czasem na dobre uczynki a przynajmniej nie do końca

złe, bo istniała granica, której nigdy nie potrafiła przekroczyć, choć nie wiem, czy Mario był mi wdzięczny, raczej wątpię w to, i w ogóle nie bardzo potrafię sobie wyobrazić i nawet nie chcę, co czuje facet do dziewczyny, która widziała jak klęczy przed innym facetem i upokorzony, płaczący szykuje się do obciążania a to, że go obroniłam, musiał odebrać jako przejaw litości, bo istotnie nie było niczym więcej niż litością okazaną jego łzom i upodleniu, lecz naprawdę do dzisiaj nie wiem, jak powinnam się zachować, zostać tam z nim? powiedzieć, że jest super? może jeszcze dać mu dupy? nie, tego zrobić nie mogłam, i to nie tylko ze względu na Bibi Massenę, ale przede wszystkim dlatego, że Mario mnie brzydził, normalnie rzygać mi się chciało, i tamtej nocy i teraz w sądzie, na widok jego farbowanych loczków i gładziutkiej buźki rozpieszczonego jedynaka; i nagle, gdy tak rozmyślałam, stojąc na miejscu dla świadków, spojrzałam w kierunku ławy oskarżonych, na twarz Bibi Masseny, jego szczupłą sylwetkę i wąskie ramiona, po których spływały długie, białe dredy, i choć znałam na pamięć, jak zły szeląg, każdy szczegół jego wyglądu, było tak, jakby oto objawił się moim oczom inny Bibi, drobny, chudy, zniewieściały, odważny jedynie z czterdziestą piątką w dłoni i napakowanym Estebanem u boku; pasowali do siebie: on i Mario, dwa śliczne chłopczyki, więc powinni do śmierci zostać razem na poboczu leśnej drogi i wzajemnie robić sobie loda, a z mojego życia won, wypierdalać, raz na zawsze, obydwaj! i wtedy, przez kontrast z nimi, pierwszy raz uświadomiłam sobie, jak atrakcyjnym facetem jest Aznar, od początku wydawał mi się przystojny, ale u mężczyzny uroda niewiele znaczy, muszą ją wspo-

móc inne cechy, a w jego wypadku był ich cały szwadron i właśnie na mnie zaszarżował; nie potrafiłam jeszcze każdej z osobna określić, podobnie jak Kanadyjczyk nie rejestrował w szoku wyglądu napastników, tyle wiedziałam, że mój sędzia o pięć klas przewyższa wszystkich których dotąd znałam, nie wiem, co wcześniej blokowało to spostrzeżenie, jego toga, mój strach, pewnie cała nasza relacja, że mnie tu skutą przyprowadzają z baszty, a on przychodzi sobie po porannej kawie, ludzie wstają i sterczą na bacność, póki nie siądzie za stołem i nie stuknie drewnianym młotkiem; chyba Kissinger twierdził, że władza jest najlepszym afrodyzjakiem, ale to nie do końca prawda, w każdym razie na mnie ten afrodyzjak słabo działa, miał na Podzamczu wielką władzę Wuj, ciągnął mnie do wyra, i nic, zero, bo w życiu bym się nie dotknęła gościa podobnego do sowy, i tak samo, gdyby teraz za stołem sędziowskim siedziała jakaś sowa, ropucha albo szczur, to nawet za cenę uniewinnienia, poważnie mówię, chyba nawet za wolność nie rozłożyłabym nóg, bo taka już jestem, lecz ty, Syriusie Aznarze, mógłbyś skazać mnie na dziesięć lat, a mimo to spędziłabym z tobą noc, ostatnią noc przed transportem do Carrera, jeśli byś tego pragnął; od zmierzchu do świtu miałbyś Laurę Santilianę, swoją podsąd- ną.

Złękłam się, że odgadł, co się we mnie dzieje, bo nagle wzrok mu dziwnie sposepniał.

ZACZYNA GRAĆ SEKSAPILEM, POMYŚLAŁ SYRIUS

i od tej chwili starał się unikać spotkania ich oczu, gdyż Laura coraz silniej kojarzyła mu się z Eleonorą, a zwłaszcza tą najpo-

wabniejszą i najbardziej oddaną, Eleonorą na Isla de las Rocas, która dołączyła do niego krótko przed inwazją sandinistów.

A JA ZNOWU ROZMYŚLAŁAM O NIM W CELI

bogatsza o poczynione tego dnia odkrycie, rozmyślałam jak o mężczyźnie, sama sobą zdumiona, bo dotąd po prostu miałam swojego faceta, ale on istniał tylko realnie, na zewnątrz, nigdy zaś w mojej głowie, a Syriusa nie miałam i wiedziałam, że mieć nie będę, a mimo to dziesiątki i setki myśli krążyły wokół niego, próbując rozszyfrować każdy gest, minę, spojrzenie na mnie, w każdym jego słowie doszukiwałam się ukrytego, głębszego sensu, i przeklinałam własną głupotę, bo gdybym inaczej żyła i nie robiła tych wszystkich numerów, mogliśmy się spotkać gdzieś indziej, nie w sali sądu, to znaczy może nawet i tam, ale ja przyszedłabym w zupełnie innym charakterze, na przykład jako tłumaczka z angielskiego, przecież jak zeznaje jakiś gringo to chyba biorą tłumacza, co nie? i Syrius zwracałby się do mnie: pani Laura, albo bardziej poufale: Laurko, i zaprosiłby mnie potem na kawę, albo w ogóle - mogłam skończyć szkołę i pójść na prawo, a po dyplomie byłabym jego koleżanką, co prawda już nie taką młodziutką laską, ale za to z klasą, w długim płaszczu od Saint-Laurenta i elegancką torebką, stać by mnie było, bo prawnicy zarabiają kupę szmalu, a on, skoro tyle czasu się nie ożenił, to i wtedy, po moich studiach byłby do wzięcia; dokładnie takie myśli produkowała moja siedemnastoletnia głowa, lecz nawet i do niej w końcu dotarło, że już po herbacie, żadną tłumaczką ani prawniczką nie zostanę, tylko pojedę w transporcie do Carrera, skąd

wrócę za kilka lat jako stara, ohydna rozpadowa, na którą poleci najwyżej jakiś ostatni menel z Podzamcza; a najgorsze jest to, że Syrius już dzisiaj patrzy na mnie z odrazą, odwrócił wzrok, kiedy stałam na miejscu dla świadków; no bo kim ja jestem? zwykłą kryminalistką, dziwką Bibi Masseny, i w momencie, gdy to sobie ostatecznie uświadomiłam, zaczęłam głośno, histerycznie płakać, aż pobudziłam moje kurwy i złodziejkę, które pocieszały mnie jedna przez drugą, bo to były naprawdę dobre kobiety, „nie martw się, niuńka, ja też byłam w Carrera”, „ja też dostałam barty”, „wszystko minie, przeżyjesz, zobaczysz”, i tak dalej, tak dalej w tym stylu, a ja patrzyłam w poruszające się rybie, bezzębne usta i szlochałam coraz głośniej.

NAJGORSZY BYŁ CZWARTEK,

kiedy wałkowano sprawę tych dwóch Jankesów, którzy dostali zastrzyki; żaden nie stawił się na rozprawę, ani zbok od jaszczurki ani tłusta świnia, ale Medina odczytał ich zeznania złożone na policji, a później zeznawał biegły, jakiś lekarz, czy pigularz z Cordoby, i powiedział, że to co im wstrzyknęliśmy, jest bardzo silnym środkiem, po którym się mogli przekreślić, a wiadomo było, że zbokowi w bungalowie ja wstrzyknęłam, nawet znaleźli pompkę z moimi odciskami palców, czyli - mały włos, a odpowiadałabym teraz za zabójstwo, czego się domyślałam, byłam pewna, że dawka jest za mocna. „Oskarżona bała się, że mężczyzna umrze?” - spytał Aznar, „A to nie? Wysoki Sądzie, sama mało na serce nie zesłam, jak zaczął dygotać i miotać się po podłodze.”

- A czego konkretnie oskarżona się przestraszyła? - indagował znużonym, cierpliwym głosem, a ja się zdziwiłam, co za głupie pytanie.

- Byłabym morderczynią, a za to jest stryczek, co nie?

- Tylko strach przed karą? Żadna inna refleksja nie naszała?

Nie pamiętam, co odpowiedziałam, chyba coś w rodzaju, że nie chciałam, żeby umarł, bo rzeczywiście: nie życzyłam mu śmierci, jedynie bardzo zły człowiek albo opętany nienawiścią może życzyć komuś śmierci, a co ja miałam do tego gościa, poza tym, że budził moje obrzydzenie? ale ty, Syriusie, otworzyłeś we mnie jakąś klapkę, to była sokratejska heureza, którą wobec mnie zastosowałeś, choć oczywiście nie miałam wtedy pojęcia o Sokratesie, i twoje kolejne, proste pytania były niczym uderzenia w mur, latami przeze mnie budowany dla obrony przed wszystkim, co poczytywałam za słabość i sentymentalizm, albowiem dziewczyna z Podzamcza musi być bezwzględna, dziewczyna od *reptiles* nie wzrusza się byle czym, lecz po kolejnym twoim ciosie mur skruszał, i nagle którejś nocy zapłakałam nad człowiekiem z jaszczurką, tak, Syriusie, myślałam o nim, przypominałam sobie jego ciało znieruchomiałe na podłodze bungalowu i po twarzy płynęły mi łzy, gdyż dzięki tobie dotarło do głupiej Laury Santiliany, że nie wolno krzywdzić, czymś nieludzkim jest krzywdzić, nawet taką maskarę, takiego pieprzonego zboka.

Prokuratora zainteresowało, czemu powtórnie zastosowaliśmy zastrzyk, skoro poprzednia ofiara omal nie umarła,

i czy również za drugim razem ja wbijałam igłę; milczałam, a potem powiedziałam, że nie pamiętam, kto z nas wbił, „na pewno nie ja, Wysoki Sądzie” - z pominięciem niskiego, szpakowatego prokuratora zwróciłam się wprost do Syriusa.

- Barnabas Massena?

- Nie, na pewno nie on.

Ale Syrius wiedział, że kłamię, bo potrafił odtworzyć w wyobraźni przebieg zdarzenia, zupełnie jakby rozegrało się na jego oczach, więc od razu każdemu przypisał właściwą rolę: Esteban i Carlos trzymali tłustego knura, już ogłuszonego bejsbolem, a Bibi zrobił mu szprycę; i nie mylił się, tak dokładnie było, ale ja nie chciałam obciążać Masseny, dlatego zasłoniłam się niepamięcią.

A potem on zeznawał, zauważyłam, że z dziwnym wyrazem twarzy idzie na miejsce dla świadków, jakby szykował się do sprawienia niespodzianki i już smakował jej efekt, odgarnął dredy, usłyszałam pierwsze słowa, i gdyby nie ta jego chrypa i poświst przy wyrzucaniu sylab, nie uwierzyłabym, że to wszystko mówi Bibi Massena.

- Wysoki Sądzie, środek usypiający miała Laura Santiliana, nie wiem od kogo dostała, bo nie chciała powiedzieć, i w obu wypadkach ona go użyła, nie żaden z nas. Oświadczam: to ona była bossem, ona organizowała każdą jedną akcję. Zawsze miała już upatrzonego gościa i tylko mówiła nam, gdzie mamy czekać. Ja, mój brat, Esteban i Jose byliśmy wyłącznie wykonawcami, którym płaciła po dwieście, trzysta papieru, zależy, za ile obzeniła

samochód. A ja nawet nie mam pojęcia, komu te bryki sprzedała, taka prawda, i nie będę jej już dłużej osłaniał, powiem tylko, że kochałem Laure Santilianę, bardzo kochałem, wydawała mi się całym moim życiem, i dlatego dałem się jej w to wszystko wmanewrować, a jeszcze wciągnąłem młodszego brata.

Bibi ukrył twarz w dłoniach i udawał, że płacze, a może autentycznie płakał, bo po zeznaniach tego biegłego, zrozumiał, że sprawa jest poważna, prawie ociera się o zabójstwo, więc i kara na pewno będzie odpowiednia, a zatem trzeba się ratować za wszelką cenę.

Syrius słuchał wpatrzony w sędziowski stół, jakby kontemlował swoje dłonie, które na płask przed sobą wyciągnął, śledził ruch mocnych, grubych palców, co unosiły się, wyginały, przesuując opuszkami po blacie aż nagle całą dziesiątką rozczapierzyły się drapieźnie, jak u kota wysuwającego pazury.

- Jak wiesz, w 87 zastrzeliłem brata twojej matki, Josego Rubio - powiedział do Masseny, a ten, podobnie jak cała sala nie zrozumiał związku, więc spojrzał pytająco, bez cienia nienawiści, jaką powinno w nim wywołać takie przypomnienie. - To był bezwzględny, okrutny bandyta - mówił dalej Syrius, ale nie do niego, lecz do swoich palców, którymi w rytm słów uderzał po stole, jak gdyby akompaniował sobie na niewidzialnej klawiaturze - Gorszy od twojego ojca i od ciebie, bo wy nie macie krwi na rękach, a Jose Rubio zamordował wielu ludzi, i dlatego w tamtą Wielkanoc musiał umrzeć. A wiesz, Massena, o co mnie przed śmiercią prosił? - Zawiesił głos, a Bibi przecząco potrząsnął głową - Chciał,

żebym oszczędził Manuele, jego żonę a twoją ciotkę. I wziął na siebie całą winę, choć wszyscy na wyspie wiedzieli, że była jego współniczką. El comandante, niech pan jej nie zabija, ona nie uczyniła nic złego - tak mówił do mnie ze łzami w oczach twój wuj, a ja powiedziałem: dobrze, Jose, tylko ty umrzesz, Manueli przebaczę, bo uszanowałem w nim tę resztkę człowieczeństwa.

A wtedy publiczność zrozumiała, po co Syrius przywołał historię sprzed pięciu lat, więc rozległ się szmer szeptów i chóralne trzeszczenie ławek, bo ludzie, głęboko poruszeni, nachylali się ku sobie, żeby skomentować jego słowa, i tylko jeden Massena, nie mając się ku komu nachylić, samotny na miejscu dla świadków, nerwowo bawił się dreadami i kręcił szyją.

- Jeśli Rubio jest na tej sali, to patrzy teraz na ciebie jak na śmiecia. A przecież my, Indianie, wierzymy w duchy przodków. Prawda, synku?

I to był drugi cios, który mu zadał, zupełnie zresztą nieświadomie; to tylko ja wiedziałam, że Bibi chciał koniecznie uchodzić za czystej krwi białego i wypierał się swoich indiańskich korzeni.

W PIĄTEK PRZYBYŁ MI NA POMOC DOBRY CHŁOPAK,

który o 9.30 zgłosił się do mojego adwokata, starego sklero-tyka, co ani razu podczas procesu nie odezwał się, by mnie bronić, aż publiczność była oburzona i momentami próbowała go nawet zdopingować: no gadaj coś, dziadek, do cholery, chyba za darmo tu nie siedzisz! a on ani mru-mru, zasznurowane usta, jakby się bał, że wypadnie mu sztuczna szczeka, więc kiedy Luis

powiedział, kim jest i w jakich okolicznościach poznał jego klientkę, staruszek nie zrozumiał, co to w ogóle ma wspólnego ze sprawą i przestraszył się, że ktoś nasyła fałszywego świadka, a za fałszywych świadków adwokat może być pozbawiony prawa wykonywania zawodu; ale Luis nie poddał się, spojrzął nerwowo na zegarek i w te pędy pobiegł schodami do gabinetu Aznara, gdzie zastał go pijącego kawę i palącego ostatniego papierosa przed zejściem do sali, ostatniego papierosa przed ostatnim dniem rozprawy, jak powszechnie mniemano, cała wyspa spodziewała się, że dziś zostaniemy skazani, albowiem sędzia zawsze kończył procesy w piątek, by mieć już z głowy i spokojnie spędzić weekend w swoim domku na Isla de las Rocas bez rozmyślania o złodziejach i rabusiach; i chyba dla mnie pierwszej złamał tę regułę, „w związku z tym, że przed chwilą zgłosił się nowy świadek, którego zeznania w ocenie sądu są dla sprawy istotne”; i zapowiedział, że wyroki wyda w poniedziałek, a ja dopiero w celi zrozumiałam, w czym rzecz i dlaczego aż taka zwłoka, przecież na pewno już wczoraj zdecydował, ile lat każdemu z nas zaserwuje i opowieść Luisa mogła przesunąć ogłoszenie tego góra o parę minut, bo dłużej nie trwała; ale Aznar, wysłuchawszy jej nabrał widać wątpliwości i potrzebował dodatkowego czasu do namysłu, zatem nam wszystkim, całej ławie oskarżonych przyszło zaczekać do poniedziałku, choć oczywiście wyłącznie o jeden wyrok chodziło, o mój wyrok.

Wielkie zapanowało na sali zdziwienie i napięcie, prokurator kręcił palcami młynka, a ławnicy szeptali między sobą, kobieta o

chudej końskiej twarzy i dwóch starszych gości, „Sąd Najwyższy zmusił mnie, żebym ich dopuszczał do procesów, no to siedzą w kacie i udają, że współdecydują, zupełnie jak sowiecki parlament”, drwił Syrius cynicznie; później dowiedziałam się, że ta baba domagała się dla mnie drakońskiej kary.

- Proszę powtórzyć to, co mi pan mówił w gabinecie.

A smagły, wysoki Luis, jak wtedy w koszulce z Bobem Marleyem, stanął na miejscu dla świadków i zaczął tak:

- Nazywam się Luis Alvarez, mieszkam w Cordobie i jestem mechanikiem samochodowym. Mniej więcej pół roku temu, choć niestety nie pamiętam dokładnej daty, wiem tylko, że była to sobota, przyjechałem na Santa Inez samochodem mojego szefa, pana Burciagi, to znaczy chciałem powiedzieć: przypląnąłem promem, ale samochód...

- Jasne, wszyscy rozumiemy - uśmiechnął się Syrius Aznar. - Co to był za marka?

- Toyota corolla, czarna, pan Burciaga czasem mi pożycza, tak jak wcześniej mojemu bratu, bo też u niego pracował. Zatrzymałem się w hotelu „Posejdon”, bo oczywiście nie stać mnie na te czterogwiazdkowe w Long Wave, za dnia popalałem się na plaży, a wieczorem wpadłem na kolację do pizzerii przy Alei Pacyfiku, i tam zobaczyłem dziewczynę i dwóch albo trzech chłopaków, mniej więcej w moim wieku, to znaczy, dziewczyna być może była trochę młodsza.

- Czy ci młodzi ludzie są teraz na tej sali?

- Tak, Wysoki Sądzie, siedzą tam - Luis wskazał ławę oskarżonych. - Ja i tego z białymi dreadami na pewno poznaję, co do innych nie mam stuprocentowej pewności, a, i nie było wtedy z nimi tego wysokiego. - Palec świadka pokazał Josego, który siedział między Bibim a Estebanem.

A potem popatrzyliśmy na siebie, ja Luiz, i odniosłam wrażenie, że Syrius specjalnie pozwolił na przedłużające się spotkanie naszych spojrzeń, nie przerywał i obserwował nas w tym czasie, i dopiero gdzieś po minucie poprosił o dalszy ciąg zeznań.

- No i dziewczyna podeszła do mojego stolika, żeby pożyczyć przypraw do pizzy, miała podobną koszulkę jak ja, też z Bobem, więc zaczęliśmy gadać o reggae i nagle ona się pyta, czy nie chcę pojechać do Gaju Świętych, że tam jest jakiś klub, ona załatwi... przepraszam, nieważne.

- Śmiało! Powiedziała, że załatwi blanta, tak?

- Dokładnie, Wysoki Sądzie. Ja nie jestem żaden ćpun, tylko czasem w weekend po pracy lubię się wyluzować. Ja wiem, że to nielegalne, ale...

- Kapitan Medina właśnie zatkał uszy. Prawda, Pablo?

Szef policji jak chomik poruszył wąsami i przytaknął.

- I pojechał pan z dziewczyną do tego klubu?

- Tak, choć trochę się dziwiłem, że na Santa Inez jest klub, którego nie znam, bo z Roberto w każdym jednym balowaliśmy, ale skoro ona miejscowa, to się lepiej orientuje, pomyślałem, i

tylko spytałem jej się, czy te chłopaki też jadą, bo mi się nie za bardzo spodobali z wyglądu, niby ten jeden nosił dredy, ale... nie budzili zaufania, a ona, że nie, że to tacy tam dalsi znajomi, akurat byli w pizzerii, to się do nich przysiadła, i faktycznie bez problemu się z nimi rozstała, nie protestowali, że ją zabieram, no i pojechaliśmy moim samochodem, to znaczy się pana Burciagi, do Gaju Świętych, a po drodze zapytała co tu robię, więc powiedziałem, że lubię Santa Inez, nawet więcej: że to moja miłość, i od lat tu przyjeżdżam, a dawniej przyjeżdżaliśmy we dwóch z Roberto. Twój kumpel? - spytała. - Nie - mówię - brat. Umarł dwa lata temu na raka mózgu. - To wszystko musi ci się z nim kojarzyć, każda plaża, każda knajpa, ja bym chyba na twoim miejscu zmieniła rewir. - Dlaczego? Przecież wiem, że tu gdzieś jest jego dusza, czuję to, rozumiesz? Pamiętam jego słowa w szpitalu: Luis, nie odpuszczaj Santa Inez, baw się za nas dwóch, a ja ci z chmurki będę kibicował, bo już wiedział, że lekarze są bezradni...

- Rozumiem, że przytacza pan teraz swoją rozmowę z dziewczyną?

- Tak. Powiedziałem jej, że Roberto na pewno się cieszy, że ją poznałem, bo zawsze chciał, żebym poznał na Santa Inez fajną laskę, a ona nagle mi wpół słowa przerwała: nie skręcaj do Gaju, jedź prosto! Pytam, czemu, czy coś się zmieniło, OK, rozumiem, nie każdy lubi smutne historie, przepraszam, jeśli popsulem nastrój, a wtedy mi się przyznała, że to wystawka, i tamci jadą za nami passatem i dopadną mnie, kiedy skręcę z Alei Pacyfiku, tak było zaplanowane, ale po tym, co jej opowiedziałem, ona nie

przyłoży do tego ręki. I faktycznie siedział mi na ogonie czerwony passat, zgub ich, mówi, a potem wyrzucić mnie przy stacji benzynowej, i tak zrobiłem, Wysoki Sądzie, a kilka dni temu przeczytałem w gazecie, że w Granada del Mar aresztowano gang, który właśnie w ten sposób rabował samochody, i było jej zdjęcie, więc pomyślałem, że przyjadę i jak to opowiem, to może dostanie mniejszy wyrok, jakoś przecież muszę się odwdziżyć.

PROKURATOR ZAGRZMIAŁ, ŻE ŚWIADEK JEST PODSTAWIONY,

i część publiczności, ta najbardziej do mnie uprzedzona, zaczęła szemrać i syczeć, głównie kobiety syczały jak gęsi, a któraś z dalszych rzędów krzyknęła: to jej kochanek! mówi to, co mu każała! ale Syrius pieprzył w stół drewnianym młotkiem, i powiedział, że sprawdził, „po rozmowie z nim natychmiast zadzwoniłem do kliniki Santa Cruz w Cordobie i rzeczywiście dwa lata temu umarł tam na glejaka mózgu dwudziestoletni Roberto Alvarez”; a drugi telefon wykonał do pana Burciagi, właściciela warsztatu samochodowego, gdzie obaj bracia pracowali, i pan Burciaga wyrażał się o Luisie w samych superlatywach, złota rączka i uczciwy, spokojny chłopak, tak go scharakteryzował, „zresztą chyba wystarczy na niego spojrzeć” - zakończył Syrius, i syczenie ucichło, ludzie gremialnie zaczęli potakiwać, a Luis, przed chwilą jeszcze smutny, że mu nie wierzą, uśmiechnął się łagodnie, jak to on, i rozluźniony opuścił miejsce dla świadków.

A POTEM BYŁY KOŃCOWE MOWY,

bo taki jest w sądzie zwyczaj i rytuał, że przed wyrokiem wszystkie strony ostatni raz się mogą wypowiedzieć, i najpierw skorzystali z tego adwokaci, a w pierwszej kolejności adwokat obu Massenów, drobny, pulchny Alfredo Machado, o którym cała wyspa wiedziała, że nie jest synem rybaka Estebana Machado z ulicy Portowej, lecz znanego nowojorskiego prawnika, amatora latynoskich plaż i dziewczuch, więc za dolary przysyłane przez naturalnego ojca mógł się uczyć w najlepszych szkołach na kontynencie, a potem skończyć prawo na uniwersytecie w Puerto de las Aguilas, bo nowojorski papcio, choć nie dał nazwiska, uczciwie troszczył się o los chłopaka i chciał, by tak samo jak on został adwokatem; i to właśnie Alfredo Machado był wynajmowany przez Wuję, ilekroć jakiś jego ulubieniec wpadał w tarapaty, więc także bronił Bibi Masseny i, na doczepkę, jego młodszego brata, a ponieważ w ich wypadku niewiele miał argumentów, powtarzał w koło Macieju, że są młodzi i głupi, aż byłam zdumiona, że jedną, prostą myśl ktoś potrafi wyrazić na tyle sposobów; a po nim po raz pierwszy odezwał się mój obrońca i wymamlał dwa czy trzy zdania, których nikt nie zrozumiał, tylko pojedyncze słowa, w tym liczebnik siedemnaście, co pewnie odnosiło się do mojego wieku, czyli argumentował podobnie jak przedmówca: młoda, głupia, niech Sąd się zlituje; po czyni o litość skamleli sami oskarżeni, stając kolejno na miejscu dla świadków ze zwieszonymi łbami zbitych psów i łzami w oczach; „ja już w życiu niczego nie ukradnę ani nikogo nie uderzę”, chlpał Esteban; Carlos opowiedział, jak w dzieciństwie leczył mewę ze złamanym skrzydłem; a niewyuczalny Bibi, niepomny

na ducha Josego Rubio, po raz drugi mnie obsrał, lecz teraz bardziej poetycko, za cholere nie wiem jak jego prymitywny mózg wysmażył takie cudne zdanie, że j byłam mu niezbędna niczym powietrze płucom, beze j mnie normalnie dusił się, „dusiłem się, Wysoki Są- j dzie”, powtórzył z emfazą, a kto nie wiedział, że Bibi j od dziecka ma taki głos, mógł pomyśleć, że naśladuje agonalne rżenie, wywołane przez nieludzką grę Laury Santiliany, jako że według logiki jego przenośni byłam inhalatorem usuwającym bezdech; lecz owej łaski doznawał wyłącznie po wykonaniu rozkazu, czyli to ja rządziłam, ja dowodziłam, a on robił za mojego żołnierza; spostrzegłam grymas na twarzy Syriusa i byłam pewna, że ten tekst będzie kosztował Massenę dodatkowy rok w Carrera, aż chciałam krzyknąć: kretynie, zamknij się, przecież się pogrązasz, ale oczywiście nie krzyknęłam, bo totalnie mnie przestał obchodzić, nawet jego zdrada nie bolała, jak mogła boleć, skoro sama go zdradziłam? na mej więziennej pryczy, dziesiątki razy od zmierzchu do świtu, choć niestety tylko w myślach i marzeniach; a mężczyzna, z którym to zrobiłam, wykonał gest, jakby strzepywał ze stołu jakiś paproch, i Bibi z głową wciśniętą w ramiona podreptał z powrotem na ławę oskarżonych; Laura Santiliana - usłyszałam i naprawdę wolałabym, żeby w jego głosie zabrzmiała niechęć lub pogarda, tak, nawet pogardę łatwiej zniosłabym od tej intonacyjnej szarzyzny, z jaką wymówił moje imię i nazwisko, jak gdyby w ogóle nie odnosiły się do człowieka, lecz były zwykłą zbitką dwóch wyrazów, w rodzaju „pudełko zapalek”, więc nieszczęsne pudełko zapalek podeszło i zaczęło mówić.

- Wysoki Sądzie - powiedziałam do mikrofonu, z którym już byłam na tyle obyta, że wyczuwałam w jakiej odległości trzymać usta od membrany, żeby nie produkować tego cholernego pogłosu. - Panowie adwokaci i oskarżeni zwalali wszystko na młody wiek i głupotę, a ja się z tym nie zgadzam i nie mam zamiaru się w taki sposób bronić, bo po pierwsze wcale się nie uważam za głupią, skoro w szkole, póki nie zaczęłam wagarować, miałam same najwyższe oceny, a po drugie, według mnie, to w ogóle nie o to chodzi, bo żeby odróżnić dobro od zła, nie potrzeba żadnej wielkiej inteligencji, to nie jest układ równań czy rozbiór zdania, i nawet totalny kretyn wie, że nie wolno zabijać ani kraść i tak dalej, a jeśli to robi, to nie z głupoty, ale dlatego, że jest złym człowiekiem i powinien zostać ukarany, tak uważam, więc nie proszę o łagodność, bo na nią nie zasłużyłam, po prostu zdaję się na Wysoki Sąd i jeśli nawet dostanę duży wyrok, nie będę się czuła skrzywdzona.

A JAKO OSTATNI PRZEMÓWIŁ PROKURATOR

i zaczął od tego, że właśnie go wyręczyłam, „oskarżona Santiliana wyraziła dokładnie moją myśl, istnieją, owszem, nieliczne przestępstwa dające się usprawiedliwić młodym wiekiem i głupotą, na przykład kradzież cukierka, ale czyny, których dopuścili się oskarżeni w sposób oczywisty nie należą do tej kategorii, a tak tytułem wtętu - oskarżona Santiliana bynajmniej nie wypowiedziała tutaj swoich szczerych przekonań, lecz jedynie z większym wyrefinowaniem niż jej współlnicy udawała skruchę, trudno bowiem uwierzyć w autentyczność podobnej refleksji moralnej u oso-

by, która onegdaj jeszcze cynicznie drwiła z ofiary przestępstwa, Wysoki Sąd, ławnicy i wszyscy zgromadzeni na tej sali pamiętają jednak jej wredny żarcik, że starszy pan nie powinien przeklinać przy młodzieży, lecz potem uznała snadź (wtedy pierwszy raz w życiu spotkałam się ze słówkiem „snadź”), że bardziej opłaca się jej inna postawa, oskarżona Santiliana jest bowiem inteligentna i nie wątpię, że w szkole mogła się dobrze uczyć, powiem więcej: choć między bajki wkładam freudowski bełkot oskarżonego Massey o seksualnym szantażu złowrogiej *femme fatale*, to jednak przyjmuję za pewne, iż górowała nad nim znacznie, i jeśli dla ich przestępczego duetu, dla Laury Santiliany i Barnabasa Massey, poszukać analogii historycznych, natychmiast na myśl przychodzi caryca Katarzyna Wielka i jej ograniczony umysłowo małżonek, *toutes proportions gardees*^{*10}, ma się rozumieć, Wysoki Sądzie!", Syrius, uśmiechając się, odparł: *oui, natur ellement*, a ja, choć nic z tego nie rozumiałam, wyczytałam z jego oczu, że robi sobie jaja z prokuratora, i że jego humor jest z o wiele wyższej półki niż dowcipy, którymi bawił mnie Bibi, na ogół kretyńskie i obsceniczne, nic w nich nie było śmiesznego, to znaczy dla mnie, bo on się z nich śmiał, sam z własnych kawałów, a jeszcze pięć razy powtarzał puentę i dopytywał: dobre, Laura, co nie? a ja wtedy myślałam, że jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to tylko za faceta, co będzie mnie umiał naprawdę rozśmieszyć, bo lubiłam się śmiać, i dziś już wiedziałam, że takim facetem byłby Syrius, siadywalibyśmy wieczorem na werandzie przy lampce wina,

¹⁰ *Toutes proportions gardees* (fr.) - z zachowaniem wszelkich proporcji (przyp. red.)

a on opowiadałby mi o prokuratorze, który zgrywał strasznie wykształconego i innych zabawnych wydarzeniach z sądu, więc skąż mnie, panie sędzio, prosiłam, patrząc w jego nieruchomą indiańską twarz, gdy ze znużeniem słuchał przemowy oskarżyciela, wyznacz mi karę, na jaką zasłużyłam, nawet surowszą niż domaga się ten dupek, ale potem, gdy już wrócę z więzienia, daj mi naszą werandę i nasze wieczorne rozmowy przy winie, i nasze noce, i moje czekanie na ciebie, kiedy będziesz wychodził z domu do tej sali, i chciałam jeszcze prosić o wiele, wiele innych rzeczy, które tylko on mógłby mi ofiarować, ale prokurator skończył mówić, a Syrius Aznar przypomniał, że wyroki ogłosi w poniedziałek, w poniedziałek o dziesiątej rano,

PO CZYM STUKNAŁ MŁOTKIEM I POJECHAŁ W GÓRY NA ISLA DE LAS ROCAS

i już o siedemnastej znalazł się na nadmorskiej przełęczy między Monte Bajo a pierwszymi turniami Sierra Blanca, gdzie szosa się rozwidlała; zawsze jechał na zachód, ku następnym, coraz wyżej i wyżej położonym przełęczom, by pokonawszy niezliczone stromizny i ostre zakręty nad urwiskami, w dwie godziny dotrzeć do serca gór, Kotliny Ciszy, jak ją nazwał, ze srebrzącym się pośrodku jeziorem, któremu - jako że z dobrym skutkiem zarzybił je łososiem - dał miano Lago de los Salmones i nad którego brzegiem zbudował bungalow. Lecz tego dnia wyjątkowo postąpił inaczej, zamiast prosto, pojechał w prawo, szutrową drogą, okrążającą nadbrzeżną skalę, a potem wraz z kaskadami potoków stromo opadającą ku morzu, na wąski, kamienisty cypel, przecię-

ty u nasady dwuszeregiem betonowych słupków, ponurych nosicieli kolczastego drutu, co kilkunastoma liniami jeżył się między nimi i przekreślał widok na szare budynki z pustaków; Syrius zatrzymał land rovera na wprost bramy, albowiem jej dwuskrzydłowa gęsta krata była końcem drogi, złowrogim zaślepieniem, a dalej rozciągał się już inny świat, a także inny czas, odmierzany rytmicznym uderzaniem fal o zaporę z głazów, którą wzniesli przed półwieczem pierwsi więźniowie; wysiadł i poszedł w stronę wartowni, a z niej, niby trzy kukułki z zegara, wyskoczyli natchmiast mężczyźni w ciemnogramatowych mundurach, policzek przy policzku stali w progu zaciskając dłonie na peemach, czujnie wpatrzeni w przybysza i jakby wsłuchani w chrzęst żwiru pod jego butami; a Syrius pomyślał w tym momencie, że nad hełmami trzech strażników powinno się umieścić znany cytat z Dantego, ogromny billboard z literami na kilka stóp, żeby już z góry, z przełęczy każdy, kto jedzie drogą, mógł przeczytać, *lasciate ogni speranza, voi ch'entrate*^{*11}; lecz zamiast tego była jedynie mała, czerwona, urzędowa tabliczka, zawieszona nad drzwiami wartowni - Zakład Karny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

A JA W TYM CZASIE ROZMAWIAŁAM Z JUANITĄ,

bo przyszła mnie odwiedzić, przynosząc cukierki z marmoladą i swą rozpacz, „Laura, on cię wyśle do Carrera”, zawołała, tuląc mnie w drżących od płaczu, bezsilnych ramionach, a potem to samo powtarzała, siedząc przy stole i roniąc łzy na jego kamienny

¹¹ *Lasciate ogni speranza, uoi ch'entrate* (wł.) - Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie - napis nad bramą piekła wg Dantego (przyp. red.)

blat, a ja zastanawiałam się, ile to już hektolitrów łez opłukało ten stół, stojący na podwórku baszty, przy którym raz na tydzień pozwalano aresztantom porozmawiać piętnaście minut z kimś z najbliższej rodziny, oczywiście pod kontrolą strażnika, a w tym wypadku była to Gracja Gomes, wysokie, okropnie masywne babsko z nieproporcjonalnie małymi, wylupiastymi oczami, co wyglądały jak dwa paciorki przyszyte do szerokiej, z gruba ciosanej gęby, niespełniona koszykarka, a przy tym szkolna koleżanka Juanity, więc okazywała mojej siostrze sporo współczucia, razem martwiły się, że mogą nie przeżyć Carrera, i oczywiście robiły to na głos, aż wreszcie nie zdzierżyłam i powiedziałam, że to dopiero muzyka przyszłości, a póki co zjedzmy te marmoladki; i pierwsza wsunęłam dłoń do torebki, a zaraz dołączyła Juanita, która od dziecka była łakomczuchem, Gracja Gomes trochę się krygowała, czyjej wypada jako funkcjonariuszowi, ale w końcu dała się skusić.

NATOMIAST SYRIUS ODMÓWIŁ, KIEDY MAJOR SANCHEZ POCZĘSTOWAŁ GO MARTELLEM,

dziękuję, ale niestety prowadzę, i nie mam ochoty skończyć w jakiejś przepaści, „po jednym kieliszku?“, zdziwił się przymilnie Buldog de la Muerte, ale schował butelkę do barku obok wielkiej szafy panczernej, postawionej tak, że zasłaniała oba okna gabinetu, co było celowe, gdyż naczelnik obsesyjnie bał się strzału właśnie przez okno, który roztrzaska mu potylicę, gdy będzie pracował przy biurku, czytając stertę raportów od oddziałowych, bo musieli mu je składać dwa razy dziennie, rano i wieczorem, na

piśmie informować szefa jak minął dzień i jak przeszła noc, a jeśli niespokojnie, to z czyjej winy; a taki winowajca i mąciciel spokoju musiał potem iść ponad pięćdziesiąt metrów, od bramy aż do pierwszych baraków, nago, przez szpaler strażników i kalifaktorów z ratanowymi prętami, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem i jeszcze raz i jeszcze, a kiedy padał, polewano go ze szlauchu, stawiano na nogi, a Sanchez kazał kontynuować marsz, i dopiero lekarz więzienny w ostatniej chwili zatrzymywał go na progu śmierci, stary doktor Hirsch, ponoć ukrywający się nazista.

Dlaczego nazywają go buldogiem? - zastanawiał się Syrius, patrząc na szpakowatego pana o pociągłej twarzy, który z drugiej strony biurka, zza okularów w ciężkiej, rogowej oprawie świdrował go spojrzeniem bladoniebieskich oczu; gdyby nie mundur, kojarzyłby się z nauczycielem albo drobnym urzędnikiem, a jeśli już z psem, to raczej ze starym, posiwiałym wyżłem albo dobermanem.

- Panie majorze - powiedział Syrius cichym, matowym tonem, jakim zwykle zwracał się do oskarżonych - nie zamierzam przed panem ukrywać, że jestem przyjacielem ministra Negrido, jak również, że połowa wyższych urzędników w resorcie to moi koledzy z wojska. I dlatego żywię nadzieję, że odniesie się pan przychylnie do mojej prośby.

- O co pan prosi, panie sędzio? - spytał Sanchez, a w jego głosie nie było unżenia.

- W poniedziałek przyślę panu czworo młodych przestępców, bardzo młodych, najstarszy z nich ma dwadzieścia dwa lata.

- To smutne, ale ostatecznie przestępczość młodocianych...

- Wierzę, że będzie ich pan traktował jak surowy ojciec - przeważał Syrius. - Powtarzam: jak surowy ojciec, a nie jak Buldog Śmierci!

Po czym wstał i bez pożegnania opuścił gabinet, a Sanchez po chwili wybiegł za nim, dogonił przed budynkiem komendantury i aż do bramy szli razem, krok w krok, choć podstarzały major z trudem nadążał, a w jego słowa wdzierła się zadyszka i głośnie, jakby kataralne sapanie przez nos; „Panie sędzio, proszę mi wierzyć, że ci młodzi ludzie będą traktowani zgodnie z regulaminem, a nawet, skoro pan nalega, z pewną łagodnością, ma się rozumieć w granicach rozsądku”; to stąd ten buldog - odgadł Syrius, przypomniawszy sobie że tak właśnie sapał Gramo, maskotka escuela militar, ukochany buldożek francuski pułkownika Ramireza.

DWIE GODZINY PÓŹNIEJ, *JUŻ PO ZMIERZCHU*, DOJECHAŁ DO SWOJEGO BUNGALOWU,

otworzył piwo, i manewrując anteną tranzystorowego telewizorka, złapał na kanale sportowym transmisję meczu Las Aguilas, którym kibicowali wszyscy Leopardos, więc kiedyś co sobota chodził z Eleonorą na Estadio Grande, by razem z Negrido i innymi oficerami zasiąść w łoży prezydenta Guzmána i dopingować ukochaną drużynę; lecz dzisiaj Orły zostały rozgromione pięć do

zera przez mistrza Urugwaju i odpadły z Co- pa Libertadores, nie pomógł nawet lewoskrzydłowy, Carlos Muneco, okrzyczany przez media objawieniem sezonu i porównywany z Garrinchą; taki z ciebie Garrincha jak ze mnie Placido Domingo - mruknął Syrius, gdy Muneco w osiemdziesiątej minucie przestrzelił rzut karny, zaprzepaszczając jedyną szansę na honorowego gola; a potem wyłączył telewizor i wyszedł przed bungalow, na pomost, który sam zbudował, po pas stojąc w lodowatej wodzie i uderzeniami piętnastofuntowego młota wbijając zaostrome pale w kamienne jeziorne dno; jestem stuprocentowym facetem, pomyślał z ironią, wypilem piwo, obejrzałem mecz, a wcześniej własnymi rękami wzniosłem dom i wszystko tu wokół zmajstrowałem, ten pomost i stół na nim i dwie ławy, tak jest, chłop ze mnie chwacki, ale co z tego, skoro nikomu to niepotrzebne, zupełnie jak powieść napisana przez grafomana do szuflady, no zaprzeczcie, chociaż przez grzeczność - zwrócił się do milczących mnichów w czarnych habitach, szpiczastych turni, stojących wokół jeziora; cóż że nieraz u ich stóp baraszkował z jakąś młodą Indianką, one wiedziały, że przybywa tu sam i odjeżdża sam, a ze swych myśli i wspomnień nie kobiecie się zwierza, ale im, przyjaciołom z kamienia, od których bardzo chciał się nauczyć nieczułości, lecz nie potrafił.

A kiedy siedział nad wodą, spowity w półsen i starą indiańską derkę, nagle z ciemności przybiegł na pomost wielki, biały pies i ułożył mu się przy nogach, stary Rex, owczarek Marii Luizy i Miguela którzy mieszkali opodal, chowając czteroletniego Syriusa, jego imiennika, i trójkę młodszego drobiazgu; a to sąsiedztwo

wzięło się stąd, że kilka miesięcy po tamtym pierwszym liście otrzymał następny, tym razem od nich dwojga: „nie śmiemy prosić, el comandante, ale pomyśleliśmy sobie, że u nas nad jeziorem pewnie by się Panu spodobało, bo jest naprawdę bardzo pięknie, a my możemy zbudować dom, żeby miał Pan gdzie odpoczywać po pracy”; przyjechał więc i z mężem Marii Luizy przez wiele dni ścinał drzewa na zboczach i zbierali okrągłe kamienie, po czym z pomocą mułów zwieźli budulec nad jezioro i wzniesli z niego podmurówkę i ściany, a pracując, niemal cały czas milczeli, a jeśli wymieniali jakieś słowa to tylko w związku z robotą, i dopiero, kiedy skończyli i stanęli obok siebie, z samozadowoleniem chłonąc wzrokiem zgrabną bryłę bungalowu, Miguel wyciągnął spod bluzy piersiówkę whisky, poczęstował Syriusa i podziękował mu za Marię Luizę, „bo gdyby pan ją zastrzelił, nie miałbym dziś najlepszej na świecie żony, a moje dzieci najlepszej na świecie matki, więc, jeśli pan chce, el comandante, ona będzie tu do pana w nocy przychodziła” - mówił chudy, zgarbiony Indianin, z psią miłością patrząc Syriuszowi w oczy. Lecz on mu odparł: nie, Miguel, to jest twoja kobieta i tylko twoja, nie dziel się nią z nikim, ale pilnuj jak największego skarbu i bądź dla niej dobry, bo zanim cię poślubiła, nie miała łatwego życia.

Wypili do końca whisky, Miguel przyniósł z domu drugą butelkę, z którą siedli na ganku bungalowu, a gdy i w tej pokazało się dno, Indianin spytał nagle:

- El comandante, czy to prawda, że po każdym uderzeniu bauta wylatywały z niej złe duchy?

I wyjaśnił, że wie to od samej Marii Luizy; czuła, że podczas chłosty demony opuszczają jej ciało, większość przez usta, a niektóre przez inne otwory — i tu Manuel z zażenowaniem spuścił wzrok.

- Nie - zaprzeczył Syrius. - Nie mogły z niej uciekać, bo po prostu nie było ich w niej, rozumiesz? ona nie była złą dziewczyną, tak jej przecież powiedziałem, tylko bardzo głupią i dlatego omamiło ją bandziorskie złoto.

- Pan jest człowiekiem wykształconym - rzekł cicho Miguel - a ona prostą indiańską kobietą. Ale mam prośbę: niech jej pan pozwoli w to wierzyć i nie wyprowadza z błędu.

- I dlatego, Rex, nigdy nie powiedziałem twojej pani, że jej jedynym złym duchem był Sergio Morales - Syrius potarosił owczarka między uszami, a ten w odpowiedzi ziewnął głośno i przeciągle; puszysty ogon szybkim wahadłowym ruchem jął omiatać deski pomostu.

A POTEM ZASTYGLI W CISZY, PIES I CZŁOWIEK,

przytuleni do siebie na brzegu górskiego jeziora, aż świt rozświetlił nad nimi grań; Syrius wsłuchany w spokojny równy oddech zwierzęcia pomyślał, że owczarki, i w ogóle psy z długim pyskiem, w przeciwieństwie do buldogów nie sapią przez nos, i wtedy przypomniały mu się wysapane obietnice majora Sancheza.

- Wiesz, Rex, ludzie mówią, że ktoś łyże jak pies, ale to gównu prawda, i gdybyś ty mi coś obiecał, wierzyłbym, że dotrzymasz, natomiast Sanchezowi nie wierzę, w ani jedno jego słowo.

Wstał z pomostu, i owczarek również się podniósł, po czym obaj, przeciągając się, rozprostowali kości.

- Tak, piesku, nie potraktuje tych dzieciaków lepiej, wprost przeciwnie: przy pierwszej sposobności odegra się na nich za moją wizytę.

Już wiedział, że zrobił błąd, przyjeżdżając do Sancheza; chciał im choć trochę pomóc, głównie Laurze i młodszemu Massenie, a tymczasem tylko dorzucił do piekielnego ognia, silniej rozniecił płomień, przez co męka, na którą skaze ich w poniedziałek, będzie zapewne jeszcze gorsza; niech więc jak najdłużej trwa sobota i niedziela, pomyślał, rozglądając się po bungalowie za wędką i puszką z robakami.

SYRIUS CAŁĄ SOBOTĘ I NIEDZIELE ŁOWIŁ ŁOSOSIE,
A JA PRZECZYTAŁAM OD DESKI DO DESKI *HISTORIĘ
KAWALERA DE GRIEUX I MANON LESCAUT*^{*12},

która mi się spodobała, choć w tamtym czasie nie przepadałam za książkami, i tylko ten de Grioux mnie wkurwił, że taki mięczak, powinien wziąć laskę za leb i mocno potrząsnąć, żeby się uspokoiła, no ale on miał chyba tyle samo lat co ona, więc trudno wymagać stanowczości od dzieciaka; a Manon to była

¹² *Historia kawalera des Griewc i Manon Lescaut*, znana również jako *Manon Lescaut* - słynna XVIII-wieczna powieść Antoine'a Prevosta (przyp. red.)

dziewczyna bardzo podobna do mnie, z temperamentu i w ogóle, takie laski potrzebują dorosłego, twardego faceta, co by się z nimi nie cackał, wiadomo, kogo miałam na myśli.

TLR

MINAŁ WEEKEND

i w poniedziałek o 10.30 Gracja Gomes skuliła mi ręce i nogi i wyprowadziła z celi na podwórko baszty, gdzie już stali Bibi, Carlos, Esteban i Jose, również w kajdanach, pilnowani przez ludzi Mediny; tak to się odbywało każdego dnia procesu: zbierano nas na dole, po czym wszyscy rzędkiem przechodziliśmy przez stalową furtę na spaceriak, wciśnięty między basztę, budynek komendy oraz boczną ścianę sądu i w niej była następna stalowa furtka, a potem już tylko ciasny, ciemny korytarz wiodący do sali rozpraw, wąskie przejście wyłącznie dla personelu i oskarżonych, bo publiczność wchodziła od frontu, przez wykładany marmurem hol, a Syrius bocznymi drzwiami, za którymi, ale tego dowiedziałam się dopiero wiele lat później, znajdowały się schody do jego gabinetu i prywatnego apartamentu, toteż czasem, jak mówił, kusił go, żeby przyjść na rozprawę w kapciach i w szlafroku. Normalnie każdego dnia zaczynało się punkt 10-ta, ale dziś była obsuwa, pół godziny spóźnienia, bo ludzi przyszło dwa razy więcej niż zwykle i wszyscy koniecznie chcieli usłyszeć wyrok na sali a nie z megafonów ustawionych na placu; doszło do przepychanek a nawet bójki, komuś złamano nos, innemu przydeptano rękę, policaje psikali gazem i machali pałami, ale dopiero Syrius towarzystwo spacyfikował, ostrzegając, że jeśli natychmiast nie zapanuje spokój, rozprawa odbędzie się bez publiczności „i poznacie, państwo, wyrok z jutrzejszej prasy, bo megafony też każę wyłączyć”, więc ustał szturm na drzwi, ci z przodu przeszli przez

kordon, który się rozstąpił, ci z tyłu posłusznie zostali na placu, i o wpół do jedenastej Ama- deo Garcia, woźny sądowy, co miał głowę i pysk jak monstrualne, czerwone jabłko, z kaprałską intonacją zakomenderował: proszę wstać, Sąd idzie! albo nawet bez „proszę”, tylko po prostu: wstać! a wtenczas wszyscy poderwali tyłki ze swych z trudem wywalczonych miejsc i z wyczekiwaniem spojrzeli w stronę bocznych drzwi; a te po chwili otworzyły się, i w sali pojawił się Syrius Aznar, mój prekolumbijski bożek w czarnej todze laminowanej czerwonożółtą tasiemką, niespiesznym krokiem podszedł do swego ołtarza, po czym zasiadł za nim z twarzą jak zwykle na początku rozprawy groźną i nieruchomą, lecz dziś zauważyłam na niej zmęczenie, szary kurz bezsenności, a także charakterystyczne, sztywne napięcie w oczach, będące następstwem źle przespanej nocy, co doskonale znałam z lustra, bo sama często noce zarywałam, do świtu balując na dyskotekach; i faktycznie wyglądało, że chce wszystko raz-dwa zakończyć i wrócić do łóżka, gdyż bez żadnych wstępów przeszedł do rzeczy.

I poleciało szybką serią:

Pierwszy Bibi.

- Barnabasi Massena, stałeś na czele gangu, który z twojej inicjatywy popełnił szereg poważnych przestępstw, a jeszcze wciągnąłeś do niego młodszego brata, Carlosa i można powiedzieć, użyłeś całego swego autorytetu, żeby chłopaka zdemoralizować. Jak podły masz charakter, świadczy także i to, że usiłowałeś tchórzliwie przerzucić główną część winy na Laurę Santilianę swoją współpracowniczkę i kochankę. Skazuję cię...

Bibi zasłania twarz, jakby się chronił przed ciosem.

- ... na pięć lat więzienia oraz czterdzieści batów, które dostaniesz publicznie na placu przed basztą.

Bibi obraca się jak gówno w muszli klozetowej i spływa na ławę oskarżonych; jego miejsce zajmuje Esteban.

- Estebanie Ruiz, ze swoimi wielkimi mięśniami byłeś pierwszym gorylem Masseny, brutalnym, tępym i nieczułym jak drewniana pałka, którą uderzałeś ofiary w głowę. Skazuję cię na trzy i pół roku więzienia i czterdzieści batów, które...

Końcówkę zdania zagłusza płacz Estebana, mięśniak szlocha jak dziecko.

Po Estebanie - Jose, kretyn o wzroście żyrafy.

- Pan prokurator powiedział onegdaj, że jedynym przestępstwem popełnionym z głupoty jest, według niego, kradzież cukierka, i ta myśl poniekąd stosuje się do ciebie, Jose Balbueno, dwumetrowy dryblasie z mózgiem pięciolatka, ty dokonując tych wszystkich czynów, rzeczywiście tylko kradłeś cukierek. Skazuję cię na rok więzienia z możliwością zamiany na trzyletnią służbę wojskową. Co wybierasz?

Jose wybałusza oczy, zdumiony, że dostał wybór, w dodatku tak dla niego oczywisty.

- Wiadomo, że wojo. Może potem pójdę na zawodowego...

I jak długi baton, cały nadziany szczęściem, wraca na miejsce.

A teraz ja. Wcale nie mam nóg jak z waty ani nie wydaje mi się, że to wszystko sen, bo tak często ludzie opisują swoje wyjście naprzeciw przeznaczeniu; idę pewnie, normalnie, nic nie odmawia posłuszeństwa, stoję na miejscu dla świadków, przytomnie rejestruję każdy szczegół, nawet to, że jeden z ławników nerwowo międli w palcach chusteczkę higieniczną, widać przed chwilą wysmarkał się, i nie wie, co z nią zrobić.

- Jesteś bardzo zdemoralizowaną dziewczyną, Lauro Santiana i to na własne życzenie, bo w przeciwieństwie do swoich współników nie wychowałaś się wśród kryminalistów. Nie wiem, co skłoniło cię do zejścia na taką drogę - młodzieńczy bunt, wpływ twojego kochanka, czy pokusa łatwych pieniędzy? myślę, że wszystko po trochu. Na szczęście uchowało się w tobie jakieś szczątkowe dobro, skoro oszczędziłaś Luisa Alvareza.

Stałam bez ruchu i tylko gdy wspomniał o Massenie, potrząsnęłam przecząco głową, czego nie spostrzegł, mimo uwagi puścił mój rozpaczliwy sygnał, że się myli - bunt, tak, kasa też, ale nie Bibi, bo nigdy, przenigdy nic do gnojka nie czułam!

- Skazuję cię na karę piętnastu batów, którą otrzymasz publicznie przed basztą oraz na dwa lata więzienia z warunkową zamianą na areszt domowy.

Wirówka w głowie, wiem, że nie wolno się odzywać, samo się wyrwało:

- Nie pójdę do Carrera?

- Rzuciłem ci koło ratunkowe, i radzę skorzystać z szansy. -
Jakie ty miałaś wtedy oczy! jeszcze nikt nigdy tak na mnie nie pa-
rzył, niczyj wzrok tak nie obezwładnił; wiem o tobie wszystko,
wszystko mogę z tobą zrobić - mówiło spojrzenie Syriusa Aznara,
a ja bez lęku, ufnie, jak w ciepłym, wełnistym obłoku pragnęłam
zanurzyć się w jego wszechwiedzy i wszechmocy.

A po mnie jeszcze skazał Carlosa - na dwa lata w zawieszeniu.

DOPIERO, KIEDY WRACAŁAM DO CELI, W KORYTARZU
SĄDU ALBO JUŻ NA SPACERNIAKU, UŚWIADOMIŁAM SO-
BIE, ŻE CZEKA MNIE PIĘTNAŚCIE BATÓW,

przerazająco bolesna a przede wszystkim poniżająca kara; raz
jeden Bibi wyciągnął mnie, żebym się popatrzyła na chłostę i do-
łączyliśmy do ogromnego zbiegowiska między Atalaya Roja i
dwoma halami kupieckimi, a na ich dachach i galeryjkach też
stłoczyli się gapie, większość z lornetkami; skazańca całkowicie
gołego, z merdającym fiutem, wprowadzono na podest pod ścia-
ną baszty i przykuto do pochyłej drabiny, zawsze tam stała w
charakterze złowrogo memento, nogi w dybach, ręce nad gło-
wą coraz wyżej i wyżej, bo podciągano go na linkach, ciało napre-
żyło się jak struna, zachrypiały megafony, palce stóp rozpaczliwie
szukały oparcia, czytano wyrok, a ja wyrwałam się Massenie i
przeciskając się przez tłum, uciekłam w dół Zamkową, ścigana
świstem bicia i krzykiem, co brzmiał dziwnie znajomo i już na
Podzamczu przypomniałam sobie, że słyszałam go wielokrotnie
w dzieciństwie, ten ryk, ten kwik, bo na Juareza była przed wojną
rzeźnia i szlachtowano w niej świnie.

Lecz Gracja Gomes, obie kurwy i złodziejka chórem przekonywały, że mam fart, ponieważ chłosta trwa tylko kilka minut a w Carrera spędziłabym dwa lata, gdyby mi sędzia nie zamienił na areszt domowy, „zresztą tam też by cię bili, codziennie, nawet byś nie wiedziała za co, mnie dwa razy pędzili przez szpaler a tych nieoficjalnych kar to w ogóle nie potrafię policzyć”, i złodziejka wyjaśniła mi co to jest szpaler, że pod koniec czołgała się już po ziemi a oni ciągle siekli i siekli, a major Sanchez wołał: do nogi, suka! i wszyscy się śmiali, również współwięźniarki z jej celi; „więc, powiadam ci, niuńka, ty powinnaś klęknąć przed sędzią Aznarem i przez tydzień za friko mu ciągnąć z wdzięczności”; i tym ostatnim zdaniem zahaczyła o zawodowe poletko kurew, z których jedna nie zrozumiała, że to przenośnia.

- Sędziemu? A co on, na śmietniku znalazł, żeby mu go ssala jakaś...

Nie dokończyła, bo trzasnęłam ją na odlew w ryj, aż poleciała na kratę

I ZA TO DO SOBOTY SIEDZIAŁAM W IZOLATCE,

a w tym czasie, o czym nie wiedziałam, ważyły się moje losy i niewiele brakowało, a pojechałabym jednak do Carrera, bo matka kategorycznie nie zgodziła się, żebym odbywała areszt u niej, na Juareza, „panie sędzio, dlaczego mnie pan tak strasznie karze?!” szlochała w gabinecie Aznara „to już nie jest moja córka, już od dwóch lat, od kiedy zaczęła włóczyć się z tymi bandytami, więc czemu mam płacić, żywić, pilnować, żeby nie uciekła, a jesz-

cze pan sędzia mówił o jakichś profesorach, a mnie naprawdę na to nie stać"; chodziło o to, że Aznar kazał dyrektorowi liceum zorganizować dla mnie normalną szkołę w domu, przysyłać na Juareza belfrów od wszystkich przedmiotów, żeby wpajali mi wiedzę, zadawali prace, robili klasówki, kartkówki, odpytywali, stawiali stopnie i tak aż do matury, przez dwa lata, najpierw druga klasa, którą zawałam, bo przestałam chodzić, a potem trzecia; dodatki za wizyty domowe wypłacałaby belfrom Rada Prowincji, tak Aznar uzgodnił z gubernatorem Lopezem, matka pokrywałaby tylko chesne, a to w państwowej szkole były grosze, zresztą póki się uczyłam, płaciła bez mrugnięcia okiem, lecz teraz snadź (od prokuratura przejęłam słówko) uznała, że na wyrodną córkę nie warto łożyć nawet stu pesos miesięcznie, „i w ogóle, panie sędzio, po moim trupie, jeśli ją do mnie przyprowadzicie, przetnę sobie żyły, choć wiem, że samobójcy idą do piekła, ale wolę śmierć i piekło niż mieszkać z nią pod jednym dachem!"

- Zdaje sobie pani sprawę, że w tej sytuacji będę musiał wysłać Laurę do Carrera? - spytał Aznar.

- I dobrze! Tam jej miejsce! - odpowiedziała moja matka, a ja oczywiście nie miałam pojęcia o tej rozmowie i najbliższą przyszłość wyobrażałam sobie tak jak wynikało z wyroku - że zostanę wychłostana po czym wrócę do domu; i dopiero w piątek Juanita oświeciła mnie, że będzie inaczej.

- U nas zamieszkas. Na Rybackiej.

- Nie u matki?

- Sędzia uznał, że na Podzamczu mogą cię nękać *reptiles*, a poza tym nauczyciele baliby się przychodzić do takiej dzielnicy.

Niby tłumaczyła sensownie, ale wyczułam w jej słowach fałsz, bo siostra nie umiała dobrze kłamać i domyśliłam się, że matka mnie nie chce, a Juanita z delikatności to przede mną ukrywa, i może nie tylko z delikatności, może boi się przyznać mi rację, gdyż zawsze jej powtarzałam, że w naszej pobożnej, zapracowanej i skrzywdzonej przez los mamusce siedzi świnia, i teraz wyszłoby na moje; nie chciałam drążyć tematu, ale nie byłabym sobą, gdybym nie spytała, co u matki i czemu ani razu nie przyszła mnie odwiedzić, nawet dziś, chociaż wie, że jutro w południe będę chłostana, na mieście już podobno rozlepili obwieszczenia, a zatem powinna mnie wesprzeć na duchu, potrzymać za rękę, przytulić, pocałować, a oczywiście mówiłam to wszystko z ironią, czytelną nawet dla Juanity, więc myślałam, że ze łzami w oczach spyta, czemu taka jestem, taka nieczuła i cyniczna, lecz zamiast tego objęła mnie i powiedziała, że gdyby tylko mogła, „gdyby mi pozwolono, Lauro, wzięłabym jutro za ciebie te baty”, naprawdę była gotowa przyjąć mój ból i hańbę na swoje drobne plecy, wiedziałam to, przecież Juanita nie potrafiła kłamać.

A NA MIEŚCIE RZECZYWIŚCIE WISIAŁY OBWIESZCZENIA,

na oficjalnych słupach ogłoszeń oraz na drzewach, płotach, latarniach i wszędzie gdzie się dało, więc także przy drzwiach szpitala, w którym pracowała Juanita, i na skrzynce elektrycznej obok domu matki; były tego setki i tysiące, toteż każdy mieszka-

niec Granada del Mar, każdy przechodzeń, choćby tylko wyskoczył do kiosku po papierosy, co i rusz natrafiał oczami na białą płachtę z nagłówkiem sądu okręgowego, „podaje się do publicznej wiadomości”, ludzie przystawali w grupkach i czytali, „iż w sobotę, o godzinie dwunastej, przed basztą zamkową od strony hal kupieckich wychłostani zostaną następujący przestępcy”, dwukropek i nasze nazwiska oznaczone numerem porządkowym od 1 do 3; Bibi był oczywiście jedynką, Esteban dwójką, a trójką ja, Laura Santiliana, urodzona 14 grudnia 1975 w Granada del Mar w okręgu Santa Inez, córka Teresy i Juana, zamieszkała, i tak dalej, potem wykaz moich przestępstw, za które otrzyma - i tu zdanie zamykała pogrubiona i wypiętrzona nad resztę tekstu cyfra 15; do dziś przechowuję jeden egzemplarz, który zerwałam z drzewa na Rybackiej, gdy mnie wieźli z aresztu do siostry, a ściśle zerwał go na moją prośbę mój kurator, „powieś se nad łóżkiem i czytaj codziennie, powiedział, a zwłaszcza jak ci co głupiego strzeli do głowy”; lecz nie powiesiłam nad łóżkiem, tylko schowałam w szufladzie biurka, starannie złożony na czworo, więc dzisiaj papier jest już przetarty na zagięciach od ciągłego składania i rozkładania przez dwa lata prawie każdej nocy, gdy przed snem wpatrywałam się w podpis pod obwieszczeniem, a obok leżał opasły podręcznik grafologii, albowiem z charakteru pisma chciałam jak najwięcej dowiedzieć się o Syriusie Aznarze, a zwłaszcza co czuł i myślał w chwili, gdy sygnował mój wyrok.

W NOCY Z PIĄTKU NA SOBOTĘ POŻEGNAŁAM SIĘ Z
DRUGĄ LAURĄ,

powiedziałam jej, że wcale nie była mądrzejsza ani sprytniejsza, wprost przeciwnie, przez swoje rady spierdoliła mi życie, dlatego cofam swoje zawierzenie i wszelkie pełnomocnictwa; jeszcze tylko jutro razem weźmiemy baty, a potem cześć, nie chcę cię znać, jasność?

-No to, Przyjacielu, jesteśmy w niewralgicznym punkcie. Dostałeś mój najcenniejszy diament i teraz go szlifuj.

- OK, wypiję kawę dla natchnienia.

- I przyszykuj brandzel-szmatkę 😊

- Nie bądź obsceniczna, ja nie wnikam, w co Ty się wyposażasz.

- A nie słyszałeś, że kobiety potrafią przeżywać duchowo? Disce puer...^{*13}

- Ej, kochana! Tylko mi tu bez łaciny !

- Bo co?

- Bo pan sędzia się zdenerwuje i w ostatniej chwili ułaskawi.

- Nie!!!! Błagam!!! Już będę grzeczna, przysięgam... 😊

- Cóż, sam bym sobie zrobił krzywdę.

¹³ *Disce puer* [letine, egofaciam te mościpanie] - ucz się chłopcze łaciny, a ja cię zrobię mościpanem: makaroniczny zwrot, którego miał użyć król Stefan Batory wobec jednego z uczniów szkoły w Zamościu (przyp. red.)

- Wiem © A tak poważnie: proszę Cię, pomyśl pięć razy nad każdym słowem. Nawet jakbyś miał pracować do rana, OK? Pamiętaj: możesz być pierwszym facetem, który mnie nie rozczaruje!

W SOBOTĘ O 11.50 WYPROWADZONO NAS NA SPACERNIAK,

mnie, Massenę i Estebana, oni byli na golasa, nawet bez skarpetek, skutymi z przodu rękami zasłaniali ptaki, Bibi dygotał, Esteban pokrył się gęsią skórką, choć z nieba normalnie lał się żar, aż asfalt parzył mi stopy, bo też byłam boso, ale miałam na sobie dzinsy i szary top bez rękawów, i tylko stanika nie założyłam; „nie zakładaj, bo rozerwą, jak cię będą rozbierać”, poradziła Gracja Gomes, kiedy przyszła po mnie do izolatki; staliśmy przy kracie wmontowanej w prześwit zamkowego muru, zza prętów wзираła secesyjna hala kupiecka, gubiąca pion w oplocie balkonów i galeryjek, i baszta, w której przez miesiąc mnie trzymano, naprężony czerwony fallus z oblankowaną podniebną żółdzą; kamienny podest warował u jej stóp, na dwa metry wysokości, aby tym, co się spóźnili, i stać musieli na końcu aż przy drugiej hali kupieckiej, tysięczne głowy nie przysłaniały egzekucji; dawniej królował na podeście barokowy pręgierz w kształcie orła, i do jego rozpiętych skrzydeł wiązano nieszczęśników, ale w 73 komando Syriusa i Negrido, zmiotło go strzałem z bazooki, orzeł wzbił się w niebo, skąd wrócił w kawałkach, więc od tamtej pory do wymierzania chłosty używano pochyłej drabiny, z ruchomym najwyższym szczeblem, podciągany za pomocą bloczków i kor-

by, a wszystko było stalowe, nawet linki, i mocno już skorodowane, od góry do dołu wszędzie rdza, jak ziarnina na gojących się ranach; i jedynie dyby wiążące nogi skazańca zrobiono z drewna, z grubych, solidnych klocków.

Putá madre! ilu ludzi zważyło się na ten plac, chyba z pięć sztuk na metr kwadratowy, kobiety, mężczyźni, w każdym wieku od starców po wyrostków, nawet zupełnie małe dzieci z rodzicami, choć według mnie trzeba być kompletnie pojebanym, żeby zabierać dziecko na taką imprezę; głównie nasi z Santa Inez, ale nie brakło też turystów z Long Wave, Japończycy mieli ochotę filmować, wycelowali w podest obiektywy, lecz policja nie pozwoliła, sam Medina przecisnął się do nich na koniu a za nim pieszy patrol, kłócili się, szarpali, w końcu Japońców pogoniono z placu, a po nich trzy dziewczuchy, chyba z Amnesty International, za to, że próbowały rozwinąć transparent z jakimś hasłem zaczynającym się od STOP, tyle zdążyłam przeczytać, nim im wyrwano z rąk, pewnie „stop flogging*¹⁴”, *Una Paloma Blanca*, niosło się na ful z hali kupieckiej, woźny z mordą jak jabłko i Pereira z dwoma pomagierami weszli na podest, przez ciżbę przebrnął ambulans i wypłuł lekarza, który też tam wlaź, bo obowiązkowo musiał asystować przy chłóście, hooray! hooray! it's holi-holiday, ryczały głośniki i dopiero punkt dwunasta Medina kazał je wyłączyć, zapadła cisza, tłum zamarł w oczekiwaniu, a po chwili ze szczękiem odemknęto kratę spacerniaka i czterech policjantów, jak byka na arenę, wyprowadziło na podest Estebana, trzymałam w skutych

¹⁴ *Stop flogging* (ang.) - zaprzestanie chłosty (przyp. red.)

dłoniach papierosa, bo dostałam od Gracji Gomes, patrząc jak jego napakowane cielsko rozciąga się na drabinie aż wibrują stalowe pręty, skończyłam palić ale człowiek-jabłko nie skończył czytać przez mikrofon, bo to był bardzo długi tekst, opisujący wszystkie ciosy bejsbolem, które Esteban zadał swoim, czyli także moim ofiarom, poprosiłam Grację o drugiego papierosa, włożyła mi do ust, podała ogień i dopiero, kiedy został prawie sam ustnik, człowiek-jabłko skończył, ustępując miejsca Pereirze, dalekiemu kuzynowi mojej matki, chyba bardzo dalekiemu, bo ani jej ojciec, ani nikt z jej braci nie miał metra dziewięćdziesięciu i pleców jak niedźwiedź grizli, którymi odwrócił się do tłumu, a potem z zaskakującą przy swej posturze zwinnością wykonał nagły obrót, płynny i szybki, a świstowi bicza towarzyszyło głucho stęknienie wysiłku, jakie wydają na pomoście ciężarowcy, na co Esteban odpowiedział podobnym dźwiękiem, całym ciałem wciskając się w drabinę; w ciszy zalegającej plac trwała wymiana stęknień, nieartykułowany dialog oprawcy ze skazańcem, i tylko niekiedy wtrącało się z tłumu urywane, kobiece „o-ła!”, mieszanka przerażenia i podziwu, a kilka lasek dosłownie przewiesiło się przez linę, blokującą dostęp do podestu i chłonęło oczami nagie, wytrenowane na siłowni ciało, jakby chciały je pożegnać, obrzucić ostatnim łakomym spojrzeniem, nim od byczego, krótkiego karku po grube słupy ud ostatecznie zamieni się w jedną, wielką otwartą ranę; Gracja Gomes, także należała do kretynek, którym podobają się mięśniaki, „nieźle się chłopak trzyma”, powtarzała z podziwem, aż jeden z policjantów pilnujących Masseny nie zdzierzył i zachnął się.

- Zaraz będzie kwiczał, zobaczysz...

I miał rację, końcówka chłosty to był koncert, jak żyję nie słyszałam, żeby ktoś tak ryczał jak Esteban, zupełnie jakby zamiast płuc miał pięćsetwatowe kolumny, stałam od niego ze dwadzieścia metrów, a normalnie myślałam, że ogłuchnę.

Policjant zezował na Grację Gomes i triumfalnie się uśmiechał.

OD MOJEGO BÓLU DZIELIŁ MNIE JUŻ TYLKO BÓL
MASSENY,

więc tym razem wszystko wydawało mi się szybsze, jak w przewijanym do przodu filmie: wprowadzenie na podest, przytwierdzenie do drabiny, prelekcja człowieka jabłko, i nawet Pereira, miałam wrażenie, że wawiej pracował, bez przestojów, i również na krzyk nie trzeba było długo czekać, bo Bibi darł mordę już od pierwszego smgnięcia, „umieram!”, wrzeszczał ochryple, a Pereira: „nie umierasz, synek, nie umierasz”, i dalej ciął zamaszyście po plecach, nerkach i pośladkach, i znów - plery - nerydupsko, Massena wył a dredy skakały mu jak węże na głowie gorgony „umieram!”, „nie umierasz, nie umierasz”, i tak przekomarzali się aż do końca.

TWOJA KOLEJ, ANIOŁKU - SZEPNĘŁA DO MNIE
GRACJA GOMES

i delikatnie popychając, wprowadziła po stalowych wąskich schodkach, jakby podest był parkietem a ja jej młodszą, zakom-

pleksioną kuzynką, co wstydzi się zatańczyć, dwaj chętni już czekali „chodź, chodź, mała, nie wymigasz się”, i porwali mnie w tany, „podnieś, rączki” - wyższy przypiął mi ręce do górnej żerdzi, niższy, przykucnąwszy, zatrzasnął dyby na łydkach, Pereira z miną mistrza ceremonii palił papierosa i czekał aż pomagierzy zrobią swoje, po czym pokręcił korbą, podrzuciło mnie, kajdanki wgryzły się w nadgarstki, wgniotły całym ciężarem ciała, z bólu odpłynęłam na kilka sekund i gdy ocknąłam się, plecy miałam już nagie, koszulkę zrolowaną na ramionach, przełożoną przez głowę, a grube paluchy Gracji Gomes brały się za moje spodnie, obłędnie gmerając, rozpięły guzik i suwak, szarpnęła, ale ciasne dzinsy postawiły opór, więc wyższy z pomagierów złapał z drugiej strony i wspólnymi siłami zsunęli mi do kolan, dzinsy i majtki, człowiek-jabłko odchrząknął i zaczął czytać wyrok, wisiałam na kajdankach, goła, naprzeciw tłumowi, a on czytał i czytał monotonnie, wszystko, co już podano w obwieszczeniu, lecz dla takiej jak ja nigdy nie dość wstydu, i trzeba jeszcze raz, głośno, przez megafon, „Laura Margarita Santiliana, córka Juana i Teresy, chłostana będzie za to, że...” i tu długa, długa lista moich przewinień, trzy tysiące ludzi słuchało i patrzyło na mnie, a ja, choć byłam odwrócona, wiedziałam, co wyrażają ich spojrzenia, bo przede mną stali pomagierzy Pereiry, wgapieni między szczeble drabiny, wrzynające mi się w uda i w podbrzusze, i gapiała się też Gracja Gomes, a w jej szurzących ślepkach pełgał ten jedyny w swoim rodzaju babski uśmiech, wredne iskry fruujące nad poniżeniem drugiej kobiety, młodszej i ładniejszej, więc nie miałam cienia wątpliwości, że wszystkie na placu identycznie się uśmiechają, a

faceci wyteżają wzrok i klną w duchu, że nie mogą wejść na podium, zwłaszcza ci, co z ochotą wyręczyliby kaprala Pereirę, wielkiego i nieruchomego jak pień, który czekał cierpliwie z przymkniętymi powiekami, łbem nisko pochylonym, jakby modlił się przed robotą i tylko palcat zwisający z dłoni uderzał rytmicznie po wysokich cholewach, aż nagle wyprostował kark, łypnął w moją stronę i zobaczyłam, że usta krzywią mu się i drgają nerwowo; zbliżył się powolnym, ciężkim krokiem, „co, młoda damo, matka nie biła? poważny błąd, ale już ja go naprawię”, splunął pod nogi, obszedł drabinę i stanął za mną, a ja uświadomiłam sobie, że megafon umilkł, trwa głucha cisza i za kilka sekund rozpocznie się chłosta.

I wtedy, na dzień strachu i upodlenia, przyszła mi na pamięć twarz Syriusa, i choć to dziwne, ale naprawdę było tak, jakby dopiero teraz, pięć dni po wyroku, dotarło do mnie, że to on wyznaczył mi tę karę, on, nie kto inny, sprawił, że jestem naga, półprzytomna ze wstydu i przywierając do stalowej drabiny, ze zwierzęcym strachem czekam na piętnaście batów, ale przecież nie kierował się okrucieństwem, nie te oczy, nie te rysy, nie ten człowiek; nie, on miał wobec mnie jakiś plan, którego nie znam, nie rozumiem, lecz wiem, że mogę Syriusowi ufać, zawsze, bezgranicznie, nawet, gdy tak ciężko doświadcza; musisz ufać - nakazałam ciału, i w tym momencie Pereira pierwszy raz smagnął.

O 13.30 PABLO MEDINA ODEBRAŁ TELEFON AZNARA,

co go zaskoczyło, sędzia bowiem tylko w wyjątkowych wypadkach dzwonił ze swojego domku w górach, ostatni raz w 89-tym, gdy Jankesi dokonali inwazji Panamy.

- Słucham, panie sędzio - powiedział niepewnie, i już chciał spytać, co się stało, lecz to Aznar zadał pytanie, które niejako wyjaśniło, czemu dzwoni, lecz zarazem jeszcze spotęgowało zdumienie Mediny.

- Tak jest, oczywiście, cała trójka otrzymała karę. Był bardzo duży tłum na placu, większy niż zazwyczaj, ale nie doszło do żadnych incydentów.

Po drugiej stronie zapadła cisza, dziwna cisza, co się Medinie nie spodobało, więc szybko ją przerwał.

- Dosłownie przed chwilą rozmawiałem z lekarzem i zapewnił mnie, że wszyscy czują się dobrze, to znaczy na tyle, na ile można się dobrze czuć po chłóście.

- Dziewczyna też?

- Och, panie sędzio, ona to w ogóle jakaś z żelaza. Wyobraża pan sobie, że ani razu nie krzyknęła? Niektórzy nawet bili jej brawo... To jednak, cholera, prawda, że one są od nas wytrzymalsze na ból, mądrość natury, muszą przecież rodzić...

- Niech lekarz sumiennie się nią zajmuje - przerwał sucho Aznar; wyłączył telefon i sięgnął po wędkę.

I FAKTYCZNIE ZAJMOWAŁ SIĘ SUMIENNIE, KURWA

JEGO MAĆ;

co udało mi się na moment oszukać ból i przysnąć, zaraz zjawiał się przy mojej pryczy, budził, pytał, jak się czuję, osłuchiwał, mierzył ciśnienie, nie wiem, skąd go wytrzasnęli, często bywałam w pracy u Juanity i znałam z widzenia wszystkich doktorów, ale jego gęby nie kojarzyłam, a zapamiętałabym, gdyby taki gdzieś się pętał po szpitalu, bo wyglądał dość ciekawie, wystarczyło dać mu maczugę i mógłby zagrać w filmie jaskiniowca.

- Dreszczy nie masz, kociątko? W uszach nie szumi? - szeptał głosem ciepłym i słodkim niczym mleczko z miodem i chyba autentycznie było mu mnie żal, i nie tylko jemu, w ogóle czułam się jak najmłodsze, ukochane dziecko w rodzinie, co zachorowało w dniu swoich imienin, ma się rozumieć, nie wróciłam po chłóście do izolatki, bo jakże tak jeszcze dodatkowo karać biedactwo? ale do mojej dawnej celi, choć, gdyby pozostawiono mi wybór, wolałabym być sama, leżałam na brzuchu, pojękując z cicha, bo wreszcie nie musiałam udawać bohaterki, a troskliwe ciocie nachylały się nade mną i na wypródki próbowały pocieszać; Gracja Gomes przyniosła mi pomarańcze i budyń, gruba Pilar głaskała po głowie, a więźniarki zrobiły zrzutę i kiedy się kolejny raz ocknęłam, zobaczyłam przy poduszce kilkanaście papierosów, ewement, bo dotąd nawet jednego szluga od nich wyrwać to był problem, „jaraj, młoda, ja po batach chyba ze trzydzieści wyjarałam”, no i zaczęły się natychmiast tematyczne wspominki oraz konfrontacja doświadczeń, któraś podwinęła kieckę i wypięta szczypała się po tłustych fałdach „najbardziej boli o tu, w tę

bruzdę, jak się uda kończą, co nie?" „pierdolisz, po dupie to by mnie mogli bić cały dzień, byle nie po plecach", zażądały, żebym spór rozsądziła, ale nie miałam najmniejszej ochoty, jaki sens mówić prymitywnym kryminalistkom, co uważają widać chłostę za cierpienie głównie fizyczne, że ze wszystkich razów, które Pereira mi dziś wymierzył, najgorsze były te ostatnie, w pośladki i lędźwie, sześć stempli pieczętujących poniżenie, sześć niezbędnych kropek nad i, bo może jeszcze do dziwki w pełni nie dotarło, że nie ma na sobie nic, nawet majtek, „no, gadaj, Laura!", nalegały, lecz nim zdążyłam powiedzieć, żeby spadały na ryj, zjawił się w celi Medina, sam Pablo Medina, aż mi się wierzyć nie chciało, im też gały wyszły na wierzch, „i jak, mała, OK?", „OK, panie kapitanie, żyję", kiwając głową, przyjął ten fakt do wiadomości, „mam nadzieję, że nauczyliśmy cię rozumu", a ja zastanawiałam, co powiedziałby mi teraz Syrius, jego na pewno stać było na coś więcej niż kretyński komunał i pragnęłam to usłyszeć, choćby we śnie, dlatego tak mnie wkurwiała, że ciągle czegoś ode mnie chcą i nie tylko nie dają spokojnie przespać bólu, ale jeszcze nie pozwalają Syriusowi mi się przyśnić.

MARIA LUIZA STAŁA ZA WĘGŁEM BUNGALOWU,
PRZYGLĄDAJĄC SIĘ AZNAROWI,

obserwowała go, jak rozmawiał, ale oczywiście nie wiedziała z kim, a nawet nie była pewna, czy przez telefon, na Santa Inez, w domu Moralesa był telefon, lecz wyglądał zupełnie inaczej - miał kółko do kręcenia, słuchawkę i długi sznur, a to coś, co el comandante trzymał przy uchu, nijak telefonu nie przypominało,

więc mogło być czarodziejskim pudełkiem, służącym do kontaktu z duchami, a zatem póki nie skończył i nie schował do jednej z licznych kieszeni wojskowej bluzy (co trzyma w tych pozostałych?), nie odważyła się podejść, dopiero po dobrej minucii, kiedy duchy już pewnie odfrunęły, wstąpiła na pomost i cicho stawiając na deskach bosc stopy, sama jak duch - zaskoczyła Aznara, aż ukłuł się w palec haczykiem, bo akurat zakładał przynętę; spojrzał na nią z rozbawionym zdziwieniem.

- Czyżby Miguel zaczął łowić ryby, że nauczyłaś się chodzić tak bezszelestnie?

- Nie, el comandante, on nie łowi ryb. Mówi, że należą do pana.

- Głupstwa opowiada. Łososi tu tyle, że dla wszystkich wystarczy.

- Prawda, jakże mogłoby ich zabraknąć w Lago de los Salmones? - Maria Luiza uśmiechnęła się; znała nazwę, którą Syrius nadał jezioru. - Te, co pan złowił rano, już oporządziłam.

Nigdy nie miała śmiałości wprost go zapraszać, ale wiedział, że to właśnie jest zawołane zaproszenie do ich chaty na kolację.

- Przyjdę wieczorem. O ósmej. Jak zmierzch zapadnie - Przypomniał sobie, że Miguel i jego żona nie używają zegarków. - A teraz posiedź tu ze mną chwilę.

I Maria Luiza usiadła posłusznie obok Syriusa, ufnie przywierając do jego ciepła, lecz to nie było zwierzęce ciepło, bijące od samca, który pragnie ją posiąść, on nie pragnął i, jak zawsze, tylko otoczył ramieniem; w dawnych, złych czasach przytulała się do wielu, bardzo wielu mężczyzn, jednak żaden nie umiał swą bliskością, przez skórę, wprowadzić takiego spokoju do jej serca, takiej radości, że aż wszystko przed oczami się odmieniało, innym blaskiem świeciła tafla wody, gdy patrzyła w nią przytulona do Syriusa, nowy, piękniejszy kształt miała grań, w jaki sposób to robi, skąd u niego ta siła? zastanawiała się po nocach, bezsenna w łóżku Miguela, i nagle - odgadła tajemnicę.

W PONIEDZIAŁEK MÓJ KURATOR, SIERŻANT PICASSO,
ZAWIÓZŁ MNIE DO SIOSTRY

i jej męża Matheo na ulicę Rybacką, gdzie mieli niewielki domek, dwa pokoje i jadalnia na parterze oraz jeden pokój na poddaszu, który przez najbliższe dwa lata miał być moją celą; zaglądnąc w każdy kąt, dokładnie zlustrował domostwo, po czym pouczył Juanitę i szwagra, że za mnie odpowiadają, więc jeśli ucieknę, będą mieli kłopoty, „najlepiej niech państwo założą tam na stryszku zamek od zewnątrz i kratę w oknie, no dobrze, ostatecznie na posiłki może schodzić do jadalni, bo to dla państwa byłby kłopot nosić jedzenie”, „a telewizję oglądać? oj nie wiem, muszę się sędziego spytać, i oczywiście wszelkie wyjścia poza dom tylko za moją wiedzą i zgodą i wszelkie odwiedziny tak samo, proszę, to moja wizytówka, i numer telefonu, emerytowany sierżant policji państwowej, Ernesto Picasso jak ten malarz, co te

różne głupoty malował, na przykład kobitę z okiem na środku czoła, ale to nikt z mojej rodziny, no dobra, zostawiam państwa, a ty, niuńka pamiętaj, jeden wyskok i lądujesz w Carrera!", i odjechał swoim rozpadającym się fordem pikapem, a Juanita z błaganiem w oczach spytała: „Laura, ale ty nie uciekniesz, obiecujesz?”, bo przecież nie będą zakładać żadnych zamków ani krat, „a co ona? jakieś zwierzę, żeby ją trzymać w klatce?”, powiedział Matheo, lecz widziałam, że oboje drżą przed kłopotami, którymi ich nastraszył sierżant Picasso, więc objęłam Juanitę i przysięgałam, że przez dwa lata nie ruszę się za próg i żadnego *reptila* nie zaproszę przez okno, „normalnie cipka zasznurowana, nóżki o tak” - śmiejąc się zwarłam kolana, a Matheo, jako że był bardzo skromnym, nieśmiałym chłopcem zarumienił się i spojrzał na mnie z potępieniem, mój biedny szwagier, któremu wczoraj dogryzali w pracy, że na drugim etacie będzie robił za naczelnika więzienia, „ale w sumie, brachu, to masz dobrze, bo jeśli Juanita cię rzuci, zawsze zostanie ci Laura, a dziewczyna z niej niczego sobie, widzieliśmy, jak brała baty pod basztą, ciałko mniam, mniam!"; a potem na górze zobaczyła moje ciałko Juanita, „Boże! Jak oni cię zbili!" - i płacząc zbiegła po schodach, słyszałam, że wysyła męża do szpitala po jakąś maść, „daj spokój, wcale tak bardzo nie bolało", powiedziałam, gdy wróciła, „gdyby bolało, to bym chyba się darła, co nie?", ale Juanita oczywiście nie mogła wiedzieć, że zniosłam chłostę bez jednego krzyku, bo w sobotę w południe, podobnie jak moja matka, zaszyła się w domu.

W TYM CZASIE W GABINECIE SYRIUSA STAWIŁ SIĘ

WUJ

przekonany, że sędzia wezwał go, żeby wypowiedzieć zawarty przed laty układ, skoro go złamał, miało nie być krwi na Santa Inez, Wuj obiecał każdego mordercę doprowadzić przed oblicze sędziego, a przecież Bibi Massena strzelił do Kolumbijczyka, Esteban Ruiz walił na odlew bejsbolem, Laura Santiliana wstrzyknęła turyście końską dawkę barbituranów, i tylko fart, tylko cud Boski, że delikwenci przeżyli, a zatem psim obowiązkiem Wuja było cały ten gang wydać w ręce sprawiedliwości, wiedział o tym, a jednak tego nie zrobił, więc siedział teraz przed Syriuszem ze skruszoną miną, nie żeby się go bał, bo Wuj do strachliwych nie należał, lecz dlatego, że stracił w jego oczach honor, swój bandycki honor, na którego punkcie był bardzo wyczulony.

- Wiesz, Wuju, że narobiłeś dziadostwa? - powiedział Syrius, patrząc spode łba i ani myśląc poczęstować whisky; sam pił za swoim biurkiem, a na pewno nie był to dzisiaj jego pierwszy drink, uznał Wuj, napotkawszy spojrzenie zmętniałych oczu.

- Tak, wiem, el comandante. Oszukałem i pana, i Pabla Medinę. Ale ja po prostu, po prostu kochałem tego chłopaka... jak syna, rozumie pan, przecież własnych synów nie mam, więc Bibi... Bibi nagle stał mi się strasznie bliski. Ukaralem go, ale nie miałem serca wydać panu.

- Nie ulokowałeś swych uczuć najlepiej.

- To prawda. Na procesie zachował się jak ostatni śmieć, tak go zresztą pan nazwał, bardzo ładne było to porównanie z Rubio,

aż mnie coś za serce złapało, jak słuchałem, pan, el comandante, mówi nieraz jak Cyncero...

- Tylko mi nie wmawiaj, że czytałeś Cyncerona.

- No nie czytałem - przyznał Wuj, po czym, patrząc gdzieś w bok, spytał:

- I co teraz?

Lecz Syrius nie odpowiedział mu od razu, lecz nalał sobie kolejną szklankę, minimalnie dopełniając wodą sodową z syfonu, potrząsnął, by się rozmieszało i wypił na jeden łyk. A potem sięgnął po papierosa; błysnęła stara, benzynowa zapalniczka; Syrius kilka razy głęboko się zaciągnął i wydmuchał kółka dymu, z miną, jakby bawiło go ich formowanie rybim ruchem ust.

- Pamiętasz jeszcze, Wuju, jak się robi tę maść? No, ten obrzydliwy preparat ze zgniłych jaj i gówna, którym mnie kurowałeś na Isla de las Rocas?

- Tak, oczywiście, ale on nie jest z gówna ani niczego takiego. Choć faktycznie pachnie nieszczególnie. To stary lek, w XVI wieku jeden medyk hiszpański go wymyślił.

WUJ PRZYRZĄDZIŁ LEKARSTWO I WYSŁAŁ Z NIM
NA RYBACKĄ SWYCH ŻOŁNIERZY,

ale Juanita, widząc dwóch *reptiles*, nawet im nie otworzyła, tylko rozmawiała przez furtkę, a kiedy pokazali puszkę z maścią, zagroziła, że zadzwoni na policję, bo była pewna, że przynieśli dla mnie narkotyki, i zaraz jak ich pogoniła, poszła na górę, zrobić

mi opierdol, „no, pięknie się, Laura, zaczyna, już pierwszego dnia twoi kolesie dilerzy, i jeszcze mi wciskali, że to maść na rany!", a ja zrobiłam wielkie oczy, „jacy kolesie, co za maść?" i przysięgałam na wszystkie świętości, że o niczym nie mam pojęcia, ale chyba Juanita nie za bardzo mi wierzyła,

PÓKI WUJ NIE PRZYJECHAŁ OSOBIŚCIE

i wszystkiego jej nie wytłumaczył, co prawda też przez furtkę, że w XVI wieku na statek wicekróla napadli piraci i wdarli się na pokład, wzrok Juanity odpowiedział: co pan za pierdoły wygaduje?, a wicekról był wielkim wojownikiem, więc wszystkich co do jednego zatłukł, ale niestety wódz piratów przejechał mu rapierem po policzku, od ust do ucha, o taaaaką szramę mu zrobił, „zaraz ja tobie, bandyto, zrobię szramę"- zagroziły oczy zza furtki, a wicekról był nie tylko tęgi wojownik, ale też okropny pies na baby, więc się przeraził, że teraz żadna z nim nie będzie chciała, ja, myślę, Juanitko, że się mylił, bo jaka by nie chciała z wicekrólem, w końcu to prawie jak król, co nie?, a jeszcze ile zamków pobudował, ten nasz na wyspie, to tylko jeden z wielu, więc dla tytułu i tych zamków przymknęłyby oko na szramę, wy już, kobitki takie jesteście, „streszczaj się, obleśny dziadu" - ponagli! wzrok mojej siostry, no, ale wicekról widać wolał, żeby nie przymykały oczu, bo to dla chłopca nie honor, jak baba zamyka oczy z obrzydzenia, więc ogłosił na całą Południową i Środkową Amerykę, że medykowi, co wynajdzie lek, od którego szrama zniknie, da sto kilo złota, no i znalazł się taki jeden, nie pamiętam nazwiska, ale za to znam recepturę, bo jeszcze mój dziad wyczytał ją w sta-

rych księgach, i dlatego nie miał ani jednej blizny, rozumiesz Juanitko, ani jednej, choć kilkanaście razy w życiu dostał nożem, tak samo jak potem jego syn a mój ojciec, no i ja, mogę się przed tobą rozebrać, jak nie wierzysz, „a fuj!”, krzyknęły zza furtki oczy siostry, i zobaczysz, że ani jedna szrama mnie nie szpeci, bo zawsze stosowałem ten medykament, i wcierałem go także na Isla de las Rocas sędziemu Aznarowi, w ranę po odłamku, taką jak mój gruby palec, i co, widziałaś u sędziego bliznę na czole? nie mogłaś widzieć, bo jej nie ma, tak samo jak twoja siostra nie będzie miała blizn po chłóście, jeśli jej tym posmarujesz rany, a sędzia nie chce, żeby miała i dlatego kazał mi tę maść tu dostarczyć, a skoro pogoniłaś moich chłopaków, sam przychodzę i dostarczam osobiście - i Wuj podał Juanicie przez furtkę puszkę po kawie instant z rzeczonym specyfikiem, a ona, teraz już normalnie, głosem nie oczami, spytała: naprawdę sędzia kazał? a wuj na to, że gdyby był kłamcą, to by jej powiedział, że nie sędzia, ale prezydent Bush albo papież, ale ponieważ nie jest, to mówi prawdę, tam, Juanitko, dołączyłem kartkę, jak używać, a w ogóle nieźła z ciebie kocica, wcale nie brzydsza od siostruni, więc, jeśli sprzykrzy ci się mąż, to wiesz, gdzie mieszkam - co powiedziawszy, wsiadł w swojego lincolna i odjechał, a nieufna Juanita, nic mi nie mówiąc, pobiegła do szpitala pokazać maść lekarzom, zebrali się we trzech, jej szef, czyli ordynator chirurgii, i dwóch internistów, odkręcili puszkę, a wtedy na cały gabinet walnął smród aż zaczęli się krztusić, „jak z XVI wieku to już się pewnie przeterminowało”, zażartował szef Juanity, po czym dał próbkę do laboratorium i następnego dnia powiedział, że to coś na pewno mi nie

zaszkodzi, najwyżej nie pomoże, więc zaczęła mnie smarować, a Matheo chodził z zatkniętym nosem, otwierał szeroko okna i wszędzie poustawiał wiatraczki; „wiesz, że Wuj mnie do siebie zapraszał”, chichotała siostra, „obleśny stary satyr”, i nagle spoważniała: „a ty z nim spałaś, Laura?”, „z tą wyliniałą sową?”, zachnęłam się; a potem wyznałam Juanicie, że w życiu miałam jednego faceta, Bibi Massenę i żadnego innego *reptila*, „a ci mężczyźni, których...” i urwała, żeby mnie i sobie oszczędzić przykrości, „nie, Juanita, tylko im obiecywałam seks”, „patrz, Laura, a matka uważała cię za dziwkę”, westchnęła, i w tym momencie poczułam, że ostatecznie pękły lody i już nic nie stoi na drodze naszej przyjaźni, która rzeczywiście przez dwa lata mojego aresztu domowego scementowała się i pogłębiła, jak nieczęsto się zdarza między dziewczynami a zwłaszcza siostrami; jeszcze tylko spytałam, skąd jej przyszło do głowy, że się pieprzyłam z Wujem, czy dlatego, że przysłał mi maść, „maść to podobno kazał ci przysłać sędzia Aznar”, oparła Juanita, dla której ta okoliczność, jako mało wiarygodna, widać niewarta była uwagi, skoro dotąd mi jej nie wyjawiała, a ja pomyślałam, że śnię i kazałam jej powtórzyć.

- No, sędzia Aznar, tak powiedział Wuj, Boże, Laura, co ci jest?!

Potrząsnęłam głową, że nic i dalej jak idiotka płakałam ze wzruszenia, bo też nie wierzyłam Wujowi, na pewno był tylko kurierem, a lekarstwo wynalazł i osobiście przyrządził dla mnie - Syrius.

A OD WTORKU ZACZEŁY PRZYCHODZIĆ NA RYBACKĄ NAUCZYCIELKI,

nieszczęsne pindy, wystraszone, jakby kazano im wejść do klatki z pumą albo do terrarium z jadowitym wężem, a siadając na krześle w mojej celi na poddaszu, cały czas trwożliwie się rozglądały po kątach, bo a nuż schowałam tam jakichś kumpli i oni zaraz wyskoczą i zgwałcą; tylko nauczycielka angielskiego, Jane o'Connor, jedyna z nich, co miała powody bać się gwałtu, zachowywała się normalnie. Ładna, wysoka laska przed trzydziestką i cholernie przy tym bystra, absolwentka filologii angielskiej na uniwersytecie Columbia, aż dziw że taka zaplątała się na Santa Inez i do tego uczyła w szkole, ale oczywiście wszystko przez faceta i dla faceta, kelnera z restauracji Long Wave, który obsługiwał jej stolik, gdy zeszłego lata przyjechała tu z koleżankami na wycieczkę, „mówię ci, Laura, drugi Antonio Banderas, moje kumpelki od razu się w nim zakochały, a ja dopiero na trzeci dzień, za to po uszy”, wyznała mi kiedyś rozbijając szczerze; i nie minęło wiele czasu, jak zamieszkała z pięknym kelnerem na Avenida de la Republica i wyszła za niego za mąż, choć została przy swoim nazwisku.

- Hej! Więc to ty? - przywitała się z jankeską bezpośredniością. - Policja pytała się mnie o uczennicę, co zna na tyle język, że może po angielsku bajerować facetów, a ja powiedziałam, że nie ma takiej, bo cię nie znałam, Laura, rozminęłyśmy się, kiedy ja zaczęłam uczyć, ty już rzuciłaś szkołę.

Przegadałyśmy godzinę o tym i owym, oczywiście non-stop english, i nagle Jane za głowę się złapała.

- Jezus, dziewczynko, ty jesteś praktycznie dwujęzyczna, tylko mówisz jakimś przerażającym slangiem.

- Slangiem?

- No tak. Nie obraż się, ale nie masz pojęcia o literackim języku. Kto cię uczył?

Powiedziałam, zgodnie z prawdą, że najpierw jedna stara kurwa z Florydy, a potem dwa lata chodziłam do amerykańskiej szkoły, ale to była szkoła dla imigrantów.

- Zwłaszcza ta kurwa wycisnęła piętno na twoim angielskim - westchnęła Jane. - No nic, musisz dużo czytać, będę ci przynosiła książki.

I jak obiecała, tak zrobiła. Prawie dzień w dzień dostawałam nową lekturę od Jane O'Connor. Jeszcze tamtej nie przeczytałaś? - dziwiła się, a ze mnie wtedy była czytelniczka jak z koziej dupy gwóźdź, oprócz tego Prevosta w więzieniu najwyżej przez dzieść powieści przebrnęłam w całym życiu, a ona nagle takiego tempa wymaga, chyba ocipiała, ale się zawzięłam i - coraz szybciej połykałam, nieraz po dwieście-trzysta stron dziennie, wszystko czym mnie karmiła, Swift, Defoe, Dickens, Thackeray, Melville, Twain, Hardy, Sinclair Lewis, a zaraz potem nową serię we mnie władowała: Faulkner, Hemingway, Steinbeck, Caldwell, aż do Bellowa, Salinger, Philipa Rotha i Updike'a, i żeby to tylko powieści, ale nie, czasem przynosiła mi taką książkę, że godzinę

czytałam jedno zdanie i za chuja nie mogłam zrozumieć, o jakichś symbolach, archetypach albo rzeczach samych w sobie, „Jane, ja z tego nic nie kumam”, skarżyłam się, a ona: „skumasz, skumasz, jesteś bystra dziewczynka”, i faktycznie po jakimś czasie troszkę zaczęłam jarzyć, a Jane mi wytłumaczyła, że warto przeczytać książkę, nawet jak się nie wszystko z niej zrozumie, bo i tak coś zostanie w głowie, i dalej mnie katowała a to Schopenhauerem a to Karen Horney, i aż trudno mi w to samej uwierzyć, ale przez dwa lata aresztu domowego zaliczyłam około trzystu tytułów; bo co innego miałam do roboty na tym stryszku? kilka lekcji dziennie i pogaduchy z Juanitą, to wszystko, nawet telewizji nie oglądałam, bo Matheo bał się, że Picasso wpadnie na inspekcję i zobaczy mnie na dole, „no to powiesz, że przyszłam coś zjeść, przecież wolno mi schodzić na posiłki, sam tak mówił”, „a jak przylezie w nocy?”, „to się powie, że mamy późną kolację, w niektórych domach tak jest”, lecz Matheo drżał przed sierżantem i nie dał się przekonać, „ale chociaż Dynastię pozwól mi oglądać!”, jęknęłam błagalnie, „tak, Dynastię jej pozwól”, wsparła mnie Juanita, i szwagier ustąpił; więc jak powiadam - po lekcjach, Dynastii, trzech kawach z siostrą, miałam czas wolny, a zwłaszcza wolną noc i wtedy godzinami, do świtu, czytałam, czytałam i jeszcze raz czytałam, „że co?”, spytał zdumiony Matheo, gdy mu w jakiejś dyskusji odparowałam, że sprowadza rzecz ad absurdum, a profesorka hiszpańskiego mało nie spadła z krzesła, jak jej zaczęłam porównywać Gongorę z Eliotem, „och! ach! cóż, za oryginalne zestawienie!”, a ja w gruncie rzeczy wiedziałam, że nie oryginalne tylko kretyńskie, bo co ma barokowy Luis de Gon-

gora do poety z dwudziestego wieku? ale musiałam się koniecznie pochwalić, że znam „Ziemię jałową” i „Wydrażonych ludzi”; „i okrążam kolczasty kłęb, kolczasty kłęb”, powie wykształcona dziewczyna, która nie będzie już panienką z Podzamcza, „i okrążam kolczasty kłęb o piątej godzinie rano” szepnie z tajemniczym uśmiechem, za kilka lat, kiedy spotka Syriusa Aznara, a on spyta: co u ciebie, Lauro?

ZACZEŁAM MYŚLEĆ, CZY MAM SZANSE DOSTAĆ SIĘ

DO E.O.J.,

czyli Państwowej Szkoły Językowej, utworzonej niedawno przy Uniwersytecie w Puerto de las Aguilas, w której oprócz angielskiego, francuskiego i niemieckiego, uczono prawie wszystkich języków, jakich się używa w ONZ, bo to właśnie z ONZ dali kasę na tę szkołę, a jeszcze prawa, ekonomii, informatyki, politologii, nawet retoryki, tak dokładnie stało w prospekcie, aż oczy przetarłam, czyli że po czterech latach z E.O.J.. wychodził wyszczekany poliglota,' a raczej wyszczekana poliglotka, gdyż była to szkoła żeńska, produkująca sekretarki i asystentki dla ministrów, ambasadorów, a przede wszystkim - dla szefów zagranicznych firm, coraz liczniejszych, odkąd do Republiki wlała się fala międzynarodowego kapitału; w żadnym innym państwie regionu nie było szkoły językowej na choćby zbliżonym poziomie, więc nie tylko nasze laski się tam kształciły, ale z całej Środkowej Ameryki i z Karaibów, kiedyś widziałam w telewizji, jak czekają, żeby się zapisać na egzamin, dwa dni koczowały przed E.O.J. na karimatach, normalnie zasłały nimi cały dziedziniec i ogród, a

potem hurmem-szturmem rzuciły się do drzwi, bo tylko pierwszy tysiąc zapisywano, „już byłam wewnątrz, ale mnie wypchnęły! - płakała do kamery panna z Belize - a jeszcze podrapały mi twarz!", i faktycznie miała na policzkach ślady pazurów, bardzo słusznie faceci mówią do nas: „kotku", „o, nie, mnie nie wypchną, pomyślałam, nie z dziewczyną z Podzamcza takie numery, no, ale dobrze: nie wypchną, zapiszę się, i co dalej? egzamin to na pewno pola minowe i druty pod prądem, skoro z tego tysiąca przechodzi tylko trzydzieści."

- Jane, czy ja mam szansę tam zdać? - pokazałam jej prospekt, który na koszt ONZ wysłano wszystkim dziewczynom w wieku od 18 do 22 lat, od Meksyku po Wenezuelę, więc dostała także Juanita, i już chciała wyrzucić do kosza razem z reklamówkami, lecz w ostatniej chwili przeczytałam co to jest, „czekaj, popatrzmy, o co tam biega", złapałam jej rękę nad koszem, „a na cholere mi jakaś szkoła sekretarek!", „ale jeszcze jestem w tym domu ja, twoja aresztant-ka", spojrzała na mnie, na prospekt, znowu na mnie, „a wiesz, Laura, może to jest pomysł, pogadaj z tą profesorką od angielskiego".

Jane O'Connor długo prospekt studiowała, jakby szukała w nim zaszyfrowanej informacji. I oczywiście znalazła coś, co wcale nie było zaszyfrowane ani jakoś chytrze ukryte, a mimo to uszło mojej uwagi.

- Angielski zdałabyś na bank, ale jest jeszcze egzamin z drugiego języka. Do wyboru: niemiecki, francuski, rosyjski albo szwedzki.

Połknęłam bluzg, bo przy Jane starałam się nie rzucać kurwami, i podniosłam na nią bezradne, pytające spojrzenie,

- To nie mam szans, tak?

A Jane O'Connor równie bezradnie wzruszyła ramionami, lecz czułam, że nad czymś myśli, i nie pomyliłam się, na drugi dzień przyniosła mi nową książkę, z tytułem w jakimś obcym języku, otworzyła na pierwszej stronie, zobaczyłam uśmiechniętego, piegowatego malca nad tortem ze świeczkami.

- Klaus hat Geburstag, powtórz.

BYŁO MI GŁUPIO, ŻE JANE UCZY MNIE NIEMIECKIEGO ZA DARMO,

bo Matheo i Juanita nie mieli kasy, żeby jej zapłacić, a Rada Prowincji finansowała mi tylko naukę przedmiotów obowiązkowych, ale ona powiedziała, żebym się nie martwiła, kiedyś zaproszę ją na wystawny obiad, z winem i deserem lodowym, bo dla sekretarki ministra to będzie jak splunąć; jestem przekonana, że poświęcała się dla mnie, chcąc koniecznie naprawić moje życie, złamane przez okrutny, nieludzki wyrok; chociaż nigdy tego nie wyraziła wprost, czułam, że uważa mnie za męczennicę, niemal największą na świecie, od której bardziej skrzywdzone są już tylko ukamienowane Iranki; gdyby ją, amerykańską kobietę, publicznie, na goło wychłostano, pewnie by się zabiła, a w każdym razie już nigdy nie odzyskałaby psychicznej równowagi, więc dziwiła się mojej równowadze i temu, że nie zastaje mnie codziennie we łzach; dziwiła się, a raczej podziwiała za to, nieświa-

doma, że - nic tu godnego podziwu nie ma; przecież też bym się powiesiła albo skończyła w wariatkowie, jak nieszczęsna pani de Mericourt, którą podczas Rewolucji Francuskiej wysmagano na goły tyłek w ogrodach Tuileries, dokładnie podzieliłabym jej los, gdyby skazał mnie jakikolwiek inny sędzia, a nie Syrius Aznar, bo on, jeden jedyny na całej kuli ziemskiej, miał prawo wydać taki wyrok.

Poświęcała się dla mnie Jane o'Connor, nieraz zostając do późna na moim stryszku, lecz chyba czyniła to bez wiary, przekonana, że wymięknę przy niemieckiej gramatyce, nieporównywalnie trudniejszej od angielskiej; nie doceniła jednak mojej zdolności kojarzenia: Klaus hat Geburtstag, czyli Klaus kiedyś tam „war geboren” a to brzmiało podobnie do „was born”; ze zdumieniem odkryłam, że te języki mają wiele słów prawie identycznych, „tak, Lauro, oba należą do grupy języków germańskich”, „a są tam jeszcze jakieś inne w tej grupie?”, „no są: wszystkie skandynawskie, niderlandzkie...” „wow! super! to ich się też kiedyś nauczę”, „ok., ale jak mawiał Mao Tse Tung, żeby przejść tysiąc kroków, trzeba najpierw zrobić ten pierwszy”, i Jane otworzyła książkę, coś tam, coś tam, *wieder nach Hause*”, i obrazek przedstawiający faceta, który wchodzi z walizką do domu, „Hause to house, co nie? Jezu! Jakie to łatwe!”

I faktycznie, z tygodnia na tydzień coraz lepiej szprechałam.

PEWNEGO DNIA ODWIEDZIŁ MNIE LUIS,

przyszedł z pismem od sędziego, które uprawniało go do dwóch wizyt w tygodniu, w soboty i w niedziele, przy czym o godzinie 23 musiał opuścić dom na Rybackiej, „jak się z nią, synu, zaręczysz, może troszkę ci przedłużę”, powiedział mu podobno Aznar, ale to nie miało nic z wulgarnej solidarności starego i młodego samca, żadnych frywolnych mrugnięć ani klepnięć w ramię, oczy i twarz Luisa były poważne, więc sędzia z taką samą powagą patrzył na rosłego, trochę nieporadnego chłopaka, bo nagle wydał mu się moim wybawicielem, który, gdy skończę odbywać wyrok, zabierze mnie z Santa Inez, daleko od Podzamcza, baszty i całej przeszłości, bym w Cordobie lub innym mieście na kontynencie mogła zacząć nowe życie u boku mechanika samochodowego; „zakochałeś się w niej?” „chyba tak, panie sędzio, to jest wspaniała dziewczyna”, „jeszcze nie, ale twoja miłość przyspieszy w niej przemianę”, bo według Syriusa byłam ohydną poczwarką, którą dobry mężczyzna może przeobrazić w motyla, nie wiedział tylko, że już takiego spotkałam i od kilku miesięcy trwa metamorfoza, pojawiło się jedno skrzydełko, drugie się właśnie wyrzyna.

Podobnie jak Syrius cieszyła się Juanita, po pierwszej wizycie Luisa, kiedy przyniósł dwadzieścia pięć róż i koszulkę z Bobem Marleyem, „Boże, jakie to by było romantyczne, normalnie film, dziewczyna miała go wciągnąć w zasadzkę, ale zmiękło jej serce, a on potem bronił jej przed sądem, i kiedy siedziała w więzieniu, przyszedł i się oświadczył”, „ale to nie film, Juanitko, i dziewczyna pokaże mu fucka”, tak powiedziałam siostrze, bo trochę mnie

wkurzało to uczucie które bez trudu obie odgadłyśmy; nie wiem, może są kobiety, co non-stop pragną hołdów i wyznań, ale ja kochając tylko Syriusa Aznara, zamykałam się na wszelką męską adorację, więc nie schlebiało mej próżności pełne uwielbienia spojrzenie Luisa, lecz na odwrót - wzbudzało lekką złość; niemniej nie okazałam mu tego, kiedy w następną sobotę, po kolejnej porcji róż, usiadł obok mnie na tapczanie i niezgrabnie usiłował objąć; miałam dla niego wiele ciepłych uczuć, ale to nie sumowało się nawet w cień miłości, choć pewnie wystarczyłoby, żeby się z nim przespać, w końcu miałam w tym wprawę, przez dwa lata sypiałam z Masseną, bardzo niewiele do niego czując, lecz Luis to nie był Bibi, i wiedziałam, że w ten sposób go skrzywdzę, więc po chwili bezruchu, który mógł poczytać za przyzwolenie, zdjęłam jego dłoń z szyi, Boże, z jakim smutkiem na mnie spojrzał, ale przecież z litości tym bardziej nie potrafiłam, był zbyt wartościowym chłopakiem, żeby dostawać jałmużnę; mogłam go ostrzec, że nie powinien ryzykować, bo jestem uzależniona, i nigdy nie wiadomo, kiedy popłynę i z kim, a tam u niego w Cordobie pełno ćpunów, nawet on sam popala czasem zioło; naprawdę chcesz mnie szukać po melinach i komiariatach, jeśli nagle zniknę? nie, Luis, mnie jest potrzebny twardy facet, co się nie będzie ze mną cackał, po prostu treser dzikiego zwierzaka, rozumiesz? a ty taki nie jesteś, nie masz siły i bezwzględności Syriusa, ani jego oczu, które wszędzie mnie wypatrzą i odnajdą, gdziekolwiek bym się ukryła, więc przy nim nigdy nie odważyłabym się na żadną, głupią eskapadę; i również twoja dłoń, choć mi się podoba i lubię jej dotykać, zbyt słaba jest, żeby

mnie prowadzić, ja potrzebuję dłoni, na której jedno skinienie mogę zostać przykuta do drabiny pod basztą, obnażona i na oczach tłumu do krwi zbita batem, a ty, Luis, w swej robotniczej złości dałbyś mi najwyżej w twarz, czego bym nie ścierpiała, gdyż brzydzę się prostacką przemocą, i facetem co jej używa, taki koleś jest dla mnie zerem, gównem, jak Bibi, bo dziś już wiem, że to właśnie chamska brutalność, z jaką mnie traktował, nie pozwoliła mi go pokochać, jasne, Luis, ty jesteś jego przeciwieństwem, i w ogóle obrażam cię tym porównaniem, a jednak czuję, że w emocjach, po jakimś moim wrednym numerze potrafiłbyś mi przyłożyć, to wasz odruch, chłopcy z plebsu, ja natomiast, jeśli czasem pragnę przemocy doświadczyć to wyłącznie tej jaśnie-pańskiej, królewskiej - od mężczyzny, który naprawdę pod każdym względem nade mną góruje, a nie tylko siłą fizyczną, więc nie po drodze nam, mechaniku samochodowy - tego wszystkiego nie powiedziałam Luisowi, a jedynie, że kocham innego.

- Barnabasa Massenę? - spytał z niepokojem.

- Nie, Luis. On się nigdy dla mnie nie liczył.

- To co to za mężczyzna? Ktoś z Santa Inez?

- Może po prostu Bóg.

Był religijnym chłopakiem, więc nie spojrzał jak na wariatkę, tylko łagodnie, spokojnie ją tłumaczył, że tak, Boga trzeba kochać i modlić się do Niego, w domu, w kościele, on nawet w pracy czasami modli się po cichu, za duszę brata i za mnie, ale „Lau-ro, za Boga nie można wyjść za mąż, a ja od przyszłego roku zo-

stanę u pana Burciagi szefem lakierni, całej lakierni, rozumiesz? i będę zarabiał dwanaście tysięcy pesos, więc do czasu kiedy skończy ci się wyrok, wpłacę zaliczkę na małe mieszkanie dla nas, a nawet jeśli nie zdążę, to póki co możemy zamieszkać u mojej matki, mówiłem jej o tobie i ona jest ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłaś, powiedziała, że przyjmie cię jak córkę", i przy tych słowach poryczałam się ze wzruszenia, tak jak w Gaju Świętych, kiedy mi opowiadał o swoim bracie, i gdyby w tej chwili znowu mu coś groziło, nie wiem? pożar wybuchł tu na stryszku, ratowałabym go, jak wtedy przed Masseną, nawet z narażeniem życia, poważnie mówię, choćbym miała żywcem spłonąć, ocaliłabym Luisa, ale - za męża nie byłam w stanie za niego wyjść.

I on to zrozumiał, podczas następnych wizyt już nie wracał do tematu, tylko słuchaliśmy muzyki i ogólnie gadaliśmy o życiu; a potem zaczął spotykać się z jakąś dziewczyną od siebie z Cordoby i tak się nasz kontakt urwał; mam nadzieję, że się pobrali i są szczęśliwi, bo Luis to naprawdę wspaniały chłopak, i jak mało kto zasłużył na dobry los.

ZBLIŻAŁ SIĘ DO KOŃCA MÓJ WYROK, KIEDY SIOSTRA ZASZŁA W CIAŻĘ,

od dawna się o to starali, ale chyba coś nie tak było z plemnikami szwagra, niechętnie mi o tym opowiadała, więc nie drażylałam tematu, wiem tyle, że się leczył i, jak widać skutecznie, bo dwa miesiące przed moją maturą, Juanita oznajmiła mi radosną nowinę i odtąd był to główny motyw naszych rozmów, a ja bałam się, że nie stanę na wysokości zadania, że po prostu nie do-

rastam, kochałam Juanitę, lecz nie potrafiłam na tym poletku z nią współodczuwać; mówi się, że za sprawą biologii wszystkie jesteśmy siostrami i jedna drugą powinna wlot zrozumieć, a ja nawet rodzonej siostry nie rozumiałam, i to mnie niepokoiło, ta moja obojętność, którą oczywiście skrywałam, w ciągłym strachu, że Juanita przeniknie grę, dostrzeże zasłonięty uśmiechem wyraz znudzenia, odgadnie, że zamiast przykładać dłoń do jej brzucha i słuchać niekończących się wynurzeń, wolałabym poczytać książkę; dręczyła mnie myśl, czy z takim samym chłodem nie podejść kiedyś do własnego macierzyństwa, i czy w ogóle jestem pełnowartościową kobietą, skoro nie umiem znaleźć teraz z Juanitą wspólnego języka; cieszyłam się, że wyjadę, zanim dziecko przyjdzie na świat, bo całkiem bym się pogubiła w tym nowym, nieznanym światku pieluch, karmienia i rodzicielskich zachwyków nad oseskiem i na pewno popełniłabym jakiś bolesny dla nich nietakt; po latach Juanita powiedziała mi, że chyba coś pieprzę, albo źle pamiętam, „cały czas czułam w tobie oparcie i bardzo szczęśliwie się złożyło, że wtedy u nas mieszkałaś”, cóż, jeśli tak, to widać dobrze grałam.

ZDAŁAM MATURĘ,

normalnie, w mojej dawnej szkole, którą ongiś porzuciłam, sierżant Picasso zawiózł mnie tam w kajdankach, spytałam: po cholere? przecież panu nie ucieknę, a on, że taki przepis, transport więźnia to transport więźnia, więc zdjął mi dopiero na sali, gdzie się odbywał egzamin, i cały czas warował pod drzwiami jak pies; można sobie wyobrazić, jak zareagowali maturzyści na wi-

dok skutej dziewczyny, którą wprowadza policjant i sadza między nimi, „państwo za nią odpowiadają - poucza groźnie dyrektora i ciało pedagogiczne - jeśli ucieknie, będą mieli państwo kłopoty”; a jeszcze wszyscy wiedzą, co zrobiłam, że byłam w gangu Mas-seny, że wstrzyknęłam barbiturany amerykańskiemu turyście, na pamięć znają każdy mój wyczyn, bo dwa lata temu, jak cała wy-spa, żyli naszym procesem, a co najmniej połowa z nich polazła potem pod basztę, więc moje ciało, dziś skromnie okryte białą bluzką i ciemną spódnicą, widzieli nagie, wijące się z bólu, czyta-łam z oczu dziewcząt ich *schadenfreude*^{*15}, już poznałam to nie-mieckie słówko, sucze *schadenfreude*, jak w spojrzeniu Gracji Gomes, a chłopcy gapili się ukradkiem, cichaczem rozbierali mnie wzrokiem, ciekawi, czy noszę ślady mojego tańca przy dra-binie, a szczególna fascynacja wyzierała zza grubych okularów Roberto Calvery, chluby liceum, bo jako piętnastolatek doszedł do półfinału panamerykańskiej olimpiady historycznej albo geo-graficznej i dlatego pokazano go na specjalnym apelu, wtedy jeszcze chodziłam do szkoły, więc zapamiętałam ten tłusty pysk uśmiechniętego karpia, „wszyscy jesteście dumni z ciebie, Ro-berto”, kadził dyrektor, machając jego dyplomem, a rok później zobaczyłam Calverę pod basztą, tuż przy podeście, chyba od świ-tu tkwił na placu, skoro się załapał na takie miejsce; ileż to litrów spermy wystrzykał od tamtego czasu na prześcieradło i pizamę, przywołując przed zamknięte oczy mój obraz, choć na swym ko-niu pewnie nigdy nie zajechał dalej niż do chwili, gdy ściągnięto

¹⁵ *Schadenfreude* (niem.) - radość z cudzego nieszczęścia (przyp. red.)

mi dzinsy, bo takie niskie, tłuste musi być nadpobudliwe; wyłapałam jego wzrok i odpowiedziałam hardym, wyzywającym uśmieszkiem dziwki, która go przejrzała, hardym wyzywającym uśmieszkiem dziwki, którą publicznie na gołe ciało potraktowano batem, lecz ona w swej beczelności nadal nie czuje wstydu; to była moja jedyna broń, jeśli miałam zostać na sali przez kilka godzin, choć najchętniej po prostu bym uciekła.

A temat pracy maturalnej brzmiał: *Obraz bohaterstwa w literaturze*, więc napisałam o Tezeuszu, Perseuszu i Heraklesie, „ich etos prosty był i twardy jak fi-diaszowe rzeźby, bo składała się nań prawość, odwaga, siła, tylko tyle i aż tyle, bez żadnych niuansów i kontrapunktów, w jakich lubuje się współczesna literatura”; a pisząc to, oczywiście brałam za model Syriusa Aznara, który nie przypadkiem od pierwszego wejrzenia skojarzył mi się właśnie z posągiem, „obecni herosi to ci, co walczą z dyktaturą, na przykład obrońcy Isla de las Rocas podczas wojny z komunistami.” - Tak zakończyłam, i dopiero w domu się zreflektowałam, że komisja może mnie posądzić o wazeliniarstwo.

Na drugi dzień zdawałam matematykę i rytuał się powtórzył; „panie sierżancie, niech pan sekundę pomyśli: po co miałabym uciekać?”, „a czort cię tam wie, przepis to przepis” i Picasso znowu mnie zakuł i rozkuł dopiero na sali, ale ten widok już wszystkim spowszedniał, i tylko jeden Roberto Calvera po dawnemu się ślinił, a nawet specjalnie usiadł w rzędzie obok, tak by mieć na mnie możliwie najlepszy widok, i chyba bardzo się zmartwił, że już po godzinie oddałam pracę, bo dla mnie te wszystkie ikсы,

igreki, sinusy, cosinusy i trój- miany nigdy nie stanowiły problemu, „już?”, uśmiechnął się dyrektor, czterdziestolatek przepięknie pachnący, o bardzo, bardzo kulturalnej twarzy, który pewnie nie był wtedy przed basztą, choć w sumie, cholera go wie, „już”, odpowiedziałam uśmiechem wyćwiczonym na moich ofiarach, „nie chcesz jeszcze raz sprawdzić? masz ponad dwie godziny.”, m-m, wdzięcznie pokręciłam główką, a grzywka zatrzepotała nad oczami; jak ja głową rzucałam na wszystkie strony! jak moje włosy miały się, gdy mnie bito! widział to? a ta jego zastępczyni z wielkim wolem? a ta trzecia, ruda psita, chyba od geografii? o tak, ona na sto procent była na placu, wręcz przekazała mi to wzrokiem, mówiłam ci, Santiliana, ostrzegałam, że się doigrasz - czytałam w triumfalnym spojrzeniu zwężonych oczu, i przypomniałam sobie, że rzeczywiście raz ostrzegła, Bibi przyszedł do mnie pod szkołę i paliliśmy papierosy, a ona przyuważyła to z okna i po lekcjach, gdy napatoczyłam się na nią na schodach, pierdolnęła mi kazanie, choć nie była moją wychowawczynią, a nawet mnie nie uczyła, no to wyobrażam sobie, jakie morały trula potem w klasie, gdzie miała wychowawstwo, na pewno wszystkie palaczki straszyla moim przykładem, do raka, rozedmy i innych skutków nikotyny dopisując krwawe, spuchnięte pręgi na tyłku i plecach; wiedziałam, że za kilka miesięcy opuścę bezpieczne schronienie u Juanity, wyjdę na ulicę i pod wzrokiem każdego przechodnia będę z lękiem myślała - widział czy nie? a jeśli nie widział, to przecież i tak na bank skojarzy, że właśnie idzie ta wychłostana, więc trzeba, koniecznie trzeba zdać do E.O.J., choćby po to, żeby wynieść się z tego grajdołu; ale na ra-

nie byłam jeszcze więźniem, na korytarzu czekał na mnie sierżant Picasso, stanęłam w drzwiach, wyciągnęłam łapki „niech pan skuwa”, „już, niunia? nie pospieszyłaś się? bo wiesz: co nagle to po diable”, „wszystko OK, kajdanki poproszę”; no to mnie skuł i odwiózł do siostry.

Żeby pójść zobaczyć wyniki, które nazajutrz miały być wywieszane przed sekretariatem szkoły, już nie dostałam pozwolenia, „nigdzie cię nie będę woził, szwa- grostwo mogą sprawdzić”, a zatem Juanita poszła z samego rana, „chyba bardziej się denerwuję, niż kiedy sama zdawałam”; a wróciwszy, pędem wbiegła na stryszek i rzuciła mi się na szyję.

- Laura! Normalnie nie uwierzysz! Dwa razy celujący! Jako jedyna ze wszystkich... Jezu, siostra!

Żeby zrobić Juanicie przyjemność, dotknęłam jej brzuszka.

- Widzisz, Diego, jaką masz zdolną ciotkę.

Bo na USG wyszło, że to chłopak, więc już miał imię.

POZOSTAWAŁO JUŻ TYLKO ZAPISAĆ SIĘ NA EGZAMIN DO E.O.J.,

co okazało się łatwiejsze, niż w poprzednich latach, ktoś po tych wszystkich bójkach i przepychankach poszedł widać po rozum do głowy i teraz - zgłoszenia przyjmowano listownie i dopuszczono do egzaminu tysiąc dziewczyn, które miały najwyższe oceny na maturze, a ponieważ większość kandydatek legitymowała się, tak jak ja, dwiema szóstkami, ustanowiono dodatkowe

kryterium, mianowicie miejsce zamieszkania, im mniejsze miasto, tym więcej punktów, i oczywiście skorzystałam na tym, choć uważam, że to było głupie i niesprawiedliwe, takie preferowanie kogoś tylko dlatego, że jest z wiochy; podwójnie skorzystałam, bo nie dość, że jako mieszkanka dziesięcioletniego Granada del Mar załapałam się na egzamin, to jeszcze miałam słabą konkurencję; podejrzewam, że gdyby razem ze mną zdawało więcej pańienek z dobrych szkół w stolicy, raczej nie byłabym ich w stanie wyprzedzić.

I NIE WYPRZEDZIŁAM,

byłam ostatnia, trzydziesta, ale to znaczyło, że - jestem przyjęta do E.O.J.! Dwadzieścia dziewięć dziewczyn z Puerto de las Aguilas oraz innych stolic regionu i ja jedna, za nimi, na szarym końcu, biedna sierotka z Santa Inez; oprócz mnie żadna z wiochy się nie dostała.

Nie wierzyłam, że się uda, i dlatego nawet nie pchałam się w tłum lasek, który na podwórku klasycystycznego pałacyku szkoły obiegił tablice z wynikami, czekałam aż się rozejdą, w większości zaryczane, i dopiero wtedy podeszłam; gruba, czarna krecha jak mur odgrodziła pierwszą trzydziestkę od reszty, enklawę szczęścia od dziewięciuset siedemdziesięciu przegranych; myślałam, że śnię, albo że mam coś z oczami, albo może zdawała ze mną jakaś inna Laura Margarita Santiliana, ale nie - ta trzydziesta była z Granada del Mar a tam nie ma dwóch takich, a więc, ja!' moja ręka, w którą się uszczypnęłam i mój policzek i moje udo, szczypałam się dalej, żeby sprawdzić, czy to jednak nie sen,

cała ja, całe moje ciało i moja dusza od dziś składają się na studentkę E.O.J.!

Pobiegłam do automatu telefonicznego, zadzwoniłam do Juanity,

I JESZCZE TEGO SAMEGO DNIA WIECZOREM NA
RYBACKIEJ BYŁA UROCZYSTA KOLACJA,

bo chociaż sierżant Picasso dał mi przepustkę na cztery doby, po sprawdzeniu wyników już nie wróciłam do hotelu studenckiego, w którym zdających zakwaterowano na czas egzaminów, tylko od razu wsiadłam w pociąg, a potem na prom i około dwudziestej pierwszej byłam w domu, gdzie Juanita i Matheo czekali z szampanem, ostrygami i ogromnym lodowym tortem, i była też Jane, która przez wzgląd na moją siostrę i szwagra musiała mówić po hiszpańsku, pierwszy raz gadałam wtedy z Jane w ojczystym języku i wyszło na jaw, że straszliwie przekręca wyrazy, „a po jakiemu rozmawiacie z mężem?” „angielski, ja go troszkę przyuczyć, ale on mało talent”, i gdy się we trzy z tego śmiałyśmy, zjawiała się niespodziewanie moja matka, to znaczy: dla mnie niespodziewanie; „poszłam do niej, jak tylko zadzwoniłaś, i ona chce ci wybaczyć, proszę cię, Laura, nie utrudniaj jej”, szepnęła Juanita, patrząc na mnie błagalnie; „widzi pani, jakie zdolne córka”, powiedziała Jane, wchodząc w rolę akuszerki rodzinnej zgody, „trzydzieści trzy dziewczyna do jedno miejsce a ona się dostało”, lecz matka, jak gdyby tego nie usłyszała, stała w progu, patrząc na mnie bez słowa, od dwóch lat jej nie widziałam, i zaskoczyło

mnie, że przez ten czas tak bardzo się postarzała, czy to naprawdę przeze mnie ta czterdziestoletnia kobieta wygląda na sześćdziesiąt? odłożyłam widelczyk, odsunęłam talerzyk z tortem i wstałam od stołu, „dzień dobry, mamó”, dalej niemo mi się przyglądała, „cieszę się, że cię widzę”, wzrok matki uciekł w bok, jakby wyczuła ironię, lecz wtedy podeszłam do niej i objęłam jej biedną, chudą szyję, „przepraszam cię, przepraszam cię za wszystko”, płacząc tuliłyśmy się do siebie, „Lauro, córuniu, ile ja nocy przez ciebie nie przespałam, gdybyś ty to wiedziała, gdybyś ty to wiedziała, dziecko, ale nic, przeszło minęło z Bożą pomocą, i nigdy już nie będziemy do tego wracać, umówmy się, że to był tylko zły sen”; potem usiadłyśmy obok siebie przy stole i mama co chwila dotykała mojej dłoni, jakby chciała się upewnić, że jestem, naprawdę istnieję, jej córka, nawrócona, poprawiona Laura, a ja, choć byłam autentycznie wzruszona, nie potrafiłam zarazem opędzić się od myśli, że nie tylko mnie chciała przygarnąć do piersi, lecz także perspektywy, które otworzyła przede mną E.O.J.; wszak za cztery lata mogłam zarabiać kilkanaście tysięcy pesos albo i więcej, a córki, z taką pensją szkoda się wyrzekać, zwłaszcza, że mama naprawdę ledwo wiązała koniec z końcem w tym swoim sklepiku.

Dochodziła północ, gdy ktoś ostro zadzwonił do furtki, Juanita wyjrzała przez okno i z lękiem powiedziała: twój kurator, „a niech se przychodzi dziesięciu kuratorów”, odparł Matheo z nietypową dla siebie śmiałością, „chyba dzisiaj Laura ma prawo świętować!”; lecz sierżant Picasso zjawił się prywatnie, przyno-

sząc mi wielki bukiet jakichś chwastów, które pewnie uważał za kwiaty oraz tabliczkę nadziewanej czekolady, „zadzwoń do sekretariatu tej twojej szkoły, przedstawiłem się jako twój wuj, no i powiedziano mi, że jesteś przyjęta”; był autentycznie ucieszony i wzruszony, stary glina, dorabiający do emerytury pilnowaniem skazanych z zawieszeniem, warunkowo zwolnionych, i takich jak ja - domowych aresztantów, a wszyscy oni oczywiście w najlepsze chlali, żuli liście, palili blanty, zadawali się z dawnym towarzystwem, kradli, bili, prostytuowali się, uciekali, więc byłam jednym z jego nielicznych, jeśli nie jedynym sukcesem, za który pewnie oczekiwał od sędziego Aznara nagrody albo chociaż pochwały.

- O, widzę, że i pani Santiliana przyszła, i bardzo dobrze, matka powinna córce wybaczyć, ja swoim synom wybaczałem zawsze, choć zbyt łagodnym ojcem nie byłem i nieraz, jak zasłużyli, zlałem pasem, i to fest, ale potem przytulałem do serca, toć to przecież krew z krwi, kość z kości, prawda, pani Santiliana? i powiadam pani: dyscyplina, surowe wychowanie tak, jak najbardziej, ale o wiele ważniejsza jest w rodzinie miłość, wiem co mówię, bo czwórkę z żoną nieboszczką wychowaliśmy. - I sierżant Picasso zdążył w ostatniej chwili otrzeć łzę, co już wisiała nad tortem, którym go poczęstowała Juanita, a ja patrzyłam na niego przez stół i zastanawiałam się jak to jest, dlaczego tak jest, że jeszcze dwa lata temu, słysząc takie słowa, nie potrafiłabym się powstrzymać od śmiechu; dobrze pamiętam, jak rozbawiałam chłopaków, przedrzeźniając kazania księdza Juana, świętej pa-

mięci księdza Juana, bo zmarł niedługo po moim procesie; „miłość to światło, a grzech to ciemność” - darłam się w knajpie Don Alexandra, włączając na krzesło, niby na kazalnicę - „więc kochaj bliźniego swego i nie czyn mu żadnej krzywdy” - marniałam, naśladując bezzębnego księżula, któremu waliło z japy, a Bibi, Esteban, Jose i Carlos normalnie lali po nogach; a przecież, do cholery - identycznie mówi i myśli Syrius Aznar! podobnie jak sierżant Picasso, przedkłada wybaczenie nad surowość, najlepszy dowód, że nie skończyłam w Carrera, i tak, jak ksiądz Juan, potępia krzywdzenie bliźnich, skoro pięćdziesięciu trzem najgorszym krzywdzicielom na wyspie bez wahania podziurawił czaszki; czemu akurat jego kodeks moralny mnie zafascynował? czyż nie opiera się o te same wartości, co jeszcze niedawno, głoszone przez innych ludzi, odstręczały mnie i śmieszyły; a ponieważ przebrnęłam świeżo na mym stryszku przez Platona, wytłumaczyłam to sobie tak, że istnieje idea dobra i prawości oraz jej odbicie w poszczególnych ludziach, często niewydarzone jak w biednym, starym księdzu Juanie albo naiwne jak w mojej siostrze, która właśnie z pomocą Matheo poodsuwała meble, puściła *You belong to me* Jo Stafford, skąd u nich w domu takie płyty? przedpotopowe, trzeszczące, ale cudne, szwagier poprosił do tańca Jane, ona sierżanta Picasso, „tata dedykował mi raz tę piosenkę na dancingu”, szepnęła matka, cały czas trzymając moją rękę, tak, oni wszyscy są dobrzy, są uczciwi, tylko mój wzrok był nigdyś zbyt słaby, by to dostrzec, umysł zbyt wypaczony, aby uszanować; lecz na sali sądowej spotkałam indiańskiego demiurga, a w jego oczach zobaczyłam idee cech, z których odbicia drwiłam,

więc od tamtej pory już nie śmieję się, nie szydę, nawet, jeśli to odbicie jest cokolwiek koślawe, na podobieństwo sierżanta Picasso, utykającego w tańcu z Juanitą, i lekko zbrukane wyrachowaniem jak u mojej matki; jesteś, mamó, dobrą kobietą, przekazałam jej dotykem, i ja też będę dobra, przekonasz się, bo tego nauczył mnie Syrius Aznar.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ DOSTAŁAM KOSZMARNY LIST

z sekretariatu E.O.J., dla mnie koszmarny, bo inne dziewczyny potraktowały pewnie tylko jako uciążliwą formalność zawarty w nim nakaz: prosimy o osobiste dostarczenie lub przesłanie pocztą w nieprzekraczalnym terminie 30 dni oryginału zezwolenia Ministra Spraw Wewnętrznych na podjęcie nauki w E.O.J., informując że wniosek o jego wydanie składać należy według załączonego wzoru w biurze podawczym MSW, Av. De Mexico 104. Niedostarczenie zezwolenia w podanym wyżej terminie spowoduje skreślenie z listy studentów. Przeczytałam wzór wniosku, a tam stało ni mniej ni więcej, tylko że mam się spytać pana ministra, czy w rozumieniu art. 7, pkt. 1 i 2 Ley de Seguridad Nacionyl^{*16} właśnie ja nie stanowią niebezpieczeństwa, on zaś odpowie tak lub nie i stosownie do tego będę lub nie będę mogła uczyć się w E.O.J., więc totalnie zgłupiałam, a Juanita zadzwoniła do sierżanta Picasso; przyjechał za pół godziny z jakąś opasłą książką, siadł z nią przy stole w kuchni i kartkował, pośliniwszy gruby paluch, a ja i siostra z dwóch stron schylonej siwej głowy zaglądałyśmy przez ramię.

¹⁶ *Ley de... (hiszp.) - Ustawa o bezpieczeństwie państwowym.

- Artykuł siedem, punkt jeden, mam: nie dopuszcza się do pracy w centralnych urzędach państwowych ani do nauki w szkołach, które kształcą kadrę tych urzędów osób podejrzanych o kontakt ze służbami specjalnymi obcych państw lub organizacjami terrorystycznymi.

- To ciebie nie dotyczy - westchnęła z ulgą Juanita.

- Zaraz, jest jeszcze punkt dwa: nie dopuszcza się do pracy w centralnych, i tak dalej, osób podejrzanych o kontakty ze zorganizowaną przestępczością. No, widzisz, mała - podniósł na mnie wzrok znad książki - i tu masz problem.

- Ale przecież nie byłam w żadnym kartelu ani mafii!

- Wiesz: gang to gang, i żaden urzędnik się nie będzie bawił w niuanse. A zostałam skazana właśnie za udział w gangu, nie tylko za poszczególne przestępstwa, rozumiesz? I to gdzieś leży w Puerto w Pałacu Sprawiedliwości, bo sędzia Aznar wysłała tam wszystkie dokumenty.

- I co teraz? - spytała Juanita, a ja w ogóle nie mogłam wydożyć z siebie głosu; kilka dni temu odniosłam największy sukces w życiu, który zdawał się przekreślać moją przeszłość, ale nie - nagle okazuje się odwrotnie: to przeszłość przekreśla sukces, ona triumfuje, on idzie na śmietnik. Nie uрониłam łzy, gdy mnie aresztowano i przesłuchiowano, ani na sali sądowej, ani nawet, tam pod basztą, a teraz odwróciłam się, twarz przycisnęłam do ściany i zaczęłam histerycznie płakać.

I DWA DNI PRZELEŻAŁAM W ŁÓŻKU,

jak nieprzytomna, patrząc nieruchomo w sufit, nie jadłam, nie mówiłam, Matheo i Juanita bali się, że coś sobie zrobię i rzeczywiście chciałam wtedy ze sobą skończyć, powiesić się w nocy na prześcieradle, skoro nawet on mnie zdradził, Syrius Aznar; dlaczego? dlaczego wysłał te cholerne papiery do Puerto?! przecież wiedział, że tym mnie zniszczy, na zawsze pogrzebie!

A TRZECIEGO DNIA PRZYJECHAŁ PICASSO

i Juanita zawołała mnie na dół, „Laura, zejdz, pan sierżant wszystko odkręcił”, zlazłam do kuchni w szlafroku, rozmemłana, rozczochrana, aż mój biedny kurator wzdrygnął się, jakby ujrzał upiora.

- Dobra, mała, załatwione. Jutro jedziesz do Puerto i w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych meldujesz się u naczelnika Guerro, pokój 212, drugie piętro. I on ci te wszystkie pieczątki przybi-je gdzie trzeba, no co się tak patrzysz? nie na tyłku tylko na tych papiórkach do szkoły.

Dwa dni nic nie jadłam, więc cała kuchnia w tym momencie zawirowała i opadłam na taboret.

- Tu ci wszystko napisałem: naczelnik Sebastiano Guerro, pokój 212 - zobaczyłam podsuniętą pod nos kartkę.

- Jak pan to załatwił? - spytała Juanita z podziwem.

Mógł przez chwilę pograć przed nią Bóg wie kogo, ale to nie było w stylu sierzanta Picasso, zatem jedynie wzruszył wzgardliwie ramionami i głośno siorbnął kawę, którą go poczęstowała.

- A nijak. Czy ja mam kumpli w rządzie? No, ale co poniektórzy mają - znów upił łyk, już nieco ciszej. - Nie wygadajcie, że wiecie, bo on nie kazał mi wam mówić. Nawet tej kartki nie napisał własnoręcznie, tylko podyktował.

O CZWARTEJ RANO BYŁAM JUŻ NA PROMIE,

a o 10.30 w gabinecie pana Guerro, który zachowywał się tak, jakby przyszła do niego córka Clintona i Margaret Thatcher, „może kawy?”, „a może pani głodna po podróży, bo żaden problem zaraz coś tego... z bufetu, naprawdę nie?”, „OK, gotowe, mam wysłać do E.O.J. gońca, czy pani woli sama im dostarczyć?”, złapałam pismo jak jastrząb przepiórkę, niemal wyrwałam mu z ręki, „sama, sama!” i pognałam przez całe śródmieście aż do klasycystycznego pałacyku na Plaza de la Constitution, na schodach potrąciłam brodacza o wyglądzie profesora, „przepraszam, gdzie jest sekretariat?” „pierwsze piętro, na lewo, ale czemu pani tak pędzi jak szalona?”, „bo mnie młodość uskrzydla”, rzuciłam w odpowiedzi, a on zaczął się głośno śmiać, bardzo głośno, tak że jeszcze słyszałam jego tubalny śmiech, wbiegając do sekretariatu, pani w średnim wieku podniosła na mnie zdziwiony wzrok zza biurka, a ja triumfalnie wręczyłam jej papier z pieczętą, „proszę, nie jestem niebezpieczna dla Państwa”, nałożyła okulary, przeczytała i normalnie kopara jej opadła. -Już?

- Co już?

- No, bo zwykle Ministerstwo odpowiada w ciągu czternastu dni.

Wzruszyłam ramionami, niby skąd to miałam wiedzieć, nie wyznaję się na ministerstwach, ale ona mój gest zrozumiała inaczej, jako wzgardliwą odpowiedź, że jednym w ciągu czternastu a innym szybciej, i natychmiast dopięła zezwolenie do mojej teczki i starannie schowała w segregatorze. Podejrzewała pinda, że skoro tak błyskawicznie przyniosłam ten papiórek, to muszę mieć niezłe plecy albo być kochanką jakiejś szychy; może samego ministra Negrido.

- Czy ma już pani upatrzone mieszkanie? - spytała słodko. - Bo jeśli nie to chętnie pomogę, gdyby zechciała mi pani zostawić swój numer telefonu...

SĘDZIA AZNAR BYŁ TROCHĘ ZASKOCZONY, WIDZĄC DZIEWCZYNE, KTÓRA MIAŁA NA SOBIE TYLE CO NIC,

bo w Puerto, zaraz po sekretariacie, obleciałam sklepy i kupiłam jedwabną „małą czarną”, z tych najbardziej odważnych, co to zakrywają tylko naprawdę niezbędne minimum, i nazajutrz, pierwszy raz nie spytawszy Picassa o zgodę, samowolnie opuściłam areszt i pobiegłam w niej do sądu, zaliczając po drodze siedem zaczepek, co zsumowane z trzydziestoma sześcioma w Puerto, na promie i w pociągu, dawało mi pewność, że wyglądam w tej kiece kosmicznie i ponaddzwiękowo seksy, normalnie druga Madonna; a chyba nawet ją przypominam z twarzy, przemknęło

mi przez myśl, gdy zobaczyłam swe odbicie w wielkim lustrze w sądowym holu; a potem, kiedy usiadłam w ławce, kiecka jeszcze się skróciła, podjeżdżając prawie do pachwin, aż zrobiło mi się głupio, dobrze, że wzięłam ze sobą dużą torebkę, którą mogłam położyć na udach i troszkę osłabić efekt, ale i tak wszyscy się gapiłi, faceci wiadomo w jaki sposób, a baby z naganą i niemal potępieniem, na szczęście to nie był wielki tłum, gdzie mu tam do tych setek na moim procesie i tysięcy przed basztą, najwyżej dwadzieścia osób, bo nie mogła szerszego zainteresowania wzbudzić rozprawa o pyskówkę. Oskarżona, stara, tłusta kłępa z Podzamcza, którą znałam z widzenia, po pijanemu, na rogu Zamkowej i Juareza, nazwała inną, ciut młodszą, lachociągiem, ta zaś, ujrawszy dwóch przechodzących gliniarzy, podleciała do nich, dyszącą z gniewu piersią zagroziła drogę, „słyszeli panowie, jak do mnie powiedziała, kurwa zawszona?“, „no, słyszeliśmy“, „to, na co czekacie, chyba płacę na was podatki, nie?“, więc zabrali grubą, pijaną kłepę do aresztu i dziś stanęła przed obliczem sędziego, a on ze znudzoną miną słuchał zeznań świadków, tych policjantów oraz sprzedawcy wody sodowej z Juareza, albowiem do zniewagi doszło w jego przytomności, a także dowodu prawdy przedstawianego przez oskarżoną, „dobrze jej powiedziałam, Wysoki Sądzie, przecież wszyscy wiedzą, że w zeszłą sobotę za piętnaście pesos zrobiła to staremu Don Alexandro, czyli ojcu pana Alexandro, tego, co ma knajpę“, „a skąd oskarżona to wie?“, spytał Syrius wyraźnie z przykrego obowiązku, bez cienia zainteresowania, „jak to skąd? a od niej samej, pytam się: za co kupiłaś flaszkę? to mi opowiedziała z detalami, Rosa i Belen mo-

gą poświadczyć, bo też z nami piły", Syrius ironicznie wzniosł oczy do nieba, westchnął, a potem opuścił i dojrzał mnie, siedzącą w drugim rzędzie na lewo od sędziowskiego stołu; dostrzegłam w jego wzroku zdziwienie i chyba lekki niepokój, ale to trwało sekundę, bo on panuje nad emocjami i potrafi mieć maskę zamiast twarzy, zwłaszcza w sądzie; „niezależnie od tego, na ile miało się do prawdy, określenie użyte przez oskarżoną jest wulgarne, i jako takie niedopuszczalne, tego rodzaju określeń używać nie wolno, wobec nikogo, a zwłaszcza w miejscach publicznych, gdzie mogą usłyszeć dzieci, choć akurat wasze dzieci z Podzamcza doskonale to słowo znają, być może jako pierwsze wżyciu właśnie je mówią, zamiast „mama”, bo to w ich wypadku na jedno wychodzi”, jakiś facio w okularach się roześmiał, „pana to śmieszy? według mnie to raczej jest smutne, dobrze, dość tej farsy: skazuję oskarżoną na pięć dni aresztu!”, i uderzył w stół młotkiem, po czym wstał i ruszył do wyjścia, a ja zabiegłam mu drogę, „Laura, co tu robisz? powinnaś być w domu, odbywasz karę aresztu!” „wiem, panie sędzio, ale chciałam panu podziękować”, nogi pode mną zadrżały, co ja, idiotka, zrobiłam? tylko go wkurwiłam, zaraz wyślę mnie do baszty razem z tą kłepą, i stałam jak żona Lota, nie rozumiejąc co znaczy jego gest wykonany po otwarciu drzwi, tych samych mahoniowych, z kwaterkowymi fi-longami, tajemniczych drzwi, przez które wchodził i wychodził podczas mojego procesu, zjawiał się i znikał indiański bożek, więc one musiały prowadzić do jakiejś krainy nie z tego świata; „no, wchodź, wchodź”, i dopiero, kiedy to powiedział, pojęłam, że

ruch jego ręki oznacza zaproszenie, przepuszczenie mnie pierwszą przez próg.

W TEN OTO SPOSÓB ZNALAZŁAM SIĘ W GABINECIE SYRIUSA

nad salą sądową; kiedy szliśmy po schodach, spytał, czy nie uraził mnie ten tekst o dzieciach z Podzamcza, skoro też się tam urodziłam, „ale twoja rodzina to nie byli reptiles”, „oni nie, tylko ja, ale to już przeszłość, przysięgam, panie sędzio”; przepuścił mnie uprzejmie w kolejnych drzwiach, Boże, jak tam za nimi było wytwornie, normalnie jak u dawnych wielmożów, których gabinety widziałam na fotografiach w *Historii architektury hiszpańskiej*, a za barokowym biurkiem być może urzędował sam wicekról i na nim pisał listy do Madrytu, podobnie jak krzesło Syriusa mogło być niegdyś jego krzesłem, bo naprawdę byle kto nie siada na takim rzeźbionym w cuda niewidy i ornamentowanym złotą winoroślą; i tylko mi dostał się zwykły, skórzany nowoczesny fotel, który grzecznie wskazał ręką, tak niski, że przy mych długich nogach na nic zdało się obciąganie sukienki, więc usiadłam z mocno ściśniętymi kolanami i jak tarczą zasłoniłam się torebką; wpatrywałam się w jego palce na guzikach sędziowskiej togi, kiedy ją rozpinał i wyobraziłam sobie, że nic pod nią nie ma, gdyż toga skojarzyła mi się nagle z płachtą, okrywającą nagi antyczny posąg, zanim dokona się akt odsłonięcia; lecz oczywiście był ubrany, szare sztruksowe spodnie i jasnopopielaty golf, jego kolor, pomyślałam, kontemplując kontrast golfu z ogorzałą twarzą i jak smoła czarnymi oczami, „kawki?”, nie uwierzyłam wła-

snym uszom, musiał powtórzyć, „tak, panie sędzio, poproszę”, nawet podczas rozprawy nie odpowiadałam mu nigdy z takim onieśmieleniem, a on włączył elektryczny dzbanek, który stał na parapecie pod oknem, i nie byłby mężczyzną, gdyby czekając aż woda się zagotuje, nie pojeździł trochę wzrokiem po moich kolanach; pomyślał, że teraz rozumie tych głupich facetów, co dali mi się zwabić w zasadzkę, ale taktownie zachował to dla siebie; „czarną, czy z mleczkiem?”, proszę: mleczko, cukier, no i co, widzę, że Picasso nie potrafił utrzymać języka za zębami”.

- Niech pan na niego nie krzyczy, panie sędzio. Obiecuję, że nikomu nie powiem.

- Postaraj się, Lauro. Nie chcę, żeby się zwiedziano, że szafuję protekcjami, bo bym się wtedy nie opędził od próśb, rozumiesz?

Skinęłam głową.

- I jeszcze jedno, żeby była pełna jasność: jeśli znów wejdiesz w konflikt z prawem i aresztują cię w Puerto, nie powołuj się na mnie, bo ci nie pomogę, mam zwyczaj tylko raz rzucać koło ratunkowe, pamiętaj o tym.

A przy tych słowach już nie patrzył na moje nogi, lecz prosto w oczy aż filizanka zadrżała mi w dłoni.

- Już nigdy nie popełnię żadnego przestępstwa - powiedziałam twardo, i wtedy Syrius wstał zza biurka i zaczął chodzić po gabinecie.

- Wierzę ci na dziewięćdziesiąt procent - powiedział wreszcie w pół kroku do okna, po czym odwrócił się do mnie.

- Nie na sto?

- Chciałbym. Ale jesteś niestety uzależniona od kokainy i podejrzewam, że również od alkoholu, bo w bardzo młodym wieku zaczęłaś pić, a w Puerto jest mnóstwo pokus, co dzień, a zwłaszcza co noc, wiem, bo sam tam studiowałem, i to nie tylko koka, ale opia- ty, syntetyki i wszelki szajs, więc pamiętaj, Lauro, że jeśli choć raz ulegniesz, to już popłyniesz, równo, ostro w dół, rozumiesz? i pewnego ranka obudzisz się obok jakiegoś tamtejszego Masseny albo po prostu - w celi.

- Nie, panie sędzio! Tak na pewno nie będzie! - prawie krzyknęłam.

- Oby...

I dodał, że to byłby dramat, taki koniec, także dla niego, bo w tym momencie jest pełen nadziei, że dobijam do brzegu, „więc się, do cholery, nie utop, jak masz już na wyciągnięcie ręki nowy ład, gdzie będziesz mogła należycie spożytkować swoją inteligencję i urodę”, przy czym nie postawił kropki nad i nie dopowiedział, że obie te cechy dotąd wykorzystywałam do niecznych celów.

- Urodę? - zdziwiłam się i odruchowo szczelniej zasłoniłam torebką.

- A co? Nie jesteś ładna? Chyba wiesz, jak bardzo się podobasz facetom, a to w Puerto zdecydowanie pomaga, więc, mówiąc cynicznie, dobrze, że nie przyjęłaś oświadczyn Luisa, bo chociaż to porządny chłopak i z mnóstwem zalet, to raczej nie zostanie nigdy ministrem ani żadnym prezesem, a ciebie po E.O.J. będzie stać na mężczyzn z najwyższej półki.

Matrymonialny miraż miał pewnie odstręczyć mnie od koki, zamiast ćpać, złap lepiej męża z kasą, tak odebrałam jego słowa, czyli uważał mnie za pannę, która w stolicy natychmiast rozpocznie łowy, a na domiar przykrości przypomniało mi się, że bardzo podobnej rady udzielił w sądzie Annabelli, identycznie nas potraktował, jedna kurwa, druga ćpunka, a dla obu lekarstwem jest małżeństwo z bogatym dziadem. Ale skryłam oczywiście urazę i odpowiedziałam, że nie mogłam wyjść za Luisa, bo kocham innego, i nie dodałam, że skoro wie o odrzuconych oświadczynach, to widać występował w roli swata, za co jestem mu wdzięczna, gdyż robił to dla mojego dobra; a on spytał tak samo jak Luis, czy tym innym nie jest przypadkiem Bibi Masse-
na, lecz od razu sam sobie zaprzeczył.

- Nie, ty tego gnojka nie kochałaś, to było widać. W takim razie kto jest szczęśliwym wybranym twego serca?

Milczałam, i wierzyć mi się nie chciało, że ktoś taki jak on, wszechwiedzący i wszechwidzący, potrafi być ślepy jak przeciętny facet, któremu do ucha trzeba krzyknąć: kocham cię i jeszcze rozpiąć mu koszulę, aby się zorientował; ale dla Syriusa Aznara byłam jak córka, bo przecież nie miał własnych dzieci, niegrzecz-

na, nieposłuszna córka, co doprowadziła go do ostateczności i musiał oćwiczyć ją batem, a teraz chce jak najlepiej wydać za mąż; a ja także, wliczbie wszystkich uczuć do niego, widziałam w nim ojca i to by mi pewnie wystarczyło, gdyby inaczej się poruszał, a nie tym swoim zwinnym, miękkim krokiem jaguara, i gdyby nie jego sposób patrzenia, zmrużony uśmiech przenikliwych oczu, kształt ramion, głowy i całej bryły, w którą się komponował za stołem sędziowskim, i niski, spokojny, podbarwiony ironią głos, jego dłonie, falujące w takt słów, jakby grał na niewidzialnym fortepianie, więc siedziałam na ławie oskarżonych zapatrzona, zasłuchana, a to co mówił, wydawało mi się melodeklamacją, i gdyby nie cała masa innych rzeczy, stwarzających dla mnie Syriusa Aznara i nieustannie atakujących moją wyobraźnię, nie płonąłby teraz we mnie kazirodczy ogień i nie rozmyślałabym jak sprawić, by jego płomienie przerzuciły się z córki na ojca.

- Przepraszam, cofam niedyskretne pytanie - odrzekł memu milczeniu; znów przez chwilę spacerował, od okna do drzwi i z powrotem, i znowu i jeszcze raz, stawiając kroki, jak gdyby się skradał naprzeciw niewidocznemu wrogowi; aż nagle zatrzymał się za moimi plecami i poczułam na nich jego wzrok, odruchowo oderwałam plecy od oparcia i pochyłona, zastygnięta czekałam, wyobraźnia czekała, lecz to, co nastąpiło, przerosło ją, bo nie śmiałam marzyć o dotyku, i nie od razu potrafiłam uwierzyć, że jego palce z miękką pieszczotą opuszków naprawdę wędrują po moich łopatkach, w górę aż do prawego ramienia, a potem cała dłoń przesunęła się wzdłuż białych przebarwień, po krzyżujących

się liniach pozostawionych przez bat; dzięki lekarstwu Wuja nie rzucały się w oczy i mógł je widzieć tylko ktoś kto był blisko, bardzo blisko przy mnie, tak jak teraz Syrius.

- Widzę, że ładnie ci się zagoiło - opuszek dotknął najniższej z blizn, jaką odsłaniała sukienka, prawie już na łądźwiach, a ja rozpaczliwie starałam się zatamować oddech, wtłoczyć z powrotem w płuca, brzuch, macicę, siedź tam i nie wyrywaj się, bo mnie kompromitujesz, pomyśli, że jakaś nimfomanka, wystarczy palcem tknąć, a już dyszy jakby dochodziła.

- A resztę zrobi chirurg plastyczny, w Puerto jest ich do wyboru do koloru - skończył oględziny, bo to były tylko oględziny, nic więcej, po czym odszedł i usiadł za biurkiem; sięgnął po papierosa, lecz mnie nie poczęstował, jakże by mógł, skoro byłam jego córką.

- Dziękuję za to lekarstwo, panie sędzio, naprawdę jest super.

- Wiem, mnie też pomogło - wydmuchał dym, a potem potarł czoło nad brwiami. - Widzisz, eleganckie gładkie czółko, a wyglądało tak, że wołałem nie patrzeć w lustro.

- Rana wojenna?

- Odłamek - znów puścił z ust i z nosa fontannę dymu; śmiesznie i tak słodko palił, jak małolat, który się popisuje. - Tak to bywa, gdy strzelają z moździerzy.

- Każdy ma blizny na jakie zasłużył - powiedziało coś za mnie, bo sama w życiu nie wymyśliłabym takiego bon mota.

A Syrius uśmiechnął się, chyba pierwszy raz troszkę mnie doceniając.

- Wierzę, Lauro, że teraz bilans twoich zasług się poprawi. Jeśli tylko będziesz się trzymać z dala od...

„Wiem, tato, od koki, blantów, alkoholu, i od chłopaków w rodzaju Bibi Masseny; zapamiętałam lekcję i nie zawiedziesz się na mnie, zobaczysz"; a głośno spytałam, czy będzie wielkim nieaktym, jeśli czasem do niego napiszę.

- Króciutki list, żeby pan sędzia wiedział, co u mnie i w ogóle...

Czy w tym momencie coś mu zaświtało? bo wyraźnie ważył w myślach odpowiedź, ale nie, chyba nie, na koniec zakwitł szczerzy, serdeczny, czysto tatusiowy uśmiech.

- Jasne, Lauro, będzie mi miło. Wysyłaj na adres sądu, i nie obrażaj się, jeśli czasami nie odpiszę.

- Rozumiem, przecież ma pan tyle pracy.

Nie musi odpisywać, pomyślałam, wystarczy, że przeczyta. I wracając do domu, już układałam do niego pierwszy list,

NIEŚWIADOMA, ŻE ZA CHWILĘ CZEKA MNIE LANIE

i jakkolwiek absurdalnie to brzmi, tak właśnie było; z sądu na Rybacką skróciłam drogę i zamiast ulicą poszłam przez park, jak nazywano zadrzewiony wąwóz, który przecinał klif, stromo opadając ku dzielnicy portowej; i właśnie tam w parku, dopadł mnie sierżant Picasso, wzniesając tuman kurzu, wyprzedził swoim pi-

kapem, gwałtownie zahamował, „co, myślałaś, że mi uciekniesz?!", ryknął, wyskakując z szoferki; a potem rzucił mnie na maskę samochodu z siłą, o jaką nigdy bym go nie posądzala, „leż i się nie ruszaj!", spojrzałam przez ramię i zobaczyłam, że odpina pas; bił po tyłku przez sukienkę i po gołych udach tuż pod majtkami, gdzie sukienka za krótka była, żeby chronić, plaskał i plaskał pasem, a z tego, co sapał w krótkich antraktach, zrozumiałam, że nie zastał na Rybackiej ani mnie ani Juanity, i strasznie się zdenerwował, „skąd miałem wiedzieć, że polazłaś do sądu!? nic mi nie powiedziałaś, wyszłaś bez mojego pozwolenia, rozumiesz, bez mojego pozwolenia!", a masz, a masz, a masz, dziesięć plaśnień, normalnie czułam jak puchnę, wreszcie ręka go zabolała, więc nowy antrakt, „już jechałem do Aznara, żeby mu zameldować, że uciekłaś, ale bym dostał opierdół, a tu patrzę: idzie królewna ulicą i na mój widok myk do parku... Jak nie uciekałaś? przecież cię, kurwa, wołałem! wołałem, czy nie?", i znów a masz, a masz, a masz, po dupie, po nogach, twardym, wojskowym pasem, a ja cały czas wyobrażałam sobie, że to karci mnie Syrius Aznar, do którego układałam w myślach list, więc nie zauważyłam pikapu ani nie usłyszałam wołania sierżanta; bo Syrius powinien mnie zbić, zlać na kwaśne jabłko, ku przestrodze, żebym prowadziła się jak należy w Puerto; przypomnieć memu ciału tamtą Wielką Chłostę i zadatkować pasem Jeszcze Większą, która mnie czeka, jeśli znowu coś nawywijam; lecz tej lekcji Syrius nie udzieliłby przez sukienkę i majtki, o nie, najpierw wszystko by ze mnie zdarł, albo kazał bym sama zdjęła; lepiej to drugie - sama zdjęła i posłusznie przełożyła się przez biurko, wmawiałam

w siebie, że leżę na barokowym biurku Syriusa Azhara, i nawet głos i sapanie sierżanta Picasso nie potrafiły popsuć tej wizji, „co ty tam mamroczesz?! jeszcze mi, kurwa, pyskujesz, tak?“, więc się zreflektowałam i żeby dziadka nie złościć, dalej już tylko w myślach liczyłam: dwadzieścia dwa, panie sędzio, dziękuję, dwadzieścia trzy, panie sędzio, dziękuję, i dyskretnie całowałam maskę pikapu, marząc, że to rzemień, przyłożony mi do ust przez Syriusa.

Chyba ze trzydzieści dostałam, zanim mu zmiękło serce; za to inny organ stwardniał, podtrzymując opadające spodnie, normalnie za buzię się musiałam złapać, żeby nie parsknąć śmiechem, gdy się odwróciłam; zmieszany przeciągał pas przez patki i kłął pod wąsem a potem kazał mi wsiąść do szoferki; milczał przez całą drogę i nerwowo zaciskał na kierownicy starcze, pomarszczone łapska. „Marsz na stryszek!“, zakomenderował przed domem, otwierając drzwiczki i prawie mnie wypychając. Szłam do furtki, pewna że patrzy na moje nogi, od kolan do rąbka kiecki czerwone i spuchnięte; już wchodząc do ogrodu, odwróciłam się nagle i posłałam mu całusa, bo mu się należał za tę wizję, za ten film o mnie i Syriusie, który niechcący pomógł mi w głowie wyreżyserować; „jesteś diabeł nie dziewczucha!“ - wrzasnął i odjechał; a ja byłam gotowa się założyć, że za dwa dni zjawi się na Rybackiej z tabliczką nadziewanej czekolady. I nie omyliłam się.

28 WRZEŚNIA MAMA I JUANITA ODPROWADZIŁY
MNIĘ NA PROM,

bo tym razem odpływałam na dłużej, aż do Bożego Narodzenia. Dzień wcześniej, w samo południe sierżant Picasso zakomunikował mi, że odsiedziałam karę, „dziś o godzinie dwunastej kończy ci się wyrok”, oznajmił urzędowo i uroczyście w obecności siostry i szwagra; zebraliśmy się w saloniku na dole, na zegarze ściennym była za piętnaście dwunasta, u niego za dziesięć, „akurat kawkę wypijemy, i będziesz wolna”; więc zaraz po tej kawce poszłam do mamy i u niej spędziłam ostatni dzień przed wyjazdem, choć wolałabym zostać do końca na Rybackiej, no ale mama tak prosiła, tak chciała się nacieszyć nawróconą córką, że nie miałam serca odmówić, a nawet pozwoliłam się wieczorem zaprowadzić na mszę, „pomódlmy się, Laurko, żeby ci się tam wszystko dobrze ułożyło w tym Puerto”; w kościele był półmrok, płonęły świece i mama w ich blasku wydała mi się piękna jak z flamandzkich portretów; a nazajutrz o ósmej rano zjawiła się Juanita, we trzy zjadłyśmy pożegnalne śniadanie; „jak przyjadę na Święta, Diego będzie już duży chłopak”, na molo pogłaskałam jej brzuszek, miała termin na początku listopada; potem długo, długo, przechylona przez burtę machałam całej trójce, i poczułam nagle, że bardzo ich kocham: mamę, Juanitę i nienarodzonego siostrzeńca.

A WIECZOREM POZNAIAM LILY HENDERSON,

która wyszła po mnie na Dworzec Centralny w Puerto, i naprawdę nie wiem, w jaki sposób wyłowiła mnie z tłumu wysiadających, z całej czeredy lasek, w samym moim wagonie jechało ze

dwadzieścia studentek, ze wszystkich zakątków kraju ściągały na inaugurację zajęć, a ona bezbłędnie mnie wytypowała, „cześć, to ja, Lily”, zastąpiła mi drogę przy ruchomych schodach, łączących podziemne perony z Placem Świętego Dominika, niebotyczna Mulatka, w postrzępionych džinsach i czarnym zakiecie stała przede mną i kołysała się tanecznie, nie dziewczyna, a klacz czystej krwi arabskiej, pomyślałam, zagapiona na jej nogi, dosłownie promieniujące, zwinnością, lekkością, gracją, a przy tym niesamowicie długie i, jakby nie dość hojnego daru natury, zwieńczone u dołu piętna- stocentymetrowym obcasem, przez co za chwilę, kiedy jechałyśmy schodami, jej twarz skojarzyła mi się z księżycem, okrągłym, czekoladowym, do którego zadzierałam głowę, aż kark bolał, a Lily jeszcze stała stopień wyżej.

- Skąd wiedziałaś, że to ja?

- A nie obrazisz się, jak powiem?

- Spróbuję, Lily.

- No więc byłaś najładniejsza ze wszystkich dziewczuch, które wysiadły...

- To raczej komplement.

- I najbardziej prowincjonalna, ej, miałaś się nie obrażać.

Sekretarka z E.O.J., ta u której składałam papiórek z ministerstwa, opisała mnie podobno jako ładną pannę z wiochy, poszukującą mieszkania, a Lily miała wielki, dwupokojowy aparta-

ment w Palacio de Estudiantes, zarezerwowany i opłacony przez ojca, lecz nie chciała być w nim sama, więc wywiesiła przed sekretariatem kartkę, że przyjmie sublokatorkę, możliwie najmniej odmóżdżoną cipeę, „bardzo przepraszam, ale byłam zmuszona zdjąć pani ogłoszenie”, „a co, nie wolno szukać sublokatorki?”, „wolno, oczywiście, że wolno, tylko to słowo, rozumie pani, trochę niecenzuralne, rektor mógł przeczytać albo któryś z profesorów, a w ogóle to chyba mam dla pani kandydatkę, taka miła dziewczuszka z prowincji”, Lily spojrzała groźnie z wysokości swoich prawie dwóch metrów (plus obcasy) i spytała: ładna? „no tak, pomyślała sekretarka, taki drągał, to pewnie lesba”, lecz natychmiast otrzymała wyjaśnienie, które kompletnie ją dobiło, mianowicie że Lily woli ładną, bo brzydkie łapią na siłę męża i bez przerwy się puszczają, a ona nie życzy sobie, żeby co noc ktoś inny ujeżdżał w jej mieszkaniu jakiegoś kaszalota, „nie, nie, to akurat zdecydowanie przystojna panienka”, powiedziała sekretarka i dała Lily numer telefonu do mnie, to znaczy do Juanity, więc gdzieś pod koniec sierpnia pierwszy raz usłyszałam jej schrypnięty kontr alt, który z miejsca skojarzył mi się z Murzynką, jazzową wokalistką, bo było w jej głosie coś takiego, jakby za chwilę miał przejść w śpiew, a fragmentami już nim był, „oh, baby” śpiewnie zwracała się do mnie; „oh, baby, spadaj z kasą, mój stary już wszystko zapłacił, za cztery lata z góry, tylko nie chcę siedzieć sama na stu metrach, to kiedy się pojawisz? oh, baby (zaśpiew), dopiero dwudziestego ósmego? bo ja już w połowie września.”

Nie rozumiałam, czemu tak wcześnie przyjechała do Puerto, ale wytłumaczyła mi po drodze do Pałacu Studenckiego, jej zielony volkswagen garbus przeciskał się przez korek na Avenida de Panamerica, normalnie rekord Guinnessa, że się w nim zmieściła ze swoimi nogami, „po pierwsze miałam dość moich starych, po drugie rzygałam pewnym facetem, po trzecie w Puerto był festiwal filmowy, pewnie nie wiedziałaś, baby, po czwarte, czasem mnie nosi, jakbym miała robaki w tyłku i jest jeszcze po szóste, po siódme, a nawet po sto szesnaste, ale nie będę cię nudzić, okej, baby, to nasz Pałac”, bo właśnie dojechałyśmy na miejsce, na podwórzec XVII wiecznego zamku książąt de la Torre, pięknie niedawno odrestaurowanego i zaadaptowanego na hotel dla bogatych zagranicznych studentów, takich jak Lily Henderson, córka wicepremiera Trynidadu i Tobago, która po dwóch latach filozofii na uniwersytecie w Port-of- Spain i semestrze politologii w Harvardzie, postanowiła nagle założyć prywatną szkołę językową i w tym celu sama nauczyć się co najmniej czterech, flamandzki, japoński, rosyjski i norweski to było minimum, przy czym nie wyjaśniła, dlaczego akurat te; schyliła głowę, patrząc jak biedzę się, wyciągając z garbusa moją wielką podróżną torbę, Boże, ile mi tego mama spakowała!, jednym szarpnięciem silnej ręki pomogła mi, „oh, baby (zaśpiew), a co ty taka niemota? nie kumas angielskiego? przecież zdałaś egzamin, okej, jak chcesz mogę po hiszpańsku, choć pewnie się zrozumiemy jak gęś z prosięciem, bo nasz i wasz spanish... zresztą ja nie jestem hiszpańskojęzyczna z

domu, mam nadzieję, baby, że wiesz, co to takiego British Commonwealth?*¹⁷

Taszcząc torbę po krętych, zamkowych schodach w ślad za jej długimi nogami, które śmigały po trzy stopnie, zastanawiałam, się jaka jest, „jaka jest, panie sędzio, Lily Henderson, czy powinnam z nią zamieszkać?”, a Syrius uśmiechnął się w moich myślach, „ekscentryczka, ale dobra dziewczyna”.

BYŁA FAKTYCZNIE NAJDZIWNIEJSZĄ LASKĄ, JAKĄ
ZNAŁAM,

totalną luzaczką, która wybiegała rano do kiosku w płaszczu zarzuconym na nocną koszulkę, najczęściej bez butów, na zajęcia w szkole też parę razy przyszła boso, w największy deszcz nie używała parasolki, samochód zawsze zostawiała otwarty i byle gdzie, tak że nieraz zapominała i musiała go długo szukać; w dodatku miała zwyczaj głośno i bez skrępowania puszczać wiatry, co mnie z początku raziło, ale w końcu się przyzwyczaiałam, tak jak do całego jej stylu, choć wielokrotnie powinnam się na Lily obrazić, kiedy nazywała mnie odmóżdżoną cipą i wsiową suczką przepchaną we wszystkie dziury; lecz zaraz potem tak rozbrajająco na mnie patrzyła, „oh baby (zaśpiew), nie złość się na mnie, ja czasem pieprzę od rzeczy, przecież wiesz, że cię lubię”; i ja też ją lubiłam, coraz bardziej z każdym dniem przemieszkanym we dwie w ogromnej zamkowej komnacie, której sufit był tak wysoki, że ani światło kinkietów, ani to skąpe, dzienne, wpadające

¹⁷ Trynidad i Tobago, jako dawna kolonia brytyjska, należy do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów (British Commonwealth); urzędowym i głównie używanym językiem jest tam oczywiście angielski, choć część ludności mówi po hiszpańsku.

przez dwa wąskie, jakby strzelnicze okna nie potrafiło wydobyć go z półmroku; i oczywiście nie sięgały sufitu przepierzenia z laminowanej deski oddzielające nasze pokoje, a także łazienkę, czyli właściwie nie były to ściany w pełnym znaczeniu słowa, ale coś na kształt parawanów; „chuj nie luksus”, skomentowała wprowadzając mnie tu pierwszego wieczoru, „ale to stary płaci, więc nie krytykuję.”

Lecz jeszcze bardziej niż styl bycia zdumiewała mnie jej erudycja, bo Lily wiedziała wszystko, dosłownie wszystko, jakby w lewej półkuli mózgu miała Larousse'a a w prawej Encyclopedia Britannica; nie było książki, której by nie czytała, filmu którego nie obejrzała, mało tego - miejsca na kuli ziemskiej nie było ani człowieka choć minimalnie znanego, o których nie potrafiłaby godzinami opowiadać i to z takimi detalami, jakby mówiła o swoim podwórku i kumplu z sąsiedztwa; a to mnie tym mocniej dziwiło, że Lily nie była żadnym mołem książkowym, wprost przeciwnie - przez rok wspólnego mieszkania może raz czy dwa widziałam ją nad książką, nawet ze szkolnych podręczników nie korzystała, co nie przeszkadzało jej w zdobywaniu samych najwyższych ocen; słuchała tylko godzinami muzyki klasycznej i rysowała w szkicowniku koty, często dorabiając im moją twarz, a od czasu do czasu, głównie gdy miała miesiączkę, wyciągała mnie na dyskusje światopoglądowe, będące wyłącznie jej monologiem, gniewną tyradą przeciwko pierdolonym jankesom, komuchom, klechom, ateistom i wszelkim innym piździelcom z lewa i prawa, a potem ze sfery publicznej przerzucała się na rodzinę i obrywało

się jej ojcu, wicepremierowi Trynidadu i Tobago, o którym mówiła „głupi czarnuch”, i jej matce, czyli „zidiociałej białasce”; po czym Lily Henderson wyciszała się, „nie bierz tego wszystkiego poważnie, ja muszę z siebie czasem to i owo wyrzucić dla higieny, rozumiesz? o, już mi lepiej, już się uspokołam, już Kocham cały świat, chodź do mnie, baby” i przytulała mnie, częstowała papierosem, „zapalmy, chuj w dupę ekologom i lekarzom”; wiem, że poza swoim facetem, poznanym w Harvardzie niskim, szczupłym trzydziestolatkiem, specjalistą od Europy Środkowej i Wschodniej, co wpadał do niej czasem na weekendy, nie miała żadnych przyjaciół ani nawet bliższych znajomych i chyba nie bolała nad tym.

- Ty, Laura, jesteś pierwszą osobą, z którą się jako tako rozumiem - powiedziała mi, kiedy się wyprowadzałam.

PO MIESIĄCU LILY WYPATRZYŁA MOJE BLIZNY,

bo akurat bez szlafroka napatoczyłam się na nią, wychodząc wprost spod prysznic, gdzie zaaplikowałam sobie saunę, więc jak zawsze po gorącej kąpieli, blizny wyeksponowały się; poszła za mną aż do mojego pokoju, wpatrzona jak sroka w gnat, „oh baby, ciebie wychłostano!”, nie umiałam odgadnąć, czy to było współczucie, czy tylko zdumienie, że u schyłku XX wieku spotyka się z ofiarą chłosty; nie, zdumiona nie była, „u nas też są kary cielesne, ale kobiety bardzo rzadko się na nie skazuje, jeden przypadek pamiętam, jakaś Hinduska oblała kogoś kwasem i dostała dziesięć batów, a w pewnym sensie dziewięćdziesiąt, bo w robo-

cie był *cat o'nine tails*^{*18}, miła nazwa, prawda?", siedziałam na brzegu tapczanu i suszyłam włosy, Lily nawijała, suszarka szumiała, a kiedy skończyłam i wzięłam się za szczotkę, spytała, za co mnie skazano,

NO TO OPOWIEDZIAŁAM JEJ O SOBIE,

przeczuwając, że zaraz wyląduję na bruku, bo przecież rzadko kto chce mieszkać z kryminalistką, ale nie, słuchała spokojnie, co wydawało mi się podwójnie dziwne, dotąd bowiem sądziłam, że Lily Henderson potrafi wyłącznie gadać, i to głównie na swój temat, więc zaskoczyła mnie umiejętnością słuchania; ani razu nie przerwała, i tylko w tych najtrudniejszych, najboleśniejszych partiach opowieści jej czekoladowa dłoń dotykała mojej, a skupione, poważne spojrzenie ciemnych oczu dodawało mi otuchy; od tamtej pory zamilkło śpiewne „oh baby”, „Mój Boże, Lauro, jakie ty miałaś koszmarne życie, a ja, cholera, smęcę nad swoim” i już zawsze mówiła mi po imieniu.

A nad ranem, bo całą noc przegadałyśmy, wyciągnęła ze skrytki za swoim łóżkiem jakieś pakunki w folii i poszła z nimi do kibla.

- Wiesz, ja i mój facet czasem lubimy, ale ze względu na ciebie ten lokal będzie czysty.

¹⁸ *Chodzi o głośną sprawę niejakiej Myry Bhagwansingh skazanej przez sąd w Trynidadzie i Tobago na chłostę biczem z dziewięciu rzemieni (*cat o'nine tails*, kot o dziewięciu ogonach).

I poczęstowała trawką kanalizacyjne rury; „widzisz, dobrze ocenilem tę dziewczynę - szepnął w mym mózgu Syrius Aznar - trzymaj się jej, z nią nie zginiesz.”

ALE O SYRIUSIE NIC JEJ NIE MÓWIŁAM,

a zatem długi czas nie wiedziała o jego istnieniu, ani o listach, które wysyłałam na adres sądu; pisałam co tydzień a on odpowiadał co miesiąc, „dziękuję za wiadomość, cieszę się, że tak ci się dobrze układa, pozdrawiam”, tylko dwa, trzy krótkie zdania, prawie identyczne za każdym razem, lecz mnie to wystarczyło do szczęścia i za dowód, że chyba nie jestem mu całkiem obojętna; a sama rozpisywałam się na dziesiątki stron, o moim mieszkaniu w zamku książąt de la Torre, o Lily Henderson i innych koleżankach ze szkoły i o profesorach, jacy są i jakie mądrości tłoczą mi do główki, a nawet o pogodzie w Puerto; i oczywiście pochwalałam się, że zostałam pierwszą wicemiss E.O.J.,

Lily wypchnęła mnie, żebym spróbowała, „zawalcz, pozbędziesz się kompleksów prowincji”, i faktycznie, pozbyłam się, bo na czterdzieści sześć lasek, które się zgłosiły, byłam druga, tylko Elvira Jimenez z Wenezueli mnie wyprzedziła, ale ona rzeczywiście miała zjawiskową urodę; więc wysłałam Syriusowi zdjęcie (ma się rozumieć, nie było na nim widać zwyciężczyni), jak stoję w kostiumie kąpielowym, taka słodka nimfa, a brodaty prorektor ze wzrokiem satyra zawiesza na mnie złoto-srebrną szarfę; i na ten list błyskawicznie mi odpowiedział, „gratuluje, teraz już na pewno zostaniesz panią prezesową”.

JAK DWIE LASKI RAZEM MIESZKAJĄ, NIE MA CUDU,
ŻEBY JEDNA NIE ODKRYŁA TAJEMNIC DRUGIEJ,

więc Lily wreszcie wyśledziła tę moją korespondencję, i była kolejna przegadana noc, „wiesz, Lauro, powiedziała, gdy już na Avenida de Panamerica wyjechały pierwsze tramwaje, ty jesteś trochę jak ze starej, hollywoodzkiej popkultury; piękna Mary Lou, kochanka Murela albo innego bandyty, którego ustrzelił dzielny John Wayne, a potem oćwiczył Mary Lou batem, i co ona zrobiła? oczywiście zakochała się w Johnie Wayne, i pobiegła za nim przez prerię i Góry Skaliste...”, „a nie sądzisz, Lily, że jesteś w tym momencie ciut złośliwa?” „nawet nie ciut, Lauro, nie przejmuj się, już się taka urodziłam, OK, idźmy spać, a jutro wymyślimy jakiś sposób na Johna Wayna”.

NAZAJUTRZ NIE WYMYŚLIŁYŚMY ŻADNEGO SPOSOBU,
ZA TO LILY NARYSOWAŁA KOMIKS

- pierwszy obrazek przedstawiał cycatą kurewkę w miniówie.

- Wiesz, kto to jest? - spytała, przywołując mnie do stołu; w naszym mieszkaniu miałyśmy tylko jeden stół, w jej pokoju, tuż przy wąskiej szparze okna, więc na blat padał zwykle długi, słoneczny promień, przekreślając książki, zeszyty, notatki, a także paterę na owoce, kubki, szklanki, talerze nie zawsze od razu pozmywane, bo to był stół uniwersalny do wszystkiego; a teraz promień sunął po szkicowniku Lily i skojarzył mi się ze świetlistą

drabiną, po której narysowana kurewka, czy raczej jej dusza, wspina się do nieba.

- Trochę do mnie podobna, choć niestety aż takich rozmiarów nie mam.

- Tak, Lauro, to jesteś ty. A dokładnie nie ty, ale panna Wina.

-Kto?

-Taka laska. Idzie, kręcąc tyłeczkiem grzechu, majta cyckami występku, wdzięcznie poprawia włoski paskudnych uczynków, a jej zgrabne nóżki to dwa przestępstwa. Ładnie i słodko wygląda panna Wina, lecz niestety za kilka lat, gdy młodość przeminie, grozi jej, że zostanie wredną staruchą, czyli panią Zbrodnią, narysuję ci ku przestrodze - i ołówek Lily błyskawicznie stworzył koszmarną postać, właściwie już nie kobiecą, coś pomiędzy Me-gerą a Savonarolą.

- A wiesz czego pragnie najbardziej panna Wina?

Pokręciłam przecząco głową i uklęknęłam na krześle;

łokciami oparta o stół wpatrywałam się w szkicownik Lily.

- Otóż panna Wina usłyszała gdzieś, a może wiedziała to już w chwili przyjścia na świat, że za górami, lasami i rzekami mieszka niejaki pan Prawo.

Lily zmieniła ołówek na lepiej zaostrzony, tych ołówków wa-
lało się na stole kilkanaście, i narysowała nim Indianina, który
stoi nad rzeką; prawdziwy Indianin znad Amazonki, jak ze sta-

rych ksiązek dla młodzieży, lecz zamiast dzidy i łuku ma w ręce bat.

- To ma być Syrius Aznar?

- Przecież mówiłaś, że jest czerwonoskóry.

- Lily, nie jesteś czasem rasistką?

- Ja? Chyba żartujesz?! Tylko biali są rasistami. Zapamiętaj!

Zaniosła się swoim chrapliwym murzyńskim śmiechem, a ja patrzyłam ze zdumieniem na rysunek, bo ten Indianin rzeczywiście był do Syriusa podobny.

- Pan Prawo również słyszał o istnieniu panny Winy - ciągnęła Lily, wyśmiawszy się do syta - i dlatego wyszedł nad rzekę i czekał na nią, wiedział bowiem, że przyjdzie, wszak Prawo i Wina są przeciwieństwami, tak jak plus i minus, jak Jin i Jang, więc w sposób naturalny muszą się przyciągać.

I na następnym rysunku panna Wina stała już na drugim brzegu, z opuszczoną głową, nie mając śmiałości spojrzeć na pana Prawo, a jej dłoń leciutko uniosła rąbek i tak króciutkiej kiecki, obnażając do końca zgrabną nóżkę, którą wdzięcznie zgięła w kolanie.

- Panna Wina demonstruje panu Prawu całość swojego przestępstwa, zaraz obróci się do niego póldupka- mi grzechów, potem rozchyli bluzkę, pokazując biust występku - ołówek szalał, Lily uśmiechała się zmrużonymi oczami i w twórczym uniesieniu szybko, świszcząc oddychała przez nos - o, a teraz rozpuści buj-

ne włosy wrednych uczynków! - Nagle przerwała, spoważniała, patrząc na mnie przenikliwie. - Masz już, Lauro odpowiedź, czemu na początku procesu prowokowałaś go cynicznymi tekstami.

- Tak myślisz?

Lily sięgnęła po papierosa i przypalając pokiwała głową.

- Uhm, zobacz, w reakcji na kokietyjne zabiegi panny Winy bicz w dłoni pana Prawo rośnie, i rośnie, aż do nieba, to już nie bicz, ale biczysko - czarnym mazakiem przejechała po rzemieniu, usztywniając go i wydłużając aż do końca kartki. - Widzisz, może już nim smagnąć przez rzekę, dosięgnie do drugiego brzegu.

- A co zrobi panna Wina?

- Naprawdę nie wiesz? No to patrz...

I na kolejnych, ekspresowo płodzonych rysunkach kurewka wyzbyła się sukienki, potem bielizny, a na koniec klękła pochylona, tyłem do rzeki, przez którą wplaw przeprawiał się Indianin z niebotycznym biczem.

- A pointy przedstawiać nie będę - Lily odłożyła ołówek - Happy end, Lauro. Panna Wina i pan Prawo zjednoczyli się w erotycznym akcie kary. Co było do okazania - westchnęła, z ulgą i triumfem wydmuchując dym. - OK, panno Wino, staruszek przysłał kaszkę, zapraszam cię na kolację do Ritza.

Do dziś przechowuję w domu ten jej komiks, choć wtedy, pamiętam, byłam cholernie wkurwiona i poprosiłam, żeby nie

mówiła tak do mnie, z dwojga złego wolałam już śpiewne, bluesowe „oh baby”.

SKOŃCZYŁ SIĘ ROK SZKOLNY, ZDAŁAM EGZAMINY ZE ŚREDNIĄ 4,5, POCHWALIŁAM SIĘ SYRIUSOWI W LIŚCIE, A NASTĘPNEGO DNIA GO ZDRADZIŁAM,

bo to była zdrada, tak to odebrałam, i czułam wstręt do siebie i do chłopaka w srebrnych obcisłych galotach, któremu pozwoliłam się poderwać w „Delfinarium”, takim klubie na lido, odwiedzanym bynajmniej nie przez delfiny, ale - najgorsze kaszaloty z uniwerku, co liczyły na cud, zatem patrzyły z furią jak z Lily i jeszcze dwiema laskami z E.O.J. wchodzimy w plażowych sukienkach, bo zmierzch zastał nas na wydmach nad laguną, gdzie w babskim kwartecie oblewałyśmy ostatni egzamin, flaszka różowego muszkatelu na głowę, Malvasia Di Castelnuovo nazywało się to słodkie, musujące gówno, które mnie ścięło, bo po raz pierwszy od prawie trzech lat piłam wtedy alkohol, „chodźcie, laski, zarwiemy jakieś towarki”, zakomenderowała Lily, a w „Delfinarium” pierwsza ściągnęła sukienkę, kiedy puszczoneo *Song to the Siren*, i tańczyła w bikini, niesamowita, długonoga, afrykańska księżniczka w epicentrum oszalałej feerii,, więc my też kiecki na podłogę i razem z nią biodro w biodro, tyłek w tyłek pod decybele Chemical Brothers; natychmiast opadło nas napalone stado, „ja po linii rasowej!”, powiedziała Lily, lądując w ramionach czarnego drapacza chmur, a do mnie przypałał się ten kurczak w srebrnej folii i w ogóle nie zarejestrowałam, w jaki sposób znalazłam się z powrotem nad laguną, a zaraz potem w wodzie, jego

spodnie zostały na plaży, Jackson takie nosił, a oprócz niego pedały i alfonsi, miał oczywiście fiyzurę a la Elvis na żel, „zdejmij kostium”, skamlał jak piętnastolatek i sam dla przykładu ściągnął majtki, był żaloszny, żaloszny, żaloszny, a mimo to swoje ugrał, bo mu dałam na stojaka, trzymając się boi; kondom pływał w Atlantyku, a chłopaczyna za rękę prowadził mnie do brzegu, i kiedy wciskał się w srebrne galoty, musiałam mu podać numer telefonu, tak mi się wydaje, bo niewiele pamiętam z tamtego wieczoru i nocy, wiem, że nad ranem wróciłam do Pałacu Studenckiego, gdzie Lily właśnie odprawiała wiezowca, „ale seks-maszyna! jednak co czarnuch to czarnuch, a ja twój?”, „niech lepiej puka swoją mamę”, odpowiedziałam, a potem zaczęłam rzucać wszystkim co popadło, więc mnóstwo szkła rozprysło się na podłodze i obie pokaleczyłyśmy się w stopy, kiedy mnie ciągnęła do łóżka, „Laura, to moja wina, nie powinnam ci pozwolić pić”, „jaka twoja!? to ja go zdradziłam! jak szmata puściłam się z jakąś podróbą Presleya!”

LECZ MIMO TO PRZEZ CAŁE LATO SIĘ SPOTYKALIŚMY,
ZASZŁAM Z NIM W CIAŻĘ I ZOSTAŁAM JEGO ŻONĄ,

żoną chłopaka, który był podróbą Jacksona i Presleya, tak jak to, co nas łączyło, było podróbą miłości, a potem podróbą małżeństwa; dziś, patrząc na Kasię, wypieram z pamięci, że chciałam się wyskrobać, ale to niestety prawda, nawet już dzwoniłam do kliniki i umówiłam się na termin, i tylko Helmut w ostatnim momencie mnie przekupił, miał na imię Helmut mój Pan Podróbka, jak jego ojciec i dziad, same Helmuty w męskiej linii rodu

Wetterów, czy wręcz von Wetterów, na cześć wielkiego protoplasty, chyba pra-pradziadka mojego męża, który przybył do Republiki niedługo po wypędzeniu hiszpańskich wojsk i tak pomyślnie kręcił lody, że w kilka lat dorobił się eklektycznego pałacyku, jednego z pierwszych na Avenida de Mexico; był zaprzeczeniem stereotypu solidnego, uczciwego Niemca, a następne pokolenia jeszcze go prześcignęły w złodziejstwie, kiedy poznałam Helmuta, jego ojciec akurat opuścił areszt śledczy, gdzie trzymano go prawie rok, ale zwolniono z braku dowodów, więc nosił wysoko w górze swój ohydny ryży łeb w kształcie serdelka albo nadmuchanej prezerwatywy; a mój Helmut, gdy rozjaśnił sobie włoski, był kubek w kubek podobny do tego chłopaczka z „Kabaletu”, co śpiewa *Tomorrow belongs to me*, studiował ekonomię i odcinał się od ojca, bo jak sam twierdził, był z innej gliny; więc uwierzyłam, że to dobry chłopak, kiedy mnie przekupywał, „nie rób tego, przecież to także moje dziecko” i zapewniał, że we dwoje damy sobie radę, wynajmie dom, piękną rezydencję, będę miała służbę do pomocy, bez problemu skończę szkołę, a potem ojciec zatrudni mnie w jednej ze swoich firm, ma się rozumieć jako szefową, no to dałam się przekupić, nie wyskrobałam i zostałam panią Wetter; i cokolwiek dziś myślę o Helmucie, a myślę jak najgorzej, za jedno jestem mu wdzięczna - że uratował Kasię.

KRÓTKO PRZED MOIM ŚLUBEM SYRIUS AZNAR DOSTAŁ
TAKI OTO LIST:

Szanowny Panie Sędzio,

chciałabym, żeby Pan wiedział, że w moim życiu niedługo zajdą dwie zmiany. Wychodzę za mąż i będę miała dziecko, choć dręczą mnie wątpliwości, czy nadaję się na matkę. Mój przyszły ślubny to mężczyzna, o jakim pewnie wiele dziewczyn marzy, bo jest bogaty i nawet jakoś tam przystojny. Ale ja go nie kocham. Nie jego kocham. Przepraszam, że Pana nudzę, Panie Sędzio, ale źle bym się z tym czuła, gdybym Panu tego nie napisała i z góry przepraszam za chaotyczny styl, ale jest teraz czwarta nad ranem a mam za sobą ciężki dzień.

Na początku chcę powiedzieć, że wszystko do czego w życiu doszłam, zawdzięczam Panu. Gdyby trzy lata temu kto inny siedział za stołem sędziowskim, byłabym nadal kryminalistką, która popełnia kolejne przestępstwa. I to nie chodzi, Panie Sędzio, tylko o to, że okazał mi Pan wyrozumiałość i nie posłał do Carrera. Pan dokonał znacznie, znacznie więcej. Po prostu zmienił mnie Pan. I to już prawie pierwszego dnia, prawie od pierwszego wejrzenia.

Powiem to Panu wprost - poczułam, że jest Pan Człowiekiem przez największe C i Mężczyzną przez największe M. Prawdziwym bohaterem, przy którym wszyscy faceci, jakich znałam dotąd, to pętaki. Serce i intuicja powiedziały mi, że jest Pan surowy, nawet, kiedy trzeba, bezwzględny, lecz jednocześnie łagodny i prawy, choć Pańska prawość nie ma nic wspólnego ze światem drobnomieszczańskich wartości, które wpajała mi na siłę matka i nauczyciele ze szkoły, wywołując we mnie bunt i popychając w ramiona Masseny.

Wcześniej, przed aresztowaniem, nie obchodziła mnie niczyja opinia, miałam gdzieś wydziwiania, że źle się prowadzę, nie chodzę do szkoły, że spotykam się z bandziorami, ale potępienie, które wyczytałam w Pańskich oczach było jak nóż, który przebił mi serce.

Odsiadując dwa lata w areszcie domowym, wiele myślałam o Panu i w marzeniach wyobrażałam sobie, że może kiedyś w dalekiej przyszłości stanę się zupełnie inna, zmienię nazwisko i wygląd, tak że Pan mnie nie pozna i dopiero na spacerze po molo albo na kolacji przy świecach i w nastrojowym lokalu w Yolcano przyznam się Panu, że jestem Laura S.

Jakie głupie potrafią być dziewczyny... Każda z nas marzy o księciu z bajki, ale akurat ja nie żyłam w bajce, tylko w bardzo twardej i surowej (na własne życzenie) rzeczywistości, w której nagle pojawił się Mój Sędzia Z Bajki. I od tej chwili wszystko wokół stało się inne, lepsze, i ja też stałam się inna, lepsza. Dzięki Panu i dla Pana.

Cóż, pozostaną mi moje nieziszczone, śmieszne, nierealne marzenia i sny, gdy przyjdzie mi dzielić życie z mężczyzną, którego nie kocham, i tylko Pan mógłby to odmienić, jednym listem, jednym spotkaniem, ale nie wierzę w cuda.

Pozdrawiam Pana, Sędzio Z Mojej Bajki. Niech Pan czasem o mnie ciepło pomyśli.

L.

Poprzednie listy podpisywałam pełnym imieniem, jednak w tym najważniejszym, desperackim „Liście nad listami” zdecydowo-

wałam się na inicjał; bo, nie wiem czemu, przyszło mi do głowy, że tak będzie bardziej tajemniczo i seksy.

JAKA Z CIEBIE SŁODZIUTEŃKA MAMUŚKA,

podśmiewała się Lily Henderson, gdy po zajęciach zamiast na kawę z nią, pędziłam na przystanek taksówek, żeby jak najszybciej znaleźć się przy Kasi, maleńkiej Kasi w wielkim białym domu w Aldea de los Naranjos; a potem dosłownie wyrywałam ją z rąk czarnoskórej opiekunki i na krok nie odstępowałam, bo „krew z krwi, kość z kości” to nie jest metafora, na prawdę stanowiłyśmy jeden organizm, tak że nawet kilkugodzinne rozdzielanie bolało jak rana; lecz zarazem Kasia była osobną istotką, którą powołałam do życia, bezbronną, całkowicie zdaną na moją opiekę, wyciągała do mnie rączki, jakby mówiła tym gestem: ufam ci, i cieszę się, że to właśnie ty jesteś moją mamą, a ja obiecywałam jej i sobie, że nie pozwolę, by podzieliła mój los, osłonię przed złem i brudnym światem, jaki przez lata współtworzyłam, sprawię by wszystkie dni Kasi były ciepłe i miękkie jak misie, które kładłam do jej łóżeczka; nawet, gdy się uczyłam, Kasia leżała tuż przy mnie, maleńką dłonią chwytając kartki podręcznika, czytałam jej na głos, i ekonomiczne terminy przeplatały się z gaworzeniem, a kiedy odrywałam oczy od tekstu i patrzyłam na nią, niezmiennie się uśmiechała, miłość nie potrzebuje słów, odkryłam wtedy, bo jej wyznaniem jest właśnie uśmiech, dotyk, to, że jesteśmy obok siebie i obu nam tak dobrze w tej bliskości; a czasami nachodziła mnie paralizująca myśl, że Kasi może się stać coś złego, ale to zawsze atakowało poza domem, gdy byłam od niej oddalona;

pamiętam, raz w przerwie między zajęciami poszłam po coś na plac Opery i niespodziewanie drogę zagroził mi tłum i przeciągnięta nad chodnikiem taśma, „proszę się nie zbliżać! proszę opuścić teren placu! - wołał przez megafon oficer policji, jakiś dziadek poinformował mnie, że bandyci napadli na sklep jubilejra, „siedzą w środku, podobno wzięli zakładnika”, a od Avenida de Panamerica nadciągały dwa opancerzone transportery; i to był inny,

TLR

straszny świat, istniał skryty, czaił się gdzieś po kątach, i każdej chwili mógł wypełznąć jak włochaty, jadowity ptasznik, więc już nie wróciłam do szkoły, złapałam taksówkę i pojechałam do Aldea de los Naranjos, gdzie moja córka spała wtulona w białego, pluszowego kota, lecz to zamiast mnie uspokoić, jedynie dopełniło miary lęku, bo tylko ja, tylko ja i biały kot, zrozumiałam nagle, jesteśmy jej strażnikami, klęczałam przy łóżeczku Kasi, bezradna, przerażona, tłumiąc płacz, a za witrażowym oknem sypialni, za żywopłotem naszej willi rozbijało już obóz zło, zwierła szyki nieszczęście, i wtedy pomyślałam o Syriusie, on potrafiłby ją obronić, skoro kiedyś uratował cały kraj a potem wyspę Santa Inez, tamci byli bezwzględni, uzbrojeni po zęby, ale unicestwił ich swoją siłą, odwagą, opanowaniem, i tak samo unicestwił wszystko, co zagraża Kasi, każdego złego człowieka i każdą chorobę, bo zna indiańskie zioła, wie, jak nimi leczyć, przecież na moje rany od razu znalazł sposób - to Syrius, nie cherlawy, wiecznie odurzony Helmut musi być jej ojcem; i poprzysięgłam sobie, że doprowadzę do tego.

SKOŃCZYŁAM E.O.J. I HELMUT WETTER SENIOR

RZECZYWIŚCIE ZROBIŁ MNIE SZEFOWĄ

jednej ze swoich firm, ta akurat zajmowała się pośrednictwem w handlu nieruchomościami; od razu, już przy pierwszych klientach, wykazałam do tego dryg, to było stare małżeństwo ze Szkocji, latami pieścące w sobie myśl, że kiedyś, pod koniec życia dorobią się - bagatela - własnej wyspy, najlepiej w rejonie Karaibów; zaprosiłam ich na kolację do Ritza i przy

zrazach po nelsońsku przekonałam, że od wyspy bynajmniej nie gorszy półwysep, bo mieliśmy w ofercie bardzo ładny dom na takim wąskim skalistym cypelku nad Atlantykiem; po Ritzu ich tam zawiozłam, zobaczyli kamienną budowlę, niemal zameczek oświetlony blaskiem latarni morskiej z Santa Monica, „w czasie przyływu, powiedziałam, ocean zalewa podstawę cypla, więc w sumie jest to wyspa”, no i zachwycili się i kupili, a ja łyknęłam w jeden wieczór sześć tysięcy dolarów, czyli więcej niż ze wszystkich akcji z Bibim; i dalej też szło jak z płatka, transakcja za transakcją, „jak pani świetnie mówi po angielsku!”, słyszałam za każdym razem, ale po niemiecku i francusku nie gorzej sobie radziłam; „no, proszę, jaki nabytek w rodzinie” - mruzczał stary Wetter i drapał mnie pod brodą jak kota; a ja wpadłam na myśl, że skoro zarabiam tyle kasy, ściągnę do Puerto mamę; niech ma Kasia babcię, a babcia wnuczkę, zresztą, już od dawna irytowały mnie te wszystkie opiekunki.

MAMA PRZYJECHAŁA DOKŁADNIE NA GWIAZDKĘ

i był to chyba najszczęśliwszy dzień jej życia, gdy nagle zamieniła bieda-domek na Podzamczu na moją rezydencję w Aldea de los Naranjos, co więcej z Kasią w środku, którą dotąd widziała tylko na zdjęciach, a teraz nie dość że zobaczyła na żywo, to jeszcze mogła z wnuczką do woli pogadać, bo Kasia już biegle mówiła, choć niestety przeze mnie strasznie się jej plątał hiszpański z angielskim, „ty w jej wieku też byłaś gaduła”, dowiedziałam się nie bez satysfakcji, „bo to różnie bywa, Juanita na przykład późno się nauczyła mówić pełnymi zdaniem”.

A potem mama obejrzała dom, nie kryjąc zdumienia, „to ile on zarabia?”, „kto?”, „no, twój mąż”, wzruszyłam ramionami, bo nie miałam pojęcia, a nawet nie bardzo orientowałam się, czy Helmut w ogóle czymkolwiek się zajmuje poza imprezowaniem z koleżkami; „w każdym razie dzięki mnie oszczędzicie”, tu mnie zaskoczyła, przecież sprowadzenie mamy uważałam raczej za wydatek niż oszczędność, a tymczasem jeszcze tego samego dnia, przy wigilijnym stole, uradziłyśmy, że zwolnimy opiekunkę, kucharkę i sprzątaczkę, mama z rozpędu chciała też wywalić ogrodnika, ale się nie zgodziłam, „nie dasz sobie ze wszystkim rady”, „jak nie? może na Podzamczu nie mam ogródka? wiesz jakie już duże te drzewka pomarańczowe, które zasadziłam, kiedy...”, i ugryzła się w język, bo zasadziła je, gdy zamknięto mnie w baszcie, i były rosnącą do Nieba żywą, błagalną modlitwą, „no dobrze, skoro się upierasz, w końcu to twój dom”; a potem przyjechał pan Wetter z wielkim niedźwiedziem dla Kasi i bardzo był rad mojej mamie; „no pewnie, pewnie, po co przepłacać darmozjadów”, mruzczał zadowolony, jakby to były jego pieniądze, ale zauważyłam, że skąpcy już tak mają: wszędzie węższą rozrzutność i boleją nad nią, nawet jeśli sami nie doznają z jej powodu uszczerbku.

- Nie podoba mi się twój teść - powiedziała mama.

- No, brzydki jak gówno.

- Nie o to chodzi. Może być, córcia, ktoś brzydki, ale dobry człowiek. A jemu to jakoś tak patrzy z oczu, że aż ciarki przecho-

dzą. Niby miły, a widać, że coś tam w duszy paskudnego kombinuje.

A JESZCZE BARDZIEJ NIŻ STARY WETTER NIE SPODOBAŁO SIĘ MAMIE MOJE MAŁŻEŃSTWO,

bo faktycznie, co to za małżeństwo, jeśli facet bywa w domu raz na tydzień, nawet seksu już z nim od roku nie uprawiałam; mamie nie mieściło się to w głowie, choć sama nie lepiej miała z ojcem, a już kompletnie zbaraniała, gdy powiedziałam, że dla mnie tak jest OK, ja mam swoje życie, on jakieś tam swoje, nie kłócimy się, jak wpadnie, zawsze wypijemy przyjacielską kawę, czego więcej chcieć? „no jak to czego? miłości, opieki, troski!” „a chrzanię go, sama się potrafię o siebie zatroszczyć”, i nie dodałam, bo co się będę spowiadać, że owszem, chętnie pisałabym się na to wszystko, gdyby moim mężem był Syrius.

- I co? Poszła koleżanka?

- Tak. Nareszcie spokój. Możemy kontynuować.

- Bzyknąłeś ją?

- Hm, niezupełnie.

- Rozumiem. Zamknąłeś oczka, wyobraziłeś sobie co potrzeba, a biedna dziewczyna usłużyła ci buzią albo łapką.

- Niestety, zgadłaś.

- Przecież jestem z tej samej gliny, Przyjacielu. Tylko ja, kiedy mnie nachodzi, staram się nie współżyć z moim partnerem. Nie wiem, chyba kwestia uczciwości.

- Gdybym był uczciwy, to bym w ogóle nigdy z nikim nie mógł. A Tobie zdarzało się mieć normalny seks, bez stymulowania się wizjami?

- 😊

- No, odpowiedz!

- Wiesz co? Potem pogadamy o sobie, OK? A teraz wracajmy tam, gdzie nam dobrze.

LECZ KILKA MIESIĘCY PÓŹNIEJ NIE OTRZYMAŁAM JĘZYKA ZA ZĘBAMI

i niepotrzebnie odkryłam się przed mamą; rozmawiałyśmy na tarasie, był późny wieczór, właśnie wróciłam spod panamskiej granicy, gdzie sprzedawałam urokliwą hacjendę parze holenderskich gejów; mama ukołysała Kasię do snu i sama też usnęła, ale mój przyjazd ją zbudził, więc postanowiłyśmy się napić herbaty; mam wrażenie, że chciała mnie wybadać, czy naprawdę wyjeżdżałam w sprawach zawodowych, i podstępnie zaczęła, że faktycznie młoda kobieta, którą mąż zaniedbuje, może czasem pomyśleć o innym, ale muszę pamiętać, że to grzech, bo przysięgałam w kościele, choćby zatem Helmut i był wiarołomny, to jeszcze mnie nie zwalnia, i tak dalej, i tak dalej, aż w końcu nie wy-

trzymałam i prawie krzyknęłam, że nigdy nie kochałam Helmuta, ani nawet specjalnie nie lubiłam, i gdyby nie zaproponował mi domu, kasy i kariery, na pewno nie doszłoby do tego nieszczęsnego ślubu.

- To co byś robiła?

- Wychowywałabym Kasię i...

- I co?

- Czekałabym.

- Na kogo? Na księcia z bajki?

I ten jej nieświadomy cytat z mojego listu, rozwiązał mi język.

- Nie, mamoo. Na sędziego z bajki.

Po czym powiedziałam jej, że kocham Syriusa Aznara.

Latarnie na tarasie były zgaszone, żeby nie świeciły w okna pokoju, w którym spała Kasia, lecz na twarzy mamy pojawiło się takie zdumienie, że dosłownie przebiło się przez ciemność.

- Zwariowałaś?! Ty, młoda dziewczyna, mężczyznę w jego wieku? I jeszcze po tym, co ci zrobił?!

Dotarło do mnie, że nienawidzi Syriusa; za ten wstyd, za ten koszmarne wstyd, jakim była dla niej moja chłosta; z pewnością łatwiej by mu wybaczyła, gdyby posłał mnie do Carrera; tam przynajmniej sąsiedzi by mnie nie oglądali.

ALE TO BYŁO JEDYNE TAKIE SPIĘCIE; WIĘCEJ DO TEMATU NIE WRACAŁYŚMY

i jeszcze przez pół roku żyliśmy sobie spokojnie w Aldea de los Naranjos, Kasia, mama, ja, biały pluszowy kot i niedźwiedź od dziadka Wettera, przez wzgląd na ofiarodawcę budzący we mnie lekką awersję, lecz skoro moje dziecko całym sercem pokochołał misia, to ja też starałam się na niego przychylniej patrzeć; a chociaż było tak dobrze, czułam, że skądś ulatnia się już jakiś fetorek, coś się zbiera, coś wisi w powietrzu; wizyty Helmuta stały się częstsze i w dodatku w ich trakcie mówił o interesach, czego nigdy przedtem nie robił, nawet o moją pracę nie pytał, a tu nagle - siedzimy przy kawie jak biznesmen z bizneswoman a na tapecie temat cen nieruchomości, ich wzrostów i spadków, „wiesz, Laura, w Panamie powstanie nowa autostrada, już ją dokładnie wytyczono, ale póki co rząd trzyma to w tajemnicy”, „ha!, rozmarzył się, żeby tak teraz wykupić tam tereny, to za kilka lat sprzedałoby się z dziesięciokrotnym przebicciem”, „jasne, Helmut, pod motele, stacje benzynowe, tylko trzeba by najpierw wyłożyć z milion dolarów, może twój ojciec by się zdecydował, namów go”, wzruszył ramionami, co znaczyło, że ma ojca w dupie razem z jego kasą, jakże by inaczej, skoro się buntował, odcinał i był z innej gliny; kilka dni później, rutynowo sprawdzając konto, stwierdziłam, że pojawiło się na nim osiemset sześćdziesiąt tysięcy zielonych, „to jakaś pomyłka!”, nie, proszę pani, był przelew od pana Helmuta Wettera juniora”, bo urzędnik bankowy od lat znał całą rodzinę i odróżniał Helmutów, a wieczorem wpadł mąż i wyjaśnił

mi, że ze względów fiskalnych korzystniej będzie, jeśli ziemia w Panamie zostanie kupiona na moje nazwisko, w E.O.J. miałam taki przedmiot jak prawo podatkowe, ale zaliczyłam go ledwo na tróję, więc uwierzyłam Helmutowi; następnego dnia pojechaliśmy razem do Panama City i od tamtejszego pośrednika kupiłam prawie tysiąc hektarów, dwa wąskie pięćdziesięciokilometrowe pasma u stóp Kordylierów, po obu stronach przyszłej autostrady; noc spędziliśmy w pięciogwiazdkowym Sheratonie, gdzie pozwoliłam się Helmutowi zerznąć i to aż trzy razy, bo musiałam wydobyc od niego, skąd miał forszę, „ojciec ci pożyczył?“, „nie, sam skombinowałem“, i z dumą wyjaśnił jak, a mnie zmroziło, „kurwa, kretynie, przez ciebie pójdziemy do pierdła!“, myślałam, że zabiję gnoja, normalnie zabiję, przecież wiedział, zwierzyłam mu się kiedyś, że miałam kłopoty z prawem i nie chcę tego przerabiać po raz drugi, więc jak mógł? jak mógł wciągnąć mnie w taką aferę!

- Spokojnie, Laura, nic się nie bój - powiedział w ostatniej chwili, gdy już podniosłam rękę, żeby rozkwasić głupi, wredny ryj - ja naprawdę wszystko dokładnie obmyśliłem, będą nas mogli w środek dupy cmoknąć!

TEN GENIALNY SPOSÓB POLEGAŁ NA WZIĘCIU FIKCYJNEGO ROZWODU,

co zrobiliśmy szybko i sprawnie, w ciągu jednej rozprawy, Helmut przyjął całą winę na siebie, przyznając się do niezliczonych zdrad a nawet porzucenia żony, skutkiem czego sąd orzekł alimenty nie tylko na Kasię, lecz również na mnie, mój adwokat

zażądał, by zapłacił za trzy lata z góry, „oczywiście, Wysoki Sądzie, zapłacę”, po czym na moim koncie znów znalazło się prawie milion dolarów; zostałam przy swoim nazwisku, bo w naszym prawie kobieta nie może po rozwodzie automatycznie wrócić do panieńskiego, to wymaga dodatkowych hocków-klocków, w które nie miałam zdrowia się bawić, zresztą nie chciałam ze względu na mamę - przecież, by nie obrazić jej katolickich przekonań musiałam trzymać przed nią całą rzecz w tajemnicy; „we wtorek czekam w Bogocie”, szepnął Helmut, kiedy wychodziliśmy z sądu; miał już duszę na ramieniu i niespokojnie rozglądał się, czy go nie śledzą, ale dobrze wszystko wyliczył, afera nie zdążyła wybuchnąć, więc spokojnie, przez nikogo nie inwigilowany pojechał wprost z rozprawy na lotnisko, najbliższym rejssem poleciał do Kolumbii, gdzie już miał wynajęte mieszkanie na nazwisko Torres, a ja sprzed sądu udałam się do kancelarii prawnej niejakiej Eleonory Barriere-Aznar,

**KTÓRA RÓWNIEŻ PO ROZWODZIE NIE ZMIENIŁA
NAZWISKA,**

więc podejrzewałam, a właściwie byłam pewna, że to jego eks-małżonka; w starym „Who is who” z osiemdziesiątego trzeciego przeczytałam, że asesor kryminalny Aznar jest żonaty z prawniczką o imieniu Eleonora, i do tego z domu Barriere, prawdopodobnie właśnie tą kobietą, wymyśloną przeze mnie w areszcie, co potrafiła dobrze oszukiwać, a zatem ze wszystkich adwokatów w Puerto ją wybrałam, głównie oczywiście z ciekawości, jak wygląda, lecz także i z praktycznego powodu, bo któż le-

piej poradzi mi w moich szwindlach jak nie druga oszustka; w przestronnym gabinecie z panoramicznymi oknami, wychodzącymi na pomnik Bolívara i gigantyczny portal Kościoła Wszystkich Świętych, między meblami ze szkła i aluminium unosił się miły, rześki chłód klimatyzacji, a wysoka, elegancka pani w ciemnej garsonce, która wprost idealnie uwydatniała smukłość figury, poczęstowała mnie kawą w maleńkiej filizaneczce Rosenthala; jej pociągła twarz ze śladami liftingu uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Od strony prawnej nie ma żadnego ryzyka. Wierzyciele nie mogą dochodzić należności na majątku byłej małżonki, zwłaszcza, jeśli pieniądze są zadatkiem z tytułu zasądzonych alimentów.

- Nieruchomości w Panamie też są bezpieczne?

- Oczywiście. Tym bardziej, że nabyła je pani z własnych środków, prawda? No, przecież dobrze pani zarabiała, a poza tym taką atrakcyjną dziewczynę niejeden pan chętnie wesprze finansowo.

- A były mąż nie może próbować mi ich odebrać?

Roześmiała się półgębkiem, jakby z lęku, że szwy za uszami puszczą.

- Raczy pani żartować. Człowiek ukrywający się? Przeciwno któremu toczy się postępowanie karne? A jeszcze po tym, jak sąd orzekł rozwód z jego winy?!

Upiła drobny łyżeczek kawy i spojrzała na mnie uważnie; miała oczy kobiety inteligentnej i bardzo, bardzo wrednej.

- Skutecznie wyprowadziła pani w pole tego hochsztaplera - powiedziała z szacunkiem. - I bardzo dobrze, familii Wetterów od dawna należała się nauczka.

„Obie wyprowadziłyśmy w pole naszych mężów”, pomyślałam, i aby mieć całkowitą pewność, już wychodząc, jakby od niechcienia spytałam, czy ma coś wspólnego z panem Syriusem Aznarem, sędzią okręgowym z Santa Inez, skąd pochodzę. Ani jeden mięsień nie drgnął na gładkiej twarzy mumii.

- To mój były mąż; mówi pani, na Santa Inez? a mnie się czemuś wydawało, że na Isla de las Rocas.

I pożegnałyśmy się bardzo serdecznie.

WYSZŁAM NA AVENIDA DE MEXICO I NORMALNIE
MIAŁAM OCHOTĘ TAŃCZYĆ,

trafiony-zatopiony, trafiony-zatopiony, chyba na głos to mówiłam, bo przechodnie dziwnie się na mnie spoglądali, a widząc moją radość zwietrzyła nagle szansę tamta druga Laura, którą przed laty z siebie wypędziłam - poczułam, że wlecze się za mną, „wiesz, nie wyszłaś z wprawy, ani zipnął Helmucik, jak chcesz, to pomogę ci znaleźć następnego”, machnęłam na przejeżdżającą taksówkę, zatrzymała się z piskiem opon.

- Spierdalaj! - powiedziałam, wsiadając.

I zatrzęsnęłam drzwiami.

Podejrzewałam jednak, że to na niewiele się zdało, i tak łatwo jej teraz nie zgubię.

ZADZWONIŁ Z WTORKU NA ŚRODĘ.

- Laura! Co się dzieje?

- Helmut? - udałoam wyrwaną ze snu i zdziwioną.

- Tak, wyobraź sobie: ja! Czekam jak idiota na lotnisku!

- Musisz dzwonić w środku nocy, żeby mi to zakomunikować?

Chwila ciszy; chyba do niego dotarło.

- Przecież się umawialiśmy, że przylecisz do Bogoty...

- Naćpany jesteś?

I odłożyłam słuchawkę.

Kwadrans później zadzwonił mój teść, nawyzywał od kurew i zwolnił z szefostwa firmy.

- A hak ci w smak, stary dziadu, własną załóżę.

A potem już nikt więcej nie dzwonił,

TYLKO NASTĘNEJ NOCY WPADLI TAMCI DWAJ,

zbudziło mnie skrzypnięcie podłogi, światło latarki, wśliznęli się od ogrodu, jak po wazelinie wcisnęli przez wąskie okno łazienki na parterze, dwie wymalowane cioty z kolorowymi włosami i w takich samych błyszczących galotach, jakie nosił Helmut;

w pierwszej reakcji parsknęłam śmiechem, ale skamieniał mi w gardle, i już miałam tylko nadzieję, że to sen, halucynacja, kiedy zza pleców wyższego ukazała się Kasia, kiedy mi ją pokazał i przyłożył jej do szyi nóż, a drugi celował do mnie z pistoletu i uśmiechając się, zonglował wysuniętym językiem, jakby robił minetę duchowi.

- Podpisz, kurwo, albo ją zabijemy! - podsunął mi jakiś papier, ale nie byłam w stanie przeczytać, zeszywniała, otumaniona patrzyłam na Kasię, która próbowała się wyrwać, podbiec do mnie, bandzior trzymał mocno jej maleńką rączkę, a mimo to Kasia przybliżała się, miałam tuż przed oczami jej przerażenie, łzy, i razem z twarzą córeczki przybliżały się ściany pokoju, jakby chciały nas obie zmiażdżyć, „niech pan ją ratuje!” - szepnęłam, bo nagle wydało mi się, że w progu stanął Syrius, ale to zwid, uświadomiłam sobie zaraz, jestem tylko ja, Kasia i mama na górze, którą też zabijają, albo już to zrobili; zaczęłam tracić przytomność i biegłam z Kasią na rękach, uciekałam przez taras, by za chwilę ocknąć się na łóżku naprzeciw grozy, co niezmiennie trwała; lecz wtem rozległ się dźwięk syren, a w szyby uderzył blask policyjnych kogutów, ten z pistoletem podbiegł do okna i natychmiast odskoczył jak dziewczyna na widok pająka; biegali po pokoju, histerycznie piszcząc, Kasia przypadła do mnie i przytulila się, a ja położyłam ją na łóżku i osłaniałam własnym ciałem, dopóki nie wyrzucili przez okno pistoletu i noża; sami też próbowali ewakuować się oknem, lecz nie zdążyli, przez taras, wykopując drzwi, wpadło chyba z dziesięciu policjantów, a razem

z nimi ogromny doberman, więc pomyślałam, że znowu mającę; „mamo, zobacz, pies!”, zawołała Kasia i dopiero wtedy uwierzyłam, że doberman i policjanci są prawdziwi.

NIGDY NIE POSĄDZAŁABYM MOJEJ MATKI O TAKĄ
PRZYTOMNOŚĆ UMYŚLU I ZIMNĄ KREW,

gdy obudzona głosami z dołu, po zewnętrznych schodach zeszła na taras i przez okno zobaczyła, co się dzieje, lecz ani nie krzyknęła, czym zdradziłaby swoją obecność, ani nie skamieniała ze zgrozy jak ja, tylko natychmiast, cicho wróciła na górę i zadzwoniła po policję, dzięki Bogu w Aldea de los Naranjos właśnie zjechały się aż trzy patrole i chłopaki stali beczynnymi przy radiowozach, gadając o piłce nożnej i dupach, no to ucieszyli się, że jest wezwanie do domu dwie przecznice dalej; „ona kłamie, nie mamy żadnej broni”, wrzeszczały cioty, kiedy je skuwali; powiedziałam, że wyrzucili do ogrodu, policjant poszedł, znalazł, przyniósł, ja w międzyczasie podniosłam z podłogi ten świstek, który mi podsuwali do podpisu, ale dalej tak byłam zdenerwowana, że nie mogłam odczytać, „chcieli, żeby się pani zrzekła jakichś nieruchomości w Panamie, powiedział sierżant, przebiegając oczami po kartce, na rzecz pana Helmuta Wettera, zna pani takiego?” „to mój były mąż albo teść, jeden i drugi jest Helmut”, „no to będzie miał teraz kłopoty”, mruknął sierżant, po czym kazał wyprowadzić zatrzymanych na taras; z odgłosów domyśliłam się, że szczują ich tym dobermanem.

BARDZO BAŁAM SIĘ O KASIE, CZY DOJDZIE PO TYM

DO SIEBIE,

jej lekarz, którego zaraz z rana wezwałam, radził, żebym poszła z nią do psychologa, już wertowałam książkę telefoniczną w poszukiwaniu odpowiednich gabinetów, gdy nagle Kasia przypomniała mi, że dziś są urodziny Elwiry, Eleonory, czy Evity, w każdym razie dziewczynki z domu obok, na które już miesiąc temu była zaproszona, no to zamiast do psychologa, poszłyśmy na kinderbal.

- Boże, co to się u państwa wydarzyło? Podobno napad? - Sąsiadki natychmiast obstały mnie w krąg.

- Tak, napad rabunkowy - co je będę wprowadzać w szczegóły.

- Rabunkowy? Przecież to zawsze była taka bezpieczna dzielnica!

Już wiedziałam, że jutro we wszystkich domach założone zostaną nowe, lepsze alarmy, zamki, kraty i tak dalej.

- A jak pani córka to przeżyła? - spytała jedna z mamus - To dla niej musiał być...

I nie skończyła, bo właśnie dobiegł nas głos Kasi.

- Ty, Evita, jesteś moją mamą i siedzisz o tu, na kanapie, a ty, Pablo, trzymasz mnie za rękę, no trzymaj! mamó, możemy wziąć ze stołu nóż?

Wszystkie zdębiałyśmy.

- Chyba to trochę nieodpowiednia zabawa - szepnęła matka Evity.

- Przeciwnie: przez zabawę nastąpi odreagowanie, taka autoterapia - pouczyła ją inna, co była pedagogiem szkolnym, a ja pomyślałam, że to nie żadna autoterapia, i niech nie gada głupstw, tylko Kasia na szczęście jest za malutka, żeby pojąć grozę wczorajszej nocy, i nagle przypomniałam sobie, że na „Discovery” widziałam film o niedźwiedzicy, która w obronie swoich małych starła się z obcym samcem, a gdy leżała potem, liząc rany, te miśki w wesołej zabawie odtwarzały przebieg walki, jedno udawało mamę a drugie napastnika, bo dziecięcy rozumek jeszcze nie rozpoznaje w pełni zła, i to jest taki pancerz od Boga lub Natury dany, chroniący Kasię przed świadomością, że obie byłyśmy o włos od śmierci.

- Dobra, a co mam robić? - Evita już siedziała na kanapie i z przejęcia majtając nogami, szykowała się do zagrania mnie.

-Mów: Syrius.

-Co?

- No: Syrius. Mama tak mówiła.

- Chyba: „Jezus” - poprawił ją mały Pablo. - Na pewno mówiła: „Jezus”. Musiałaś się przesłyszeć.

CI DWAJ BANDYCI BYLI PROSTYTUTKAMI Z DWORCA W PANAMA CITY,

karanymi wcześniej za pobicie i obrabowanie bogatego geja; w śledztwie przyznali się, że wynajął ich nieznajomy mężczyzna koło czterdziestki, ale nie był to żaden z Helmutów Wetterów, więc wbrew logice starałam się wierzyć, że może naprawdę nie mieli z tym nic wspólnego, a przynajmniej, że nie tak wyobrażali sobie napad, przecież Kasia była ich córką i wnuczką; zatem cała moja nienawiść skupiła się na wykonawcach, i żałowałam, że zamiast Syriusa sądzi ich jakichś miejscowy dupek, bo Syrius nie podarowałby człowiekowi, który czteroletniemu dziecku na oczach matki przystawił nóż do gardła, dziesięć lat Carrera miałby gnój jak w banku a na przystawkę pięćdziesiąt batów, a ten tymczasem dał im wszystkiego po dwa i pół roku, myślałam normalnie, że się przesłyszałam, dwa i pół roku? za to, co zrobili? to przecież śmiech; mogłam się tylko pocieszać, że więźniowie totalnie ich przeorają, a jeszcze Buldog Śmierci przegoni kilka razy przez szpaler.

NA SZCZĘŚCIE NIE MIAŁAM CZASU MYŚLEĆ O NICH
ANI ROZPAMIĘTYWAĆ ZDARZENIA,

bo już niedługo stałam się bohaterką, a to cholernie chłonna fucha, dwa wywiady dziennie dla kobiecych pism, rozmowa w radio, występ w lokalnej telewizji, może pochwałę się kiedyś Syriusowi, że nie tylko on produkował się przed kamerą, myślałam, biegnąc z wywieszonym językiem ze spotkania z tym, na spotkanie z owym, nadchodziły wybory, więc partie zaczęły mnie sobie wyrywać, któraś chciała nawet, żebym z jej kandydowała do Rady Prowincji, ale oczywiście naju ciężliwsi byli praw-

nicy, te niekończące się nasiadówki w kancelariach, podpisywanie dziesiątków umów ugod i oświadczeń, czułam się z tym wszystkim idiotycznie, a ostatecznie dobiła mnie pewna kobieta, nazywając Matką Teresą z Kalkuty, stała w ogrodzie, nie dała się wyprosić i tylko ze łzami w oczach powtarzała, jaka jestem dobra, normalny anioł, właśnie Matka Teresa, i media to niestety podchwyciły.

CHODZIŁAM W GLORII MATKI TERESY, A MOJA
WŁASNA MATKA CZUŁA SIĘ W TYM CZASIE CORAZ
GORZEJ,

za swe opanowanie podczas napadu, zapłaciła w następnych dniach i tygodniach zupełnym rozstrojem nerwów; całe noce czuwała, nasłuchując nowego niebezpieczeństwa, każdy szmer wywoływał w niej trwogę, aż wreszcie, wracając któregoś dnia od prawnika, zobaczyłam przed furtką radiowóz, „pani matka nas wezwała, bo podobno ktoś obcy kręcił się po ogrodzie, ale pytaliśmy sąsiadki, mówi, że nikogo nie widziała, dzieci też nie widziały”, sierżant wskazał Kasię i Evi- tę bawiące się w piaskownicy i spojrzał na mnie, jakby oczekiwał wyjaśnień, ale milczałam, bo co miałam mu powiedzieć: że mamę teraz przeraża wszystko, także ten szum wokół mnie, którego nie rozumie; podjęłam grę, co omal nie zakończyła się tragicznie, więc to przeze mnie dom, gdzie do niedawna czuła się jak w wymarzonym raju, przemienił się nagle w piekło; „Lauro, ty znowu wdałaś się w coś złego, nie chcesz mi powiedzieć, ale ja wiem, że ukradłaś pieniądze swojego męża, przecież ci ludzie wtedy w nocy przyszli je odzyskać”,

„mamo, jak możesz tak mówić? zobacz, co o mnie piszą w gazetach!”, „bo jesteś przebiegła, zawsze taka byłaś, ale pamiętaj - Bóg wszystko widzi, Jego nie oszukasz!”, i zaczynał się apokaliptyczny tekst o karze Bożej, która nie tylko na mnie spadnie, lecz także na Kasię i na nią, nie na żarty bałam się, że pewnego dnia wrócę i ich nie zastanę, bo z lęku przed tą karą ucieknę gdzieś, zabierając mi dziecko; czułam, że pomogłaby jej zmiana miejsca, Lily nawet proponowała mi Pragę, jej mąż został attache w Czechach, ona otworzyła tam szkołę językową, „przyjeżdżaj, potrzebuję dobrej lektorki po E.O.J.”.

- Mamo, co byś powiedziała na wyjazd do Czech?

- To w Europie?

- Tak. I podobno mają bardzo piękną stolicę. Moja przyjaciółka jest zachwycona.

- Nie, córcia. Za daleko. Pamiętaj, że jestem tak samo potrzebna Juanicie, ona przecież ma troje.

- Ale Juanitka świetnie sobie radzi.

- Tak, póki co, tak. Ale odpukać jakaś choroba, albo inna biada. Stąd w kilka godzin jestem w Granada, a z tych Czech to w ogóle nie wiadomo jak się dostać.

W sumie miała rację, mnie też nie ciągnęło do Pragi, ale przecież widziałam, że z mamą z dnia na dzień

jest gorzej i coś muszę zrobić; zadzwoniłam do Juanity, żeby się poradzić.

- A nie może wrócić do Granada? - dla mojej siostry wszystko było proste i oczywiste.

- Nie wiem, bardzo przywiązała się do Kasi.

- No to razem wróćcie.

- Jak razem? Juanitko, ja w Puerto mam pracę, firmę założyłam.

Ale już chwilę po odwieszeniu słuchawki doszłam do wniosku, że to niestety jedyne wyjście, więc

JESZCZE TEGO SAMEGO DNIA WIECZOREM WSIEDLIŚMY WSZYSCY W POCIĄG: KASIA, MAMA, BIAŁY PLUSZOWY KOT, NIEDŹWIEDŹ OD DZIADKA WETTERA I NA KOŃCU JA,

ostatni raz obejrzawszy się za siebie, na wieżowce Puerto de las Aguilas, które piętrzyły się nad peronami dworca, odbijając w szklanych korpusach łunę zachodu, i choć to wydawało się absurdalne, dziwnie czułam, że już nigdy tu nie wrócę.

A W PRZEDZIALE ZROBIŁAM SZYBKI BILANS

mojego pobytu w stolicy, porównując siebie obecną z tamtą Laurą Santilianą sprzed ponad pięciu lat, która właśnie opuściła areszt domowy, a za całą szkołę życia miała Podzamcze i kilku-

miesięczną tułaczkę po Stanach, szkołę życia, gdzie nikt nie przekazał jej, że istnieją inne radości niż alkohol i koka, nawet seks, skoro belfrem od tego przedmiotu był wulgarny, samo lubny Bibi Massena, i oczywiście nikt nie nauczył najprostszych odruchów serca, więc nie potrafiła współodczuwać z brzemienną Juanitą, i totalnie nie nadawała się na matkę; a dziś jest obok mnie Kasia, taka drobna w kontraście z pulmanowską kanapą, na której siedzi z podwiniętymi nóżkami, na zielonej wykładzinie przedziału bieleją buciki Kasi, nad nią na półce drzemią jej kot i niedźwiedź, a ich mała pani, moja córeczka, wygląda przez okno, za szybą pociągu przelatuje krajobraz Kordylierów, przelatuje świat, na który ją wydałam, i który jej objaśniam, kiedy chwyta mnie nagle za rękę: „mamo, zobacz, autka jadą pociągiem!”, „tak, wiozą je na platformie, z fabryki do salonu”, „salonu?”, „no, tak się mówi na sklep z autkami, tam je ktoś kupi”, tłumaczę Kasi świat normalny, uładzony, bezpieczny, gdzie samochody kupuje się a nie kradnie, tak jak robiła to tamta Laura Santiliana, póki nie spotkała na swej drodze człowieka, co jednym spojrzeniem potrafił przekazać imperatyw: zmień się, więc Laura się zmieniała, dzień po dniu, rok po roku, aż nadszedł czas największej metamorfozy, kiedy została matką, i dlatego - w najgłębszym, duchowym sensie, to Syrius Aznar jest ojcem mojej córki, nie Helmut, którego w tym bilansie wykreślam, wyrzucam z pamięci, nie ma i nie było żadnego Helmuta Wettera, pięć lat w Puerto de las Aguilas to Kasia, długo, długo nic, a potem E.O.J., udany debiut zawodowy, może jeszcze kilka przyjaźni, takich jak z Lily; no i moja matka, dziś bardzo, bardzo chora, z wyrazem lęku na twarzy wciśnięta w

kąt przedziału, przeze mnie ten lęk, z mojej winy, choć wiem i tym się usprawiedliwiam, że zanim to się stało, podarowałam jej przecież kilkanaście miesięcy, które były najszcześniejszym okresem jej życia, bo nawet na Florydzie nie czuła się tak dobrze, jak w mojej pięknej, białej willi w Aldea de los Naranjos; a teraz obie wracamy na Santa Inez, do punktu wyjścia, małego brzydkiego domku na ulicy Juareza. Stukały koła, gdy pociąg rozpędzał się, zjeżdżając na równinę, a ja w ich rytm modliłam się, żeby powrót w ojczyste strony uleczył mamę; dla siebie zaś prosiłam o chociaż jedno, chociaż przelotne spotkanie z Syriusem, dla którego robiłam ten bilans.

ZMIENIŁO SIĘ PODZAMCZE,

odkąd ostatni raz je widziałam, i to bardzo: moją ulicę poszerzono, wyburzając w tym celu wszystkie domy po zachodniej stronie, lokatorzy dostali od Rady Prowincji odszkodowania i w cholerę wynieśli się z wyspy, a ja za oknami, zamiast wąskiej, brukowanej jezdni, miałam teraz cztery pasma asfaltu, łączące miasto z portem w Villa Azteca; za płotem ze zdziwieniem zobaczyłam nieczynną stację benzynową, prawie tip-top wykonczony budynek, „zbiorniki na paliwo już są, trzeba tylko dystrybutory kupić.", „a drogi taki dystrybutor?", „prawie tysiąc dołców, musiałabym chyba dzieci zagłodzić", westchnęła sąsiadka, której mąż, stary reptil, latami dorabiał się tej stacji, przemycając w żołądku kokę aż rok temu jeden z woreczków pękł, więc został na zawsze gdzieś w Meksyku, „ciężkie życie wdowy, naprawdę ciężkie!", długo ocierała łzy, a gdy wreszcie odjęła rękaw od oczu,

zauważyłam, że patrzą na mnie z nadzieją, „ale tobie, młoda, na pewno coś wpadło w stolicę, jak nie parę kafli przywiozłaś.”, nie zaprzeczyłam i natychmiast, już przez płot, dobiłyśmy targu, a potem poszłyśmy do biura rejentalnego w Ratuszu i od tej chwili mama miała oprócz sklepu także stację benzynową, mnóstwo aut przejeżdżało tamtędy, skręcając z Alei Pacyfiku do Villa Azteca, bo turyści, zwiedziwszy Santa Inez, nabierali zwykle chrapki na pobliskie panamskie wyspy, wiedziałam, że jeśli nawet co setny zatankuje, raz na zawsze skończą się dla mamy kłopoty z kasą, co jej oznajmiłam, gdy pół godziny po transakcji spotkałyśmy się u Juanity, Kasia bawiła się w saloniku z trojgiem nowopoznanych siostrzeńców, w kuchni Juanita i Matheo tłumaczyli mamie, na czym polegała afera, w którą się wdałam, bo czytali o niej w gazetach, tak, nawet na Santa Inez pisano o wiarołomnej pani Wetter, co załadowała męża w bambuko, „czy Syrius też czytał?”, zastanawiałam się, siadając obok siostry, „mamo, Diego nie wierzy, że u nas w domu byli bandyci!”, Kasia przybiegła ze łzami w oczach, „Kasiu, cichutko, przy babci o tym nie rozmawiamy”, szepnęła Juanita i uścisnęła moją rękę, „Boże, Laura, co ty musiałaś wtedy przeżywać?!” „daj spokój, było- minęło, najważniejsze, że jeszcze zostało trochę tej ziemi w Panamie, autostradę już budują, zobaczysz, będziemy bogate!”, „my?”, „a co myślałaś? dla kogo to robiłam? jesteśmy siostrami, więc co moje, to twoje, nie?”, przyjrzała mi się badawczo, tak jak kiedyś, dawniej, gdy byłam w rodzinie czarną owcą, „Lauro, czy w tych gazetach napisali prawdę? czy to rzeczywiście było uczciwe?”

Z CIEKAWOŚCI PRZESZŁAM SIĘ POTEM PO STARYCH ŚMIECIACH

i natychmiast spotkałam całe towarzystwo; Don Alexandro wydzierzawił kawałek chodnika, postawił w donicach kilka palm a pod nimi stoliki, więc siedzieli w tym ogródku Carlos, Esteban, siostra Matyldy i jeszcze jakaś, kompletnie naprana laska, której nie znałam.

- Laura, to ty?! - zawołał młodszy Massena, mogłam przejść mimo, udać, że ja to nie ja, w pierwszej chwili tak chciałam, ale co mi tam - przelazłam przez barierkę i dosiadłam się do nich; Carlos był teraz współwłaścicielem lokalu. - Ledwie cię poznałam, patrzę, idzie jakaś niezła suczka blondi, nie, Esteban, ty byś też jej nie poznał? - Faktycznie rozjaśniłam włosy, już rok temu, zaraz jak skończyłam E.O.J. - Ale wypić po dawnemu lubisz, prawda, Laura? - Władczo skinął na kelnera. - Podwójną wódkę z tonikiem!

- Nie, Carlos, dzięki.

Zwykle po takich słowach zaczyna się chóralne namawianie, więc nawet mnie zaskoczyło, że milczeli i tylko się patrzyli ze zdziwieniem, ale widać w mojej odmowie było coś, co przecinało wszelką dyskusję, albo też we mnie samej, tak jakby zrozumieli, że już nie jestem z ferajny, a zatem nie warto wciskać mi na siłę drinka.

I mam wrażenie, że to, co powiedział za chwilę Carlos, było ich ostatnim rozliczeniem ze mną, tak jak dawnemu znajomemu

przypadkiem napotkanemu po latach, oddaje się książkę, płytę, lub inny drobiazg, niegdyś od niego pożyczony, słowem jedyną rzecz, która jeszcze z tym człowiekiem łączy.

- Bibi nie żyje - oznajmił mi jego brat, a na mnie zrobiło to dokładnie takie wrażenie, jakbym się z telewizji dowiedziała, że umarł premier dalekiego kraju na drugiej Półkuli, na przykład Łotwy, OK, ściemniłam, bo do premiera Łotwy nic nie miałam, a Bibi był kawał chuja, więc troszkę się jednak ucieszyłam.

- To się stało w Carrera - powiedział Esteban. - Wsadzili mi łeb do zbiornika przeciwpożarowego i normalnie jak kota... Czterej Kolumbijczycy, kumple tego frajera, co go Bibi postrzelił w Gaju Świętych.

Przed oczami mignął mi gryps, który dostałam w śledczym, „z twoimi kumplami inaczej załatwię sprawę, a tobie, kotku, przebaczam”, no to jak obiecał, tak zrobił.

- Mnie tylko nogę połamali - Esteban sięgnął do donicy z palmą, odgarnął gałąź, i spostrzegłam opartą o pień jego kulę. - W sześciu miejscach, i lekarz więzienny nie umiał poskładać,

- Pewnie faktycznie był z kartelu - powiedziałam, byle coś powiedzieć. - A wyście mówili, że blefuje.

- Nasz błąd - zgodził się Carlos.

- Pozory czasem myślą - stwierdziła refleksyjnie Annabella.

A dalej nie było o czym gadać, no to się pożegnałam i wróciłam do domu.

W NOCY PRZYŚNIŁA MI SIĘ JEGO GŁOWA Z DREDAMI,
KOSZMARNY MOP ZANURZONY W ZARDZEWIAŁEJ BECZCE
Z DESZCZÓWKĄ,

takiej jak u mnie na podwórzu, obudziłam się z krzykiem, usłyszałam, że Kasia niespokojnie porusza się przez sen, natychmiast poszłam ją utulić, pięć kroków miałam do jej łóżeczka pod przeciwległą ścianą i w połowie drogi pomyślałam, że jestem głupia, przecież w Carrera na pewno ogolili go na łyso, więc jakie dredy? i to było całe moje requiem dla Bibi Masseny, nigdy potem już mi się nie śnił.

NATOMIAST MIESIĄC PÓŹNIEJ I TO NA JAWIE SPOTKAŁAM JOSEGO,

na naszej stacji, mama obsługiwała ją w dzień, ja w nocy, kiedy położyłam Kasię spać; kierowcy nieraz chcieli się napić kawy, przegryźć coś, no to zaprowadziłam kawę, hot dogi i pączki, „jak pani świetnie mówi po angielsku!”, „czy pani jest Niemką? bo akcent zupełnie jak z Berlina”, zahodowałam sobie całe stadko wiernych klientów, jak nieskromnie przypuszczam, chcieli mnie przelecieć i tylko udawali, że przyjeżdżają tankować, za to kompletnie bez takich intencji zjawił się którejs nocy młody, wysoki sierżant wojsk pancernych, tak mi powiedział, że pancernych, a ja nie bardzo sobie mogłam wyobrazić, jak Jose mieści się w czołgu; bo to był on, choć nie od razu go poznałam, wysiadającego z austina montego, w mundurze i w towarzystwie młodziutkiej

Indianeczki, która okazała się jego żoną; zrobiłam im kawę na koszt firmy, poczęstowałam, czym chata bogata, dziewczynka miała na imię Juanita, jak moja siostra, od pierwszego wejrzenia się polubiłyśmy.

- Laura, a ty też byłaś w tym ich gangu? Bo Jose mi wszystko opowiedział, jak żeście napadali na ludzi i zabierali im samochody, na początku to się normalnie wystraszyłam i już nawet chciałam zerwać zaręczyny, poważnie, no bo, myślę, jak taki bandzior, to jeszcze mnie kiedy pobije albo moich rodziców... A patrz, okazał się dobry chłopak!

- Bo głupi byłem wtedy - Jose ze skruchą zwiesił głowę.

- A ty, Laura, też chyba zmądrzałaś, co nie?

Autentycznie nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć, na szczęście mój były wspólnik przyszedł mi w sukurs.

- I to jak zmądrzała! E.O.J. skończyła, pewnie ze trzy języki zna.

- Wow! - zawołała panienska z podziwem, który jednak momentalnie opadł, co innego bowiem się dla niej liczyło.

- A za mąż wyszłaś?

- Tak, Juanitko, ale to była pomyłka.

- Na złego mężczyznę trafiłaś?

- Niestety. Ale mam córeczkę i...

Dawniej nawet nie potrafiłabym sobie wyobrazić, że będę z taką radością pokazywała zdjęcia swojego dziecka; Juanitka normalnie wwierciła się w nie wzrokiem.

- Wiesz, Laura, my też będziemy mieli dzidziusia - ruchem swej imienniczki, mojej siostry pogłaskała się po brzuszku; jeszcze nic nie było widać, ale dodała zaraz, że to dopiero drugi miesiąc.

I tak ze trzy godziny przegadałam z Juanitką i Jo- sem, o ich mieszkaniu w garnizonie pod granicą pa- namską i jego planach związanych ze szkołą oficerską, mili, prości ludzie, do których od razu czuje się sympatię i zaufanie, nawet jeśli się wie, że jedno z nich, to większe, wedle słów Syriusa Aznara, kradło kiedyś cukierki.

Dochodziła czwarta, gdy nagle zjawili się jacyś dwaj na motorze, chyba z Podzamcza, ale szczyłe, więc ani ja ani Jose ich nie znaliśmy, wyszłam, żeby im wlać do ya- mahy, a oni tymczasem przez szybę gapili się do środka i jednemu najwyraźniej nie spodobał się mundur, polazł do drzwi, otworzył, stanął w progu.

- Ej, sierżant, co się patrzysz?!

A Jose wcale się na niego nie patrzył, dopiero teraz spojrzał, a ja zbyt długo mieszkałam w tej dzielnicy, żeby nie wyczuć, co zawisło w powietrzu; więc mówię temu drugiemu, żeby uspokoił kumpla, bo pod mundurem kryje się stary *reptil*, który mu zaraz wpierdoli, i nie zdążyłam dokończyć, jak Jose już ruszył, złapał gnojka za poły motocyklowej kurtki, podniósł w górę na wyso-

kość swoich dwóch metrów, po czym strzelił mu z grzywy aż echo poszło; a w tym samym momencie pod stację podjechał patrol, bo zwykle tankowali u mnie o tej porze, pili kawę i też próbowali mnie przelecieć; kręcę zadkiem, prawie się o nich jak kotka ocieram, „chłopaki, to tylko wygłupy, dajcie spokój, po co protokół?“, „dobra, dobra, Laurko, takie wygłupy, że koleś ma nos złamany“, bo faktycznie nos miał trochę niewłaściwy kształt, a nawet nie całkiem był tam, gdzie zazwyczaj u ludzi są nosy, więc się zaczęło przepytывanie, spisywanie, płacz Juanitki, potem przyjechała karetka zabrać poszkodowanego, cyrk do rana.

MIMO WSZYSTKO MIAŁAM NADZIEJĘ, ŻE SPRAWA
SIĘ ROZEJDZIE PO KOŚCIACH,

ale za kilka dni wpadła do mnie Juanitka i szlochając powiedziała, że Jose siedzi w baszcie, rano przyszli po niego do teściów, zakuli, zabrali, „Boże, co teraz będzie, jak nic go z wojska wyrzucą, Laura, musisz go ratować, musisz im powiedzieć, że to tamten zaczął!“, utuliłam ją, „jasne, że powiem, ale trzeba poczekać do rozprawy w sądzie“, a w tym momencie przybiegła z domu Kasia i Juanitka na chwilę zapomniała o swoim nieszczęściu, „Jezu! Jaka cudna, jaka do ciebie podobna, no, chodź, niuńka, do cioci, co wstydzi się? ja też w jej wieku się strasznie wstydziłam obcych“, nie wyjaśniłam jej, że ten dystans wynika stąd, że Kasia po raz pierwszy widzi z bliska Indiankę, zresztą zaraz nie było dystansu, moja córka jest przylepa, minuta nie minęła, a już siedziała Juanitce na kolanach, „poczytamy o Królowie Śnieżce?“, „tak, tak, Kasiu, przynieś książeczkę“, zeskoczyła, poleciała pę-

dem po swój ukochany komiks, „będą go sądzić?”, spytała cicho Juanitka, a do mnie dotarło, że jako świadek na pewno zobaczę Syriusa.

ZA GODZINĘ PRZYJECHAŁ POLICJANT I WRĘCZYŁ
MI OFICJALNE WEZWANIE,

z jego pieczętą i podpisem, więc natychmiast powędrowało do teczki, gdzie przechowywałam dokumenty sygnowane przez sędziego, na czele z obwieszczeniem o chłóście, nie tylko zresztą mojej, bo zaraz jak wróciłam z Puerto, Syrius skazał na baty jakiegoś typa, który znęcał się nad żoną i dziećmi, zatem miasto znowu było obklejone, a ja w nocy po cichu zerwałam jedno, z budki telefonicznej na Zamkowej, po czym w domu porównywałam podpisy - na nim i na tamtym „moim”, lecz choć były identyczne, nie dopuszczałam myśli, że mógł używać faksymile i potraktować mnie jak innych skazanych, seryjnie, mechanicznie, bezdusznie i już świtało, gdy poczułam nagle dławiący ucisk w gardle i w piersiach, „kretynko, opanuj się”, próbowałam przywołać się do porządku, stłumić w sobie narastający bunt, protest, dziecięcy sprzeciw, „to przecież jest prawo, a on jest sędzią”, ale ucisk był oporny na perswazję, ustąpić nie chciał, nie chciał i już, tak jak ja nie chciałam się pogodzić z faktem, że lokuję się w całym tłumie, obok włamywaczy, złodziei, awanturników i takich, jak ten, domowych sadystów, a co gorsza, nie jestem nawet jedyłą kobietą, którą karano pod basztą, bo były inne przede mną i będą następne, co prawda nieliczne, gdyż Syrius tylko w drodze wyjątku skazywał kobiety na chłostę; „kretynko, kretynko, kre-

tynko", powtarzałam w nieskończoność, ale pomagało tyle co nic, i wciąż wbrew rozsądkowi pragnęłam, aby wyjątek był jednoosobowy i nazywał się Laura Santiliana.

ŚWIADKIEM TEŻ NIESTETY BYŁAM JEDNYM Z WIELU, jacy codziennie przewijali się przed jego stołem, więc jedyną moją szansą było stać się świadkiem najlepiej ubranym, uczesany i w ogóle; przed laty śmiałam się z mojej ciotki, że przed pójściem do sądu, gdzie zeznawała w sprawie o pyskówkę, dzień wcześniej poleciała do fryzjera, a teraz zrobiłam dokładnie to samo, poszłam do Long Wave do najdroższej i najbardziej renomowanej fryzjerki, którą przekupiłam i ubłagałam, by przyjęła mnie po godzinach, bo grafik miała na styk wypełniony bogatymi Amerykankami; a nazajutrz już bladym świtem zasiadłam przed starą bambusową toaletką, ponoć należącą jeszcze do mojej prababci i patrząc w wystraszone odbicie, przywoływałam na pamięć rady niejakiej Franoise Clermont, światowej sławy wizażystki, co w E.O.J. przez dwa semestry uczyła nas jak używać tuszów, cieni i szminek, żeby wyglądać seksy bez skojarzeń z latarnią.

- Idziesz do teatru? - spytała Kasia, którą moje wczesne wstanie oczywiście także zbudziło, więc w pizamce kibicowała mi przez ramię.

Pokręciłam głową; nie, nie idę, zresztą na Santa Inez nie ma teatru.

- To na bal, tak?

W naszym domu w Aldea de los Naranjos malowałam się tylko, kiedy od wielkiego dzwonu umawiałam się gdzieś z Helmutem, właśnie do teatru albo na koktajl w ambasadzie niemieckiej, i stąd to skojarzenie Kasi, która lubiła patrzeć jak się wtedy szykuje, nieraz wspólnie wybierałyśmy dla mnie sukienkę, „zobaczysz, mam, będziesz królową balu i zakocha się w tobie królewicz”, bo do mojej córeczki nie docierało, że mam męża, który jest jej tatą, jak miało docierać, skoro Helmut wpadał do domu raz na tydzień, najczęściej późnym wieczorem, gdy już spała?

- Coś w rodzaju balu - uśmiechnęłam się do Kasi, i pomyślałam, że jeśli za chwilę powie o królewiczu, to będzie bardzo celny strzał, rzeczywiście walczę dziś wyglądem o miłość i dlatego nie założę na pewno takiej krótkiej sukienki jak pięć lat temu, kiedy to uważałam, że podstawą jest wzbudzić w mężczyźnie żądzę; potraktowałam Syriusa pod tym względem zupełnie jak facetów, których wystawiałam Massenie, i ponieważ lękałam się, że jemu też nasunęło się to porównanie; dlatego wybrałam teraz długą spódnicę z podwyższonym stanem, ciemną, obcisłą, ładnie podkreślającą linię nóg a do niej czarne czółenka na białe ażurowe pończochy; i jasnokremową bluzkę bez ramiączek, pod mechaty ciemnogrnatowy swetrowy żakiecik; jeszcze tylko do kompletu maciupenka torebka Versace, jeden z niewielu prezentów od Helmuta i - zamknęłam drzwi szafy, odgradzające kąt, na który zamieniłam moją dwudziestometrową garderobę w Aldea de los Naranjos.

- No i co? Spodobam się królewiczowi?

Kasia jak małepeczka skoczyła mi na szyję i obsypała całusami, aż się przeleżałam o makijaż; a w tym momencie w progu stanęła mama, która o tej porze zwykle szła na dół otworzyć sklep, więc, kiedy mnie wywołała na schody, pomyślałam, że chce mi wydać dyspozycje w rodzaju „jak będziesz na mieście, wstąp do hurtowni i powiedz, żeby przysłali proszek do pieczenia, bo już się skończył”, dlatego totalnie zaskoczył mnie jej syk: dla ssstarego dziada się wyssszykowała! Godności nie masz?! Po tym, co ci zrobił jeszcze biegniesz do niego... - dalej przestałam rozumieć, bo mówiła strasznie szybko, zapluwając się, i tylko uwagę o moim stroju wyartykułowała wyraźnie: ... - i to w takiej bluzce, że zaraz ci cycki wyleżą!

Nie zdzierżyłam.

- Mamo, Bóg jest jeszcze starszy i też ciężko cię doświadczył, a mimo to Go kochasz!

Widziałam, jak się w niej zagotowało, bo to rzeczywiście było bluźnierstwo, i wiem, że nie powinnam tego mówić; ale nie dałam jej dojść do słowa, nie zaczekałam, aż z krzykiem każe mi iść do spowiedzi.

- A jak mnie Kasia spyta, o co chodzi z tymi cyckami, wyślę ją po wyjaśnienia do ciebie.

Lecz mimo dławiącej złości dotarło do mnie, że mama jest zupełnie jak mitologiczny Alkioneus, co zmartwychwstawał, dotknąwszy ojczystej ziemi; znów mnie łaje, zaraz pewnie jak za dawnych czasów uderzy w twarz. Niewątpliwie - wyzdrowiała na Santa Inez. Słusznie zrobiłam, zabierając ją ze stolicy.

ROZPRAWA ZACZEŁA SIĘ PUNKT DZIESIĄTA,

ale facet z mordą jak jabłko, przez te lata co minęły mocno już zwiędnięte, nie wpuścił mnie na salę, i kazał czekać w holu; więc nie widziałam ani Syriusa ani Josego, którego przyprowadzono z baszty przejściem dla aresztantów, zamieniłam tylko przed drzwiami kilka słów z zaryczaną Juanitką i jej teściową, a chwilę potem minęli mnie ci dwaj gówniarze od yamaha, z czego jeden oczywiście z gipsem na nosie; chodziłam po ogromnym holu w tę i z powrotem, obcasy czólenek stukały w marmurową posadzkę, a ja za każdym nawrotem bezwiednie mizdrzyłam się do ogromnego lustra; omal nie poślizgnęłam się przy gwałtownym „w tył zwrot”, gdy człowiek-jabłko zawołał: Laura Wetter!; idąc za nim do sali, pomyślałam, że moje nowe, niemieckie nazwisko znacznie lepiej wykrzykuje się takim kaprańskim tonem, niż miękkie, hiszpańskie: Santiliana, lecz to był tylko króciusiński błysk przed drzwiami, bo ledwie przestąpiłam próg, nic już do mnie nie docierało, mogliby wokół strzelać, bić się na noże, ko-

biety w bólach mogłyby rodzić na ławkach dla publiczności, a i tak wzroku bym nie oderwała od sylwetki za stołem sędziowskim, od jego głowy rozsrebrzonej siwizną, co w mych oczach jedynie dodawało mu powagi i władczości niczym popiersiom cesarza Augusta, o którym z powieści Gravesa wiedziałam, że był stary, więc te popiersia wydawały mi się siwe; jak przed siedmiu laty stałam na tym samym miejscu dla świadków, on zaś patrzył na mnie podobnym nieruchomym kamiennym wzrokiem, lecz wiedziałam, że za chwilę kamień ożywi się, przecież zawsze tak się działo na tej sali, gdzie nic a nic nie zmieniło się od mojego procesu, nie, przepraszam, zainstalowali inny mikrofon, tamten był większy i taki bardziej falliczny w kształcie, aż głupio się czułam, zbliżając do niego usta; a teraz mówiłam do małego, zgrabnego, czarnego mikrofoniku, jakie przyczepia się w studio telewizyjnym zaproszonym gościom, „proszę, by świadek podała swoje imię, nazwisko, nazwisko panięskie, jeśli jest mężatką, datę urodzenia oraz adres stałego pobytu”, też miał taki sam mikrofon, co prawie wcale nie zmieniał głosu, więc płynął do mnie spokojny, głęboki, melodyjny, a przy tym niedbały jak próbny akord wirtuoza, którym sprawdza, czy dobrze mu nastrojono fortepian.

- Laura Wetter, Wysoki Sądzie, z domu Santiliana, ale nie jestem mężatką, tylko rozwódką.

Czasem widzi się to, co chciałoby się zobaczyć, ale Syrius chyba naprawdę w tym momencie zawiesił na mnie spojrzenie i

dość długo trwało, zanim odwrócił się do szarej myszy, która protokołowała.

- Proszę zapisać, że świadek jest rozwiedziona.

Na ile umożliwiała to sytuacja, postanowiłam opowiedzieć mu swoje życie.

- Z adresem, proszę Wysokiego Sądu też będzie problem, bo mam dwa. Puerto de las Aguilas, Aldea de los Naranjos 4, a obecnie, nie wiem na jak długo, Granada del Mar, Juarez 17, Zachodnie Podzamcze.

Uśmiechnął się.

- Jedyne problem w tym, że świadek za szybko mówi i pani protokolantka nie nadąża, więc jeśli można jeszcze raz, ciut wolniej.

Powtórzyłam wolniej.

- O, i proszę trzymać takie tempo. Dobrze, gdzie świadek była w nocy z 31 lipca na 1 sierpnia, ma się rozumieć, pytam o rok bieżący.

- Na stacji benzynowej przy moim domu. Moja matka jest właścicielką, a ja jej w nocy pomagam.

- I była tam świadek o godzinie 3.30?

- Tak, Wysoki Sądzie.

Poprosił mnie, żebym spojrzała na ławę oskarżonych i było tak, jakbym w tym momencie zorientowała się, że nie jesteśmy

na tej sali tylko we dwoje, a w takim złudzeniu dotąd trwałam, bo protokolantka, jako mysz, się nie liczyła. Zobaczyłam Josego w szarej aresztanckiej koszuli wciśniętego między dwóch policjantów, którzy z powodu różnicy wzrostu wyglądali po jego bokach jak jądra przy fallusie. A dalsze miejsca zajmowali: motocyklista z gipsem i kumplem, Juanitka z teściową, a także nieliczna publiczność złożona z naszych sąsiadów z Podzamcza oraz wiernych fanów Syriusa, co to nie opuszczali żadnej, nawet najbliższej rozprawy.

- Czy mężczyzna, który tam siedzi był wtedy na stacji benzynowej?

- Tak, Wysoki Sądzie. Razem z żoną Juanitą. Poczęstowałam ich kawą i pączkami.

- Czy świadek zna oskarżonego?

Aż zamrugałam ze zdziwienia.

- Przecież Sąd chyba pamięta, że...

Ironiczny uśmiech, wysunięta dłoń, którą mnie zastopował.

- Sąd jak każdy człowiek pamięta różne rzeczy, ale nie bierze ich pod uwagę, jeśli nie należą do sprawy. Proszę odpowiedzieć.

- Tak. Znamy się. To jest Jose Balbueno.

To samo pytanie zadał odnośnie motocyklistów, więc powiedziałam zgodnie z prawdą, że byli na stacji, ale ich nie znam.

- No, dobrze, niech świadek opowie teraz, co zaszło między oskarżonym a Filipem Fernandezem, czyli tym młodym człowiekiem z gipsem na nosie.

Poczułam na sobie błagalny wzrok Juanitki, ale nie to sprawiło, że skłamałam; dla niej, jak również dla Josego mogłam jedynie mówić prawdę, która i tak usprawiedliwiłaby w pewnej mierze jego czyn. Sama nie wiem, co mnie skłoniło do tego, co zrobiłam; może wyjaśnienia szukać należy w komiksie Lily Henderson? Może to rzeczywiście była kokieteria panny Winy?

- Filip Fernandez otworzył drzwi stacji, stanął w progu i w bardzo ordynarny sposób odezwał się do Jose Balbueno. Czy mam, Wysoki Sądzie, przytoczyć jego słowa?

Spojrzał na mnie z nieprzyjemnym zdziwieniem.

- Niestety, w przeciwnym razie zeznanie świadka będzie niepełne.

Wtedy, udając, że ledwie mi to przechodzi przez usta, wydukałam zmyślony cytat.

- Proszę zapisać tak: j, kropki, „męska” całym słowem i k z kropkami - poinstruował Syrius mysz, która z szarej zrobiła się purpurowa.

- Wysoki Sądzie! - zawołał Filip Fernandez, podnosząc się z miejsca. - Przysięgam, że nie użyłem tych słów. Już mówiłem, jak było, spytałem go tylko, czemu się patrzy, bo nie lubię, jak ktoś się na mnie bez zdania racji gapi, nikt nie lubi, co nie?

- Bez dania racji - poprawił go Syrius. - Proszę zapisać, że pokrzywdzony zaprzecza jakoby użył wobec oskarżonego...

- W życiu! - przerwał Fernandez - A w dodatku wiem, dlaczego świadek kłamie. Sama przyznała, że zna Balbueno, a ja powiem więcej: oni byli w jednym gangu, Sąd to wie, bo razem ich skazywał! Ja miałem wtedy jedenaście lat, to się jeszcze na takich rzeczach nie wyznawałem, ale brat mi mówił, że...

Za bardzo podniósł głos, i to się Syriusowi nie spodobało, choć wolałabym myśleć, że wkurzył go atak na mnie.

- Nie krzycz, chłopcze, bo ci gips z nosa odleci - powiedział wywołując na sali gromki śmiech, nawet kumpel Fernandez się rechotał; to właśnie dla takich tekstów Syriusa ludzie przychodzili na rozprawy, ale ja wiedziałam, że to tym razem pod publiczność, i w ogóle nie jego styl humoru, jego styl, to było tamto stonowane, ironiczne „oui, naturellement”, wypowiedziane do prokuratora popisującego się francuszczyzną.

Usłyszałam, że jestem wolna, lecz mam jeszcze pozostać na sali i na moje miejsce poprosił Juanitkę; przeczuwałam, o co chodzi, i nie omyliłam się niestety.

- Pani Balbueno - zwrócił się do niej z ciepłym uśmiechem, którego mnie poskąpił - Kilkanaście minut temu, opisując incydent na stacji benzynowej, zeznała pani, że Filip Fernandez jedynie spytał męża, czemu na niego patrzy. Jak rozumiem, pani była wtedy wewnątrz a zatem lepiej słyszała wypowiedziane słowa niż świadek Laura Wetter.

„Panna Wina osiągnęła swoje - pomyślałam - już twarz pana Prawo spochmurniała i kara wisi w powietrzu”.

Lecz Juanitka była nie w ciemną bita.

- Wysoki Sądzie, dziewczynie wstyd powtarzać takie wyrazy.

- Czyli potwierdza pani to, co zeznała świadek Wetter?

- Tak, Wysoki Sądzie, potwierdzam.

O dziwo, nie w ciemną bity okazał się także Jose.

- Oskarżony mówił, że nie pamięta, co go tak rozzłościło w słowach i zachowaniu Fernandeza.

- No właśnie, ale to musiało być coś ekstra, bo na takie tam „co się patrzysz?”, to bym wcale nie zareagował. I teraz, jak Laura to powtórzyła, odemkła mi się w głowie klapka. Tak, Wysoki Sądzie, dokładnie tak do mnie powiedział.

Byliśmy na tyle sugestywni, że nawet kumpel Fernandeza nabrał wątpliwości.

- Nie jestem pewien. „Co się patrzysz?”, to na bank zapytał, ale potem mógł coś jeszcze dodać, nie przysięgnę.

SYRIUS ZARZĄDZIŁ KRÓCIUTKĄ PRZERWĘ, TYLE

CO NA PAPIEROSA, PO CZYM OGŁOSIŁ WYROK.

- Sierzancie Balbueno, stoicie przed byłym oficerem (Jose wyprężył się na baczność, a jego dłoń uniosła się, by zsalutować; zorientował się jednak, że nie ma czapki), który w przeciwi-

stwie do was uczestniczył nie tylko w manewrach i ćwiczeniach. Wyobraźcie sobie, że w tej sali, o tam, gdzie siedzi teraz pani protokolant, jest pięciu nieprzyjacielskich żołnierzy. A wy znajdujecie się przy drzwiach, którymi wszedłem. I co robicie, sierżancie Balbueno?

Jose milczał, Syrius uderzył palcami po stole, czułam, że przerwa mu nie wystarczyła i najchętniej by znowu zapalił.

- Nie wiesz, bo nie byłeś nigdy w takiej sytuacji. A ja byłem. W 1973, kiedy zdobywaliśmy panamską twierdzę, czyli dzisiejszy gmach sądu. I w tej sali też toczyła się walka. Trochę nierówna, pięciu na jednego kadeta Aznara. I co? Myślisz, że rzuciłem się na nich z furią jak ty na Fernandeza? Nie, chłopcze, na wojnie ten przeżywa, kto potrafi zachować zimną krew. I dlatego, jako żołnierz, musisz w sobie tę umiejętność wyćwiczyć.

- Tak jest! - ryknął Jose służbiście, a Syrius nie utrzymał powagi i zaczął się śmiać.

A potem go uniewinnił. I tylko kazał Fernandeza przeprosić.

KILKA MINUT PÓŹNIEJ W HOLU SĄDU MIAŁA MIEJSCE
NASTĘPUJĄCA ROZMOWA:

Fernandez (do Josego):

Ja cię też przepraszam, chyba wiesz, że to nie ja wezwałem psy.

Jose:

Wiadomo, że nie ty. Same przyjechały.

Kumpel Fernandez:

I to był niefart. Bo takie rzeczy się załatwia we własnym gronie.

Fernandez (do Josego):

Wypijemy na zgodę?

Jose:

Czemu nie, młody. Nic do ciebie nie mam.

Juanitka:

A chyba cię pogięto. Odbierasz łachy z baszty i wracamy do domu.

Jose (z błagalnym wyrazem twarzy):

Mała, tylko kieliszeczek! Naprawdę! Za moje uniewinnienie!

Juanita:

Już ja wiem, co u ciebie znaczy kieliszeczki

Jose:

Okej, masz rację, parę razy przeholowałem, ale teraz pójdziesz z nami i będziesz mnie pilnować, mój aniołku stróżu.

I dryblas czule obejmuje drobniutką żonę.

Stoję z boku, nie odchodzę, ciągle mam irracjonalną nadzieję, że w holu pojawi się Syrius, choć przecież wiem, że wyszedł z sali bocznymi drzwiami i jest teraz u siebie.

Fernandez (do mnie)

Czemu powiedziałaś, że mu ułiżyłem?

Ja:

Bo tak mi się wydawało.

Fernandez:

To ci się źle wydawało.

Ja:

Możliwe, mogłam się przesłyszeć. Sorry, młody.

Kumpel Fernandez (do mnie)

A może ty, Laura, też się napijesz?

Jestem tak rozbita, że rozważam, czy nie przyjąć zaproszenia; koszmar jakiś, tyle lat czekałam na to spotkanie, i co? i skłamałam pod przysięgą, on to wie, i już mnie ostatecznie skreślił. Z dwojga złego byłoby lepiej, gdyby skazał za fałszywe zeznania. Nie, nie, wiadomo, że się z nimi nie napiję, przecież w domu czeka Kasia, spyta, jak było na balu, nie mogę przyjść pijana, Kasia nigdy nie widziała mnie pijanej, nie zrobię jej tego.

- Dzięki. Innym razem. Teraz muszę spadać.

Zostawiam ich, idę do wyjścia, już popycham wielkie, ciężkie drzwi,

AŻ TU NAGLE SŁYSZĘ ZA PLECAMI RYK:

- Pani Wetter! Pani Wetter! Niech pani nie opuszcza budynku sądu!

Odwracam się i widzę jak turla się ku mnie w powietrzu mor-da-jabłko, a podkute buciory głośno walą w posadzkę; dopadł, chwycił za rękę.

- Idziemy do sędziego!

- Dobrze, ale nie musi mnie pan szarpać!

Kątem oka zobaczyłam przestרח na twarzach Juanity i Josego, jakoś chcieli mi pomóc, nawet krok zrobili w naszą stronę.

- Proszę nie stawiać oporu, pani Wetter! - ryknęło jabłko, rozdziawiając się na dwie połówki - Sędzia kazał mi panią doprowadzić!

W GABINECIE SYRIUSA NIEMIELE SIĘ ZMIENIŁO,

to samo zabytkowe biurko, monumentalne krzesło, pluszowa kotara, zasłaniająca łukową wnękę w ścianie, tylko gdzieś się zapodział tamten niski, skórzany fotel, zastąpił go inny, wyższy, obity ciemnozielonym materiałem pod kolor dywanu, którego także poprzednio nie było, zapamiętałam goły parkiet; spuszczo-nym wzrokiem błądziłam po dywanie, jakbym liczyła frędzle, a Syrius siedział za biurkiem, bez togi, w rozpiętej koszuli z białego dzinsu i w czarnym podkoszulku z logo levisa, obracając w pal-cach zapalniczkę, dużą, masywną, chyba jeszcze na benzynę, pa-miętam, że wtedy też zwróciłam na nią uwagę, ale teraz bałam się przyglądać nawet zapalniczce, kierować oczu gdziekolwiek wyżej,

„panna Wina stała już na drugim brzegu, z opuszczoną głową, nie mając śmiałości spojrzeć na pana Prawo, a jej dłoń leciutko uniosła rąbek i tak króciutkiej kiecki, obnażając do końca zgrabną nóżkę, którą wdzięcznie zgięła w kolanie", oj, Lily, ale żeś wymyśliła! Nie przyszło ci do głowy, że mogę być raz w długiej spódnicy? szczęknęła zapalniczka, poczułam zapach aromatyzowanego papierosa.

- I po jaką cholere kłamałaś? - spytał Syrius zmęczonym, znużonym głosem, którego tajemnicy, przyczyny tego tonu, darmo dociekałam latami, a teraz znów go słyszę, lecz nie z płyty pamięci, trwalszej na szczęście od normalnych płyt, bo te zdarłyby się po tylokrotnym odtwarzaniu, ale na żywo, nie z mojej głowy, lecz zza biurka docierają do mnie jego słowa.

- Wiem, chciałaś mu pomóc, ale... czy ty, Lauro, naprawdę myślałaś, że pošlę go do więzienia? za głupią bójkę zniszczę chłopaka, który z takim trudem wyrwał się z Podzamcza, bo wiem, że na początku nie było mu w wojsku łatwo i słodko, ale się zawziął, wytrwał, skończył szkołę podoficerską, ożenił się z porządną dziewczyną, będą mieli niedługo dziecko, i co? wyobrażałaś sobie, że ot tak to wszystko przekreślę z powodu jednego złamanego nosa, do czego zresztą tamten gówniarz go sprowokował, bo słowa, które mu przypisałaś, albo bardzo podobne, rzeczywiście wisiały w powietrzu i niedobrzmieniu, rozumiesz, Lauro, takie wyzwisko in spe, i biedny Balbueno przeczuł je swoim małym mózdzkiem, czemu się śmiejesz...?

Rozluźniłam się.

- Bo lubię pana poczucie humoru.

- Dziękuję, miło mi. Czarną czy z mleczkiem? A tak w ogóle, to usiądź, Laurko.

ZROBIENIE KAWY WYMAGAŁO KILKU KURSÓW
MIĘDZY WNEKĄ A BIURKIEM, PODCZAS KTÓRYCH
POWIEDZIAŁ, ŻE JEST MU PRZYKRO,

lubiłam patrzeć na ten jego miękki, skradający się chód, że jest mu przykro, bo wierzył, że lepiej mi się ułoży życie osobiste, ale przynajmniej mam śliczną córkę, widział nas z okna, gdyż często przychodziłam z Kasią nad fontannę, trochę licząc, że akurat będzie patrzył z gabinetu na Plac Zamkowy, „chyba już od dwóch miesięcy jesteś w Granada, dlaczego się nie odezwałaś? naprawdę aż czyjegoś złamanego nosa trzeba było, żeby...”, a ja parsknęłam śmiechem, bo przy tych słowach ujął swój nos w dwa palce i komicznie przekrzywił.

PRZY KAWIE WYZNAŁAM MU, ŻE NIE CHODZIŁO MI
O JOSEGO,

„sama tego nie rozumiem, panie sędzio, przecież wiedziałam, że pan się od razu pozna na kłamstwie, może nie chciałam, żeby pan myślał, że jestem taka święta, jak mnie opisują gazety”, a Syrius poczęstował mnie papierosem, bo już byłam teraz dorosłą córką, wciągnęłam dym, który miał dziwny, mdły aromat, „egipskie, prezydent Mubarak podarował Negrido sto kartonów, więc biedak rozsyła wszystkim znajomym, nawet dadzą się palić”.

- Nie, Lauro. Nigdy nie myślałem, że jesteś święta. Znam cię trochę lepiej niż ci dziennikarze i dlatego wiem, że stoczyłaś ze sobą trudną walkę, i dopiero pod sam koniec afery postanowiłaś zachować się uczciwie.

Przeraził mnie - tak rzeczywiście było.

- Ale najpierw po prostu chciałaś oszukać Wettera, jak kiedyś... - zawahał się, a ja za niego dokończyłam: - Jak tych wszystkich, za których mnie pan skazał.

Skinął głową i podsunął mi bliżej popielniczkę.

- Tylko w jego wypadku czułaś się rozgrzeszona, bo okraść złodzieja, zniweczyć jego nieczyny plan, cóż w tym złego? To może zrobić nawet absolwentka E.O.I., osoba z towarzystwa...

Przejechał dłonią po twarzy, jakby ocierał z niej szadź znużenia.

- Tym więcej mi zaimponowało, że kiedy ci nieszczęśnicy zapukali do twoich drzwi, nie kazałaś służbie wyrzucić ich na zbity pysk, nie posłałaś do diabła, a przecież mogłaś, prawo było po twojej stronie.

Przypomniałam sobie minę jego byłej żony, cyniczny grymas, z którym to samo mi mówiła, „nie, proszę pani, od strony prawnej nie ma żadnego ryzyka”.

- I pewnie zatrzasnęłabym im drzwi przed nosem, gdyby to byli bogaci biznesmeni, ale on pobrał zaliczki od zwykłych, szarych ludzi, ukradł latami gromadzone oszczędności, mając wizję taniego mieszkania. Nie, panie sędzio, do takiej podłości nie byłam zdolna, i dlatego wszystko, co do grosza im zwróciłam, a jeszcze z odsetkami, odszkodowaniami, bo się ich domagali, ledwie odkryli, że mam miękkie serce, od razu z zapłakanych ofiar przemieniali się w bezczelnych, pazernych cwaniaków, czyli musiałam dokładać ze swoich, prawie do zera wyczyściłam konto, na szczęście niektórzy zgodzili się zaczekać aż zdrożeją te grunty w Panamie, i podzielić się zyskiem pół na pół, taki układ mam z jedenastoma rodzinami, ale inni bali się czekać, nie ufali mi, więc większość terenu sprzedałam na pniu, za tyle, za ile kupiłam, a nawet ze stratą, no bo te wszystkie opłaty skarbowe, notarialne, itepe, słowem nici ze spekulacyjnego interesu. Ale za to mogę panu spojrzeć w oczy, panie sędzio.

Nie zareagował, więc postawiłam kropkę nad i.

- Przede wszystkim dlatego nie ukradłam tych pieniędzy.

CHYBA GO ZASKOCZYŁAM

i nie przypuszczam, żeby przez kokieterię udawał, że nie rozumie.

- Co ja mam do tego? Puerto de las Aguilas to nie moja jurysdykcja, zresztą każdy sąd by cię uniewinnił, ja też, bo według prawa nie popełniłaś przestępstwa.

Nie był facetem przesadnie skromnym, znał swoją wartość, a mimo to najwyraźniej w głowie mu nie powstało, że dla jego szacunku i sympatii zrezygnowałam z paru milionów.

- Widzę, że nie przeczytał pan mojego listu. - Mógł rzeczywiście nie przeczytać, pomyślałam, skoro nie odpisał i w ogóle już nigdy nie przysłał nawet kilku słów, nawet kartki na święta, więc zaniechałam dalszej korespondencji; tamten „list nad listami” był ostatni.

- Czytałem, Lauro. I to niejedynym razem - uśmiechnął się. - Dla faceta w moim wieku to bardzo krzepiące przeczytać takie wyznaczenie młodziutkiej dziewczyny.

Sądził, że na pewno wyrosłam z dziewczęcych afektów, zatem ma prawo z nich się podśmiewać.

- Czemu pan nie odpowiedział? - Ton mojego pytania musiał wyprowadzić go z błędu. Znów zapaliliśmy.

- Szczerze?

Skinęłam niemo głową, i w ciszy popłynęły rozciągnięte sekundy, kiedy patrzył na mnie, dobierając słowa.

- Byłem podejrzliwy, Lauro. Pomyślałem, że znowu liczysz na jakąś moją protekcję, zgodziłaś się, żebym mówił szczerze, prawda?

- Okej - szepnęłam, potakując samym mrugnięciem powiek, zeszywniała, skamieniała z bólu, jak wtedy, gdy palcat przecinał mi skórę.

- ...Albo chcesz się na mnie zemścić, odegrać. Zadrwić z faceta po czterdziestce. Może nawet publicznie skompromitować.

- Zaciągnąć pana do łóżka, a potem rozrzucić zdjęcia gołego sędziego na Placu Zamkowym? A jeszcze lepiej pod basztą, gdzie mnie bito obnażoną... No tak, to byłaby rzeczywiście sprawiedliwa odpłata, nie pomyślałam o tym.

Naprawdę mnie zdumiał, bo to jego przypuszczenie w równym stopniu dowodziło bystrości umysłu, co i zupełnego braku intuicji.

- A ja tak. Ale wiem, że błędnie cię oceniłem.

Poczułam, że po raz pierwszy w mojej obecności jest

lekko zmieszany i postanowiłam to wykorzystać.

- A dziś jaką pan sędzia ma teorię? - spytałam chłodno.

WZRUSZYŁ RAMIONAMI I ODPARŁ, ŻE NIE MA ŻADNEJ, PO CZYM UPEWNIŁ SIĘ, CZY MOŻE DALEJ MÓWIĆ SZCZERZE, A JA OCZYWIŚCIE POZWOLIŁAM.

- Po prostu, Lauro, żałuję straconej okazji. Bo jesteś wyjątkowo pociągającą dziewczyną i spędziłbym z tobą fantastyczną noc w hotelu, gdybym po twoim liście zdecydował się przyjechać do Puerto. Nie idealizuj mnie. Dziesiątki dziewczyn wykorzystałem zupełnie na zimno, choć muszę przyznać, że byłabyś jednym z ładniejszych motylków w tej kolekcji.

- Być może identycznie myśli pani mecenas Barriere-Aznar: może też uważa pana za swego motyla.

Nie wiem, czy chciałam zadać mu ból, czy raczej usprawiedliwić Syriusa przed nim samym.

- Poznałaś Eleonorę? - spytał z pozornym spokojem.

- Tak. To właśnie od niej dowiedziałam się, że nic mi nie grozi, i nie muszę nikomu zwracać pieniędzy ani gruntów.

ZAPADŁO DŁUŻSZE MILCZENIE,

aż wreszcie Syrius powiedział, że chyba jeszcze za wcześnie, byśmy rozmawiali o takich sprawach, nie wiem, czy chodziło mu o Eleonorę Barriere, czy w ogóle o całą naszą rozmowę od początku, w każdym razie po tych słowach nie pozostało mi nic innego, jak podziękować za kawę i grzecznie się pożegnać.

CZUŁAM, ŻE NAWET TAK ZAKOŃCZONE CZY WRĘCZ PRZERWANE SPOTKANIE MUSI MIEĆ JAKIEŚ SKUTKI,

gdyż mimo wszystko było zbyt ważne, na pewno dla mnie, ale dla niego również, choć w o wiele mniejszym stopniu, i w ogóle intuicja oraz życiowe doświadczenie mówiły mi, że słowa, które

wymieniliśmy nie mogą ot tak zapaść w ciszę, prędzej czy później będzie jakiś ciąg dalszy, jak w powieści w odcinkach, gdzie w najciekawszym momencie narracja urywa się aż do następnego numeru gazety; wiedziałam jednak, że ta akurat gazeta wychodzi niezwykle nieregularnie, przyjdzie więc może czekać nawet rok lub dłużej,

I DLATEGO ZDZIWIŁ MNIE TELEFON OD NIEGO

już po dwóch dniach, nie tylko dlatego, że tak prędko, ale w ogóle to było jak ze snu, że Syrius Aznar, wielki wszechwładny sędzia, osobiście telefonuje do zapyziałej stacyjki benzynowej na Podzamczu, i póki się nie przedstawił nie dawałam wiary, że to rzeczywiście jego głos w słuchawce; drzemałam na krześle za kontuarem, bo tej nocy ruch był niewielki, gdy nagle rozświergotał się bezprzewodowy Siemens, miałam już wtedy komórkę, ale ponieważ Juanita dzwoniła do mnie wyłącznie na stacjonarny, idąc do pracy zawsze zabierałam go z domu; myślałam, że to ona i zdziwiłam się, czego może chcieć o pierwszej w nocy, lecz to był męski głos.

- To ty, Lauro? Mam nadzieję, że cię nie obudziłem. Nie poznajesz? Mówi Aznar.

- Dzień dobry, panie sędzio.

Nie piłam, nie ćpałam, więc to musi się dziać naprawdę, a jednak na wszelki wypadek mocno zacisnęłam dłoń na słuchawce, jakbym w ten sposób chciała dodać realności głosowi, który w

niej brzmiał, uwięzić go w palcach, nie pozwolić żeby rozmył się w niebycie.

- Posłuchaj: mam wrażenie, że na koniec naszej rozmowy powiedziałem coś niewłaściwego, bo to nie jest tak, że się od ciebie dystansuję, tylko...

- Nie chciał pan rozmawiać ze mną o byłej żonie. Ja to rozumiem. I przepraszam, że poruszyłam temat.

Chwila ciszy.

- Lauro...

- Tak?

- Chciałem ci coś zaproponować, bo.. .

Nie potrafię przytoczyć co mówił, po prostu nie zarejestrowałam słów, były jak szum krwi w głowie, narastający, wzbierający w miarę jak krystalizował się ich sens.

- I co ty na to, Lauro?

WIADOMO CO JA NA TO. WYWIESIŁAM TABLICZKĘ „ZAMKNIĘTE”, ŻEBY MI NIKT NIE ZAKŁÓCAŁ PRZEŻYWANIA I ZADZWONIŁAM DO JUANITY,

oczywiście zerwałam ją z łóżka, jeszcze pewnie przy okazji budząc trójkę moich siostrzeńców.

- Boże, co się stało?!

Dla niej telefony w środku nocy usprawiedliwiała jedynie najwyższa konieczność, więc nie na żarty ją wystraszyłam.

- Nie, Juanitko, wszystko w porządku, chciałam tylko spytać, czy na weekend, a konkretnie od jutra do niedzieli mogłabyś wziąć mamę do siebie.

- Więc jednak coś się dzieje. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

- Bo naprawdę, naprawdę wszystko jest OK. A z mamą nawet lepiej niż OK. Nie ma dnia, żeby na mnie nie nakrzyczała. A jednak wolę, żeby nie zostawała sama w nocy. Byłabym spokojniejsza.

- Wyjeżdżasz?

- Tak. Na trzy dni. I Kasię też zabieram.

NAZAJUTRZ OBIE SIEDZIAŁYŚMY Z TYŁU CZARNEGO RANGE ROVERA,

a obok nas niedźwiedź Kasi, miał jeszcze pojechać biały pluszowy kot, ale uległa argumentowi, że koty nie lubią gór, zresztą po powrocie wszystko kotu opowiemy, spojrzała na mnie z uśmiechem, świadczącym, że już nie do końca serio traktuje rozmowę z pluszakiem; niemniej to była świetna zabawa dzwonić do niego z podróży, „cześć, Biały Kocie, tu twoja pani, właśnie zjechaliśmy z promu i jesteśmy na Isla de las Rocas, tak, tak, Biały Kocie, już w górach”, komórka-zabawka przy uchu, nosek przy szybie, za szybą pierwsze stoki, chyba jeszcze z tych niższych, nie

wiem, nigdy tu wcześniej nie byłam; „a jak ma kot na imię?”, pyta znad kierownicy Syrius, „jak to nie ma imienia? to trzeba wymyśleć” i rzuca kolejne propozycje, po których moja córka tarza się ze śmiechu, nazwiska w rodzaju „Białokotowicz” albo „Kotobielski”, istotki w jej wieku bardzo łatwo rozśmieszyć, śmiech i płacz wywołuje byle bodziec, tyle już wiem jako doświadczona mama, choć akurat Kasia bardziej jest śmieszka niż beksa, „a czy ty, Syrius masz dzieci?”, zastanawiam się, patrząc na jego szerokie ramiona lekko zgarbione, kiedy w skupieniu prowadzi, bo cały czas skoncentrowany jest na wąskiej, krętej drodze, wijącej się nad coraz głębszą przepaścią, a mimo to wymyśla kolejne imiona i nazwiska dla pluszaka, „czy ta kobieta o złych oczach i twarzy mumii urodziła kogoś, z kim przed laty rozmawiałeś tak jak teraz z Kasią? i co przerwało rozmowę? przybyłeś na Santa Inez, mając trzydzieści trzy lata, więc to musiały być jeszcze małe dzieci, gdy od nich odszedłeś? czemu odszedłeś? a może byliście bezdzietni? powiesz mi, jeśli zapytam dziś w nocy, tak?”

ZOBACZYŁAM, ŻE SZOSA SIĘ ROZWIDŁA,

Syrius pojechał prosto, jakby przyspieszając, zdążyłam jednak przeczytać drogowskaz skierowany w prawo: więzienie Carrera, i gdy został za nami, pomyślałam, że tak niewiele brakowało, a znałabym już przebytą dzisiaj trasę, właśnie tędy wieziono by mnie w zakratowanej karetkie, skuta, w chustce na ogolonej głowie, a przede mną byłoby zupełnie inne życie, bez Kasi, bez szkoły, bez tego wszystkiego, co mnie tworzy i wydaje mi się tak naturalnie moje, jakby z góry było mi pisane; a przecież to nie-

prawda: były rozstaje, były wybory, w tym jeden którego za mnie dokonano, i nie miałam nic do gadania, Syrius postanowił: nie wyślę jej do Carrera, i dlatego jesteśmy tu dzisiaj razem, jedziemy jego czarnym range roverem: on, ja i nasza córka poczęta aktem łaski.

I RZECZYWIŚCIE TAK JAK TATA

na barana zaniósł ją do domku nad jeziorem, bo samochód zostawił w wiosce, u Marii Luizy i Miguela, a stamtąd do Kotliny Ciszy było jeszcze dobre dziesięć minut stromą, górską ścieżką; zjedliśmy u nich kolację, a Kasia hasała z ich dziećmi i czterema szczeniakami, które niedawno urodziła Leda, następczyni Rexa, „mamo, jak te pieski szybko biegają, w ogóle za nimi nie nadążałam”, poskarżyła mi się, gdy po kolacji Syrius wyjmował bagaż z samochodu a ja stałam obok; podleciała zdyszana, „weźmiesz mnie na rączki?”, „Kasia, oszalałaś, taką dużą dziewczynkę?” „ale mnie nogi bolą! nie mogę iść!”, i zaczęła udawać, że kuleje; a wtedy Syrius przyklęknął jak słoń albo wielbłąd, „wskakuj”, „panie sędzio, przecież ona bez problemu dojdzie, to tylko takie...”, zignorował mnie, „wskakuj, Kasieńko”, córcia popatrzyła na mnie pytająco, „dają, to bierz”, odpowiedziało matczyne spojrzenie, lecz Syrius zanim ruszył, pochwycił jeszcze torby, swoją niewielką, Kasi średnią i moją jak pół szafy, znów zaprotestowałam, „panie sędzio, naprawdę mogłabym sa...”, „Boże, ile te dziewczyny potrafią zabrać na trzy dni”, westchnął i podniósł jak piórko, a ja stałam bezradnie z pustymi rękami, „dobra, Laurko, dla ciebie

misio", bo z tego wszystkiego zapomnieliśmy, że w samochodzie jeszcze został niedźwiedź, więc go wydobyłam, a za chwilę Maria Luiza przydała mi bagażu w postaci ciasta i owoców; ruszyliśmy pod górę ku zachodzącemu słońcu, Syrius przodem z Kasią na ramionach i trzema torbami, a ja ledwie za nim nadążałam z miśsiem i reklamówką z prowiantem; pomyślałam, że chyba jest najsilniejszym facetem, jakiego znam, i nie chodziło mi tym razem o przymioty ducha, lecz najzwyczajszą fizyczną siłę, bo szedł tak, jakby niczego nie niósł, śladu ciężaru w jego stąpaniach, jak zawsze miękkich, kocich, niczym jaguar wspinał się ścieżką między skałami, a jedyny kłopot był ten, że moja gigantyczna torba co i rusz o nie zahaczała albo o kępy iglastych krzewów; sama nie wiem, jak ją dotaszczyłam w południe na róg Juareza i Alei Pacyfiku, gdzie umówiłam się z Syriusem, mimo, że miała kółka; ciągnęłam ją jak mulica ciężki, po brzegi wyładowany wóz, a na dodatek w drugiej ręce niosłam torbę Kasi, „córcia, idź przy mnie", powtarzałam, bo naszedł mnie neurotyczny lęk, że skoro już nie mam trzeciej ręki, żeby ją trzymać, niechybnie zaraz wybiegnie na jezdnię pod samochody; i oczywiście ze wszystkich ruder, jakie jeszcze zostały przy Juareza, wylazła cała chmara dobrych wujków, chętnych mi pomóc, „Ej, Laura, dawaj torbę, co się męczysz?", „nie, dzięki, Raul, Diego, Roberto, Juan, Jose, poradzę sobie, Pablo, Manuel, Mario, Pedro", z pamięci przypisywałam imiona do ich lombrozowskich fizjonomii, Kasia patrzyła wystraszona, trzymała mnie kurczowo za kieszeń dzinsów, a tamtych ciągle przybywało, przybywało, i włókł się za nami koszmarny pijany, zaćpany peleton aż do samego rogu i dopiero na widok

sędzię czmychnęli jak szczury; „mamo, kto to byli ci panowie?“, „wiesz, w dzieciństwie się z nimi bawiłam, ty się nigdy nie baw z niegrzecznymi chłopcami, bo widzisz, jaki potem wstyd“, a Syrius już do nas machał z drugiej strony ulicy, „a z tym panem też się bawiłaś?“, „nie, Kasiu, jak byłam mała, on już był duży“, przebiegł do nas przez jezdnię, wyciągnął do Kasi rękę, „to jest właśnie, córeczko, pan sędzia, ładnie się przywitaj“; i Kasia dygnęła, tak jak nauczyła ją w Aldea de los Naranjos moja mama.

DOSŁOWNIE PORAZIŁA MNIE URODA TEGO MIEJSCA, może dlatego, że nigdy wcześniej nie byłam w górach, najwyższej przejeżdżałam u ich stóp, ale przecież widziałam na filmach i Andy i Góry Skaliste, samo ich serce, lodowce, wodospady, turnie; lecz Kotlina Ciszy była czymś więcej, niż tylko górskim krajobrazem, wydała mi się osobnym fragmentem czasu i przestrzeni strzeżonym przez stojących w krąg kamiennych olbrzymów, których powtarzało lustro jeziora, i przez chwilę doznałam wrażenia, że niebo jest naokoło, wszędzie, pode mną i nade mną a te szczyty rosną, strzelają w górę i w dół, aż zakreśliło mi się w głowie i lekko się zachwiałam, gdy weszłam na pomost, Syrius chwycił mnie za rękę, „co, Laurko, upiłaś się widokiem?“, i zaprowadził do bungalowu,

GDZIE KASIA JUŻ OGLĄDAŁA NASZ POKÓJ,

„pan sędzia powiedział, że tu będziemy spały“, tam były trzy pokoje, dwa od frontu, od strony jeziora i jeszcze mniejszy w przybudówce dostawionej do bungalowu a wszystkie umeblowa-

ne wspólnym dziełem Syriusa i Miguela, czyli topornymi stołami, krzesłami i łózkami, i tylko szafy oraz kredens myśliwski w największym pokoju były kupione na jakiejś aukcji staroci, a ja lubię stare meble, więc z miejsca poczułam do nich sympatię; bałam się, że warunki higieniczne będą cokolwiek prymitywne, ale nie - rok temu ekipa z Sacramento zrobiła kanalizację i elegancką łazienkę, z glazurą, wanną i kibelkiem jak w co najmniej trzygwiazdkowym hotelu, „Maria Luiza powiedziała, że widocznie chcę się żenić, że to dla kobiety takie luksusy”, uśmiechnął się, kiedy mi je demonstrował, a po godzinie, gdy już wszystkie półki i półeczki obrodziły w moje kosmetyki i inne babskie utensylia, a jego biedna szczoteczka do zębów, mydło w płynie i dezodorant wcisnęły się w najgłębszy kąt półki nad umywalką, skąd niepewnie przyglądały się tłumowi frymuśnych przybyszów, pokręcił tylko głową i mruknął: „no tak, coś było na rzeczy w tych słowach o łazience i kobiecie”, ale jednego oczywiście nie zauważył: że powiesiłam mój błękitny szlafrok tak, aby stykał się z jego zielonym, starym, przypuszczam, że od lat tu wiszącym i pamiętającym dawne czasy sprzed glazury.

BRAŁAM LODOWATY PRYSZNIC,

bo ciepłej wody wystarczyło tylko dla Kasi, „Boże, przez tyle lat, zanim nie zainstalował bojlera, tak się katował”, pomyślałam o Syriusie z podziwem, jak o jakimś męczenniku i anachorecie, bo sama wyskoczyłam z łazienki, dygocząc, „Kasiu! Kasiu! Błagam, ogrzej mamę”, szeptałam, biegnąc do jej łóżeczka, ale moje dziecko już spało wtulone w niedźwiedzia, „to tutejsze powietrze,

działała jak środek nasenny", powiedział Syrius, kiedy wyszłam z sypialni w czymś pośrednim między sukienką a nocną koszulką i bezczelnie krótkim; zgasił lampę nad drzwiami domu, „niech Kasięnce nie świeci oczy", zdrobnił jej imię tak, jak nawet ja rzadko zdrabniałam, i to było zaskakujące, że facet przelicytował mnie w czułości, „zanieś ciasto na pomost, Lauro, ja tylko wezmę prysznic i zaraz do ciebie dołączę".

KROIŁAM CIASTO NAD BRZEGIEM JEZIORA,

rozkładałam owoce na paterze, cokolwiek marznąc w tej super-seksownej kiece, ale wyobraziłam sobie Syriusa pod lodowatym strumieniem, „mój Boże, on to dopiero cierpi", pomyślałam i współczucie dla niego otuliło mnie jak sweterek, natychmiast chłód na dworze wydal mi się zupełnie znośny; poszłam do domu poszukać widelczyków do ciasta, były w szufladzie myśliwskiego kredensu, starannie ułożone wraz z innymi sztucami, mijając łazienkę, przystanąłam i zasłuchałam się w szum wody i głośne parskanie morsa, i wtedy ostatecznie do mnie dotarło, że będę się tej nocy kochała z Syriusem Aznarem, siedmioletni sen przedzierzgnie się w jawę; chyba że za moment grzmotnie w ziemię jakaś kometa albo asteroida, przebiegło mi przez głowę, gdy wróciłam na pomost, i odrobinę się zlekłam, a nawet, głupio przyznać, z obawą spojrzałam w górę, na niebo zasnutę już zmierzchem, bo cóż, że takie ryzyko to według astronomów mniej niż milionowa część promila? rachunek prawdopodobieństwa legi przecież dzisiaj w gruzach, moja szansa wydawała się porównywalnie niewielka, a jednak -

stoję nad Lago de los Salmones, jego prywatnym jeziorem,
kroję dla niego ciasto,
zaraz skrzypną drzwi bungalowu,
już wiem, że zawiasy są nienaoliwione, więc
nadśłuchuje ich jękliwego westchnienia,
niech się rozlegnie, szeptałam niecierpliwie,
przeklinając ciszę, każdy jej sześcienny centymetr
od lustra wody do skalnych szczytów w chmurach, -
aż nagle, w jednej chwili
poczułam, że to ja jestem całą ciszą wokół
i spragniona czekam dźwięku, który mnie
przeniknie.

OTWORZYŁY SIĘ DRZWI.

Stał w progu, patrząc na mnie, potem wszedł wolno na pomost w starym, znoszonym poncho. W dłoni spostrzegłam butelkę. „Lubisz calvados, Lauro?“, „Czytałam «Łuk Triumfalny», moja kochana książka, tam Ravic stale to pijał“. Nappełnił dwa kieliszki, ja tylko zmoczyłam usta. „Żegnaj, dniu, witaj, nocy“ - taki spełniliśmy toast. Przyciągnął mnie do siebie i „witaj, nocy“ powtórzył. Rozpiął zamek sukienki, cicho sfrunęła na pomost. Zdjął swe poncho przez głowę, położył obok sukienki i rozesłał na deskach, więc ich twardości nie czułam, kładąc się obok Syriusa. „Umie pan świetnie całować“. A on pocałunkami brał pełnię mojej nagości.

Wtenczas zamknęłam oczy, bo niebo było zbyt wielkie, nazbyt obce nade mną, pragnęłam własnego nieba i mojej własnej nocy, pod powiekami stworzonej, lecz ty do niej wtargnąłeś. Jak gdyby było ci mało gęstego mroku wokół, który od zmierzchu do świtu, razem z Kotliną Ciszcy tylko do ciebie należał, wdarłeś się w moją ciemność przez zaciśnięte powieki. Na moim małym niebie gwiazd zapaliłeś bez liku, i coraz nowe płoną za każdym tchnieniem twojej mocy. Unosisz mnie w ich światło, aż krzyczę, tak mnie oślepia. Przez tysiąc gwiazd porwana, w tysiąc świetlistych tuneli wchłonięta, przytomnieję nagle i oczy otwieram, i wiary dać nie mogę, że szybowałam w zaświatach, choć ciężar twego ciała przygniatał mnie do pomostu, a dłonie jak kajdanki ścisnęły moje nadgarstki.

Nie padły żadne słowa, wyciągnął dwa papierosy, zapalił, dwa ogniki omiotły policzki, oczy. Dłoń poszukała dłoni, spotkały się, wzięłam, „dzięki”. Paliliśmy w milczeniu, którego nie przerywałam, choć miałam tyle pytań, przez siedem lat wymarzonych. Lecz miłość to nie słowa, a dotyk, bliskość i cisza.

Chłód płynął od jeziora, niespiesznie sącząc się w ciemność, która jeszcze szerniała, bo księżyc zniknął za granią, zabrał przedmiotom kształty, schował się w skałach jak złodziej. I już nie chciałam milczeć, kapryśna ze mnie dziewczyna. „Jesteś sędzią, Syriusie, zrób coś, nie możesz pozwolić, by świat tak nagle przepadł, jakby zalała go smoła,

i bym ja była ślepa i nie widziała twej twarzy. Sprowadź księżyc z powrotem!", Syrius wymówił zakłędę, jakieś słowo indiańskie, którego nie spaamiętałam. I wtem wyszedł z kryjówki niedobry, świetlisty garbua, oddał, co ukradł oczom, więc znowu rozpoznawały dom i góry i pomost i - srebrne ciało Syriusa.

Z SAMEGO RANA ZAJRZAŁ DO NASZEJ SYPIALNI,

obie spałyśmy, lecz Kasia zbudziła się, gdy uchylił drzwi, wysunęła się z ciepłej kotlinki snu, pomiędzy mną a niedźwiedziem, spojrzała zaspana na mężczyznę w poncho, które, choć już stare i sprane, mieniło się w jej oczach wielobarwnie jak pióra rajskiego ptaka, przeniosła wzrok na mnie i znowu na Syriusa; przyłożyła palec do ust, ciii, druga dłoń czule pogłaskała moje włosy rozrzucone na poduszce, „ciii, nie można mamy budzić”, szepnęła, a wtedy przywołał ją skinieniem ręki, przez sen czułam, jak Kasia przechodzi przeze mnie, po czym usłyszałam oddalający się tupot bosych nóżek.

KIEDY WYSZŁAM PRZED DOM,

zastałam ich oboje na pomoście, a na stole śniadanie, tylko dla mnie, na spóźnialską czekało, bo swoje kanapki już zjedli, a teraz resztką obdzielali łososie, toteż nadpłynęły całym stadem, kłębiąc się u ich stóp, największe łakomczuchy wyskakiwały nawet nad wodę, a Kasia zachwycona rzucała im połamany chleb, śmiała się i poruszała buzią, przedrzeźniając ryby; była w jego poncho, straszliwie na nią za długim, więc barwiste frędzle omiały pomost jak tren sukni ślubnej, „mamo, spójrz, jestem In-

dianką!", zawirowwała tanecznie, a mnie zrobiło się głupio, bo a nuż on to weźmie za przytyk rasowy, ale Syrius cały czas się uśmiechał i dzielnie marzył na porannym chłodzie w czarnym, trykotowym podkoszulku, oczami wyobraźni i matczynej duszy zobaczyłam, jak troskliwie, i trochę nieporadnie, zakłada jej to poncho na piżamkę, i ze skruszoną miną czyni sobie wyrzuty, bo na pewno dopiero przy kolejnej kanapce zorientował się, że dziecko może się przeziębic, „ale to nic, pierwsze koty za płoty, jeszcze się nauczysz”, pomyślałam i przytuliłam się do Syriusa, a gdy Kasia znowu zajęła się rybami, pozwoliłam, by rozchylił mi poły szlafroka, tylko na chwilę, na sekundę, póki moja córka jest odwrócona, na jedno szybkie ucałowanie piersi.

PO ŚNIADANIU POSZLIŚMY NA WYPRAWE

wąską dróżką, która okrążała jezioro najmarniej pięćset metrów nad jego lustrem, aż bałam się patrzeć w dół, szlak Syriusa, nazwałam ją w myślach, przez lata chadzał nim samotnie, przechytrzając urwiste skały, znajdując w ich niedostępności słabe punkty i linie najmniejszego oporu, a teraz owocem zwycięstwa podzielił się z nami, podarował nam to, co dotąd było jego azylem, i chyba dziś po raz pierwszy zwyczajnie sobie tędy szedł, a nie uciekał, byle wyżej, byle dalej od wspomnień, tak czułam, choć jeszcze z niczego mi się nie zwierzył; „a tam na samą górę nie wejdziemy?”, zapaliła się Kasia, bo szczyt wydawał się już niemal na wyciągnięcie ręki, niegroźny, oswojony bliskością; „nie, to niebezpieczne, do tego trzeba być alpinistą”, nie знаła słowa, nigdy z nią nie gadałam o górach, „a kto to jest alpinista?”,

„ktoś, kto umie się wspinać po pionowych skałach”, „i nie spada?”, zauważyłam, że się zawahał, „czasem niestety spada, więc my tym bardziej nie powinniśmy próbować”, i tak całą drogę rozmawiali, trzymał ją za rękę, ubezpieczając, gdy tylko ścieżka się zwężała, lub, gdy przecinał ją głaz i trzeba go było sforsować; szłam z tyłu, słuchając ich dialogu, dziesiątków pytań Kasi i jego odpowiedzi, bo moja córka tego dnia odkryła, że oprócz mnie istnieje jeszcze ktoś inny, kto wie wszystko, a pewnie nawet wyчуła, że przerasta mnie wiedzą; byłam na drugim planie, „dla mnie miał noc, a dzień ofiarował Kasi”, pomyślałam, idąc za nimi, lecz rozumiałam go, faceta dobrze już przecież po czterdziestce, który w życiu zdążył zaliczyć co niemiara panienek, więc jako mężczyzna był spełniony, natomiast nie jako ojciec; i temu niespełnieniu zawdzięczam, że nie trafiłam do Carrera, gdyż byłam dla niego kimś w rodzaju córki, póki dzisiejszej nocy nie dokonano się na pomoście kazirodu.

- A co robi sędzia? - zapytała Kasia, gdy odpoczywaliśmy na półmetku naszej wyprawy, niczym rodzina świstaków przysiadłszy na szczycie głazu,

I PO RAZ PIERWSZY ZBIŁA SYRIUSA Z PANTAŁYKU,
ZACZAŁ GŁOWIĆ SIĘ NAD ODPOWIEDZIĄ,

więc postanowiłam przyjść mu z pomocą.

- Jeśli ktoś coś ukradnie, albo kogoś uderzy, to wtedy przeprowadzają go do pana sędziego i on wymyśla dla niego karę.

Chciałam podać przykład tych bandziorów, którzy na nas napadli, ale od razu mi przerwała:

- A jaką karę?

- No, na przykład wsadza do więzienia.

Mina Kasi świadczyła, że nie bardzo rozumie; słowo „kara” jednoznacznie jej się kojarzyło, odkąd u cioci Juanity zobaczyła jak Diego i jego siostry obrywają klapsy.

- A daje w skórę?

- Czasami, jeśli ktoś zasłuży... - odparłam prawdomównie; wyłapałam na twarzy Syriusa cień niepokoju.

Kasia także poczuła się trochę niepewnie.

- Dziewczynkom też?

- Oj tak! - wyrwało mi się i parsknęłam śmiechem.

Lecz Syrius natychmiast przywołał mnie do porządku.

- Lauro, nie strasz mną dziecka!

A W NOCY OBEJRZAŁ MOJE BLIZNY,

kiedy leżałam na wielkim, szerokim łóżu, zajmującym całą jego sypialnię, na którym znowu, tak jak wczoraj na pomoście przeprowadził mnie przez granicę, na ląd dotąd nie znany, w przestrzeń, jakiej nie doświadczyły wcześniej zmysły, miałam dwadzieścia cztery lata i do tej pory tylko czytałam o tym w

książkach i w pismach kobiecych, bo ani Massena ani tym bardziej Helmut nie posiadali odpowiedniej mocy, i choć na spidzie nieraz godzinami na mnie szaleli, ta granica gdzieś tam jedynie odlegle majaczyła; a z Syriusem to była jazda rozpędzonym sli-pingiem, nieomylnie zmierzającym do końcowej stacji, więc ta-jemnica, zrozumiałam, tkwi w samym facecie, jeden potrafi, a drugi nie, choćby urósł mu do podbródka; skoro tylko Syriusa kochałam, wyłącznie z nim mogłam to przeżyć, tak sobie prosto tłumaczyłam, a potem odkryłam, że było też inaczej, poniekąd odwrotnie - sądził mnie, przesłuchiwał, a ja moim ciałem, moją siedemnastoletnią kobiecością nieświadomie odgadywałam, ja-kim jest kochankiem i ta intuicja przywołała uczucie; i dlatego le-żę teraz w jego bungalowie, w jego łóżku, na którym siedem lat temu, w bezsenną noc obmyślał dla mnie karę, „po drodze zaha-czyłem o Carrera, rozmawiałem z Buldogiem Śmierci i zrozumia-łem, że nie mogę cię tam wysłać”, kinkietowa lampa nad wezgło-wiem oświetla mi plecy, i znowu, jak wtedy, gdy pierwszy raz przyszedł do jego gabinetu, Syrius gra palcami po strunach mo-ich blizn, „trzy ci zostały”, policzył, a potem ściągnął ze mnie koc i zobaczył jeszcze dwie, przecinające pośladki, „nie dały się usu-nąć? przecież reszty się pozbyłaś”, tak, pozbyłam się, po maści Wuja wystarczyło już kilka zabiegów, „nie, tych lekarz nie potra-fił”, skłamałam tak jak w Puerto, kiedy Lily Henderson zadała to samo pytanie, więc nikt nie wie, że chirurg był cholernie zdzi-wiony, a nawet proponował, że obniży cenę, bylebym dokończyła kuracji, lecz nie zgodziłam się, bo chciałam nosić na ciele piętno Syriusa, nie pozwoliłam, żeby laser zmazał z mej skóry jego ślad i

znak, pamiątkę dni, gdy należałam do niego jak żadna inna dziewczyna z kolekcji, albowiem tylko mnie jedną, przyprowadzoną w kajdankach podsądną, miał całkowicie we władaniu, „może doświadczył pan proroczej wizji i kazał nacechować swoją przyszłą nałożnicę”, wyszeptałam, dla niepoznaki barwiąc głos lekką ironią, a on po raz nie wiem już który poprosił, żebym mówiła mu po imieniu, tak jak poprzedniej nocy na pomoście, kiedy przez chwilę poczułam w sobie odwagę, lecz ona uleciała o świcie, jak sowa skryła się przed dziennym światłem.

- Panie sędzio, ja w myślach zawsze zwracałam się do pana: Syrius, ale realnie - jest mi strasznie trudno...

Wtedy wyciągnął calvados i kieliszki.

- Nie ma rady, trzeba wypić bruderszaft.

A po bruderszafcie znowu się kochaliśmy, i znowu dotknął moich blizn.

- Zasłużyłaś na tę karę i nie mogłem wydać innego wyroku, ale ciężko mi z tym na sercu, im bliższa mi jesteś, tym ciężiej.

- Ej, co się dzieje? Śpisz?

- Nie, nie. Zastanawiam się tylko, czy to jednak nie powinna być rozmowa.

- ?

- Ty mówisz, że zasłużyłaś, a on że mu ciężko.

- Tak by Cię bardziej kręciło?

- A Ciebie nie? Wsłuchaj się, jak to brzmi: zasłużyłam na karę. Trzy słowa aż mokre od uległości!

- No, wsłuchałam się.

- I co? '

- I myślę, że jesteś typowy samiec 😊 Potrzebujesz mokrych słów. A ja nie muszę spełniać Twoich zachcianek. Wolę przeżywać w milczeniu. W ciszy, rozumiesz? Więc pogódź się z tym i pozwól mi być sobą. To przecież moja noc.

W DRODZE POWROTNEJ PATrzyŁAM NA PLECY SYRIUSA, SŁUCHAŁAM DIALOGU, KTÓRY ZNAD KIEROWNICY PROWADZIŁ Z MOJĄ CÓRKĄ I ROBIŁAM BILANS TEGO WEEKENDU,

choć to bardzo nieodpowiednie słowo, bilans bowiem sprowadza się spokojnie i na zimno, chyba, że za drzwiami stoi już policja skarbowa, ja też zresztą taką policję miałam w osobie mojej matki, wiedziałam, że muszę ją jakoś okłamać, a jeszcze wciągnąć w to Kasię, no ale i tak wszelkie porównania z biznesem brały w łeb, nie byłam żadną bizneswoman tylko zakochaną la-

ską, całą rozedrganą w środku, po stronie plusów czerniło się wersalikami: ZOSTAŁAM JEGO KOCHANKĄ, już to do mnie dotarło, choć wydawało się niewiarygodne; lecz widniała w bilansie jeszcze druga kolumna, ta na minusy, i ona na razie świeciła pustką, ale taką pustką, która budzi przerażenie, bo nie wiadomo czym za chwilę przyjdzie ją zapisać; uczepiłam się jego słów, że jestem mu bliska, coraz bliższa, lecz one nie były przecież wyznaniem miłości, więc równie dobrze mogłam okazać się kolejnym motylem w kolekcji, do której się przyznał, co najwyżej trochę mu rzeczywiście bliższym, ale w końcu każdy zbieracz ma swoje ulubione okazy; śmiał się, kiedy nazwałam jego męskość szpileczką do przebijania motyli, „jak mi pan... jak mi to powiedzialesz, wyobraziłam sobie, że masz takiego cienkiego i ostrego jak szpila, a to raczej pal do nawlekania” i opuszczając w niedzielę nad ranem jego sypialnię, pocałowałam go najpierw w usta, a potem tam, „dobranoc, szpileczko, motylek mimo wszystko jest szczęśliwy”; co wiem po tym weekendzie o Syriusie Aznarze? rozwiódł się, ale nie chciał mówić z jakiego powodu, to znaczy wyczułam, że nie chce, więc nawet nie spytałam, dzieci nie mieli, już pierwszej nocy o świcie ze smutkiem wyznał że jest bezdzietny, dlatego tak od razu polubił Kasię, dwunastoletni synek Marii Luizy i Miguela jest jego imiennikiem, lecz nie on go spłodził, tak powiedział, zresztą faktycznie dzieciak cholernie przypomina swojego ojca, a Syriusa ani trochę, „ale Maria Luiza musiała cię kochać, skoro tak mu dała na imię”, „możliwe, to dziwna kobieta, trochę tajemnicza, na pewno jest mi wdzięczna”, lecz nie wyjawiał mi za co; a jego życiorys? ani o milimetr nie poszerzyła się moja

wiedza, zaczerpnięta z „Who is who”, pochodził z Isla de las Rocas, gdyśmy jechali w tamtą stronę, zatrzymał na chwilę samochód i pokazał szczyt góry, pod którą była jego wioska, „San Pedro del Kanon?”, spojrzał zaskoczony, „czytałam pana biogram”; „twoi rodzice żyją?”, spytałam drugiej nocy, już po bruderszafcie, „matkę straciłem rok przed inwazją sandinistów, zmarła nagle, prawdopodobnie tętniak”, do końca bezskutecznie ją przekonywałem, żeby przeniosła się do niego, ale prosta Indianka wolała klasztor, gdzie przygarnięto ją po pożarze, pracę w ogrodzie i modlitwy z zakonnice, „źle, że nie byłem dość stanowczy, może w Puerto lekarze by ją uratowali”, natomiast o ojcu ani słowa i domyśliłam się, że musiał być złym człowiekiem i dlatego wykreślił go ze swojego życia; i to wszystko, niczego więcej nie wyciągnęłam od Syriusa przez dwie noce, a na pociechę mogę ufać, że te nieliczne informacje były prawdziwe, to facet nieskory do zwierzeń, ale nie kłamca, mówiła mi intuicja, i mam nadzieję, że on również nie uznał mnie za kłamczuchę, kiedy powiedziałam, że przed nim byli tylko Massena i Wetter; „Laura, nie bądź naiwna, oni wszyscy łżą jak psy, nawet mój jajogłowy Jankes”, pouczyła mnie Lily Henderson, bo nie omieszkałam zatelefonować do niej do Pragi i pochwalić się, że byłam w łóżku z panem Prawo, „wow! i jak?”, „chyba wiesz”, „a niby skąd? to ty się z nim pieprzyłaś nie ja”, „no więc, Lily, jestem teraz jak nasza Evita, pamiętasz Evitę?”, Lily w śmiech, „wiesz, widzisz, a tak się nabijałaś z laski”; w grupie miałyśmy dwie Evity, toteż jedną dla odróżnienia ochrzciłyśmy „Evita, co chce na dłużej”, to była nawet dość ładna dziewczyna, ale jakoś bez szczęścia do facetów, i

kiedyś na imprezie u nas w Pałacu Studenckim poszła do drugiego, czyli mojego pokoju z jakimś Panamczykiem, siedzimy z Lily i jeszcze kimś, gadamy o dupie-Marynie, a nagle zza ściany dobiega głos Evity „słuchaj, ja tak nie chcę tylko raz, na jedną noc, będę twoja, ale bądź ze mną na dłużej!”, więc pewnie obiecał, bo za chwilę słychać było jak się pieprzą, oczywiście chłopak nazajutrz wrócił do Panama City, nie dając jej nawet numeru telefonu, a ona do końca szkoły została dla nas „Evitą, co chce na dłużej”; no to teraz między roztrajkotaną Kasią, a jej wielkim niedźwiedziem, siedzi nieszczęsna „Laura, co chce na dłużej” i z nadzieją wpatruje się w plecy Syriusa.

JUANICIE OPOWIEDZIAŁAM OD RAZU, MAMIE DOPIERO NA DRUGI DZIEŃ,

kiedy po koszmarnej poniedziałku i upiornym wtorku, bo przez czterdzieści osiem godzin nawet nie zatelefonował, nagle zjawił się na Juareza posłaniec z kwiaciarni z nieprawdopodobną, astronomiczną ilością róż, że policzyć nie sposób, a do nich był dołączony króciutki list, że skreśla godziny do weekendu, bo w piątek znów miałam z nim pojechać, to już od razu zaproponował, jak opuszczaliśmy Kotlinę Ciszy, choć właściwie nie mnie, tylko Kasi, „a za tydzień połowimy razem rybki, co ty na to?”, Kasia w płacz, bo pokochała biedne łososie, nie po to rzucała im chleb a nawet wymyślała dla nich imiona, żeby je teraz łapać na haczyk i zjadać „dobrze, od dziś ustanawiamy dla łososi okres ochronny”, zdumiało mnie, z jaką łatwością zrezygnował dla niej ze swojego hobby, nawet stanęłam w obronie Syriusa, „ale pan

sędzia bardzo lubi łapać rybki, nie możesz mu tego odbierać", „przy mnie nie będzie", odrzekła twardo moja córka, a Syrius roześmiał się i na barana zniósł ją do samochodu w wiosce; no więc te kwiaty zdekonspirowały mnie przed matką, na Santa Inez nie było przecież zbyt wielu mężczyzn, których stać byłoby na podobny hold i gest, chyba że jacyś pracujący w Long Wave albo dla Wuja, mimo wzrostu gospodarczego większość mieszkańców Granada del Mar nadal żyła dość skromnie, najwyżej mogłam skłamać, że poznałam barmana, kelnera, ewentualnie przemysłowika koki, no to już wolałam powiedzieć prawdę.

- No pięknie, zabawiał się z tobą - zawyrokowała mama.

Zaprotestowałam, jak to zabawiał? a te róże?!

- Kwiaty to ci będzie przysyłał, może nawet kupował prezenty, ale nie wyjdziecie razem na Plac Zamkowy ani na Avenida de la Republica.

Według mamy dwie rzeczy sankcjonowały związek kobiety z mężczyzną: wspólne przechadzki po centrum miasteczka oraz ślub kościelny; a w naszym wypadku to drugie też nie wchodziło w grę.

- Dla niego na zawsze pozostaniesz ladaczną, którą kazał chłostać pod basztą, pamiętaj o tym!

Wtedy trzasnęłam drzwiami i ciągnąc Kasię za rękę, pobiegłam do Juanity.

- Mamo, o co pokłóciłaś się z babcią?!

A ja całą drogę płakałam i siostra też nie bardzo potrafiła mnie pocieszyć, „daj spokój, Laura, jak mama mogła tak powiedzieć?! przecież teraz jesteś zupełnie inną dziewczyną, wykształconą, kulturalną, w dodatku zostało ci jeszcze trochę tej ziemi w Panamie”, a ja ryczałam na jej piersi jak głupia, bo wydawało mi się, że mimo wszystko matka może mieć rację.

PRZEZ MIESIĄC BYŁY TYLKO WYJAZDY NA WEEKEND

i czasem jakiś telefon od niego albo kolejne kwiaty; żeby nie sprawiać wrażenia, że się narzucam, przestałam zabierać Kasię na Plac Zamkowy, choć tak lubiła tam chodzić, chlapać się w fontannie i patrzeć, jak z ratuszowego zegara wyskakują krokodylki; byłam w dziwnej sytuacji, bo miałam swój drugi dom, mój wspólny dom z Syriusem, „po co to wszystko pakujesz? żeby za tydzień znowu przywozić?” i kazał mi zostawić w bungalowie całą zawartość mojej gigantycznej torby, a także rzeczy Kasi, łącznie z wielkim niedźwiedziem, „nie musi biedak ciągle trząść się w samochodzie, tu ma doskonałą gawrę”, „będziesz, misiu, pilnował domku”, takie otrzymał poruczenie na odjezdnym; lecz panią tego domu byłam dokładnie na tej samej zasadzie, jak Kasia jednego ze szczeniaków Ledy, bo dostała go w prezencie od Marii Luizy, Miguela i ich dzieci, z którymi się zaprzyjaźniła, ale on oczywiście w dalszym ciągu u nich mieszkał, w budzie razem z matką i rodzeństwem, a Kasia widywała go tylko w weekend, i od piątku wieczorem do niedzieli w południe, kiedy

wsiadałyśmy obie do range rovera; moja córka ani trochę nie smuciła się wyjazdem, pewna że już niedługo znowu zobaczy

Melchiora (tak go z Syriusem nazwali) i nakarmi swoje łososie, bo dzieci w jej wieku wierzą w stały, niezmienny rytm zdarzeń, a przede mną rozwierała się przepaść czterech pustych, jałowych dni, i pięciu okropnych nocy, których nie potrafiłam wypełnić niczym innym poza rozmyślaniami o Syriusie, i zawsze nad ranem, kończąc pracę na stacji benzynowej, dochodziłam do wniosku, że pewnie rzeczywiście jestem tylko motylkiem w kolekcji i wychłostaną ladacznicą, a jeśli raz czy drugi zatelefonował albo przysłał nowy kosz kwiatów, było to dla mnie jedynie potwierdzeniem obaw, oczywiście robi tak dla kamuflażu, dla ukrycia prawdziwego stanu uczuć; „Boże, Laura, ty wyglądasz na ciężko chorą!”, przeraziła się któregoś dnia Juanita i już chciała pobierać mi krew do badania.

ALE WŁAŚNIE WTEDY ZADZWONIŁA MOJA KOMÓRKA, I TO BYŁ ON,

„nie wpadłabyś do mnie wieczorem?“, natychmiast chciałam biec do mamy, dać jej ze swoich, żeby nie gadała, że straciła zarobek, tak, dziś stacja benzynowa będzie zamknięta na głucho, Kasia przenocuje u Juanity,

„może Kasia zostać u ciebie na noc?“, „jasne, ale szkoda kasy, na stację wyślę Matheo, niech cię zastąpi, jutro ma wolne w szpitalu, to odeśpi“, moja siostra, w przeciwieństwie do mnie, była zawsze sumienna i zapobiegliwa w sprawach pieniężnych, i nie tylko - „Laura, a jak wejdiesz do sądu? przecież tam wieczorem zamknięte i policja pilnuje“, „na pewno wiedzą, że mają mnie

wpuścić", „w takim razie nie zapomnij dokumentów", pouczyła młodszą siostrę i - uściskała na drogę.

PIERWSZY RAZ BYŁAM W PRYWATNYM APARTAMENCIE SYRIUSA,

który przylegał do jego gabinetu, a ściśle: był pół piętra nad nim i przechodziło się wewnętrznymi schodkami, „wiesz, Laurko, gnieźdź się jak nietoperz na poddaszu sądu", rzut oka i od razu zachwyciłam się jego mansardką, tak bezpretensjonalnie umeblowaną, tylko tapczan, stół, krzesło, fotel i regał z mnóstwem książek, to nie jest mieszkanie sędziego, ani żołnierza, skonstatowałam, lecz mędrca, godzinami rozmyśla tutaj samotnie o świecie i ludziach, a także o sobie samym i całym swoim życiu, a refleks tych rozważań objawia się potem w jego rysach twarzy i spojrzeniu, gdy nakłada togę i schodzi do sali sądowej, aby zasiąść za swoim stołem, „wiesz, Lauro, skazałem dziś człowieka na dziesięć lat więzienia", „skoro go skazałeś, to widać zasłużył", „zgwałcił dwunastoletnią dziewczynkę, pewnie o tym słyszałaś", tak, Juanita coś mówiła, był taki wypadek koło Villa Azteca, ale ostatecznie mało do mnie docierało, więc nie spamiętałam, czy ujeli sprawcę.

- Skazałem go na dziesięć lat więzienia - powtórzył, trzymając mnie za rękę. - I na sześćdziesiąt batów, które dostanie w sobotę pod basztą.

- Ja bym mu dała dożywocie i trzysta batów - powiedziałam, bo wyobraziłam sobie, że coś takiego mogłoby kiedyś spotkać Kasię, niech więc wszyscy przeklęci zbrojeńcy, jeśli kryją się tu

gdzieś między normalnymi ludźmi, zobaczą skrwawiony zewłok, posiekany na strzępy przez Pereirę, może to ich odstraszy.

Lecz dzisiaj wiem, że rozminęliśmy się wtedy z Syriusem: on jak zawsze był dla mnie bezwzględny surowym bogiem, którego gniew i kara dosięgają łajdaków, i nie pomyślałam, że może być już tą rolą zmęczony, bo przecież w swym działaniu nie tylko kierował się prawością - jakkolwiek ludziom, co nie rozumieli jego indiańskich genów ani duszy żołnierza ta prawość mogła się kojarzyć z okrucieństwem - lecz także, w równym stopniu, napędzała go osobista nienawiść do zła, po tym, co zrobił mu ojciec a później żona; a teraz, choć jeszcze się bronił, jeszcze do końca mi nie ufał, nienawiść gasła w nim, wypierana przez nowe uczucie, i to właśnie chciał mi powiedzieć, dlatego poprosił, żebym przyszła, ale spłoszyły go moje brutalne słowa o dożywociu i trzystu batach, takie nosił w sobie na co dzień, ode mnie oczekiwał innych.

- Coś mi się tu nie podoba. Wiem, że powinienam zamienić z nim kilka słów przed bzykan-kiem, ale...

- Wprowadziłem klasyczny motyw: Bestia pod wpływem Pięknej łagodnieje.

- No właśnie! A mnie w ogóle nie kręci łagodna Bestia 😊

POTEM ZOBACZYŁAM, ŻE TAM JEST JESZCZE JEDEN POKÓJ ZA DRZWIAMI ZAMASKOWANYMI KOTARĄ,

a w nim miał swoje archiwum, kilka tysięcy spraw, które prowadził od pierwszego dnia, odkąd mianowano go sędzią okręgowym na Santa Inez, oryginały oddawał do ratusza, albo słał do Puerto do Pałacu Sprawiedliwości, ale dla siebie zachowywał kserokopie; „moja sprawa też tam jest?”, poszukał na półkach i znalazł zakurzoną teczkę oznaczoną cyframi 6/09/92 i podpisaną „banda czworga”; więc leżę na tapczanie, czytając po-żółkłe akta procesu, *Sędzia Syrius Aznar: Laura Margarita Santiliana, urodzona 14 grudnia 1975 w Granada del Mar w okręgu Santa Inez, córka Teresy i Juana, zamieszkała w Gra-nada del Mar, dzielnica Zachodnie Podzamcze przy ulicy Benito Juareza pod numerem siedemnastym oskarżona jest przez pro-kuraturę autonomicznego okręgu Santa Inez o uczestnictwo w zbrojnej grupie o charakterze gangu, jak również o to, że dzia-łając w niej, w nocy z 18 na 19 lutego 1992 w Granada del Mar, w klubie dyskotekowym Carmazine skłoniła przebywających*

tam Juana Mendeza oraz Mario Esposito do opuszczenia lokalu i udania się z wraz z nią... podszedł do mnie, usiadł obok, rozpiął mi sukienkę na plecach, a gdy się odwróciłam, rozsypał na mnie kartki, „akt w aktach sądowych”, szepnął i wziął mnie wśród papierów rozrzuconych po całym tapczanie, które szeleściły do wtóru naszym przyspieszonym oddechom; „co wtedy ó mnie myślałeś? wiesz, że cię prowokowałam, specjalnie mówiłam różne bezczelne teksty”, „tak, Lauro, zauważyłem, i nie potrafiłem zrozumieć, czemu to robisz” - przytuleni do siebie, wspominały dzień po dniu, godzina po godzinie cały proces, nasze myśli i odczucia rozdzielone sędziowskim stołem.

- Byłaś dla mnie zagadką.

- I niczym więcej?

- No dobrze: byłaś najbardziej intrygującą oskarżoną w całej mojej karierze.

- Czyli podsądną twojego życia?

- Cóż, na to wyszło...

Chwytam go za rękę.

- Chodź, Syrius, zejdźmy tam! Przeżyjmy to jeszcze raz, okej?

Uśmiecha się.

- Mam założyć togę?

- Tak, załóż, a ja, zobacz, znalazłam moje stare džinsy! - Wyjmuję z reklamówki wysłużone levisy i szary podkoszulek,

które miałam wtedy na sobie, przez siedem lat przeleżały się u Juanity na pawlaczu, cud, że ich nie przerobiła na ścierki; Syrius wciąż się uśmiecha, ale chyba za moment popuka się w czoło.

TLR

ZESZLIŚMY DO SALI SĄDOWEJ,

gdzie najpierw dłuższą chwilę szukaliśmy włącznika światła, były dwa, przy drzwiach wejściowych oraz nad stołem ławników i oba ja znalazłam, „patrz, Lauro, nawet nie wiem, gdzie tu się zapala światło”, powiedział, gdy zapłonęły już wszystkie lampy i jarzeniówki, wydobywając salę z ciemności, „skąd masz wiedzieć, procesy odbywają się za dnia, poza tym to nie ty zajmujesz się światłem, tylko człowiek-jabłko.”

- Kto?

- No, ten woźny sądowy.

Syriusa rozbawiło moje skojarzenie, „tak, masz rację, jabłko albo pomidor, ale bardziej jabłko”, poprosiłam, żeby zajął miejsce za stołem, a sama usiadłam na ławie oskarżonych, jak siedem lat temu, i pusta sala sądowa natychmiast ożyła, wypełniając się setkami postaci, setkami twarzy, tłoczyła się publiczność, adwokaci szeptali coś między sobą, stary protokolant temperował ołówek, obok mnie wiercił się niespokojnie Bibi; patrzyłam na Syriusa, który odruchowo, jak zawsze to czynił, zaczął grać palcami po klawiaturze stołu, i to była muzyka do mojego filmu, cały proces, klatka po klatce, przeleciał mi przed oczami, Mario, Kanadyjczyk, Luis, toksykolog z Cordoby, wszystkie ich słowa usłyszałam, wszystkie pytania Syriusa, i przypomniałam sobie, jak bardzo się wtedy bałam, i jak w cieniu lęku rodziła się moja miłość do niego; a na koniec wstałam, podeszłam do pulpitu dla

świadków, oboje milczeliśmy, a Syrius chyba również wspominał tę samą chwilę, gdyż patrzył na mnie tak, jak wtenczas, kiedy ogłaszał wyrok, wiem o tobie wszystko, wszystko mogę z tobą zrobić - mówiło spojrzenie Syriusa Aznara, a ja bez lęku, ufnie, jak w ciepłym, wełnistym obłoku pragnęłam zanurzyć się w jego wszechwiedzy i wszechmocy.

W TYM MOMENCIE PEREIRA PIERWSZY RAZ SMAGNAŁ,
męka zadana nadgarstkom przez kajdanki, na

których wisiałam, ustała nagle, albowiem była niczym w porównaniu

z nowym,

zręczym płomieniem, zagryzłam krzyk, a w myślach

wypowiedziałam twe imię,

Pereira chwilę odczekał, jakby się delektował

swoją władzą nade mną, a przecież -

to ty mu ją dałeś, ty mu odstąpiłeś

częstkę swej mocy.

Smagnął powtórnie, przypadłam do drabiny, z zimną stalową drabiną tańczyło moje ciało,

gdy oni wszyscy...

Syrius!

Bil niżej, wciąż niżej, aż do łądźwi zstępował ból, skacząc po pręgach, a przed oczami drżała i zdawała się rosnać... Syrius!

Nie opuszczaj mnie, jestem sama, a ich są tysiące, stoją gęsto, głowa przy głowie, zwarci w milczącym szyderstwie,

Nie opuszczaj mnie,

gdy baszta drży i rośnie jak krzyk więziony w gardle, krwisto-czerwona jak moja skóra od karku do kolan, od karku do kolanznaczona płonąca żagwią palcata

i gdy Pereira unosi...

Bądź przy mnie, Syrius, trzymaj mnie za rękę.

RZECZYWIŚCIE CHWYCIŁ MOJĄ RĘKĘ

i odciągnął mnie od drabiny, „Lauro, chodźmy stąd”, lecz to nie zabrzmiało rozkazująco, pierwszy raz w głosie Syriusa usłyszałam ton prośby; od początku był temu przeciwny, nie rozumiał, dlaczego chcę iść pod basztę i razem z nim wejść na podest, z przykrym zdumieniem patrzył, jak staję na palcach, unoszę ramiona i rozciągam się na stalowych szczeblach, byłam w amoku, gotowa nawet rozebrać się dla wiernego odtworzenia sceny sprzed lat, lecz gdzieś resztką świadomości rejestrowałam, że kręcą się patrole i nie mogę robić mu wstydu; milczał, gdy wracaliśmy i dopiero w mieszkaniu, podając mi kawę, spytał, czemu to służyło, a z głosu wyczytałam, że podejrzewa mnie o najgorsze, aż skuliłam się przycupnięta na tapczanie, filiżanka zachybotwała w dłoniach, o zemstę, odwet, skoro nieopatrznie zwierzył mi się, jak

bardzo cięży mu to wspomnienie, dziwne, bo dotąd nigdy się co do mnie nie mylił, ale tym razem wymknęłam się jego inteligencji i mądrości życiowej, „to była trudna decyzja, kiedy cię skazywałem”, a następnej soboty w Kotlinie Ciszcy od rana spoglądał na słońce, śledził jego wędrówkę, a gdy zawisło wysoko, wyjął z kieszeni swój stary, wojskowy zegarek, wskazówki na cyferblacie znajdowały się tuż obok siebie, jak dwie strzały wycelowane w górę, „uświadomiłem sobie, że za chwilę dostaniesz piętnaście batów, już pewnie stoisz skuta na spacerniaku i czekasz, siedziałem nad jeziorem, a w myślach wciąż powracało pytanie, jaki jest ten facet, którego odbicie widzę w wodzie, wiem, nie dałaś powodu bym ci tego oszczędził, tym bardziej, że nie posłałem cię do więzienia”, swoją kawę zaniósł na biurko i wolno mieszał w niej cukier, zgarbiony, zapatrzony w ruch łyżeczki, „a jednak publiczna chłosta była straszną karą, bo choć mieszkałaś na Podzamczu i należałaś do gangu, orientowałem się, że nie jesteś zwykłą kryminalistką i masz swoją godność”, od innych skazanych odgradzał się w weekendy górami i morzem, a ode mnie nie umiał, czemu? przecież nie słyszał mojego niemego wołania spod baszty, dopiero teraz dowiedział się, że krzyczałam jego imię, piętnastokrotnie, bezgłośnie, nie o litość prosząc, nie o ratunek, lecz by przyjął w darze ten ból, ofiarę wysmaganego ciała, „weź, Syrius, więcej ci dać nie mogę”, płakałam nisko schylona, z twarzą nad kolanami, a kiedy podniosłam wzrok, pierwszy raz zobaczyłam mojego sędziego, który nie wie, jak ukryć poruszenie, ścisnął, obracał w dłoniach filiżankę, a potem odstawił na spodek i długo, milcząc, chodził po pokoju, aż nagle usiadł obok mnie, ob-

jął, czułam, że nie potrafi do głębi pojąć wyznania, a czyja potrafiłam? i nawet nie chce, tak mu jest obce psychicznie, lecz jedno z niego zrozumiał i przekazał mi dotykiem - ty naprawdę mnie kochasz, mała, kochasz dziwnie, ale to miłość.

JA ZAŚ ZROZUMIAŁAM,

że nie we wszystkim miała rację Lily Henderson, albowiem między panem Prawo a panną Winą nie było wzajemnego przyciągania się, to tylko ona ciągnęła do niego, przez lasy, góry, rzeki, morza, a on po prostu nieruchomo trwał na swoim miejscu, czyli właśnie na straży prawa, i wcale tam na pannę Winę nie czekał, a już na pewno nie z wytęsknieniem, i nie rósł mu pod niebo bicz, jako że kara nie była w jego pojęciu żadnym aktem erotycznym, lecz zawodowym, przykrym obowiązkiem; i właśnie to szczególnie pannę Winę ku niemu skłaniało, ta jego oziębłość, bo przecież, gdyby lubował się w karaniu, nie byłby dla niej panem Prawo, lecz dewiantem, którego odepchnęłaby z odrazą.

AŻ PRZYSZEDŁ WEEKEND, KIEDY NIE POJECHALIŚMY
W GÓRY

i Kasia zamartwiała się, że nie zobaczy Melchior-ka, „pomyśli, że jestem chora, albo że już go nie lubię i będzie mu strasznie smutno”; i dopiero trochę ją pocieszyłam, prosząc o pomoc w dobraniu sukienki, „szykuje się, córeczko, bal nad bale, przyjedzie nie królewicz, ale sam król”, spostrzegłam na jej buzi niepokój, „mamo, ale przecież ty już kochasz pana sędziego!”, bo Kasia nie oddałaby Syriusa nawet za dziesięciu królów, a zwłasz-

cza, podejrzewam, za tego króla, czyli ministra Negrido, który swą obecnością miał uświetnić dwudziestą siódmą rocznicę wyzwolenia Santa Inez spod okupacji panamskiej, dwudziestą siódmą rocznicę desantu młodych Leopardów ze szkoły pułkownika Ramireza, bo był jednym z nich, obok Syriusa najbardziej zasłużonym w walce, dwa lata temu, gdy mijają okrągłe ćwierćwiecze, jakoś nie znalazł czasu, no to teraz postanowił nam wszystkim i sobie powetować stratę, tym bardziej, że od miesiąca brał udział w kampanii wyborczej, kończyła się druga kadencja prezydenta-noblisty, a ministrowi sprzykrzyła się rola szarej eminencji i zamierzał być oficjalną głową państwa, sondaże dawały mu ponad 70% poparcia, ale politykowi tak jak alkoholikowi wciąż nie dość procentów, więc wyruszył po dodatkowe na Santa Inez, przy czym nie chodziło wcale o naszą wysepkę i jej maciupki elektorat, lecz o cały kraj, który w wieczornych wiadomościach telewizyjnych miał go ujrzyć jako bohaterskiego komandosa.

- I pójdziecie tam razem? - zdumiała się mama, gdy oznajmiłam jej rewelację, a zrobiłam to późno, dopiero w przeddzień, kiedy w drodze do sklepu zahaczyła o mój pokój i nakryła mnie na przygotowaniach; z wrażenia zapomniała o sklepie i chyba w ogóle o całym Bożym świecie i tylko stała jak słup soli, mruczała coś pod nosem i wpatrywała się w kiecki, które powyciągałam z szafy; pomyślałam, że cztery dni temu też musiałam mieć taką niemądrą minę i oczy jak spodki, bo przecież, mimo wszystkich

kłótni z mamą, po cichu dzieliłam jej przekonanie i nie wierzyłam, że Syrius kiedykolwiek ujawni publicznie nasz związek.

W Granada del Mar od dawna kroila się jakaś pompa, miał przyjechać ktoś z rządu, ale co to mogło obchodzić zakochaną kobietę? ja byłam myślami w Kotlinie Ciszy a nie tu; zadzwonił do mnie zaraz po kolejnym powrocie, co robił rzadko, zwykle najwcześniej we wtorek był pierwszy telefon albo kwiaty, „chciałbym, Lauro, żebyś poznała mojego przyjaciela”, „twojego przyjaciela?”, zdziwiłam się, bo wydawał mi się na Santa Inez zupełnie samotny, „starego kumpla z wojska, Diego Negrido, przyjedzie do nas w sobotę”.

I przyjechał, a dokładnie: przyleciał. Plac Zamkowy odcięto barierkami i kordonami policji, już w piątek bowiem przysłano na wyspę ze trzy setki komandosów i antyterrorystów, a jeszcze z dziesięciu wysypało się ze śmigłowca, który wylądował o siedemnastej koło fontanny, i dopiero po nich wysiadł Diego Negrido w jasnym garniturze i ciemnych okularach, zza barierki powitały go dość anemiczne oklaski, bo raz, że niewielu ludzi dopuszczono aż tak blisko, a dwa, że sama rocznica w gruncie rzeczy nikogo nie interesowała, mieszkańcy Santa Inez nie czuli się wyzwoleni, przez dziesięciolecia przywykli wszak, że wyspa cyklicznie przechodzi z rąk do rąk, a panamskie ręce wcale nie były gorsze niż prezydenta Guzmana, więc jeśli świętowali jakieś wyzwolenie, to tylko to w 87, w pamiętną Wielkanoc, gdy Syrius wystrzelał ich prawdziwych ciemniźcyeli.

Czekaliśmy w holu ratusza jako komitet powitalny, gubernator Lopez z małżonką, babuleńką koło siedemdziesiątki, pan sędzia okręgowy ze mną oraz Rada Prowincji bez swych drugich połówek, jako że ich obecności nie przewidywał protokół, mojej zresztą też, „tylko żona gubernatora ma prawo witać takie szychy, bo jest gospodynią, nie sprzeczasz się, Syrius, uczyłam się o tym w E.O.J.”, a on mruknął „mam to w dupie” i kazał mi stanąć u swego boku, mało tego - jeszcze demonstracyjnie objął mnie w talii; byłam wzruszona, lecz zarazem bardzo stremowana, bo choć nosiłam dziś inne nazwisko i dzięki blond włosom zmieniłam wygląd, to przecież i tak w naszym grajdołku kojarzono, że jestem jego byłą podsądną, widziała sąsiadka coś podobnego? najpierw kazał bić pod basztą, a teraz obłapia, świat się kończy, moja pani, skuliłam się w środku, wyobrażając sobie ich szepty i dyskretnie zerknęłam na Syriusa, przekonana, że dojrzę na jego twarzy refleks tej samej obawy, wierzyć mi się nie chciało, by całkiem był od niej wolny, lecz zobaczyłam jedynie hardy, zadziorny profil, ze zmrużonym ironicznie okiem i dumnie wysuniętym podbródkiem, i wtedy zrozumiałam, że określając dosadnym słowem, gdzie ma protokół, umieścił tam hurtem również i opinię miasteczka; poczułam prawdziwą ulgę, aż głośno westchnęłam i w tym momencie, jakby to było hasło, antyterrorysty gwałtownie otworzyli drzwi i przywarli do nich po dwóch stronach niczym czujne, uzbrojone w peemy kariatydy, a dwaj gigantyczni ochroniarze, co mogliby osłonić ciałem nie tylko ministra ale nawet hipopotama, wprowadzili Negrido do holu.

- Aznar, brachu, kopę lat! - Już w drzwiach odkleił ręce od boków, i z każdym stąpieniem unosił wyżej, a w połowie dzielącego dystansu rozpostarł ramiona na krzyż, Syrius postąpił krok ku niemu i został przez nie połknięty; Negrido był od niego ciut wyższy, a kiedyś być może nawet lepiej zbudowany, przypuszczam, że w Puerto jako porucznicy wydawali się dziewczynom jednakowo przystojni, ale dziś to było spotkanie wujaszka z siostrzeńcem, dopiero patrząc na ministra, uświadomiłam sobie, że Syrius ma czterdzieści pięć lat, co dotąd jakoś do mnie nie docierało, dla mnie był młodym facetem, tyle że mądrzejszym i bardziej doświadczonym od moich rówieśników; a przecież Negrido urodził się dokładnie w tym samym roku i już ma głębokie zakola i brzuch, który z trudem wciąga, a jeśli puka czasem młode panny, pomyślałam, to tylko dzięki stanowisku, podczas gdy Syrius, choć odrobinę posiwiał, niestety mógłby mieć jeszcze każdą, prawie każdą, nawet gdyby podrywał incognito, ukrywając, że jest sędzią okręgowym.

I jeszcze jedną różnicę wyłapałam, kiedy się tak ściskali: Syrius był autentycznie ucieszony ze spotkania, natomiast Negrido, nie wiem, może też, ale do jego twarzy zdążyła już przyrosnąć zawodowa maska polityka, w której codziennie występuje przed narodem lub innymi politykami, więc jeśli nawet okazuje niekiedy szczere uczucia i tak musi to robić przez nią, przez tę cholerną maskę, jak aktor w greckich sztukach.

- A to moje dziewczyna, Laura - powiedział Syrius, wyplątawszy się z ministerialnych ramion; państwo gubernatorstwo oraz radcy prowincjonalni spojrzeli z lekka zgorszeni, gdyż sędziemu wypada mieć żonę, ostatecznie narzeczoną, ale - nie dziewczynę, a Negrido otaksował mnie wzrokiem od stóp do głów, podał rękę i znowu otaksował; bo wybrałyśmy z Kasią taką sukienkę, że sporo było do taksowania.

POTEM DOSTOJNY GOŚĆ OPOWIADAŁ Z BALKONU
RATUSZA, JAK TO RAZEM Z SYRIUSEM WZIĘLI DO
NIEWOLI GENERAŁA,

„oj, nie lada to wyczyn! dziadek zmykał, jakby mu czterdzieści lat ubyło”, szepnął do mnie Syrius, „ale chyba nie był sam, miał obstawę, którą musieliście zlikwidować”, jak lwica rzuciłam się w obronie jego zasług, „gdybyśmy trafili na zawodowców a nie świeżych poborowych, już byś dziś ze mną nie rozmawiała, tak, Lauro, wygląda prawda o tym słynnym desancie i w przeciwieństwie do niektórych, nie chcę być baronem Munchhausenem”.

Następnie był zapowiedziany bal w sali kolumnowej ratusza, z udziałem co przedniej szych obywateli Santa Inez, po wielu latach spotkałam Jane, z jej kelnerem, faktycznie nieziemsko przystojnym, który dziś szefował aż trzem restauracjom, „Laura, czemu się do mnie nie odezwałaś?”, ale rzut oka na Syriusa sprawił, że od razu sama znalazła wyjaśnienie, „okej, okej, miłość, ja

to znam, jak ochłoniesz, wpadnij na kawę" i podała swój nowy adres, a gdy go notowałam, sprowadzona z Long Wave orkiestra zagrała tango nuevo i Negrido poprosił mnie na parkiet, gdzie już czatowały na niego kamery, „byłaś w telewizji!", oznajmiła mi nazajutrz Juanita, bo urywki balu pokazano w ostatnim wydaniu wiadomości, lecz nikt oczywiście nie wiedział, o czym rozmawialiśmy w tańcu, a dialog brzmiał tak:

- Pani studiuje w E.O.J.?

- Już skończyłam, panie ministrze. Dwa lata temu.

- Właśnie, właśnie, coś sobie przypominam. Syrius interweniował u mnie kiedyś w sprawie niegrzecznej dziewczynki, której nie chcieli przyjąć do E.O.J.. Czy to pani była?

- Ja? Przecież jestem bardzo grzeczna dziewczynka.

A on dosłownie zaczął sapać z podniecenia, bo facetów, okazuje się, można nakręcić byle czym, najidiotyczniejszym tekstem, jeśli jest tylko seksy powiedziany, pod tym względem oni mają gorzej, bo żeby zrobić wrażenie na dziewczynie, muszą wykazać się większą inwencją, no chyba że trafią na totalną kretynkę, a ta różnica, pomyślałam, wynika niestety stąd, że my ich mimo wszystko poważniej traktujemy, i dlatego mamy wyższe wymagania. Negrido posapał, posapał, po czym grzecznie mi się skłonił i poszedł gadać z Syriusem.

Na długie godziny zamknęli się w jakimś gabinecie na piętrze, tak że kiedy skończyli, ministrowi pora była wracać do stolicy.

PO BALU SYRIUS ZABRAŁ MNIE DO SIEBIE I OCZYWIŚCIE ZOSTAŁAM U NIEGO NA NOC,

lecz nie kochaliśmy się ani nie poszliśmy spać, czułam, że konferencja z Negrido wytrąciła go z równowagi, chodził po pokoju, palił, pił kolejne kawy, bałam się pytać, co się stało, bo przecież nie z jakimś Pablo czy Pedro gadał przy piwku, ale z pierwszą osobą w państwie, więc to mogły być sprawy dla szarej obywatelki tajne; mimo to nie wytrzymałam wreszcie, i, dalibóg, każdej odpowiedzi się spodziewałam, tylko nie takiej.

- Chciałabyś zostać panią ministrową? - odparł pytaniem na pytanie.

- Chcesz mnie wydać za Negrido? - niby żartowałam, ale przebiegło mi przez głupią głowę, że faktycznie mogli o mnie rozmawiać; skoro spodobałam się ministrowi, że aż sapał, to kto wie, a nuż zaproponował Syriusowi jakiś dziwny kontrakt.

Roześmiał się, siadł w fotelu i wziął mnie na kolana.

- Nie, Laurko. Za kogoś innego. Ale też ministra. Jeśli Diego wygra wybory prezydenckie, a raczej na pewno wygra, mam przejąć po nim tekę.

Wiedziałam, że trudno o lepszą kandydaturę; Syrius byłby znakomitym ministrem spraw wewnętrznych, facetem na miarę Eliota Nessa, bo nieprzypadkowo przed laty porównała go z nim dziennikarka z NBC; założę się, że w kilka tygodni wyczyściłby Puerto z dilerów, kieszonkowców i innej swoločcy, ukrócił korupcję w policji, a nawet samym politykom dobrał się do tyłka; i

tak byłoby może jeszcze rok temu, czytałam z jego twarzy, lecz nie dziś, istnieje bowiem granica, za którą opuszczają nie tylko siły, ale przede wszystkim poczucie sensu i poczułam, że Syrius właśnie do niej doszedł.

- Udawałem, że nie widzę, jak Wuj przerzuca kokainę do Meksyku, bo w zamian obiecał mi spokój na wyspie, i opłaciło się, statystyk przestępczości mógł nam zazdrościć cały świat, a co ważniejsze, *reptiles*, z małymi wyjątkami (uszczypnął mnie w policzek) trzymali się z dala od turystów.

Pierwszy raz tak otwarcie mówił o sobie, dotąd zawsze okrywał go cień sędziowskiej togi, padał nawet na jego nagość, gdy leżeliśmy obok siebie w Kotlinie Ciszey; sąd nie może być targany wątpliwościami, więc długo skrywał je przede mną.

- A w Puerto takich Wujów są dziesiątki i każdy ma protektora na najwyższej półce, tyle że od nich nic się nie uzyska za przymykanie oczu, najwyżej łapówkę, a nie myślę, żebym na starość stał się przekupny.

Lecz na szczęście miał na kolanach mnie.

- Nie powinieneś oddalać się od swoich gór, stąd masz tylko kilka godzin do Kotliny Cisy, a ze stolicy to już cała wyprawa, zresztą jako minister nie mógłbyś pewnie...

- Ano nie mógłbym - przyznał mi rację.

- I dlatego lepiej, żebyś został na wyspie, a kiedy już będziesz miał dość togi i młotka, przeniesiesz się do Kotliny Cisy na stałe, przecież bungalow można rozbudować, dokupić jeszcze ziemi, Negrido, kiedy go obalą, bo w tym regionie prawie każdego prezydenta to spotyka, przyjedzie do ciebie w gości i będziecie sobie grali w szachy i dyskutowali o polityce, a ja wam podam herbatkę.

Uśmiechnął się. Wiedziała, że jest wzruszony, a jednak - nie byłby sobą, gdyby nie maskował się ironią.

- Właśnie, a propos tej herbatki, czy raczej może ziółek. Spytałem, czy chciałabyś zostać panią ministrową, ale sprawa teki była tu oczywiście poboczna, więc teraz, Lauro, proszę cię, żebyś... żebyś się pochyliła nad istotną treścią pytania.

POCHYLIŁAM SIĘ I ODPOWIEDZIAŁAM: TAK.

Mama była gorzej niż zła i oczywiście odpowiednio zinterpretowała to, że pobieramy się po cichu na Isla de las Rocas a nie u nas w mieście, wiadomo że nie w Katedrze Santa Inez, bośmy oboje rozwodnicy, ale chociaż w ratuszu mogliśmy, cywilnie bo

cywilnie lecz za to przed samym gubernatorem, „nie widzisz, że on się cały czas ciebie wstydzi? a ty, dziecko, za grosz nie masz ambicji i honoru” i tak dalej, i tak dalej, stara śpiewka; „naprawdę nie wstyd ci żenić się z taką dziewczyną?” spytałam, gdy jedliśmy kolację na tarasie widokowym hotelu Volcano, to była reakcja na jego pytanie, przy którym stoliku poderwałam tego zboka z jaszczurką, bo pamiętał z procesu, że to stało się właśnie tu, „daj spokój, mała, przecież ja tylko tak dla żartu, chyba możemy się trochę pośmiać ze starych dziejów”, rozumiałam go, chciał śmiechem ostatecznie obłaskawić wspomnienia, do reszty wyrwać im zęby, ale jakoś nie miałam nastroju z nim współdziałać, „Syrius, to nie są stare dzieje, ci wszyscy, których wystawiłam Massenie, prawdopodobnie jeszcze żyją i doskonale pamiętają swoją krzywdę, jak myślisz, co by powiedzieli, gdyby doszły ich słuchy, że się ze mną ożeniłeś? „wyślę im zawiadomienia, mam gdzieś w aktach adresy”, lecz nie dałam się zbyć tym żarcikiem, „a ludzie w miasteczku też nie mają sklerozy i na pewno zastanawiają się, co cię skłoniło, żeby wiązać się z kryminalistką, a wyjaśnienia, podejrzewam, nie są dla mnie pochlebne, jak nic złapała go na ciężę, albo czymś szantażowała, założę się, że tym tropem idą ich domysły”, i jeszcze długo gadałam i gadałam w tym stylu, a on przez ten czas po swojemu stukał i poruszał palcami i nagle z całej siły zacisnął je na moim nadgarstku, „dosyć! wiesz, co to znaczy niezawisłość sądu? no, słucham, uczyłaś się podobno w E. O.J. podstaw prawa”, zbita z pantaląku zaczęłam pospiesznie pichcić jakąś definicję, ale przerwał mi, „sąd jest niezawisły dlatego, że podlega jedynie ustawom i własnemu wewnętrznemu

przekonaniu. I choćby cały świat tupaniem i gwizdami witał jego postanowienia, ma to gdzieś, zarówno, kiedy orzeka karę, jak i wtedy, gdy się żeni.", puścił do mnie oczko, „no nie wiem, Syrius, czy to jest klasyczna podręcznikowa definicja", westchnęłam, ale rozbroił mnie jak zwykle, zresztą zaraz przyniesiono nam frutti di mare, co spowodowało kilkuminutową pauzę w rozmowie, a dalszy jej ciąg był już na temat sosu do krabów, jako że oboje znaleźliśmy lepsze przepisy niż tutejszy kucharz, ja z E.O.I., bo w tej wytwórni super-kobiet i takie rzeczy wykładano, a skąd Syrius, pojęcia nie mam, po raz kolejny mnie zadziwił; „wcale się mnie nie wstydzisz, rozmawiałam z nim i wprost zapytałam", „oj, córcia, córcia, to przecież wiadomo, że ci nie powie, tylko kiedyś potem, jak się pokłócicie, wypomni, że wyciągnął cię z bagna", „a nie wyciągnął?" „i naraził na szwank swoją reputację, pozycję i w ogóle łaskawie się do ciebie zniżył, a ty za to powinnaś się do niego modlić jak do świętego obrazka", „a nie powinnam?", „jak jesteś głupia, to się módl!", w końcu zbrzydły mi te dyskusje, więc na całe dni chodziłam z Kasią do Juanity, która w moim małżeństwie dostrzegała wyłącznie plusy, „wreszcie nie będę się musiała martwić, że zadasz się z kolejnym spod ciemnej gwiazdy, jakimś bandziorem jak Bibi Massena albo złodziejem jak ten Wetter, bo sędzia weźmie cię w karby, tobie właśnie taki potrzebny, trochę jak ojciec, wiesz, co ja myślę, Laura? że gdyby nasz tata zamiast włóczyć się po Stanach, siedział w domu i zajmował się twoim wychowaniem, nie miałabyś w życiu tych wszystkich kłopotów, a że jest stary? no to co? straszne mecyje! Jak za dwadzieścia lat zostaniesz wdową, to nawet pięćdziesiątki nie będziesz jeszcze

miała, i spokojnie znajdziesz nowego". Nic nie mam do prostych ludzi, a moją siostrę naprawdę bardzo, bardzo kocham, choć chwilami mnie przeraża.

A Syrius w tym czasie wysłał wszystkie potrzebne papiery, moje i swoje, do gubernatora Isla de las Rocas, a ten telefonicznie obiecał, że 24 listopada wyekspediuje do Kotliny Ciszy kogoś swojego przedstawiciela, chociaż najchętniej przyjechałby sam, jako że „byłby to dla mnie zaszczyt, panie sędzio, no, ale rozumie pan, obowiązki”.

WYRUSZYLIŚMY Z SANTA INEZ DZIEŃ WCZEŚNIEJ,

bo chciałam obejrzeć te wszystkie miejsca w górach, gdzie walczył, znów odżegnywał się od barona Miinchhausena, ale go namówiłam, więc zmieniliśmy zwykłą trasę i z przystani promowej w Sacramento zamiast jechać północnym brzegiem wyspy do naszego bungalowu, skierowaliśmy się ku jej centrum, nowo- budowaną szosą szybkiego ruchu, na której jednak nasz range rover nie bardzo mógł się rozpędzić, już po dziesięciu minutach wyrosła mu przed maską ściana Sierra Blanca, szosa się urywała i dalej były strome drogi pośród skał, a jedna wiodła właśnie do ich twierdzy, ufortyfikowanych ruin azteckiej świątyni i hiszpańskiego obronnego zamku, przez lata nic nie zrobiono, by upamiętnić to miejsce, najwyżej jakaś zapyziała tabliczka, bo prezydent-noblista prowadził politykę narodowego pojednania i nie lubił rozdrapywać ran, więc dopiero niedawno z inicjatywy Negrido rozpoczęto budowę muzeum a także pomnika ofiar wojny domowej lub obrońców wolności, o nazwę trwał spór, jako że w

wypadku pierwszej - byłby to również pomnik poległych komunistów; lecz ja się na polityce nie znałam i niewiele mnie to obchodziło, pragnęłam po prostu zobaczyć pole bitwy, w której brał udział mój mąż; Syrius uważał, że robię błąd, zabierając Kasię, jego zdaniem nie powinna jeszcze wiedzieć, czym jest wojna, „mam jej opowiadać, jak zabijałem ludzi?“, „zabijałeś wrogów, Syrius“, „a wróg to nie człowiek? cała wina tych chłopców polegała na tym, że osiągnęli wiek poborowy, więc posłano ich przeciw nam, choć wcale nie chcieli przelewać krwi za państwowe fabryki, sklepy i kartki na żywność...“. „Musi wiedzieć, że ma ojca żołnierza“, przerwałam mu patetycznie; poprzedniej nocy ustaliliśmy, że zaraz po ślubie Syrius adoptuje Kasię.

POLE BITWY NIE ZROBIŁO NA KASI WRAŻENIA .

i nawet nie słuchała, co opowiada przewodnik, bo już znalazł się taki samozwańczy oprowadzacz i objaśniacz, miejscowy Indianin, choć muzeum i pomnik były dopiero w budowie, już zwięszył interes; wiódł nas wzdłuż resztek bunkrów i ziemianek zalegających krawędź urwiska, „tu była bateria dział przeciwlotniczych, o tam, za tę skałą spadł zestrzelony sowiecki śmigłowiec, podczas drugiej inwazji, kiedy komuchy próbowały zrobić desant“, „podczas pierwszej“, szepnął mi Syrius do ucha, „potem już tylko prowadzili ostrzał raketowy“; Kasia w tym czasie przyglądała się kotom, które stadnie gnieździły się w dawnych umocnieniach, a teraz masowo wyległy ze swych kryjówek i, obsiadłszy wszystkie okoliczne głązy, śledziły nas z czujną nieufnością; była zdumiona, bo pewnie nawet sobie nie wyobrażała, że gdzieś mo-

że być aż tyle kotów naraz, ja zaś pomyślałam, że to dusze poległych; gdyby Wuj w ostatniej chwili nie zabrał go rannego spod ognia, Syrius też byłby dzisiaj kotem - najsilniejszym z nich, najwaleczniejszym, przywódcą stada.

NOC SPĘDZILIŚMY W HOTELIKU,

który z myślą o przyszłych turystach i szkolnych wycieczkach zbudował inny tutejszy wieśniak, „el comandante?! to pan?!”, poznał Syriusa i wyprężył się na baczność, „pan mnie oczywiście nie pamięta, ale brałem udział w tym wypadzie, kiedy zniszczyliśmy im dwa transportery, drugi pan sam skasował z pancernicy”, Indianin prowadził nas po krętych skrzypiących schodach na poddasze, które nazwał apartamentem, a ja wyobrażałam sobie ten transporter, jak sunie na kołach albo gąsienicach, dźwigający tony śmierci szary, stalowy nosorożec, i nagle staje w płomieniach, lecz przeciwpancerny pocisk to przecież tylko środek, zwykłe narzędzie, a prawdziwa przyczyna śmierci potwora jest taka, że powążył się wejść w drogę Syriusowi, OK, niech się Lily Henderson nabija z mojej miłości do Johna Wayne, niech się chichra na zdrowie, i zdradza swojego intelektualistę z Harvardu, w zeszły miesiącu aż cztery razy, tak mi wyznała przez telefon, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, Lily, ja Syriusa nigdy nie zdradzę.

To poddasze żadnym apartamentem nie było, lecz zwykłym pokojem, tyle że dla trzyosobowej rodziny; szeroki małżeński tapczan i dodatkowe łóżko we wnęce, pod skosem tak niskim, aż się przestraszyłam, „córcia, jakbyś chciała w nocy siusiu, uważaj,

jak wstajesz, żeby nie uderzyć się w główkę", „a nie lepiej po prostu przestawić?", zaproponował Syrius i nie czekając na moją odpowiedź, chwycił u wezłowia i odsunął od ściany, „jeszcze mnie tak powoź!", domagała się Kasia, zachwycona, że łóżko nagle stało się środkiem lokomocji, „no, proszę cię, jeszcze raz, przez cały pokój!", spełniał jej prośbę, póki ktoś z dołu nie zastukał w sufit jakąś szczotką czy innym kijem, spojrzał na zegarek, „faktycznie, już po dziesiątej, ludzie chcą spać", i Kasia też zaraz zasnęła, po niecałych dwóch stronach książeczki, a gdy jej czytałam, Syrius wyszedł na balkon, więc za chwilę do niego dołączyłam, staliśmy oparci o drewnianą, rzeźbioną balustradę, paląc papierosy i patrząc na czarny górski masyw, najeżony niewidocznymi w ciemnościach fortyfikacjami.

- Byłaś wtedy z matką na Florydzie?

Tak, miałam dwanaście lat, upajałam się Stanami, i do głowy by mi nie przyszło, że o setki mil od Miami, na Isla de las Rocas, leży w agonii mój przyszły mąż, a nad jego łóżkiem czuwa kobieta o przebiegłych oczach kryminalistki, bo widziałam oczy Eleonory Barriere-Aznar w chwili, gdy nakłaniała mnie do kradzieży, „lecz ty ją kochałeś i dlatego nie zauważyłeś w nich tego wyrazu, dla ciebie jej oczy były piękne, ciemne, migdałowe, a pewnie jeszcze umiała rozświecić je ciepłym blaskiem, zasnuć mgłą ekstazy, bo złe dziewczyny są zwykle dobrymi aktorkami, wiem, co mówię, sama przecież doskonale grałam, kiedy byłam złą dziewczyną" „ale przynajmniej potrafiłaś być solidarna ze swoim facetem, nie powiedziałaś na rozprawie, że dzięki tobie nie doszło do zabój-

stwa i gwałtu, w ogóle przemilczałaś te fakty", „uwierzyłbyś mi?", „tak, Laurko, i dałbym ci wyrok w zawieszeniu, lecz ty nie chciałaś się ratować kosztem Masseny, nawet po tym jak on się zachował wobec ciebie".

- Wiem, że bili cię w śledztwie, że Pereira przystawiał ci rewolwer do skroni...

- Rewolweru nie pamiętam, ale bili, to prawda.

- A mimo to twoje zeznania, które przynosił mi Medina, to były puste kartki, nie wydałaś nikogo z gangu.

Natomiast Eleonory nikt nie bił i nie straszył, z własnej, nie-przymuszonej woli zgłosiła się pewnego dnia do komunistycznej bezpieki i oświadczyła, że podejmie się misji, więc przerzucono ją na nikaraguańskim kutrze torpedowym i tuż przed Bożym Narodzeniem znalazła się w jego kwaterze.

- Nauczono mnie, że tajemnic wojskowych nie powierza się nikomu, nawet żonie, dlatego ode mnie nic nie wyciągnęła, ale kręcąc się cały czas po bazie i tak wyszpiewowała sporo, bo miała oczy i uszy szeroko otwarte, a w dodatku nie wszyscy oficerowie zachowywali należyłą ostrożność, więc jej meldunki, których zapis przechwycił po wojnie Negrido, były dla sandinistów bardzo użyteczne, w oparciu o nie przygotowywali trzecią inwazję, i pewnie tym razem zdobyliby wyspę, na szczęście Reagan w porę dogadał się z Gorbaczowem.

Pstryknął w ciemność niedopałkiem i zmrużywszy oczy śledził odlatujący ognek.

- Jednego nie wiem: czy przemyciła własną krótkofalówkę, czy ukradkiem posługiwała się moją.

Być może komuś innemu byłoby to obojętne, ot, drobny techniczny szczegół, lecz nie Syriusowi, i rozumiałam go, rozumiałam ból zadany dodatkowym ostrzem perfidii.

- Co zrobiłeś, kiedy zobaczyłeś te meldunki?

- Nic. Rozwiodłem się i wyjechałem na Santa Inez.

Wiedziałam, że mógł pociągnąć ją do odpowiedzialności, bezpośrednio po wojnie nie było jeszcze polityki zblizniania ran i działały sądy wojskowe, wobec zdrajców orzekające nawet karę śmierci, a jednak darował jej, nie złożył doniesienia; po prostu rozwiódł się i wyjechał, cały Syrius.

- Może to dziwnie zabrzmie, ale po tym doświadczeniu uwierzyłem w Szatana i postanowiłem z nim walczyć, uchronić przed jego mocą chociaż skrawek ziemi, wysepkę Santa Inez, przegnać z niej wszystkie diabły, co do ostatniego, wyłapać, wytępić do imentu; zauważyłam, że wyraz powagi z wolna ustępuje z jego twarzy, zresztą, gdyby nadal mówił serio, nie użyłby słowa „iment”; przyciągnął mnie do siebie. - Aż pewnego dnia, podczas obławy, wpadło mi w ręce diablątko, takie zupełnie małe, które dopiero co wykluło się ze smoły piekielnej.

- I co? - szepnęłam - Zaopiekowałeś się nim?

- Jak myśliwy kociakiem jaguara. I wyobraź sobie - diablątko dało się oswoić, chyba już mu nawet odpadły różki. - Rozgarnął mi włosy, żeby sprawdzić.

POKAZAŁ MI POTEM NA NIEBIE PSIĄ GWIAZDĘ I POWIEDZIAŁ, ŻE WRESZCIE ZACZEŁA MU SPRZYJAĆ,

skoro jest tutaj ze mną, spytałam, czemu akurat taką wybrał, ładnie świeci, fakt, tylko nazywa się nieszczególnie, mimo że ja osobiście lubię psy, bardziej nawet niż pewnych ludzi, no ale tak się głupio przyjęło, że jeśli coś ma w nazwie psa, musi być pod psem, „nie ja wybrałem, dla mnie wybrano”, i opowiedział histo-

rię swojego hybrydowego imienia, którą ksiądz Stefano mu wyjawiał, gdy spotkali się na Isla de las Rocas w czasie wojny, bo starszek, choć dźwigał już dziewiąty krzyżyk, zaciągnął się jako kapelan, „nie bójcie się, chłopcy, antychrysta, to on się was boi” wołał, przekrzykując działa i cekaemy, z krzyżem albo obrazem Matki Bożej z Guadalupe dreptał spokojnie wzdłuż okopów, jakby to była procesja a nie bitwa, „naprawdę, niesamowita postać, aż nie wierzyłem, że to ten sam ksiądz, co przyjeżdżał do San Pedro na osiołku i nieporadnie uczył dzieciarnię katechizmu”, a kiedy wszyscy nad jeziorem samogonu świętowali zwycięstwo, ojciec Stefano też sobie nie odmówił i po kilku głębszych przyznał się do swego drobnego przekrętu, „ale dzięki mnie jesteś, synu, pod podwójną niebiańską opieką, świętego i gwiazdy, i jak widać dobry z nich duet, wspólnie pomogli ci pogonić komuchów”, „niestety, Lauro, nie mógł wiedzieć, co czeka mnie za kilka dni, jaki numer wytnie mi Psia Gwiazda, bo świętego o taką perfidię nie podejrzewam.”

Po czym znaleźliśmy się na podłodze balkonu, na deskach, które memu ciału skojarzyły się z pomostem w Kotlinie Ciszy, lecz starałam się za bardzo nie jęczeć, żeby ten z dołu, co pukał szczotką w sufit, znów się nie uaktywnił.

- Wiesz, Syrius - szepnęłam, kiedy podawał mi papierosa do ust - Pierwszą żonę dostałeś od Psiej Gwiazdy, a drugą od świętego, i zobaczysz różnicę.

LE CZY TE SŁOWA NIE BYŁY PRZYPADKIEM NA

WYROST, GRYZŁAM SIĘ,

długo nie mogąc usnąć; zasłuchana w oddech Syriusa, myślałam o jego życiu, walce i wszystkich dokonaniach, za które los powinien go sprawiedliwiej nagrodzić, a tymczasem Eleonorę poznałam na orgietce w akademiku, mnie na ławie oskarżonych, jakby nie było w tym kraju normalnych, porządnych dziewczyn, a przecież są, nie dalej szukać, Juanita, o tak, z nią byłby szczęśliwy, stanowiliby idealne małżeństwo, plastrem na rany by mu była i balsamem; ale zbuntowałam się - nie, siostrzyczko, ty już masz swojego Matheo, więc nie oddam ci Syriusa, ani tobie, ani żadnej super-porządnej, sama będę idealną żoną, jeszcze się przekonacie! i pogłaskałam go po skroni, a on szepnął: kocham cię, mała, bo chyba też tylko udawał, że śpi i, tak jak ja, rozmyślał o przyszłości.

NAZAJUTRZ JUŻ WCZEŚNIE RANO BYLIŚMY W KOTLINIE CISZY,

Syrius natychmiast udał się na drzemkę, Kasia także przysnęła, a my z Marią Luizą przygotowujemy weselne przyjęcie, to znaczy pomagałam jej nakryć długi stół na trzydzieści osób, który Miguel z synem i dwoma sąsiadami przytaszczyli o świcie z wioski i ustawili przed bungalowem, więcej roboty nie było, bo Maria Luiza sama o wszystko zadbała; zauważyłam, że dziwnie mi się przygląda, i pomyślałam, że Syrius miał rację, w tej kobiecie rzeczywiście jest coś niesamowitego i tajemniczego, i nagle, gdy schyliłam się nad stołem, przesuając głębiej salaterkę z sałatką, poczułam na lędźwiach dotyk dłoni, „czy on ci wyjawiał, kim

jest?", w jej oczach płonęła ciekawość, i to bez żadnej przenośni, miałam wrażenie, że jeśli natychmiast nie odpowiem, zobaczę u mych stóp popiół z Marii Luizy, strawionej wewnętrznym ogniem.

- Nie wiem, co masz na myśli - odparłam ostrożnie, czując, że tajemnicza aura otaczająca Indiankę przynależy także do Syriusa.

- Czyli przed tobą również to ukrywa - rzekła z rozczarowaniem, po czym dalej spokojnie nakrywała do stołu.

Lecz teraz mnie z kolei groziło autodafe z ciekawości i gorączkowo zastanawiałam się, jak przerwać jej milczenie, coś z niej wydusić, cokolwiek, chociaż słówko, żeby naprowadziło na trop, i po chwili chwyciłam się pierwszego lepszego sposobu.

- Jeśli się sprzymierzmy, na pewno wykradniemy mu jego sekret. Nawet jedna kobieta potrafi mężczyznę rozszyfrować, a cóż dopiero dwie.

- Mężczyznę tak - odpowiedziała, rozkładając sztuce przy talerzach.

„A kimże jest Syrius, jeśli nie mężczyzną? - uśmiechnęłam się do siebie - przecież nie kobietą", i nagle zrozumiałam.

- Myślisz, że on jest...

- Cicho! - przerażona doskoczyła do mnie i schwyciła za usta - Jego imienia nie wolno wymawiać, jeśli usłyszy wpadnie w wielki gniew!

A potem wyszeptała, że Syrius kiedy zechce, odmienia całą Kotlinę Ciszy, myślami i ruchem dłoni przeobraża ją od traw po chmury, „bądź ostrożna, Lauro, bo jeśli go rozzłościś, na świecie nie zostanie nic oprócz powietrza, zabierze wszystko, czym je przed wiekami wypełnił”; a wtedy przypomniało mi się zdarzenie z pomostu.

- Księżyc skrył się za górami, zrobiło się strasznie ciemno, tak ciemno choć oko wykol, więc poskarżyłam się, że nic nie widzę, a on kazał księżycowi wrócić na niebo.

- I wrócił?

- Jak posłuszny pies, gdy go pan zawoła.

Wiedziałam, że ukształtowała sobie obraz Syriusa według swoich wierzeń, lecz najdziwniejsze było to, że ja, w której żyłach nie płynęła nawet kropla krwi indiańskiej, spostrzegalam go tak samo, od początku, już w sądzie, skojarzył mi się z azteckim bogiem; może naprawdę nim jest? a po chwili dowiedziałam się, że moja chłosta także miała ponadnaturalny wymiar, gdy skryte za węglem bungalowu pokazywałyśmy sobie blizny, Maria Luiza pokreślona była nimi gęsto, ze dwa tuziny krzyżujących się fałd biegło po jej plecach i pośladkach, a każda najmarniej na centymetr szeroka, biała, połyskliwa, przez kontrast z ciemną skórą szczególnie ostro wyeksponowana - taki sam koszmarowy wzór szpeciłyby dzisiaj moje ciało, gdyby Syrius w porę nie ofiarował mi dobroczynnej maści.

- Należałam do Sergio Moralesa, to był podły, okrutny mężczyzna i razem z nim skrzywdziłam wielu ludzi.

-Mój nazywał się Bibi Massena.

-Zastrzelił go?

-Nie. Posłał do więzienia, tam go dopadła śmierć.

- Wiesz, że nie byliśmy chłostane zwykłym biczem? Odkryłam to, gdy go całowałam. Miał srebrną łuskę i taką gorącą aż parzyła. Musiał być ze skóry świętego węża. Dlatego obie odrodziłyśmy się pod nim.

Maria Luiza spojrzała mi prosto w oczy.

-Jesteśmy jak siostry, Lauro.

Skinęłam niemo głową, wciągnęłyśmy sukienki, pomogła mi zapiąć na plecach.

-Ale tylko z tobą się ożeni - westchnęła.

- „Idziesz do kobiet? Nie zapomnij bicza”^{*19}.
Wiesz oczywiście, z czego to cytat?

-Zwariowałaś? Ja, panienka z nizin...

- Staruszka nie wiedziała, że bicz musi być ze skóry świętych węży. Powinna pójść do Ciebie na korepetycje.

¹⁹ * „Idziesz do kobiet...” - cytat z Fryderyka Nietzschego, „Tako rzecze Zaratustra” (przyp. red.)

- Dobra, dobra, nie złość mnie, bo nie zostanie nic oprócz powietrza 😊

A już masz jeden minus. Nie wiesz za co? A za te gołe laski. Czy mówiłam Ci, że coś sobie pokazywałyśmy? Ale, oczywiście, pan zboczuś musiał wpieprzyć ukochane klimaciki 😊 OK, teraz krótko opowiem o moim ślubie i proszę nie zmieniać nawet przecinka, zrozumiał?

- Cholera, i to się ma być uległa kobieta? Biedny ten Twój przyszły mąż.

- Sam chciał 😊

OKOŁO POŁUDNIA PRZYJECHAŁA MOJA MAMA I JUANITA Z MEŻEM I DZIEĆMI,

mama oczywiście chłodna i odęta, czym mi nawet, muszę przyznać, zaimponowała, wszak na drabinie społecznej stała od Syriusa wiele szczebli niżej, a jednak hardo okazywała mu swą wrogość, płomienny gniew prostej uczciwej kobiety, którą zhańbił przed całym miastem, każąc publicznie chłostać jej córkę, dumna plebejuszka przenigdy nie odpuści wielmoży takiej zniewagi, i to znacznie bardziej mi się podobało niż łaszenie się mojego szwagra, jego przymilne, uniżone „panie sędzio” we wszystkich przypadkach, Matheo nie był złym chłopakiem i jeśli się podlizywał, to nie z podłości charakteru, lecz w szablonowej, niemal atawistycznej reakcji prostego człowieka na widok wła-

dzy, tak odmiennej jednak, i brzydko odmiennej, niż reakcja mamy; nie chciałam dzielić się tymi spostrzeżeniami z Juanitą, choć z jej miny czytałam, że przyznałaby mi rację.

A potem nastąpił niespodziewany dramat - Melchiorek ugryzł niedźwiedzia w łapę, posypały się trociny, Kasia w płacz i choć lada chwila miał się zjawić urzędnik, już dzwonił, że dojeżdża, musiałam na gwałt tę nieszczęsną łapę zszywać, całe szczęście, że niedawno postanowiłam zmienić się w praktyczną kobietę i jako pierwszy krok w tym kierunku przywiozłam do Kotliny Cisy igły i nici.

I GDY ZAKŁADAŁAM PACJENTOWI OSTATNI SZEW,

od strony Sacramento przyturlał się stary pikap i wysiadł z niego facet bardziej przypominający drwala niż urzędnika stanu cywilnego, chciał iść do bungalowu przebrać się w garnitur, który miał w walizce, ale wytłumaczyłam mu, że bez sensu, ja w dżinsowej sukience, Syrius w poncho, więc może śmiało zostać w podkoszulku, nikomu to nie przeszkadza, ślub w górach, to ślub w górach, prawda? toteż bez przebierania się przyjął od nas stosowne oświadczenia, najpierw ustne a potem na piśmie, a gdy złożyliśmy autografy, Indianie z wioski zaczęli strzelać w powietrze, kilkanaście dubeltówek raz po raz waliło w niebo na wiwat, Kasia mocno przywarła do mnie, mama mrugała ze strachu oczami, „niech żyją!”, wołał Matheo, starając się przekrzywić palbę, a Juanita podbiegła i rzuciła mi się na szyję.

I w tym momencie zapiszczała moja komórka, bo przyszedł SMS od Lily. „I jak, panno Wino? Szczęśliwa?”

A ja odpisałam: panna Wina umarła, narodziła się pani Aznar.

I szlus, happy end, jak w romansach z biczykiem, pewnie nie wiedziałeś, że takie istnieją? a istnieją jak najbardziej, wychodzą całe serie słodkich książeczek dla spanków²⁰ z okładkami i treścią w stylu harlequina, głównie po angielsku, ostatnio nawet się na jeden skusiłam, o srogim maharadży i pięknej Mai, kurwa, co za bzdura, co za nieprawdopodobny literacki śmieć!

Ale wiesz co? ja wcale nie jestem przekonana, czy nasza historyjka jest wiele lepsza i czy w ogóle, eksponując takie gusta, można stworzyć coś powyżej romansu albo pornosa, potrafisz bez śmiechu czytać „Wenus w futrze”²¹? ja nie, podobnie jak de Sade'a, choć on przynajmniej trochę biegłej włada piórem. Masz rację, motyw chłosty pojawia się epizodycznie w

²⁰ *Spank* - od ang. *spanking*, co oznacza formę sadomasochizmu, polegającą na wymierzaniu lub otrzymywaniu chłosty, lania, klapsów, itp.

²¹ „Wenus w futrze” - powieść Leopolda von Sacher-Masocha.

wielu powieściach, także wybitnych, pierwszy z brzegu przykład - „Quo vadis”, pamiętasz od czego zaczęła się miłość Petroniusza i Eunicy? kazał jej dać dwadzieścia pięć batów, ale tak, żeby skóry nie popsuć 😊, zauważ jednak, że żaden noblista, żaden szanujący się autor, nie zdecydował się spłodzić dzieła wyłącznie o chłości, dwustu- czy więcej stronicowej książki, w której

od deski do deski świszcząby rzemienie i różgi; to tylko my, biedne odmieńce, sięgamy po taki temat, jedną ręką pisząc a drugą gmerając sobie w kroku, a gdzie porno, tam już nie ma sztuki, chyba nie potrzebuję Ci tłumaczyć, dlaczego; potrzebuję? OK, no więc dlatego, że pornografia, aby rajcowała, musi być dosłowna i łopatologiczna, sztuka zaś wymaga niedopowiedzeń ☹ i tajemnicy.

A jeszcze pozostaje sprawa recepcji, przy czym nie chodzi mi o zgorszenie i oburzenie, bo ktoś w XXI wieku, po Celinie, Nabokowie i „American Psycho” oburzałby się i gorszył czymś tak relatywnie niewinnym? ale o zwykajny brak zrozumienia, rozmowę ze ślepym o kolorach, gdyż żaden normalny czytelnik nie

wyłapie naszych smaczków, ot choćby mimo uwagi puści refleksję Laury, że w łóżku, w którym teraz leży, Syrius przed laty OBMYŚLAŁ DLA NIEJ KARĘ, a już na pewno nie poczuje całej magii zawartej w tych słowach i czyniącej z nich dla nas afrodyzjak, podobnie jak nie pojmie, czemu służy taki drobiazg niby, jak włożone w usta Mediny zdanko, że chłóście przyglądało się dwa razy więcej ludzi niż zazwyczaj; pamiętasz, podczas naszej wirtualnej sesji ku obopólnemu zadowoleniu wciąż zadawałam Ci pytanie, czy gorszy jest ból, czy wstyd 😊

A zatem myślę sobie, mój Przyjacielu, że nie warto silić się na tworzenie literatury spankingowej, nie szturmujmy Parnasu, zostańmy tam, gdzie nasze miejsce, czyli w czatowych pokojach dla perwersów, choć z drugiej strony trochę szkoda, bo takie książki, gdyby powstały, mogłyby wreszcie uświadomić naszym partnerom, że nie jesteśmy żadnymi potworami, nie rosną nam rogi ani szpony, i kochamy dokładnie tak samo jak wszyscy inni ludzie, powiedz: przyznałeś się swojej dziewczynie, że jesteś spankiem? tak myślałam i ja też nigdy żadnemu facetowi nie powiedziałam o moich skłonno-

ściach, tylko czasem, choć wiem, że to chore, zdradzałam ich na sesjach, miałaś kiedyś sesję? nie mówię na czacie, ale w re- alu? to jesteś, Przyjacielu, szczęśliwszy ode mnie, rozczarowanie dopiero przed Tobą.

No nic, wracając do naszych ambitnych zamie-
rzeń, chcę Ci podziękować za to jak podretu-
szowałeś mojego Syriusa, jako zabójca pięć-
dziesięciu trzech gangoli i jednego opancerzo-
nego transportera jest dla mnie jeszcze bar-
dziej mniam-mniam; no i cześć mój i pokłon aż
do samej ziemi za Tve wstawki po- litical fic-
tion, bo ja się na tym gównie kompletnie nie
wyznaję, pojęcia nie mam, kto to są te wszyst-
kie Ortegi i Noriegi; nie, nie, o Gorbaczowie,
wyobraź sobie, słyszałam, już nie rób ze mnie
blondynki 😊.

A teraz pomarudzę trochę na swój temat i o
tym, co do naszej powieści przeniosłam z wła-
snego życia, mogę? dzięki, słodki jesteś, no
to - zamieniaj się w słuch.

Więc po pierwsze naprawdę mam na imię Laura
i jestem oczywiście spanky-girl, z ciągotkami,

jak słusznie zauważyłeś, do BDSM22, nie pamiętam, kiedy to w sobie odkryłam, początek tonie w mroku, nie dogrzebię się korzeni, wiem na pewno, że już w piątej klasie podstawówki, podczas wycieczki szkolnej do Wieliczki jak cholera byłam podekscytowana, ujrzawszy nagle wielkie, skądinąd szkaradne, malowidło, przedstawiające tłum kobiet obnażonych do talii, a nawet niżej, jedne stały pochylone, drugie klęczały, jeszcze inne czekały w przestrachu na swoją kolej, to była, zdaje się, chłostażon górników, wysmagano je, bo ich mężowie strajkowali, ale ja oczywiście natychmiast dopisałam inny scenariusz, gdyż ani trochę mnie nie kręciło cierpienie niewinne, a więc uczyniłam te dziewczyny złodziejkami, które otrzymują zasłużoną karę z wyroku Sędziego, a jedna z nich jest bardzo piękna (oczywiście - ja 😊), i trzeba trafu,

22 BDSM - skrót od czterech angielskich słów: *bondage* (wiązanie, przywiązywanie), *discipline* (dyscyplina), *sadism*, *masochism*.

że Sędzia przybywa na inspekcję właśnie w chwili, gdy jego pachołki zdzierają ze mnie szaty, a potem przez pięć minut, pięć strasznie długich minut, przygląda się zimno, jak biorę plagi i - nagle każe przerwać, siepacze są zdziwieni, patrzą pytająco, wszak dał im rozkaz chłostać każdą równy kwadrans, ani sekundy krócej, "dość" powtarza Sędzia, a ja przypadam do jego butów, a jeszcze lepiej strzemion, bo taki wielki pan nie przylazłby chyba na piechotę, tylko przyjechał konno, i całuję te buty lub strzemiona, dzięki, dzięki ci, o zbawco! a on do mnie surowo, po ojcowski: "nigdy więcej nie kradnij, moje dziecko", i łaskawie pozwala mi się odziać. Właściwie nie powinnam obrażać Twojej inteligencji i domyślności, lecz dla porządku nadmieniam, że wszystko, tak jak w naszej historii, zakończyło się ślubem.

A po malowidle z Wieliczki było tropienie smaczków w filmach, oczywiście najpierw tych z mainstreamu, i długo, długo na pierwszym miejscu mojej top-listy utrzymywała się Catherine Deneuve w „Piękności dnia”, pamiętasz tę scenę? a tuż za nią Andżelika batożona z rozkazu sułtana; z czasem oczywiście w naturalnym pro-

cesie degrengolady © przerzuciłam się na spankowe porno, wszelkie „lupusy” i „pain4femy”^{*23}, do łez mnie ubawiłeś anegdotą, jak to w jakimś towarzystwie ą-ę, gdzie każdy po kolei wymieniał film, który najwyżej ceni, w ostatniej chwili ugryzłeś się w język, bo już byłeś gotów oznajmić, że Twoim ulubionym jest „Birching of Bernardette O'Neil”; znam, znam, Przyjacielu, stara dobra produkcja Nu-Westu, z niezapomnianą Debbie, pierwszą gwiazdką spankowych pornoli, tyle że ja w przeciwieństwie do Ciebie, z oczywistych powodów nie gustuję w F-f^{*24}, a także, choć doceniam Debbie za jej wrzask i naturalny wdzięk z jakim wije się pod różgami, sama nigdy nie chciałabym być ani tak bita, ani w taki sposób obnażona, mierzi mnie podnoszenie spódnicy i wypinanie zadka, mnie trzeba całą rozebrać, rozpiąć na jakimś stosownym sprzęcie, zawiesić na kajdankach, no i rzecz jasna, żadnych witek, żadnych trzcinek, co to leśni ludzie jesteśmy? zanikła sztuka rymarska? batem, Przyjacielu, tylko batem, jak Jewel Shepard z „Caged Heat”, pamiętasz, jak ją leją przypiętą do żelaznych obrę-

²³ „Lupus”, „Pain4fem” - wytwórnice produkujące filmy spankingowe.

²⁴ F-f - Female-female, skrót używany w opisach spankingowej pornografii - kobieta wymierza chłostę innej kobiecie. Sceny takie zawierają niekiedy akcenty lesbijskie.

czy, które zwisają z muru, a inna laska pali papierosa i przypatruje się z suchym zadowoleniem? Nawiasem mówiąc jestem do Jewel Shepard trochę podobna 😊

Pewnieś ciekaw, czy w realu dostałam kiedyś lanie? no więc wyobraź sobie, że scena z sierżantem Picasso jest z życia wzięta, jako szesnastolatka ukradłam puszkę piwa w sklepie i jego właściciel, tak jak nasz Picasso, emerytowany policjant, a raczej milicjant, przyłapał mnie na tym, zaciągnął na zaplecze i złał pasem, niestety przez dzinsy @; potem długo i usilnie kreowałam go sobie w wyobraźni na pana Prawo, ale, jak mawia polski lud, ni cholery nie szło, i równie bezradna była moja fantazja później, podczas sesji; aż na trzy się umówiłam przez czat i za każdym razem faceci okazywali się beznadziejni, obleśne, stare napalone zboki, którzy nawet nie potrafili seksownie się wyposażyć, jeden przyniósł smycz (pewnie swojego psa), drugi jakiś kabel, trzeci nie pomnę już co, ale też poniżej wszelkich oczekiwań; a mimo to kładłam się na masce samochodu, albo opierałam o pień w lesie i pozwa-

lałam bić się po tyłku, no bo jak tu odmówić?, wręcz niegrzecznie, skoro przejechali taki szmat drogi, ten od smyczy aż ze Szczecina, rozumiesz? siedemset kilometrów z nią popierdalał, żałość, Przyjacielu, żałość!

Moglibyśmy napisać we dwoje drugą historyjkę, tym razem realistyczną - o czatach, sesjach, rozczarowaniach, codziennym i conocnym maskowaniu się, okłamywaniu partnerów, o lęku przed kompromitacją i wszelkich innych obrzydliwościach, które są udziałem naszym; nie wiem, jak Ty, ale ja bym się porzygała, pisząc o tym, więc jeśli kiedyś znów poświęcisz mi sześćdziesiąt pięć nocy, bądź pewien, że nie zaproponuję Ci żadnej skrzeczającej rzeczywistości, lecz kolejne wspólne bajdurzenie, następną podróż w marzenia, gdyż my, perwersi, tylko tam czujemy się naprawdę dobrze, tylko w krainie fantazji możemy znaleźć odrobinę szczęścia; to co, Przyjacielu, przeprowadzamy się do niej, rzucamy wszystko w pizdu? 😊

OK, póki co wracajmy do naszych baranów, czyli do mnie. Widzisz: ja nie jestem typową spanką, bo primo chcę być smagana także po plecach, najlepiej kotkiem o dziewięciu ogonach, choć porządny palcat też mniam-mniam, a

drugie primo, jak mawia moja siostra, pierwowzór naszej Juanity, jest takie, że - i tu spadniesz z krzesła - nienawidzę, żeby facet mnie bił, a już szczególnie zboczeniec!

Kiedy mój mąż, a niestety miałam takiego w życiorysie, pierwszy i ostatni raz ośmielił się podnieść na mnie rękę, natychmiast zobaczył pozew rozwodowy, nota bene siedzi dzisiaj w pierdłu za wyłudzone zaliczki, był bowiem deweloperem i złodziejem, jak nasz Helmut Wetter.

Tak, Przyjacielu, zapamiętaj to: mnie karać może tylko mój Sędzia, mój pan Prawo, i to nie sam, „tymy ręcami”, chyba, że chodzi o drobne lanie paskiem, eine kleine Nachtmusik, takie dla jaśniepańskiego kaprysu niech mi wlepie czasem własnoręcznie; natomiast Chłosta, o!, to zupełnie inna sprawa, zbyt poważna, by z niej czynić prywatną, domową igraszkę, „doprowadzono mnie przed oblicze Sędziego” on zaś rzekł: „zostaniesz wychłostana”, widzisz, nawet język przydaje temu dostojności, „zostaniesz wychłostana” szeptałam nocami przed snem, sącząc rozkosz w dojrzewające ciało, miałam chyba dwanaście lat, gdy odkryłam elek-

tryzującą siłę tej frazy, moc zawartego w niej fatum, które wisiało nad moją bezbronną nagością, na jedno skinienie Sędziego wydaną Pereirze albo innemu pacholętkowi, „zostaniesz wychłostana”, a pospólstwo już ścigało na rynek, by patrzeć i się naigrawać, dziesiątki i setki gapiów z twarzami moich kolegów i koleżanek ze szkoły, nauczycielek, woźnych, wszystkich sąsiadów z bloku, i tylko Sędzia nie miał twarzy, a jedynie sam jej wyraz, zimny, surowy, bezwzględny, a przy tym zafrasowany, bez cienia perwersyjnej radości, ale mam wymagania, co nie? 😊

I pewnie właśnie dlatego jak dotąd nikogo takiego nie spotkałam, w niczyje rysy nie oblekła się twarz z mych przedsennych marzeń, tych zaś, których spotkałam, na miarę swego talentu, sportretowałam jako ofiary Laury Santiliany, Mario, Kanadyjczyk, Kolumbijczyk, gruba świnia a nawet ten z jaszczurką, wszystko to konterfekty moich chłopaków i facetów, także Bibi Massena, bo w szkole, ku przerażeniu rodziców, wodziłam się z osiedlowym dre-siarzem; oj, miałam ci ja w życiu tego męskiego towaru, choć, niestety, ilość nie przeszła w jakość.

Być może najbliższy ideału jest mój obecny pan, starszy ode mnie i odrobinę w typie Syriusa, w każdym razie tak samo jak Syrius odnosi się do mojej córki, bo rzeczywiście jestem mamą, nie tylko w naszej powieści, wiem, że powinnam trzymać Kasię z dala od moich brudów, ale nie potrafiłam się oprzeć przed jej opisaniem, a Ty masz dzieci? no, to mnie rozumiesz.

To teraz już szybko o innych detalach, skąd się wzięły. Środkowa Ameryka, bo mąż, nim go rzuciłam, często mnie tam zabierał, a poza tym kochałam w liceum Marqueza. Kotlina Ciszy, bo w bardzo podobnym miejscu ma dom mój obecny narzeczony. Dwie męskie prostytutki ze sceny napadu, bo naprawdę wtargnęły mi kiedyś do mieszkania i groziły, że zabiją dziecko; to było w Niemczech, prowadziłam z kumplem-gejem sklep muzyczny, a on pożarł się ze swoim eks-em, więc ten eks i tak dalej, nieważne, w każdym razie chcieli ode mnie jakąś kasę, na szczęście udało mi się podbiec do okna i rozedrzeć na całą ulicę, żebyś widział, jak spierdalali!

I tak samo ma swój pierwowzór Lily Henderson, Jane, Jose, kujon-zboczeniec, klawiszka Gracja Gomes (imię i eksterier zapożyczone od znajomej feministki, co kładzie mi do łba, że masochizm kobiet to nic innego, tylko scheda po zniewolonych babciach i prababciach, czyli moje odchyły są na dodatek politycznie nieoprawne 😡) i prawie wszystkie osoby z naszej powieści, nawet pani z sekretariatu E.O.J. Ale najprawdziwsza jest panna Wina, jej zgrabne (zapewniam Cię 😊) nóżki przestępstw, na których idzie samo zło, tak mi się zawsze wydawało, na każdym etapie życia, czy byłam przedszkolakiem, uczennicą, czy - jak dziś - wiceprezesem zarządu, i nie pojmowałam, czemu ludzie są ślepi i sympatycznie uśmiechają się do mnie; nie wiem, skąd się to wzięło, ki diabeł we mnie zasiał, wszak samochodów nie kradłam ani nie wstrzyknęłam nikomu barbituranów; raz nawet pozwoliłam pogrzebać sobie w duszy, wiesz ile bierze w Zurychu psychoanalitik?! lecz choćby nie brał ani franka i tak wolę od kozełki drabinę, znalazłam już sklep z drabinami 😊, jedna stalowa jest super, a palcat od dawna mam w domu, czarne dżokejskie cacko z włókna

szklanego i skóry, leży na dnie bieliźniarki, czekając na mój proces i wyrok.

I tylko Sędziego mi brakuje, gdzie jest mój Sędzia? No gdzie?!

Ok., dość smęcenia, czas kończyć, pora się rozstać; niesamowicie mi się z Tobą bajało, czy raczej śniło we dwoje, bo słusznie powiedziałeś, że nasza historyjka to totalna „onira”; mam nadzieję, że dla Ciebie również był to dobry sen, i nie gniewasz się, że nie będzie po nim żadnej sesji w realu; tłumaczyłam Ci jaki mam stosunek do takich spotkań, a poza tym nic by nam z tego nie wyszło, jakkolwiek uczciwie przyznaję, że chwilami umiałeś się wczuć w Syriusa; lecz przecież nim nie jesteś, ani ciut ciut, u Ciebie - nie obraź się - wszystko sprowadza się do marzeń o prymitywnym kurwiszczu i scenach jak z „Birching of Bernadette O'Neil”; to już bardziej widzę w tej roli mojego obecnego faceta, choć obawiam się, że nigdy nie namówię go na sesję, zwłaszcza z udziałem jego pracowników, a szkoda, bo zatrudnia kierowcę wypisz-wymaluj jak Pereira.

Nic to, panna Wina ma dopiero trzydziestkę (i kilkadziesiąt miesięcy 😞), więc zdąży

obejść świat wzdłuż i wszerz, po wszystkich
południkach i równoleżnikach naokoło, aż do
zawrotu głowy, i kto wie? może za siódmą górą,
dwudziestą pierwszą rzeką spotka się z panem
Prawo. Trzymaj za nią kciuki !

TLR